WSPÓŁCZEŚNI POECI POLSCY.

WSPÓŁCZEŚNI POECI POLSCY.

SZKICE NAKREŚLONE

PRZEZ

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.

PETERSBURG.
NAKŁADEM K. GRENDYSZYŃSKIEGO.
1893.

PG
7070
C56

LIBRARY
JUN 27 1966
UNIVERSITY OF TORONTO

1088609

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I rzesza żywych słusznie się domaga,
By dla niej z pieśni nowa jasność biła,
Świeża chęć życia i świeża odwaga,
Coby ją naprzód w przyszłość prowadziła.

Asnyk.

PRZEDMOWA.

Muszę przedewszystkiem uprzedzić czytelników, że wyraz poeta wziąłem w znaczeniu popularnem, rozumiejąc przezeń epika i liryka. Jakkolwiek bowiem dramaturgia należy niewątpliwie do obrębu poezyi, to przecież w wyobrażeniu powszechnem nietylko u nas, ale i w innych krajach poetą nazywają głównie twórcę pieśni i powieści. O dramacie zresztą zamierzam napisać książkę osobną.

Chciałem przedstawić w tem dziełku stan poezyi naszej po roku 1863, uwzględniając te osobistości, które w ruchu literackim żywy brały udział, zabierając takie lub inne stanowisko wobec spraw życia narodowego i cywilizacyi ogólno-ludzkiej.

Rok ów nie zapisał się w poezyi, jak wiadomo, wspaniałemi dziełami, któreby choć w przybliżeniu porównać było można z tymi arcytworami, jakie po r. 1831 powstały.

Dwa były główne tego powody. Najprzód brak istotnie wielkich talentów, któreby porwać mogły za sobą ducha narodu. Ci, którzy byli uczestnikami świetnej epoki poetycznej a jeszcze pozostawali przy życiu (Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, Wincenty Pol), nie znaleźli w piersi swojej dość potęgi, ażeby pieśnią nanowo wstrząsnąć dusze; epigonowie owej epoki albo milczeli zupełnie, jak Kornel Ujejski, albo udatnemi, ale drobnemi i na nizką nutę odzywali się piosenkami, jak Włodzimierz Wolski, albo też tworzyli wprawdzie dużo, lecz w sposób, który przyśpieszyć bicia serc nie mógł, jak Teofil Lenartowicz („Echa nadwiślańskie"). Jeszcze młodsze i najmłodsze pokolenie, przeniknięte uczuciami namiętnemi i wybuchowemi, zazwyczaj chodziło w szacie pożyczanej od Słowackiego i Krasińskiego, nie umiejąc jej nawet nosić należycie, że tu tylko Maryana Kochanowskiego († 1868), Antoniego Zaleskiego, pisującego pod pseudonimem Jana z Puszczy († 1866), Feliksa Kozubowskiego (autora „Poezyj Obłąkanego" 1868) wymienię. Ignacy Zakrzewski († 1889), wziąwszy sobie za wzór „Pieśni Janusza", wydał w Lipsku 1866 zbiór pieśni i opowiadań okolicznościowych, nabrzmiałych uczuciem, ale zbiór ten, lubo mieścił niejedną rzecz ładną, choć bez wyższego polotu, przebrzmiał bezechowo i popularności bynajmniej nie osiągnął.

Drugim powodem słabego rozwinięcia się poezyi patryotycznej po r. 1863 był zmieniony nastrój ogólny. Warunki rozwoju ekonomicznego, wskutek uwłaszczenia włościan na znacznej przestrzeni kraju, wskutek wzmożenia się przemysłu i handlu, silnie zaciężyły na umysłach. Ideał narodowy pozostał niewątpliwie ten sam co i przedtem, ale pogląd na środki, za pomocą których miał być urzeczywistniony, uległ zmianie stanowczej. Nie egzaltacyą i wybuchami, które przyczyniały się do umniejszenia sił, ale rozumnem rachowaniem się ze stosunkami istniejącymi i pracą powolną, organiczną, miano powetować klęski i w jaśniejszą przyszłość podążać. Dla marzycielstwa, dla poezyi, a nawet dla wielkich haseł, wielkich celów, wielkich natchnień nastąpiło ochłodzenie, łatwo dające się wytłómaczyć zawodami, które przypisywano w znacznej części a czasami nawet wyłącznie oddziaływaniu owych haseł i natchnień.

Nawet prawdziwi, wysoce utalentowani poeci musieli niemal pokornie usprawiedliwiać się, że jeszcze śpiewają, a ułomność i kruchość swej twórczości składali na społeczeństwo, które im materyału do pieśni na wielką skalę nie dostarczało, jak to wyraził Asnyk w wierszu „Poeci do publiczności“, gdzie różne rozbierając tematy, tak się odzywa o jednym z najważniejszych, jakie dawnej poezyi żywotność dawały:

Miłość ojczyzny! to przedmiot zużyty
I pogrzebany z poległem rycerstwem,
Starannie w trumnie gwoździami przybity,
I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem,
A nad nim klęczy postać jezuity,
Co umarłego gorszy się kacerstwem,
I lud poucza, że modna pobożność
Tę ziemską miłość uważa za zdrożność...

Przytem zauważyć potrzeba, że poeci późniejsi, zapomniawszy o wielkich natchnieniach, zaczęli opiewać swoje smutki własne lub swoje mdłe zachwyty do oczu niebieskich lub czarnych. Po kilku latach, podczas których przedmioty ogólniejszego interesu zajmowały jeszcze poetów, nastąpił okres wybujałego, ale przeważnie w chwast jeno, egotyzmu...

Przeciwko takim objawom powstała opozycya ze strony tych, którzy się około roku 1870 „trzeźwymi“ lub „pozytywistami“ lubili nazywać. Całkiem fałszywem jest mniemanie, jakoby oni zaprzeczali poezyi prawa bytu; przeciwnie, pragnęli tylko napiętnować utwory mdłe, dźwięki puste, myśli pospolite, uczucia poziome.

Oto fakt z życia. W roku 1868 zbierało się w Warszawie od czasu do czasu kółko młodzieży lubiącej rozprawiać o literaturze. Wśród niego byli i młodzi poeci: Władysław Bełza, Władysław Ordon, Wiktor Gomulicki. Na jednem

z zebrań piszący te słowa miał następne przemówienie, które tu bez zmiany powtarza:

„Niedawno jeden z młodych pisarzów powiedział: ginie poezya. Gdybyśmy za poezyę mieli wszystko, co jest ujęte w formę wierszową, to śmiało możnaby temu zdaniu kłam zadać, gdyż wszystkie pisma peryodyczne taką masę mieszczą rymówek, że na poważniejsze rozprawy braknie, zdaje się, miejsca. Skalą jednak naszego sądu być powinna, jak naturalna, nie ilość, lecz jakość utworów. Otóż przejrzawszy pilnie takie wiersze i wierszydła nie będzie podobno zbyt dalekiem od prawdy owo powiedzenie. Mdłość i bezbarwność; powszedniość tematów i ich zużycie, — to są ogólne cechy mniej więcej wszystkich utworów poetycznych. Rzadko się nawet kto zdobędzie na poemat szerszego zakroju; zwykle nam dają liryczne piosenki w takim naprzykład rodzaju:

Laurów nie pragnę, o wieniec dębowy
W mojej modlitwie nie błagam niebiosów;
Niech ozdabiają inne droższe głowy;
Jeden wianuszek jam przyjąć gotowy,
Z polnego chabru i pszenicznych kłosów
A przeplatany drobnym liściem wrzosów,
Bo gdybym włożył na głowę *rozgrzaną*
Taki wianuszek, to śniłbym różowo,
Śniłbym, że jestem w lesie *bardzo rano;*
Widzę tam w górze kulę niebios szklaną

Sosny i dęby szumią mi nad głową
A ptastwo śpiewa zrozumiałą mową.

„Skromne życzenia, nie prawdaż? Z tym jednak wianuszkiem wyglądałby raczej na waryata z *rozgrzaną* głową i wtedy lepiej pojmiemy, że mu ptaków mowa jest zrozumiała, kiedy się w lesie znajduje bardzo rano. Posłuchajmy jeszcze tegoż wieszcza natchnionych refleksyj:

Z pod sukni nóżka wyjrzała zgrabniutka
I tak mi dziwnie stało się na duszy
I tak zdradliwie coś szepcze mi w uszy:
Życie — tak smutne, nóżka — tak malutka!

„Przyznacie panowie, że uwaga jest genialna i arcy-loiczna. Nie przytaczam więcej przykładów, choć byłoby to najłatwiejszą rzeczą, bo któż czytający pisma nasze nie zna tych wszystkich drukowanych błahostek. Aż serce się ściska na tę profanacyę boskiej poezyi, której tony kołysały nasze dziecięctwo, która powinna być wsparciem i podnietą na ciernistej drodze żywota. A propos tejże ciernistości rzeczą jest uderzającą, że prawie wszyscy poeci patrzą na swój zawód jako na nieprzerwany ciąg poświęcenia i ofiar z ich strony, a obojętności i zakamieniałej twardości serc ze strony czytelników. Na to jednak zgodzić się trudno. Teraz bowiem zachodzi daleko ściślejszy i naturalniejszy stosunek między publiką a autorem i poetą niżeli

to dawniej miało miejsce, kiedy sztukę uważano tylko za igraszkę dowcipu, za rzecz dobrą do uśpienia, kiedy mityczny Morfeusz nie był łaskaw i zagniewany długo nie przybywał. Dziś przeciwnie, poezya uważa się za jeden z wielkich czynników cywilizacyi a więc i życia społeczeństwa całego. Kto wie, jak wielki przewrót we wszystkich sferach wyobrażeń zrobiła prawdziwie natchniona poezya za przewodem Mickiewicza u nas, ten z trudnością powyższemu zdaniu zaprzeczyć zechce. Poezya, będąc najdoskonalszem wcieleniem ideału w rzeczywistość, spełnia misyę cywilizacyjną — oczywiście razem z innemi sztukami pięknemi — w zakresie piękna. W życiu zaś jednostek jak i ludzkości całej trzy główne działają prądy, na których cywilizacya dąży do mety. Są to prawda, piękno i dobro. Harmonijne rozwinięcie tych trzech światowładnych idei winno być dążeniem każdego człowieka, bo ono o jego losie stanowi. Stąd się już jasno pokazuje, że oddanie piękna jest zarówno ważne w ogólnej cywilizacyi jak i rozwój prawdy i dobra. Poeci mają tu tę wyższość nad innymi, że ich czarowna mowa łatwiej sięga do głębi serc naszych, niż sucha prawda w abstrakcyjnych formach wypowiedziana. Ale też na nich złożona wielka odpowiedzialność wobec społeczności. Niech nam nie mówią o wieńcu z *chabru i pszenicznych kłosów*, lecz niech ukażą ma-

rzenia swej duszy, ideały, które przejmują ich całych, niech wypowiedzą wszystkie szlachetne uczucia, które sercem zawładnąć, w górę je podnieść i zachwycić zdolne. A wtedy nie będą się żalić, że ich nie zrozumiano, że im nieczułością ludzie odpowiadają. Kto zaś nie ma namaszczenia na poetę, którego pierś nie czuje wszystkich drgnięć spółczesnego serca ludzkości całej, kto nie jest przejęty świętością swego powołania i pisze tylko dlatego, aby składać rymy; — o! ten niech lepiej porzuci tę marną zabawę a weźmie się do pożyteczniejszej choć skromniejszej pracy, która może mu zaszczyt i poważanie zjednać u ludzi; gdy niezdarne rymarstwo uśmiech politowania wywołać może. Jeszcze jedna uwaga. Społeczność dzisiejsza nie żyje samem tylko sercem lub bezcelowem bujaniem fantazyi. Jego wielkim, przeważnym nawet obecnie czynnikiem jest dzisiaj daleko posunięty rozwój rozwagi; badanie prawdy i jej praktyczne zastosowanie wzięły nawet na chwilę przewagę nad innymi kierunkami ducha ludzkiego. Stąd też i poezya, jeśli nie chce być maruderem, który tylko niepotrzebnie opóźnia pochód, ale żwawym przewódcą na drodze postępu, musi się przejąć koniecznie tym kierunkiem i pożegnać owe bezgraniczne wylewy egotycznych uczuć, które nie mają gruntu w sercach całej ludzkości, ale dźwięczą tylko *unisono*, pożegnać musi bezcelowe puszczenie cu-

gli wyuzdanej fantazyi. Serce drugiego odczuć umie wszystkie boleści i rozkosze, ale tylko o tyle, o ile one wspierają się na powszechnych, czysto ludzkich uczuciach, a nie są jakimś jednostkowym bólem albo radością. Rozsądek znowu dąży do jasności i harmonii, nie podoba sobie w takich obrazach, gdzie niemal wszystkiego domyślać się, wszystko przeczuwać i odgadywać musi. Takie niewyrobienie w sobie jasności przedstawienia jest znakiem, że autor sam nie przetrawił swych myśli i właściwego nie wytknął sobie celu. Treść i forma, osnowa i jej przedstawienie harmonizować najzupełniej ze sobą powinny w poezyi, tak jak harmonija duszy i ciała jest celem i zadaniem człowieka w życiu. Minęła już dzisiaj pora owej wyuzdano-romantycznej szkoły, dla której fantazya poety była jedynym regulatorem wszystkich jego porywów, gdzie pogarda dla formy była zaletą i chlubą pisarza. W wieku rozwiniętego rozumu i poezya winna nosić na sobie cechę tegoż rozumu, bo inaczej będzie pustym, oderwanym i nic nie przemawiającym do nas dźwiękiem".

Mogę twierdzić bez obawy zaprzeczenia, że wyrażony w tem przemówieniu pogląd na znaczenie poezyi był wyrazem ogólnego przekonania, jakie wśród młodzieży poświęcającej się literaturze panowało. Wielkich twórców czczono; pieśniami ich się rozkoszowano, nie tylko dla

zwyczaju, lecz z głębi przeświadczenia, opartego na wniknięciu w ich treść i wykonanie. Miernotę natomiast wyśmiewano bez litości.

Nawoływanie do pracy powolnej, codziennej, drobnej zaczęło oddziaływać i na niektórych poetów młodszego pokolenia. Z pomiędzy nich jeden, Karol Świdziński († 1877), nabrał pewnego rozgłosu wierszem swoim p. t. *Naprzód pracą!* którym chciał od marzeń odwrócić młodzież, mówiąc:

Cóżeś szablą wyrąbała?
Kilka szczerbów w dziejów pleśni!
Cóżeś lutnią wypłakała?
Miljon tonów, co świat prześni!

Oj! nie szablą i nie tonem
Tobie walczyć, hufcu młody!
Ale z czołem pochylonem
Nad mądrości ślęczeć kartą,
Sercem przeczuć prąd właściwy
I z prastarej ojców niwy
To ukochać, czem żyć warto!

Bo nie żadnym błyskiem stali,
Nie natchnionych tonów mocą,
Ludy czoła swe ozłocą:
Tylko pracą i mądrością,
Tylko trudem i miłością,
Przyszłość serca im zapali!

Atoli nawoływania takie, zyskujące całkowite uznanie ze strony rozsądku, nie mogły za-

dowolnić ani wymagań fantazyi, ani porywów serca. Co dobrego przyniósł ten zwrot do opiewania życia codziennego, to bliższe wpatrzenie się i obrazowanie warunków bytu klas pracujących, zarówno w mieście jak na wsi. Obrazki te wszakże, choćby najpiękniejsze i najsympatyczniejsze, nie mogły zastąpić braku potężnych i wzniosłych lotów.

Z drugiej strony wyniki wiedzy, owej „mądrości“, do której Świdziński zapędzał młodzież, płytko pojęte, zdawały się zagrażać istnieniu natchnień wielkich. Analiza zaczęła się przedstawiać wielu jako stanowcza przeciwniczka twórczości. Stąd w umysłach wrażliwych, a z natury skłonnych do marzenia, powstało zwątpienie o mocy i wartości prawd uważanych za niepożyte, na miejscu których nie umiały one sobie przyswoić innych, nie mniej dających pola do rozwinięcia pomysłów rozległych. Zwątpienie to, w połączeniu z rozważaniem bied i nieszczęść ludzkości wogóle, a narodu własnego w szczególności, pogrążały umysły w otchłań pessymizmu i wywoływały westchnienia do nirwany.

Te pessymistyczne jednak objawy były u nas raczej wyrazem nastroju, aniżeli głębokiego filozoficznego przeświadczenia; nie zakorzeniły się też one silnie w duszy nie tylko czytelników, ale i samych autorów. Żywotność uczuć narodowych, wiara w jaśniejszą przyszłość dopomo-

gły do otrząśnięcia się z apatyi, do wyrwania się z pęt pessymizmu i zanucenia pieśni nadziei, jak to widzimy w III ciej seryi Poezyj Maryi Konopnickiej z r. 1887.

Równocześnie powstaje dość liczne grono talentów młodych, które w przekonaniu, że co nieśmiertelne, umrzeć nie może, starały się przywrócić poezyi dawniejsze jej królewskie w literaturze stanowisko. Było i jest wśród nich dużo zapału prawdziwego, ale nie brakło także wyszukanej sztuczności.

W poglądach na zadanie poezyi zachodziły tu duże różnice; jedni dążenia społeczne na pierwszym kładli planie, przeciwstawiając poprzednim utylitarnym entuzyastyczne cele; inni zaś pragnęli wyzwolić poezyę od wszelkich tendencyj ubocznych, samą sztukę wyrażenia za jedyny jej cel poczytując i tak daleko nawet idąc, iż żądali *zniesienia supremacyi myśli nad słowem*. Nowe grupy poetów francuskich i belgijskich (symboliści, dekadenci) zaczęły oddziaływać na to najmłodsze pokolenie poetów naszych, z których kilku po mistrzowsku zawładnęło formą. Niema jednak dotychczas pomiędzy nimi takiego, któryby potężnym wpływem potrafił pozyskać dla siebie i dla głoszonych przez siebie zasad wielkie audytoryum całego ukształconego społeczeństwa.

Bądźcobądź, lubo i dzisiaj jeszcze słyszymy

narzekania poetów na brak odgłosu i sympatyi wśród ogółu dla twórczości poetyckiej, zarówno znaczna liczba piszących, jak i mnożące się zbiorki poezyj świadczą dość wymownie, że doba zobojętnienia minęła i że się poczyna nowy okres odświeżonej wrażliwości w dziedzinie natchnienia twórczego. Od twórców zależeć będzie, żeby okres ten zajaśniał wielkiemi dziełami; — „taki wieszcz, jaki słuchacz“ mówią prawdziwi poeci tylko w chwili zniechęcenia, gdyż kiedyindziej porywają tłumy za sobą.

Naszkicowany tu przebieg losów, jakim ulegała nasza twórczość poetycka w przeciągu lat trzydziestu, uwydatni się lepiej w szczegółowych szkicach, jakie o główniejszych jej przedstawicielach, pod dodatnim i ujemnym względem, nakreśliłem. Powstawały one w różnych czasach, a lubo starałem się je obecnie do pewnej jednolitości doprowadzić, różnice w obrobieniu bystre oko dojrzeć zapewne łatwo potrafi. Punkt tylko wyjścia jest wszędzie jednakowy: objawy poezyi rozpatrywałem zawsze nietylko z estetycznej strony, ale i ze społecznego stanowiska. Przeważna część uwag odnosi się nawet do tego drugiego, gdyż ideę łatwo w krótkich słowach przedstawić; nad formą trzebaby się długo rozwodzić. Zamiast wykrzykników uwielbienia lub potępienia, odnoszących się do rzeczy, które ogółowi czytelników zazwyczaj są obce, wola-

łem przytoczyć wiersz jakiś lub też zwięźle sąd swój o stronie artystycznej utworu zanotować.

O wyczerpanie przedmiotu nie ubiegałem się; potrzebaby na to książki o wiele większej. Ponieważ postanowiłem pisać o tem tylko, co sam czytałem, nie mogłem korzystać z recenzyj pisanych przez innych o utworach mi nieznanych; wolałem je pominąć. Zdaje mi się jednak, że nic ważniejszego nie opuściłem. Żałuję tylko, żem nie mógł uwzględnić twórczości Bolesława Czerwieńskiego. Jeżeli książka moja doczeka się drugiego wydania, postaram się brak ten wypełnić.

26 października 1894 r.

I. Leonard Sowiński.

Przypominacie może sobie ten ustęp z historyi biblijnej, gdzie jest mowa o „krzu gorejącym“ na pustyni. Mojżesz, pasąc trzodę Jetry, przybliża się do niego z trwogą i serca drżeniem, przypatruje się cudownemu zjawisku i słyszy głos gromowy z „krza“ wychodzący...

Do tego „krza gorejącego“ podobnym jest talent poetycki Leonarda Sowińskiego. I sam poeta natrąca o tem w *Widziadłach*, i z rozważania jego utworów przyjść można do takiego porównania. Zjawisko dziwne, niezwykłe, mistyczne po części, tajemnic i zagadek pełne.

I.

Pierwsze poezye Sowińskiego, bardzo zresztą nieliczne *(Madonny Rafaelowe, Przed Madonną sykstyńską, Przed obrazami Fra Angelico da Fiesole)*, sięgają roku 1857 i są wynikiem wrażeń, jakich autor doznawał w czasie artystycznej swej po Europie wędrówki. Drezno, Paryż, Flo-

rencya wraz ze swojemi skarbami sztuki natchnęły strof kilka, które oprócz wyższego nastroju ducha i wytwornego wierszowania, nie posiadają jeszcze cech wybitnych niepospolitego talentu. Strofy takie mogły być utworem umysłu o jakimkolwiek kierunku duchowym.

W dwa lata potem w „Piśmie zbiorowem wileńskiem“ pomieścił Sowiński wyjątki z poematu *Satyra*, wydanej w całości dopiero w roku 1870. We wstępie, poeta zostając pod świeżem wrażeniem podróży do Rzymu, maluje, idąc za Krasińskim i Zaleskim, zepsucie Romy starożytnej i przepowiada świetną dla Słowiańszczyzny przyszłość. W dalszym ciągu poematu objawia się już wyraźnie kierunek poetyczny i myślowy autora. Powstaje on przeciw pysze rozumu, przeciw zarozumiałości nauki i sztuki. W obrazie usiłowań wielkiego matematyka i filozofa, Hoene-Wrońskiego, stara się wykazać marność zaciekań nad zagadką świata. Opisawszy smutną, bolesną chwilę zgonu reformatora ludzkości, temi przemawia słowy:

Tak skończył umysł pychą zatruty,
Co przez pół wieku myślą tytana
Rwał się ku niebu do skał przykuty...
I praca mędrca światu nieznana...
A kto śladami jego się rzuci
I obietnicom mistrza da wiarę,
Wkrótce spostrzeże, iż goni marę
I zawiedziony, złorzecząc, wróci...

Podobnież przeklina poeta tych mistrzów sztuki, którzy tworzą groźne, zimne postacie, albo też rozdzierają piersi słuchaczów dysonansem niewiary i rozpaczy; gdyż:

. . . biada temu, czyje natchnienie
W piersiach pokrewnych szerzy zniszczenie!
Kto serca bliźnich żądzą rozpala,
Kto wiarę ludu w gruzy obala,
Kto z braćmi dzieli zgrzytania swoje,
Walki, upadek i niepokoje!

Poeta zaleca natomiast pokorę, ofiarność, ducha poświęcenia oraz „przeczyste, rzewne, potulne i święte“ malowidła Fra Angelico da Fiesole.

W innych częściach *Satyry* obrazy niektórych zdrożności społecznych niezawsze dość wyraziście występują. Najświetniejszym tu chyba ustępem jest ten, gdzie Sowiński występuje przeciw faryzeuszom i świętoszkom, tej „brudnej kurzawie bożego domu“:

Gdy lud, zważywszy wasze rozumy
I strupieszałej piersi popioły,
Odepchnie próżne roszczenia dumy, —
Wy, jak strącone rycząc anioły,
Ciskacie gromy na ciemne tłumy
I znieważacie myśli kościoły...
Czemuż tej ciżbie służyć nie chcecie,
Kiedy przewodzić jej nie umiecie?...
Wszak zbawca świata cichym być każe;
Lecz wy, niezdolni kornej miłości,
Bezwstydem dumnym w masce świętości
Kalacie czyste Boga ołtarze.

Słowo ofiary, zgody, pokoju,
Zamiast utwierdzać życia przykładem,
Zatruwszy gorzkim zawiści jadem,
Czynicie hasłem kłótni i boju.
Oprawce ducha! bicze sumienia!
Napróżno chcecie święte ich głosy
Do nikczemnego zmusić milczenia...
Niech po raz jeszcze wygasłe stosy
Zapali głownia waszego gniewu, —
Ludzkość nie zniesie jęku męczeństwa
I chór grobowy waszego śpiewu
Na wieki stłumi gromem przekleństwa.

Mniej natomiast zadawalnia ustęp, w którym Sowiński przedstawił potęgę mas ludowych, wyrzucając im atoli egoizm, brak miłości bliźniej. Jednostronność poglądu, wypływająca z dość rozpowszechnionego około r. 1859 wśród warstw inteligentnych nastroju przebija się w hurtownem potępieniu „Zachodu".

Spojrzmy na Zachód! Węzły tych ludów
Dawno im w piersiach ostygłych pękły;
Skarłowaciały dźwignie ich trudów
I samolubstwem dusze nabrzękły...
Pośród kamieni, żelaza, pary
W blasku znikomym gazu i złota,
Gdzież ich naddziadów rycerska cnota?
Gdzie chrześcijański charakter stary?

Wyskoki jednak takie i tym podobne zesmutniałej duszy poetyckiej nie rażą tu zbytecznie wobec wielu myśli podniosłych, jakkolwiek za-

krytych gazą symboliki. Bądźcobądź jesteśmy całem sercem za poetą, kiedy woła:

Pełno plam czarnych w zbiorowym duchu,
Gdy rdza *próżności* siły mu strawi,
Gdy pierścień każdy w bratnim łańcuchu
Odrębne cele sobie postawi!

Jeżeli zamiast „próżności“ postawimy „prywatę“, nie podobna będzie nie uznać całej prawdy, zawartej w tej strofie.

W *Satyrze* atoli nie buchnęły jeszcze płomienie z „krza gorejącego“; spostrzegamy je dopiero w *Widziadłach*, drukowanych również w r. 1859. Sowiński opowiada w nich ciernisty zawód poety, któremu „rdza smutku od kolebki w serce się wpiła“:

Biedny! jak anioł grobów śród zabaw i gwaru
Stawał w dziecinnem gronie i spojrzeniem smutnem,
Głębokiem, strasznem, pełnem zaklętego czaru,
Zarażał tłum wesoły milczeniem pokutnem...

„Pani z dziecięciem na ręku“ utuliła ten smutek i w modlitwie a śpiewie wskazała mu sposób kojenia „westchnień przebolałej doli“. Lecz przyszła *nauka* i, zbudziwszy w duszy wątpliwości okropne, zerwała ogniwa łańcucha, łączącego poetę z niebem...

Wielka ogromem zwalisk, dumna śmierci trudem
Myśl zdzierała z praw bożych ideału szaty
I odarte — liczb marnych potrząsała brudem.

Zwątpienie ogarnęło umysł i serce poety a „duch niesyty tarzał się w tęsknocie“. Któż przyszedł z pociechą, kto rozegnał tumany sceptycyzmu? — Poezya „piękna,· wzniosła i rzewna jak anioł pamięci“. Pieśń lunęła strumieniem, ale nie nadługo mogła zapełnić serce spragnione szczęścia. Duch niewiary jak uragan przechodził po duszy, niszcząc i druzgocząc jej pragnienia i ideały. Poecie brakło miłości. I ta się zjawiła; lecz czyż podniosła poetę? Nie! Zanurzyła go tylko w błocie! Podniósł się on jednak z tego kału i rozejrzał po niezmierzonych łanach czynu. „Powinność“ stanęła mu przed oczyma i przed sumieniem. Zapalił się do czynów: „duch wieków wyszlachetniał“ przed nim, więc nowemi zaczął kroczyć drogami. Lecz i tutaj „duch przeklęty“ splugawił święte zamiary. Pycha ze sztandarem sławy zabiegła drogę poecie, który z pogardą spojrzawszy na tłumy, „gdzie wiek cały na garstkę zdobywa się marną“, zatopił się znowu w marzeniach, rozrządzając w wyobraźni wolą narodu:

Wtem, powiewna i blada z wieńcem róż na czole
Z berłem w palcach ostygłych, wyciosanem z lodu
W płaszczu białym jak zimą posrebrzone pole,
Śmierć wionęła na duszę kolumnami chłodu

I z lekka włosem kruczym wieszczą skroń musnęła,
Dłonie śnieżne na serce położyła wrzące
Ustami kamiennemi oczy przycisnęła.

I zgasło życie młode, jak światełko drżące...
W proch ziemi poświęconej wsiąkły łzy gorące,
Pierś pod krzyżem *po walce płonnej* odpoczęła.

Jest to historya wielu dusz zapalnych, namiętnych, a słabych i niedouczonych, ani w szkole wiedzy, ani w szkole życia; pragną one od jednego zamachu świat przemienić, a praca powolna im obrzydliwą się wydaje, więc najczęściej... marnieją. Żal nam ich serdeczny, bolejemy nad ich stratą, jak się boleje nad każdem pięknem a przedwcześnie zgasłem życiem. Nie dąb to powalony przed nami piorunem lub połączonemi siłami ludzkiemi, ale kwiatek nikły, choć piękny. Sowiński w 12 sonetach cudnie odwzorował ten żywot jednodniowy, a do charakterystyki nakreślonej niegdyś przez Kraszewskiego w kilku powieściach, przydał jeszcze szczyptę zwątpienia nie o celach wielkich i świętych, ale o siłach jednostki utalentowanej.

W rok potem wyszły okruchy poematu zatytułowane: *Z życia,* które zjednały Sowińskiemu rozgłos ogólny. Założenie utworu, jego idea główna: budzenie do czynu społecznego znalazły oddźwięk w sercach młodzieży, wśród której różnorodne fermentowały pierwiastki. We wstępie poeta wzywał wyobraziciela potęgi woli i ofiarności:

Gdzież ty, olbrzymie ciżb, społecznych potęg mężu,
Owiany huraganem narodowych dum?...
Ach! ukaż we krwi skroń i połysk na orężu
I wzrok w miljonowy zatopiony tłum!

Patrzajcie: otóż on! Posępne cienie czoła
Rozdziera jasna myśl, jak piorun kłęby chmur,
Ofiarą zbrojna pierś ogromnem hasłem woła,
A chór — przerażający odgrzmiewa mu wtór.

Z tysiąca woli drgnień odlałem postać twoję,
Boleścią bratnich serc uolbrzymiłem duch...
O Panie! zejdź w otwarte pieśni mej podwoje
I senny świat ten mój w żywota porwij ruch!

Potężny i wyrobiony już głos Sowińskiego odbrzmiał sympatycznie i z serdeczną przyjęty został gościnnością. Nie brakło naturalnie i słów nagany, ale wogóle przyznano mu talent niepospolity. Rozżalony jedną z krytyk (napisaną przez Kazimierza Kaszewskiego) poeta w drugim wydaniu swego utworu, pomieścił przedmowę, w której prozą stanowisko swoje określił.

„Prometejowe tortury — powiada tu — zrywającego się do prawd najwyższych ducha godniejsze są pieśni niż kwilenie kochanków lub szczebiotanie słowika. Szamotanie się tłumu rozognionego myślą społeczną przemawia mi do serca daleko potężniej, niż muzyka niewinna majowego poranku".

Jak widzimy, jest to energiczny protest prze-

ciw zacieśnianiu zakresu poezyi do czułych i rzewnych westchnień i pieni. A jakkolwiek możnaby było autorowi przypomnieć jego zachwalanie „przeczystych, rzewnych, potulnych i świętych“ fresków Fra Angelico da Fiesole; wolno przecież widzieć w tak zmienionem zapatrywaniu postęp jedynie ducha i rozszerzenie widnokręgu poetyckiego. Koniec końców bowiem i freski owe, arcydzieło w swoim rodzaju, nie wyrażały jednostkowego, egoistycznego uczucia, lecz aspiracye mas całych, duchem pobożności przejętych; były zatem także wyrazem czynu w pewnym ograniczonym zakresie.

Zresztą poglądy dawniejsze Sowińskiego pozostają i w tym utworze tymi samymi, uzupełniają się tylko i zaokrąglają. Przedstawiciel nauki abstrakcyjnej, niezwiązanej z życiem, Omega, pokutuje za pychę rozumu w szpitalu obłąkanych, a Ugo, jego uczeń, dopiero wskutek bezpośredniego zetknięcia się z wynikami drogi, którą postępował, porzuca sfery nadniebne i wspiera ziemskie działania Ludmira, przedstawiciela mas i czynu społecznego. W czynie tym bierze udział poeta Henryk, co wzgardził gruchaniem miłosnem i niewieściemi wdziękami. Natomiast ginie w obłąkaniu Adam, dusza czuła, rzewna, oddana miłości jedynie, nie pojmująca ani energii Ludmira, ani uniesień Henryka.

Słusznie zarzucano Sowińskiemu, że w tem

odrodzeniu społecznem nie naznaczył właściwego dla kobiety miejsca. Ewa bowiem, tak zmienna i z tak różnorodnych pierwiastków złożona wietrznica, posiadająca w głębi serca jakieś skarby ukryte, ukazuje się nam tylko epizodycznie, ułamkowo. Najwięcej w niej uwydatniona została zalotność i chwiejność rozbujałej myśli i fantazyi. Później widzimy ją przychodzącą do szpitala obłąkanych, by błagać o przebaczenie Adama, którego nie kochając zaślubić chciała i przez to ducha jego w mrok śmierci pogrążyła. W końcu rzuca kwiaty na bohaterów odrodzenia i płonie rumieńcem na wspomnienie Henryka. Czyż te oderwane szczegóły mogą nadać wybitność jej postaci nawet w tak fantastycznym szkicu, jakim są okruchy poematu *Z życia?*

Wogóle biorąc, jakkolwiek idea utworu tego była piękna a nawet wzniosła, choć bynajmniej nie nowa, wyznać musimy, że samo obrobienie jej nie sprawia w nas zadowolenia estetycznego. Być może, nie wina w tem autora, jeno okoliczności; ale w każdym razie rozważając poemat w takim stanie, w jakim go mamy przed sobą, widzimy w nim nie gmach artystyczny, lecz lepiankę. W lepiance tej pali się ogień święty, to prawda; budowa jej atoli nie nabiera przez to kształtów artystycznych. Brak regularności, brak równomiernego uwydatnienia wszystkich główniejszych postaci, niektóre części nie-

mal zupełnie chybione (np. sceny w szpitalu obłąkanych) każą nam patrzeć na te „okruchy“ jako na zabytek dziejowy bardzo ważny, z którego i dzisiaj jeszcze wiele myśli rozumnych, wiele uczuć gorących każdy wyczytać może, ale który jako dzieło sztuki do wielkich zaliczonem być nie może.

Z dwu lat, ubiegłych po ogłoszeniu tych „okruchów“ *Z życia*, niewiele mamy poezyj, bo zaledwie dwa króciutkie wierszyki i *Fragment powieści*. Autor zajęty był wtedy publicystyką i działalnością życiową, napisał *Studya nad literaturą ukraińską* (1860), przełożył *Hajdamaków* Szewczenki (1861) i wiele artykułów w „Kuryerze Wileńskim“ (1860—62) pomieścił.

We wspomnianych dopiero co poezyach oryginalnych bardzo odmienne panują tony. W *Aniele dziejowym* przedstawia Sowiński walkę złego pierwiastka z dobrym i zaznacza zwycięstwo dobrego. W wierszu *Do narzeczonej* (1862) słyszymy po raz pierwszy u naszego poety wyrażenie uśmiechu i szczęścia:

Serce ty moje! złote! jedyne!
Wielkie a ciche i rzewne!
Tyś mię jak powój uschłą krzewinę
W listki ubrała powiewne.

Uśmiech mój wyjrzał z cichego grobu;
Miłość z anielskiem marzeniem,
Szczęście i wiara zeszły mi z tobą
Ślicznem jak młodość widzeniem.

Lecz w tymże samym roku dochodzi nas zgrzyt rozpaczy; poeta ciska przekleństwa na miłość i na kobiety. Mówię o *Fragmencie powieści*, który, lubo wydany został dopiero w roku 1869, powstał przecież, jak się dowiadujemy z daty podpisanej pod tym utworem, o wiele wcześniej, bo w r. 1862. Opisuje tu poeta miłość Leona, studenta medycyny, guwernera czy korepetytora, do córki szlacheckiej Mani, miłość szaloną, namiętną, chuć raczej zmysłową, którą chce wychłostać biczem Furyj i pochodnią hańby piekielnej wyświecić:

Chciałbym ogniem i krwią odmalować ducha tortury,
Gdy żądzą runie w proch, a natchnieniem rwie się do góry,
Gdy męską, dumną myśl, najszczytniejszych pełną obrazów,
Ustek wiśniowych jad zamieni w legowisko płazów.
Chciałbym z Dantejskich barw i palących jak grom [wyrazów
Utworzyć pieśń... Jak Jozue rozwalający mury
Pragnąłbym skruszyć gmach zniewieściały naszej natury,
By w gruzach jego wznieść potężniejszy — z cyklopich [głazów.

Perypetyj tej miłości czy tego szału opowiadać nie będziemy; nie przedstawiają one cech wybitnych i tylko pod wpływem świetnego obrazowania na umysł czytelnika działają. Chcąc streszczać, potrzebaby przepisywać. Zresztą sam poeta nie bardzo dba o malowidło szczegółów;

oto np. jak najważniejsze tej historyi chwile opisuje:

Czy jest milszego co nad majową podróż z kochanką?...
Słuchajcie: *Byszów* — noc — pocałunek pierwszy na ganku;
Chodorków — kilka słów: „Leosiu mój!“ — „Maniu ser-
[deczna!“ —
Berdyczów — łzy i gniew — pojednanie i miłość wieczna.
O parę mil — utarczka znów i rozpacz ostateczna —
Zgryzota — żal — wieczorny upał i chłód o poranku —
Milutki dąs — westchnienie — śmiech — rozmowa nie-
[dorzeczna,
Tupnięcie nóżką — wstyd i łzy i „kocham“ bez ustanku.

Poeta gardził i kochał „sam z sobą w dziwnej rozterce“. Potem tulił do serca Magdaleny pokutujące...

Fragment powieści jest to poemat w rodzaju Byronowskiego „Don Juana“ — pod pewnym tylko oczywiście względem. Pełno w nim spraw osobistych, sympatyj i antypatyj autora, pełno obrazków przecudnych i myśli wzniosłych, jak nie mniej pełno miału i kwasu egoistycznego. Wiersz długi 15-zgłoskowy z męską średniówką tokiem swoim przypomina niekiedy prozę, lubo dykcya jest wysoce poetyczna i obfituje w mnóstwo energicznych, śmiałych, malowniczych wyrażeń.

Wykroczył w tym utworze Sowiński przeciw regule wypowiedzianej przez siebie w *Satyrze*, bo podzielił z braćmi „zgrzytanie swoje,

walkę, upadek i niepokoje". Nie możemy mu mieć tego tak dalece za złe, gdyż nikt świętym nie jest; a ponieważ znajdujemy grunt szlachetny, nie zważamy bardzo na osty, które na nim rosną.

Dla charakterystyki poety podnieść tu winniśmy parę szczegółów. Wspomnieliśmy już, że w poemacie tym był Sowiński wrogo dla płci pięknej usposobionym. Sama treść poematu miała wykazać, jak wiele męskich dusz „nadziejami wielkich za młodu" runęło nagle w proch, tkniętych śmiertelną trucizną zmysłowej miłości. A oto portret bohaterki:

Recipe: — dumy lwiej i turkawki młodej gruchania;
Wściekłych, tragicznych scen i pieszczot — do niewy-
[trzymania,
Żądzy i zimnej krwi, okrucieństwa, smutku, czułości,
Najpotworniejszych kłamstw i przezroczej jak łza szcze-
[rości;
Wszystko to zmąć i w ogniu azyatyckiej miłości
Skrysztal w kobiety kształt — a wyjdzie niezawodnie
[Mania.
Milutki typ! Niewiele w nim znajdziesz idealności,
Mnóstwo ma wad — nie przeczę — a jednak wart jest
[kochania.

Albo obrazek rozwydrzonej zabawy Mani i jej siostry separatki „wielce ognistej":

Cały ogród się wstrząsł od sióstr rozhukanych swawoli:
Jak bajadery dwie wystąpiły w bachantek roli:

Był to zwierzęcy szał bez najmniejszej myśli na czole:
Namiętność — zawrót — krzyk — rozpasane śpiewy i
[żarty,
Orgija — wir bez tchu — poganizm z tuniki odarty...
Leon się śmiał, choć czuł, że śmiech ten piekielnie go boli.

Krytyków swoich traktuje Sowiński pogardliwie, a na zarzut mistycyzmu w utworach dawniejszych, tak odpowiada:

Dość już mistykiem być... choć raz Kaszewskiego roz-
[broję.
Nowożytny ów Grek, od trawienia klasyków senny,
Mówi, żem sfinks i gniewa się na poezje moje...
Szczęściem na ludzi gniew pospolicie bywam kamienny.

Zaufanie w sobie, egoizm rozbrykanej imaginacyi wkłada w usta Sowińskiego wyrazy pychy, tak niegdyś surowo potępianej:

Alboć i ja... Co chwila z powieści mojej odmętu
Jak rybki z głębi wód wynurzają się dziewcząt twarze...
Ha! niema co!... choć mi wstyd, lecz powiem bez wy-
[krętu,
Że tyleż jestem wart, co i wszyscy nasi pisarze...

Temperament poetycki niewątpliwie najdobitniej wyraził się w tym utworze, tak różnorodne, a zawsze namiętne budzącym uczucia. Widać, że był istotnie pisany krwią i łzami — wybuchy na każdym są kroku.

II.

Po *Fragmencie powieści* nastąpiły lata ciszy i smutku. Przebył je Sowiński w gubernii kurskiej, najprzód w Kursku, a potem w Szczygrach. W r. 1868 przybył do Warszawy, został spółpracownikiem „Gazety Warszawskiej“, potem „Wieńca“, „Gazety Polskiej“, „Tygodnika Powszechnego“, umieszczając tu dużo recenzyj, trochę wspomnień i powieści.

W lirykach jego od roku 1868 znajdujemy wyraz uczuć różnorodnych. Zwątpienie, gorycz, myśl samobójstwa, rozpaczliwe nad stanem społecznym rozpamiętywania, albo też nanowo rozbudzona ufność w losy przyszłe i zadanie poety, dźwięczały naprzemian na strunach teorbanu. Mamy tu kilka cudnych pereł, prawdziwą poezyą lśniących; mamy i rozumne *credo* poetyckie:

Jeżeli chcesz być wieszczem bratnich ciżb,
Więc rzuć gruchania ckliwe, mądrość liczb,
Zdawkowych poziom wyobrażeń,
A stań się słowem wielkich wrażeń,
Sumieniem w ciemny wpływającem gmin,
Pamięcią żywą bohaterskich zdarzeń
I wiarą uzbrojoną w czyn.

(Rada poecie).

Podobnym duchem natchniona jest pieśń *Do liryków dzisiejszych*, gdzie żąda od poezyi, „potęgi,

prawdy, życia, promiennych myśli, natchnienia, co do życia budzi“, a lirykom stawiającym ołtarzyki drobne radzi, by zaprzestali wyśpiewywać egotyczne dumy, a weszli w „kuźnie pracy gminnej“ i śpiewali to, co czują tłumy, lub — zamilkli...

Obok pięknych i silnych, były atoli i słabe utwory, w których rozgoryczenie łączyło się z ciasnotą poglądu, np. *Dział pieśni*, gdzie poeta, nie mogąc się pogodzić ze wstrętnym sobie kierunkiem myśli i dążeń, potępia bezwzględnie stulecie obecne:

Wiek rozumu, jak tabor ciurów rozpasany
Opycha brzuch podbitej materyi cielskiem...
Jak krzyże mogił kmiecych na cmentarzu sielskim
Wali się posągowy piękna świat — oplwany
Pogardą ciżb, dla których każdy kwiat jest zielskiem,
A laur wydaje plon żołędzi pożądany...

Z większych utworów tego czasu odszczególnia się *Graf Jarosz*, nastrojem i barwą przypominający *Fragment powieści*, a opowiadający o miłostkach znudzonego grafa z cyganką Diwą i o jej zemście. Wiersz energiczny a piękny jest największą tego poemaciku zaletą.

Wszystkie wymienione dotychczas utwory zebrał Sowiński w dwutomowym zbiorze, wydanym roku 1875 w Poznaniu p. t. „Poezye S.“ Obraz atoli owoczesnej działalności poety byłby

niezupełny, a w porównaniu z dawniejszą blady, gdybym choć mimochodem nie wspomniał o tragedyi w 5 aktach z prologiem i epilogiem, ogłoszonej bezimiennie w r. 1873 p. n. *Na Ukrainie*. Nie wypełnia ona warunków scenicznych, ale jako poemat walczy o lepsze z dramatem fantastycznym *Z życia*. A walczy nie tylko z nadzieją, ale i z pewnością zwycięstwa. Grunt realny, na którym się poeta oparł, poruszenie sprawy żywo obchodzącej ogół, wyborne odmalowanie kilku charakterów, wiersz silny i dźwięczny, styl poetyczny jak rzadko nadają poematowi temu pierwszeństwo nad poprzednimi a nawet każą wogóle uważać go za najlepszy Sowińskiego utwór większych rozmiarów. Ma i on słabe swe strony, ale ich nie uwydatniamy, gdyż i silnych nie mogliśmy szczegółowo przedstawić.

* * *

Po dziewięciu latach od czasu wydania zbiorowego poezyj swoich, Sowiński przedstawił nową ich wiązankę p. t. „O zmroku“ (Warszawa, 1885, str. 157). Skromną jest ona wielce pod względem objętości i świadczy wymownie, że chwile natchnienia, nawet u wysoce utalentowanych poetów, bywają bardzo rzadkie. Przytem wszakże pamiętać należy, że w przeciągu czasu, który upłynął od r. 1875, Sowiński zajęty był już to układaniem obszernej kompila-

cyi z dziejów literatury polskiej, już to podróżami, już to utrwalaniem na papierze wspomnień młodości swojej, tak że na pisanie poezyj wiele nawet swobodnych chwil nie było. Nie od objętości zresztą wartość zbioru poezyj zależy. Zajrzyjmy więc do wnętrza. Mroczne ono jest wielce, jak sam tytuł ostrzega, ale bywają w niem i błyski jaskrawe. Poeta, który zawsze z wysoka patrzył na świat i jego dzieje, który bardzo wybitnie samemi najwyższemi zagadnieniami życia społeczeństw w poezyach swoich się zajmował, tu jakkolwiek czuje upadek sił swych twórczych i gorzkie nad nim łzy wylewa; jakkolwiek błąka się po otchłani wątpliwości, posiada jednak dosyć jeszcze mocy, ażeby się nie dać pokonać zwątpieniu i rozpaczy, a nawet wynajduje w końcu ujście ku światłościom niebieskim, co mu dają ukojenie.

Z temperamentu namiętny, łatwo popadał Sowiński w krańcowości, wśród których bawił zazwyczaj przez chwilę tylko. Rozumiał i potężnie oddawał poczucie siły tytanicznej w pokoleniu Prometeuszowem, ale równocześnie znając małość człowieka, korzył się przed Panem. Wspaniale maluje *Świat Ducha:*

Bez granic wielką jest kraina Ducha,
Promienna bóstwa blaskiem u swych szczytów
A w dole — otchłań mroku, łkań i zgrzytów,
Skąd rozpacz i nienawiść wciąż wybucha!

Kto w głosy jej się tajemnicze wsłucha,
Ten dozna już-to grozy, już zachwytów,
Nieznanych tym, co w prochu zasklepieni,
Dla których byt — to puszcza światów głucha,
A oni sami — poczet marnych cieni.
Rojenia młodych lat, natchnienia błyski,
Ofiarność, wiara wrząca, czar miłości:
Czyż nie jest-to świat wrażeń niebios blizki,
Słoneczny, wiosną tchnący raj ludzkości?!..,
Czy nad wspaniałe gwiazd i tęcz widoki,
Lub zorzy biegunowej ogniotryski
Nie wyższy umysł twórczy i głęboki?...
A oneż wulkaniczne serc otchłanie,
Gdzie wiecznie płonie brudnych żądz pochodnia,
Gdzie lęgnie się występek, zdrada, zbrodnia —
Czy może iść co z niemi w porównanie
W ohydzie okropności?!... krwią i łzami,
Jak lawą, broczą one ludów dzieje;
Podziemny grzmot ich postrach w ciżbach sieje:
Żałoba, rozpacz idą ich śladami,
A potem cisza spustoszenia głucha...
O, straszne, straszne są przepaście Ducha!

Gdyby poeta na tym obrazie, przedstawiającym dwoistość objawów ducha w ich najwybitniejszych wyrazach, był poprzestał, wiersz jego pełen siły słowa i trafnych porównań, zadowolniłby w zupełności estetyczne jak i logiczne poczucie. Ale Sowiński, lubiący antytezy, zapragnął przeciwstawić tej dziedzinie ducha marność materyi — i zepsuł piękny utwór, gdyż przeciwstawienie to nie może znaleźć potwierdzenia rozumu. „Świat materyi bezwiedny“ ni-

knie i przepada w każdej chwili, to prawda, lecz w szczegółach tylko, nie w ogóle swoim — zupełnie tak samo jak i świat ducha, który bez tej materyi nie znałby ani rojenia młodych lat, ani błysków natchnienia, ani czaru miłości, ani — z drugiej strony — owych dziejów broczonych krwią i łzami jak lawą. Poeta jako spirytualista zapomniał o tym ścisłym związku, jaki łączy ducha z ciałem i wyobrażał sobie idealnie, lubo w kształtach zmysłowych, bezwarunkowe panowanie ducha oddzielonego od materyi; ale czytelnik nie może popełnić takiej abstrakcyi, nie może lekceważyć tej materyi, bez której duch na ziemi objawićby się nie mógł. Gdyby Sowiński mówił tylko o objawach ducha poza-ziemskich, to nawet nie zgadzając się z nim co do samego pojęcia, moglibyśmy przynajmniej zrozumieć jego przeciwstawienie materyi duchowi, ponieważ jednak w całym wierszu czytamy tylko o stosunkach czysto-ziemskich, musimy przeciwstawienie to uważać za brak należytego rozmysłu w poecie rządzącym się chwilowymi wybuchami.

Równie potężnemi słowy przedstawił Sowiński *Widmo Ruiny*, uosobione w trzech postaciach: nędzarza-łupiezcy, bachantki oraz „miałkiej, bezdusznej, pozornej“ nauki. Pomijając nietrafność zestawienia tych trzech uosobień, w których dwa pierwsze są postaciami ludzkiemi, a trzecie — abstrakcyą bez ciała, gdy analogicznie

wypadałoby wprowadzić cynika-zarozumialca, — możnaby autorowi zarzucić dziwne w poecie „celów gromadnych“ nierozumienie dróg postępu, kroczącego ku udoskonaleniu bytu narodów; nie każde przecież niszczenie jest dziełem „ziejącego jadem demona“; nie na każdej ruinie płakać nam trzeba; są i takie, które radością przejmują serce, gdy się zło, niewola, nędza wykorzenia. Rozumiał to niewątpliwie autor *Satyry*, ale, jak nieraz, zanadto dawał się unosić jednemu prądowi myśli, który nim chwilowo zawładnął. Kreacyom jego nie zawsze przewodniczyła rozwaga poety-myśliciela, który nie tylko na formę piękną, ale i na wszechstronny rozwój treści utworu baczy pilnie, ażeby uczucie i fantazya zakochane w danym pomyśle nie nadały mu nieprawdziwego zabarwienia. Widać to nietylko w *Świecie Ducha* i w *Widmie Ruiny*, lecz gdzieindziej.

Ośm *Fragmentów satyrycznych* uderza na jedno przeważnie zło, które tak zajęło umysł poety, że już na inne nie chciał czy nie mógł zwrócić oka. Tem złem jest zmateryalizowanie świata, owa gorączka złota, owa „giełda bez Boga“, która się już Krasińskiemu w przerażających przedstawiła kształtach. U ołtarzy poezyi siedzą tylko lutniści, ślepi, starzy; mistrze-kapłani już spoczywają „zmorzeni mogił snem głębokim“; westalki poszły na giełdę składać ofiarę Baalowi, porzuciwszy „harfiarzy nucących psalmy“.

Co więcej, nawet poeci nastrajają swe lutnie „na złota brzęk“ i czujnem uchem słuchają na giełdzie, „po czemu dzisiaj łza, po czemu śmiech, po czemu jęk“, za grosz gruchają jak gołąbki, za dwa śpiewają „dziewic erotyczny wdzięk“, za trzy wybuchają rozpaczą lub głoszą „wrzaski trąb, ryk dział i mieczów szczęk“. Albo też kłamią swym ideałom, gdy „pieszczotliwy gwar niewieści“ każe im być śpiewakami uczt i mirtem wieńczyć skroń, zamiast dzierżeć silnie w dłoni miecz archanioła, co go „Bóg dał u raju wrót“, by walczyli „z szatanem wiecznej mgły na wielkiej ducha tamie“. Ci, co mieli porwać lud do wielkich czynów, a w powodzi klęsk pocieszać zrozpaczone tłumy, wolą „chluby laur“ i wnoszą w cichy świat poezyi „okrzyk zgraj i żądzy samolubnej brud“. A zgraje te, jak w epoce cezarów rzymskich, wołają o jedzenie lub „ryczą wśród kamelij dżdżu i róż“, bijąc szalone oklaski tym, „od których pierzcha dróg dziejowych anioł-stróż i przedświt gasi swe złotopromienne blaski“. Zgrajom tym rozszalałym nie przyświeca żadna gwiazda, bo nawet myśl badawcza, niegdyś roztrząsająca zwój „potęg twórczych“, dzisiaj kupczy strzępami wiedzy, otoczona rojem heter i sofistów. Tryumfy nad kamieniem, parą i żelazem podsycają tylko moc i szał materyi; kał żądz poziomych zalał świątynie serc; ateizm na zgliszczach wiar za-

panował i zawładnął przekonaniami tłumów całych. — Tak sobie wyobrażając i tak przedstawiając stosunki świata dzisiejszego, poeta nie ma dosyć słów najsroższego oburzenia, a w namiętnem piętnowaniu wszystkiego, co wiek obecny wydał, traci miarę, traci świadomość swego stanowiska względem tego świata i — jakby jedyny mędrzec wśród powszechnej ciemnoty i zepsucia — twierdzi urągliwie, że nasz „mądry wiek“ zostawi po sobie „stos węgli, martwych ksiąg — i kłamstwa nowy krój i wielki grób w ostygłem potomności łonie“.

Ryczałtowe to potępienie wieku i postawienie siebie samego w roli mędrca wyrokującego o głupstwie nie jest wszelako objawem zarozumiałości poety; w innym bowiem utworze p. t. *Płacz senny* szczerze się spowiada ze słabości swych, wyznając, że rozkładowe pierwiastki czasu podziałały i na niego. We śnie zjawia mu się najsędziwszy z poufałych ojca jego przyjaciół, a dla niego od kolebki samej najtkliwszy opiekun, i powiada mu jedno słowo: „pamiętasz?“ Wtedy-to łzy, których już nie miał na opłakanie innych nieszczęść i strat, bryznęły poecie z oczu, a on odrzekł staremu przyjacielowi z jękiem:

„Ach! pomnę...
Byłem niegdyś dzieckiem wielkich nadziei —
Wszystkie znikły w strasznej życia zawiei...

Chciano wznosić na nich gmachy ogromne —
Wszystkie u podwalin samych runęły"...
I od płaczu zanosiłem się prawie,
Co się nigdy już nie zdarza na jawie.

Dusza biedna poety, potraciwszy kolejno wiele pięknych, dobrych i dzielnych dzieci-natchnień, „dziś po grobach błąka się bez nadziei, przeklinając życie swe nieśmiertelne".

Nie miejmy za złe autorowi, że żadne wspomnienie nie wycisnęło łez z jego oczu prócz wspomnienia o zmarnowanym talencie; nie miejmy mu za złe, że dla świata obecnego, dla nieszczęść i walk, miał tylko słowa urągania, bo nieszczęśliwi są niesprawiedliwi, bo w rozżaleniu głębokiem zawsze nam naprzód w myśli staje własna nasza osobistość, bo cudze bóle i cierpienia rozumieć możemy, a swoje — czujemy.

Ale też ze swej strony, jako członkowie świata obecnego, mamy prawo wymagać pewnej miarki wyrozumiałości, która może bardzo blizko graniczy ze sprawiedliwością; mamy prawo wymagać, ażeby poeta nie zasklepiał się w kółku własnych tylko czysto-indywidualnych poglądów przesiąkniętych uczuciowością i fantazyą, ale starał się spojrzeć wszechstronniej na to, co się dzieje, a możeby nie widział samych jedynie plam czarnych, możeby biczem satyry nie smagał niewinnych razem z winnymi. Jak sam poeta do-

znawał nieraz goryczy zwątpienia i o mało nie chwycił za broń samobójcy, by dosięgnąć „żywota szczytu — w nicestwie“; tak też w dziejach świata są chwile krytyczne i bolesne, rodzące wiele zamętu i spustoszenia w umysłach i sercach, które trzeba zrozumieć, zanim się je potępi. Los poety „burz, błyskawic, celów niedoścignych, pragnień Tantala“, który „myślą tonąc w dziejów krwawym potoku, z jękiem w piersi i palącą łzą w oku, umarł zapomniany w murach szpitala“ — jest niewątpliwie bolesnym i okropnym; ale zamiast wprost oskarżać oń „ciżbę“, potrzebaby może wskazać, o ile też sam poeta, zarówno zaletami jak wadami swemi, był jego sprawcą.

„Z mroku do światła“ podąża Sowiński na skrzydłach modlitwy. Korzenie się atoli nie było widać odpowiedniem talentowi poety „burz i błyskawic“, gdyż wymuszona prostota, za pomocą której chciał oddać swój nastrój religijny, nie dopisała mu ani pod względem stylistycznym, ani pod względem rymotwórczym. Stojąc nawet na stanowisku poety, trudno doszukać się prawdziwego piękna w tych jednostajnych litaniach, jakiemi są przepełnione wiersze zatytułowane: *Siostra miłosierdzia, Modlitwa* i *Modlitwa pańska.* I tam tylko widnieje talent istotny, gdzie Sowiński maluje płomiennemi barwami chwile pełne grozy, jak np. w *Gwiazdce betlejemskiej:*

Złowieszczą, straszną była droga,
Którą pędziła ludzkość cała
Bez gwiazd przewodnich i bez Boga
Zezwierzęcona, rozszalała...
Rozpusta, przemoc i niewola
Zaległy dziejów czarne pola.

Gdy możnych orgia huczała,
Ziejąca krwią, bezmyślnie sroga,
Pierś pognębionych ciżb nękała
Niedola ciężka, rozpacz, trwoga —
I wynędzniała w znojnej męce,
Ku niebu wyciągała ręce...
. . . . . .
Z kadzideł dymem, z modłów gwarem,
Jęk tłumów wzbijał się dokoła
Nad Panteonem świata starym...
Ach! próżno krwawią korne czoła
O świątyń marmurowe progi...
Pogłuchły, czy posnęły bogi?...

Takie są liryki Sowińskiego, zawarte w ostatnim zbiorze jego poezyj. Żaden z zamieszczonych tu utworów nie może być, wobec surowszego sądu, poczytany za doskonały; podziwiając bowiem dosadność i barwność dykcyi, dobre rymowanie, a nadto piękność i trafność poszczególnych ustępów, w żadnym nie znajdujemy takiego pomysłu, któryby, bez względu na swą świeżość i oryginalność, mógł wytrzymać próbę ścisłej analizy. Jednostronność w poglądzie na świat, zawarunkowana romantycznym nastrojem

ducha, którego Sowiński był świetnym epigonem, psuje najczęściej wrażenie, wywołane barwnymi obrazami. Dodać wreszcie potrzeba, że i pod względem formalnym wiersze tego niepospolitego poety nie zawsze zadawalniają; może z umysłu, dla wywołania jakiegoś specyalnego wrażenia, zaniedbywał on często rytmikę i używał niekiedy całkiem niepoprawnych wyrażeń (np. *uświęcij).*

Obok poezyj drobnych znajduje się w owym zbiorze jeden utwór epicki i jeden dramatyczny.

Liryk gnomiczny nawskroś chciał okazać, że i w innyrh rodzajach poetyckich potrafi dzielnie władać piórem. Jak wiemy, nie po raz to pierwszy występował Sowiński z takiemi próbami; był on już autorem dwu dłuższych poematów, fantazyi dramatycznej i tragedyi. Pomimo wielkich zalet, w jakie obfitują, niepodobna przecie twierdzić, by one odpowiadały warunkom tych rodzajów literackich, do których się zaliczały. Wprawdzie fantazya dramatyczna *Z życia* miała w swoim czasie rozgłos nadzwyczaj wielki i pod względem społecznym wywarła na umysły wpływ potężny; wprawdzie tragedya *Na Ukrainie* wiele mieściła scen rzeczywiście pięknych i nieraz wstrząsających; wprawdzie poemata *(Satyra, Fragment powieści),* odznaczają się werwą nadzwyczajną; wszędzie atoli podmiotowość liryka brała

górę nad przedmiotowością epika i dramaturga, a kompozycya całości chromała wyraźnie.

W *Prażniku* pragnął widocznie Sowiński zachować jak najzupełniejszą przedmiotowość i dlatego, obrawszy temat z życia ludu wiejskiego na Podolu, przymuszał się do utrzymania prostoty wyrażeń i sytuacyj. Przymus ten znać w jego utworze, bo go widać z całego toku opowiadania oraz z tych miejsc, w których nie udało się poecie powstrzymać lotu wyobraźni, np. gdy krupniczek nazywa „dziecięciem miodu i gorzałki, zrodzonem w ogniu“, lub gdy opór dziewcząt względem napastniczych zuchów nazywa „głośnym, ale kruchym“. Naśladowanie „Pana Tadeusza“ widnieje tu w wielu miejscach zarówno w charakterystyce ludzi, jak w porównaniach i w sposobie prowadzenia rozmów. Nie miał zresztą autor najmniejszej pretensyi do tworzenia eposu; pisał tylko sielankę skromnych rozmiarów; szkoda wszakże, iż nie potrafił wybrać sytuacyj bardziej interesujących, niż je znajdujemy w dwu pierwszych częściach utworu; trzecia dopiero i ostatnia (bardzo krótka, bo 5 stronic zawierająca) cokolwiek żywiej zajmuje. Przytoczę tu samo zakończenie, mające niemało piękności w stylu prostym:

Najłagodniejsza, miła, wesolutka, słodka
Gromadka była dziewcząt... Jak owieczek trzodka

Zebrała się u lśniącej, jako łza, krynicy
I wyśpiewuje sobie dumki: o Dziewicy,
Co utonęła, biedna, w modrym gdzieś Dunaju:
O Doli nieszczęśliwej, o Zielonym Gaju,
O Petrze młodym, białolicym, o Kalinie;
O Wietrze bujnym.. Z kwiatów wonią płynie
Ten cudny śpiew daleko... gdzie też to on ginie?...
Do późnej nocy trwała uczta u Hołuba; —
Niejedno dziewczę tam słyszało słowa: „Luba!
Czy będziesz moją?“—a niejeden: „Och, na wieki!“...
Nareszcie biesiadnikom zwarły się powieki
Głębokim snem — i tylko księżyc białolicy
Przesuwał się po niebie nakształt bożej świécy.

Prolog tragedyi jest, jak zapewniają znawcy stosunków na Rusi, a mianowicie Kraszewski, obrazem wiernie z rzeczywistości malowanym. Zapewnienie to chroni bezwątpienia Sowińskiego od zarzutu wymyślania dowolnego scen jaskrawych, okropnych, ale nie może go zabezpieczyć od wytknięcia usterek artystycznych. Przedewszystkiem tedy poeta nie umiał nagiąć swej dykcyi do oddania mowy rozmaitych temperamentów i charakterów; wszystkie jego osoby przemawiają jednostajnym językiem, właściwym samemu poecie, jędrnym, barwnym, pełnym przenośni nowych i trafnych. Tak nigdy nie bywa w rzeczywistości; każdy bowiem człowiek ma swój odrębny sposób wyrażania uczuć i myśli, swój odrębny styl; powieściopisarz i dramaturg zarówno w interesie wiernego oddania rzeczywi-

stości jak w interesie czysto artystycznym wykazania odrębności charakterów za pośrednictwem dykcyi także, muszą pilnie studyować te różnorodne style i stosować je w swych kreacyach. Powtóre, posługiwanie się w dramacie takiemi potęgami natury jak grzmoty, błyskawice i pioruny, wówczas właśnie się ukazujące, kiedy tego autor potrzebuje, może wprawdzie wywołać efekt, ale tylko melodramatyczny. Co do charakterów, to wszystkie prawie są gwałtowne i namiętne, a jakkolwiek zachodzą pomiędzy nimi różnice, nie rysują się one tak dobitnie, jakby tego wyrazistość dramatyczna wymagała. Hrabia August Maliński płonie żarem dla rozwódki księżnej Róży, która jako dawna kochanka zawołanego uwodziciela Łaszcza nie ma, jakby się zdawało, żadnego skrupułu w rozrywaniu ogniw życia rodzinnego i popycha Augusta ku jakiemuś stanowczemu czynowi. Hrabina Malińska, zaniedbywana przez męża, żywi także w swem sercu pewne uczucia dla innego mężczyzny; ale jako matka i kobieta religijna zezwolić na rozwód nie chce; mąż przy uderzeniu piorunu wtrąca ją w rzekę. Myślał, że przez ten postępek stanie się swobodnym, jak tego życzyła sobie księżna; ale doznaje zawodu, bo gdy „z ubiorem i włosami w nieładzie, blady, z obłąkanym wyrazem w twarzy“ staje w nocy „oblany strugą błyskawicy“ w mieszkaniu księżnej, mówiąc, że jest

wolny; ta, zapewne nadzwyczajnością zjawienia zdenerwowana, odpycha go ze wstrętem...

Najlepszą ze wszystkich postacią jest Łaszcz człowiek zdolny, z błyskotliwem wykształceniem, wymowny, lecz zepsuty nawskroś, czyniący swym zachciankom jedynie zadość. Świątynię ducha jego —jak sam powiada—zalegają zgliszcza; lecz nie wszystkie w niej bóstwa runęły... od podwalin do sklepienia dotychczas mocno trzyma się, jak słup z granitu, królewska, niezachwiana duma, dla której wszystko i wszystkich poświęcić gotów. Potężna-to, demoniczna niemal osobistość z powodu uroku, jaki rzuca zarówno na grono mężczyzn, ślepo za nim idących, jak i na kobiety, które się w nim na zabój kochają. Słowa, wypowiedziane w rozmowie z księżną, rozjaśniają nam powody wybujania chwastów na dobrym początkowo gruncie, stanowiąc zarazem charakterystykę chwili, w której sceny się odgrywają:

I cóż mię pchnęło w nędzy tej hulaszczej piekło,
Z pogardą ku samemu sobie, z żądzą wściekłą
Zawrotu, zapomnienia, wśród posępnej nocy
Nadziei mych, z uczuciem gniewu i niemocy?
To czasu wina a nie moja... Takich, jak ja, wielu
Zmarniało, trwoniąc życie pozbawione celu...
Piętnują hańbą mnie, że psuję obyczaje;
Cnotliwi Alcybiadesem zwą... Nie taję,
Że do mnie chętniej niż do innych młódź się garnie: —
Lecz któżby ją zniewolił pracy jąć się — karnie,

Surowo, dzielnie, po rycersku?... gdzie wodzowie?
U kogo myśl ofiarna świta dzisiaj w głowie?
Runęła wiara w przyszłość; pośród zgliszcz ogromu,
Ni rozkazywać, ni ulegać niema komu...

Takie i tym podobne myśli i obrazy, niezawsze zresztą odpowiadające charakterowi osób, w których usta są włożone, stanowią nie tylko główną ozdobę *Prologu tragedyi*, ale nadto nadają mu znaczenie świadectwa dziejowego o stanie umysłów i serc na Rusi w ostatnim dziesiątku pierwszej połowy naszego stulecia.

To były ostatnie błyski talentu wielkiego, ale rozstrojonego w męskiej dobie życia i nie mogącego spełnić tych nadziei, jakie na podstawie początkowych utworów na nim pokładano. Zmarł 23 grudnia 1887 r.

II. Felicyan Faleński.

Od lat 45 Felicyan występuje w dziedzinie poezyi z utworami swoimi. Pierwsze pieśni jego *(Tęsknc chłopię, Dziwne dziewczę)* drukowała „Biblioteka Warszawska“ w r. 1850. Oprócz Ujejskiego nie mamy dzisiaj poety, któryby starszym był od niego wiekiem i datą początkowej działalności.

Już od najpierwszych pieśni zarysowała się dość wydatnie duchowa fizyognomia Felicyana. Była to natura zamknięta w sobie, mało udzielająca się na zewnątrz, mało ekspansywna, wpatrzona we wzory poetyckie, bez względu na szkoły i kierunek, lubująca się zarówno w Hezyodzie i Horacym, jak w Wiktorze Hugo i Mussecie, Goethem i Heinem, w pieśniach trubadurów i w literaturze francuskiej XVII wieku, w Dantem i Kalderonie.

Jest pomiędzy jego wierszami z r. 1851 jeden bardzo znamienny, drukowany również w „Bi-

bliotece Warszawskiej“ p. n. *Sobie śpiewam, nie komu.* Istotnie śpiewał przeważnie dla siebie, mało się oglądając na to, czy te śpiewy podobać się będą czytelnikom, czy osiągną popularność. Stał mu widać ciągle w myśli ów wykrzyknik Horacyusza: *Odi profanum vulgus et arceo...* (Nienawidzę ciemnego pospólstwa i powściągam je). Jeżeli rzecz sama odpowiada usposobieniu, uczuciom, poglądom artysty, to cóż go obchodzi, że zwykły tłum czytelników na niej się nie pozna, i słuchając lub czytając, ziewać będzie. Niech się tłum kształci, niech dorasta umysłem do wyżyn, na które wzniósł się poeta; — obniżać lotu nie warto.

Wobec takiego nastroju hasło „sztuka dla sztuki“ musi stać się przewodnią myślą działania twórczego. Udoskonalać formę i przezwyciężać trudności, jakie nastręcza język, styl, wierszowanie, zawładnąć wszelkiemi tajniami wykonywania dzieł sztuki, opanować narzędzie, którem się artysta posługiwać musi: — oto pierwszorzędne zagadnienia, jakie się zjawiają przed umysłem każdego, kto poczytuje hasło owo za istotnie prawdziwe i słuszne. Zostać wirtuozem słowa, jak są wirtuozowie w muzyce, dla wyśpiewania jak najbieglejszego wszystkich uczuć, wrażeń, wzruszeń, myśli, pożądań, pragnień, ideałów,— oto szczyt ambicyi w zakresie „sztuki czystej“.

I Felicyan tymi szlakami podążył. Dopóki

był młodym, uczucie, jakkolwiek nigdy nie wybuchało namiętnie, nie dawało się przecież przytłumić i wypowiadało się prawdziwie estetycznymi wylewami „*humoru*“ w ślicznej powiastce, pełnej poezyi i rzewności p. t. *Zdaleka* i *zblizka* (1853) jak nie mniej w kilku ładnych lirycznych wierszach, pomieszczonych w pierwszym książkowym zbiorku poezyj Felicyana p. t. *Kwiaty* i *kolce* (Warszawa 1856), chociaż i tutaj widzimy już przewagę nastroju satyrycznego w duchu a czasem i manierze Heinego.

Co szczególniej w tym satyrycznym nastroju uderzało, to pochop przetwarzania i trawestowania mitów i podań greckich. Felicyan kochał niewątpliwie i uwielbiał Helladę z jej sztuką i poezyą, od jej mistrzów wiele w twórczości własnej korzystał, a przecież nieraz z drwiącym uśmiechem — pojęcia, zwyczaje i wiarę jej parodyował, stając na punkcie widzenia nowożytnym, lub tez z analitycznego stanowiska roztrząsając to, co powstało w umysłach naiwnych. Dość przeczytać wiersz *Narcyz*, ładny zresztą i dowcipny, ażeby się o tem przekonać. Jak wiadomo, kwiat narcyz, według podania greckiego, to przemieniony młodzieniec, który w sobie tylko się kochał i sam sobie przypatrywał. Metamorfozę tę bierze Felicyan ze strony satyrycznej:

Ile Nimf było, wszystkie są w rozpaczy,
W łzach mokrych, brudnej żałobie;
Bo Narcyz żadnej kochać z nich nie raczy,
Tylko się kocha sam w sobie.

I jak się począł miłować zajadle,
Tak aż zdarzeniem dość rzadkiem,
Razu jednego spostrzegł się w zwierciadle,
Nie już człowiekiem, lecz kwiatkiem.

Chłopiec ten więcej głupcem był niż głazem;
Ja-bo, w podobnej potrzebie,
Mógłbym się kochać w wszystkich nimfach razem,
A zawsze kochałbym siebie...

Ta skłonność do trawestacyi nie zmniejszyła się z ubiegiem lat, lecz wzmogła i, jak zobaczymy, rozciągnęła się po za Grecyę, objęła wszystkie kraje, nie wyłączając własnego.

Z czasem uczuciowość bezpośrednia, serdeczna, która się w *Kwiatach* i *kolcach* odzywała takiemi np. pieśniami jak *Rozmaryn*, lub jak *Zwycięzca hipodromu* przygasała powoli, ustępując miejsca uczuciowości, przeprowadzonej przez filtr refleksyi, a nawet wprost — refleksyi samej. Nawet taki temat jak *Termopile* nie zdołał rozgrzać i porwać nie powiem duszy, ale słowa i pióra poety. W rozważnej, chłodnej, choć tu i owdzie malowniczej i artystycznie obrobionej, czasami znów niejasnej, zawiłej opowieści o bohaterstwie trzystu Spartan nie ma ani jednego

wyrazu wydobywającego się wprost z serca, nie ma ani jednego zwrotu, któryby naprawdę porwał i zachwycił. Ale jest za to wielka kunsztowność słowa i wiersza. Oto np. kulminacyjny punkt całego poematu: ostateczne starcie się potęgi perskiej o piersi trzystu nieustraszonych:

Cóż męże Grecyi? — Oni coraz wznioślej
Na kupach wrogów pod nieba wyrośli.
Coraz ich mniej jest i niby ubywa,
A jednak w tęgiej razów trzaskawicy,
Wzmaga się odpór, wzbiera moc straszliwa.
Co padnie który, zaraz go nakrywa
Mogiła z wrogów, jak dojrzała niwa,
Gdy ją kupami zżęty snop zaściele.
I zda się, z jednej ubytkiem prawicy,
Wzmagać się w innej moc za prawic wiele.
Coraz ich niby mniej, lecz pozostali
Biją i za tych, co już popadali,
I wraz za siebie. A jako w pożodze,
W której się płomień z wichrem zmówi srodze,
Kiedy ostatnia krokiew z trzaskiem padnie,
Już tylko, niby wbity kędyś na dnie,
Po mdłych płomykach, na zgliszczach pożaru,
Dym się zakurzy rozwłócząc szeroko, —
Tak padł ostatni w równi z wierzchem jaru,
Na stosie trupów, dymiącym posoką.

Rozumiem niechęć poety do tonu patetycznego, nadużytego przez poprzedników; co więcej, przypuszczam, że Felicyan chcąc odtworzyć bohaterstwo Spartan, słynących ze zwięzłości

mowy, nie chciał niejako pamięci ich ubliżać, zbyt obfitemi słowy szafując; ale nawet i z tego punktu widzenia, możnaby przecież wymagać większej dobitności, większej plastyki. Dobre to jest wyrażenie, iż Persowie, znosząc tamę utworzoną przez piersi spartańskie, sami własnemi piersiami wypełnili wąwóz aż po sam wierzch; ale obraz bitwy mógł być niewątpliwie gorętszy, a zakończenie mniej suche od tych słów prozaicznych:

> Niema co więcej rzec. W tem jednem słowie
> Wszystka się chwała greckiej krwi wypowie.

Jeszcze większą suchością i to jakby umyślną odznacza się poemat *Pod Kannami* (1869) późniejszy o lat przeszło dziesięć od *Termopil.* Nie tylko nie wstają tu przed wyobraźnią naszą potężne postacie wodzów, nie tylko nie dochodzi nas zgiełk bitwy; ale nie odczuwamy nawet wrażenia, iż opowiada nam poeta o jednym z najdonioślejszych wypadków w dziejach Rzymu starożytnego. Jakaś kronikarska oschłość, jakaś oziębłość w przedstawieniu starć najgwałtowniejszych, jakaś niewybredność nawet w doborze wyrazów *(kłapać zębami* i t. p.) towarzyszy poecie od początku do końca tego utworu, nie mającego chyba ani jednego ustępu, któryby żywiej do duszy przemówił. Chciał poeta dla odmalowania grozy wojennej użyć „żelaznej mowy“, której

przystały „nawet dzikie zgrzyty, jakie niestrojna stal wygryza w szkliwie“, ale nie liczył się z wrażliwością czytelnika, mającego tych zgrzytów za dużo i tęskniącego za pięknem i harmonią.

W zbiorku „Z ponad mogił“ (1870) przedrukował Felicyan *Termopile i Pod Kannami*, oraz kilka innych pomniejszych pieśni historycznych, w których okazał wielką wirtuozyę w przejmowaniu się nastrojem biblijnym *(Żale Jeffithy)*, religijno-mistycznym *(Jako Julian Zaprzaniec zabit od Pana, Król śmiały, Wiano królewny)*, uroczysto-elegijnym *(Duma o Samuelu Koreckim* — w stylu Niemcewicza), wreszcie żartobliwo-satyrycznym, najmniej udatnym *(Psie pole, Jako król Henricus jeszcze chyżej bieżał precz z Polski, niźli do niej był jachał, Jako król Sobek, przegrawszy doma, wygrał pod Wiedniem)*. Archaizmy językowe i pojęciowe, jakie w tych ostatnich utworach znajdujemy, niezawsze estetycznie oddziaływają na nas, a niektóre, mianowicie te, jakimi poeta kończy swe opowiadanie o *Psiem polu*, muszą przejąć niemiłem uczuciem największego nawet wielbiciela swojszczyzny, jeżeli ma przytem ogólno-ludzkie sympatye. Oczywiście Felicyan, jako człowiek, nie może na seryo wyznawać zdania, iż Niemiec jak czart wcielony jest psu tylko bratem, ale podstawiając się w roli piewcy czasów zamierzch-

łych, poetycznie tylko jego przekonania podzielił, lecz tem swego utworu nie upiększył.

W latach późniejszych do wspomnianych tu śpiewów „Z ponad mogił“ dodał Felicyan jeszcze kilka nowych; a mianowicie trzy parafrazy podań staro-helleńskich: *Skargi Orfeusza*, *Koń drewniany*, *Hekabe;* dalej — dwie — z tekstów biblijnych: *Thamar*, *Z ksiąg przypowieści* (ta druga bardzo zręczna, prześlicznemi tercynami kreślona); następnie dwie — z legend chrześcijańskich: *W drogę do Egiptu*, *Chusta Weroniki;* jednę z tradycyj słowiańskich: *Koń Swantewita* i dwie treści mieszanej: *Fiat lux!* oraz *O winorośli* i *wiązie przypowieść nadobna.* Dla charakterystyki poglądów poety warto zaznaczyć, że w *Koniu Swantewita* przez usta boga wypowiada zdanie, że największym wrogiem Słowian połabskich byli oni sami.

Bezrządu, zwady, lichych wad zamiecie
W was walczą! Więc gdy wy sami
Z woli swej własnej silni być nie chcecie,
Ja, bóg wasz, nie chcę być z wami!

Fiat lux! składa się z trzech ładnych sonetów, połączonych jedną myślą: nieugaszonem pragnieniem światła i dążeniem ku niemu; najpiękniejszym jest pierwszy, opiewający znaczenie posągu Memnona:

Ilekroć usta jego brzask potrąca,
W chwili, gdy w liściach wiatr spoczywa jeszcze,
Wnętrze mu dźwięczne przejmowały dreszcze,
I brzmiał rozgłośnie chwałą wschodu słońca.

Skądże on wryty młodzian granitowy
Gdy mu namaści usta światłość błoga,
Drżał w sobie cały i dostawał mowy?

Bowiem był synem słonecznego boga,
Więc mimo głazu ziębiące okowy,
Święta mu w sercu płynęła pożoga.

Z przeglądu poezyj na tle historycznem lub tradycyjnem osnutych wyciągnąć można ten wniosek, że większe kompozycye nie udawały się Felicyanowi i że celował on tylko w drobnych, refleksyą nabrzmiałych.

Bezpośredniości wrażeń nie znajdujemy i w obrazach natury, jakie Felicyan nakreślił w swoich *Odgłosach z gór* (Warszawa, 1871). Wszystkie poezye, tu zawarte, (a jest ich 28 prócz dedykacyi Lenartowiczowi i zakończenia), powleczone są barwą smętku melancholijnego, będącego wyrazem przebolałych zawodów, spopielałych namiętności, uczuć wygasłych. Ale to nie stanowi jeszcze ich charakterystyki, jak tło nie mówi jeszcze nic o samym obrazie. Jakie stanowisko zajął poeta względem wspaniałych widoków Tatr, które się przed oczyma jego roztaczały? Jakie myśli budziły się w jego duszy, gdy oko biegło

ku skałom granitowym lub zawisało nad dolinami? Na pierwsze pytanie możemy odpowiedzieć, że stanowisko Felicyana względem piękna przyrody przypomina widza artystycznie usposobionego, lecz zachwycającego się na zimno. Stąd wynika i dalsza konsekwencya. Poeta nie wyraża zachwytu swego uczuciami i myślami potężnemi samą swą treścią, ale stara się go uwydatnić we frazesach, których wyrzeźbienie wymagało pokonania wielu trudności językowych i wierszowych, czem zdradzają swoje niebezpośrednie pochodzenie. Świeżość wrażeń zastąpił poeta nadzwyczajną dbałością o wykwintną formę, mianowicie wierszową. Starał się Felicyan o zachowanie rytmiczności, budował strofy, u nas do jego czasów niepraktykowane, np. sestyny, wymyślone podobno przez trubadurów prowansalskich, strofy, w których powtarzają się sześciokrotnie na końcu wiersza następne wyrazy, zmieniając jeno miejsce co do wiersza, gdzie są użyte: *jeszcze, kiedy, słońca, świecie, święto,* (albo *święta), ciszy.* To znowuż używa formy, której nazwy ja przynajmniej nie znam, a w której w pewnych odstępach powtarzają się całe wiersze lub ich części. Tworzy to melodyę oryginalną, którą warto poznać, tem bardziej, że wiersz ten: *Zakończenie* da nam odczuć i melancholijny nastrój poety:

Ścielą się liście pożółkłe z posępnym szelestem...
Wiatr je porywa szyderczy, podrzuca i targa —
Jesień wkoło mnie i wszędzie, gdzie tylko ja jestem,
W piersi mej żal zapóźniony i smutek i skarga.

Wiatr je porywa szyderczy, podrzuca i targa,
W pląs je taneczny porywa szalonym odmętem —
W piersi mej żal zapóźniony i smutek i skarga
Myśli wirują w mej głowie jak w kole zaklętem!

W pląs je taneczny porywa szalonym odmętem,
Potem je *rzuca* o ziemię *i w strony rozmiata —*
Myśli wirują w mej głowie jak w kole zaklętem,
Padają w dół *i pierzchają jak rzesza skrzydlata!*

Rzuca wiatr liście i chwyta *i w strony rozmiata,*
Niby myśliwiec odbite gdzieś stado łabędzi —
Myśli *pierzchają* ode mnie *jak rzesza skrzydlata...*
Myśli o, moje jesienne! i któż was dopędzi?

Jako muzyka słowa są to wiersze przepyszne; powtarzanie tych samych zdań w bardzo małej liczbie kombinacyj działa jak lament jednostajny i nasuwa myśl o melancholii widoków jesiennych; nie brak nawet szczęśliwych zwrotów w oddaniu uczucia; ale każdy widzi, że pieśń ta nie wypłynęła wprost z duszy, że była przedmiotem długiego i mozolnego namysłu i prób, zanim obecny swój kształt przybrała.

Nawet w mniej sztucznych pod względem wierszowym poezyach, zawartych w „Odgłosach z gór“ trudno nam dostrzedz całkowitej pro-

stoty i bezpośredniości wrażeń. Oto jedna z najmniej pod tym względem kunsztownych, a jednak od prawdziwego liryzmu jakże daleka! Ma ona napis: *Z rana:*

Niebo się z ziemią zaręcza
Deszczem spłakaną,
Iskrząca wiąże *ich* tęcza
W majowe rano.
I srebrny pierścień miesiąca
Za złotą obrączkę słońca
Już pomieniano.

I niby róż białych krocie
Chmurki nad niemi w przelocie
Wiankiem zwieszono
I gwiazd przetwarto podwoje;
Więc państwo młodzi oboje
Rumieńcem płoną.

A góry w niemej rozmowie
Niby milczący świadkowie
W swych śniegów bieli
Stoją u dolin kobierca,
Bo nawet z niebios anieli
Czemuby świadczyć nie mieli
Tej zgodzie serca?...

I tutaj więc okazuje się, że Felicyan nie oddając się bezpośrednio wrażeniom, odbieranym od zjawisk i przedmiotów natury, pracuje przedewszystkiem myślą, artystycznie nastrojoną, ażeby utworzyć jakiś obraz niezwykły, ażeby

uczucia swoje w sztuczne i wytworne zakląć kształty, ażeby obmyśleć jakąś oryginalną słów melodyę.

To też najbardziej znamiennemi, najlepiej fizyognomię duchową Felicyana odtwarzającemi poezyami są te, które on ogłosił pod oryginalnie przez siebie w tem znaczeniu dobranymi napisami: *Świstki Sylena* (1876) i *Meandry* (1892).

Świstki Sylena to ironiczne, satyryczne lub humorystyczne przetworzenia (trawestacye) mitów, podań, pomysłów, tematów zbieranych z całego obszaru twórczości ludzkiej, a przedewszystkiem literackiej. Widzieliśmy już próby takich przetworzeń w *Kwiatach i kolcach;* ale na większą skalę znajdujemy je dopiero w późniejszej dobie działalności Felicyana. Wszystkich Świstków Sylena mamy dotychczas 36, a wśród nich znajdujemy najwięcej parodyj ze świata klasycznego *(Danae, Hero* i *Leander, Afrodyte Anadyomene, Lidya Hetajra, Lutnia Orfeusza, Aryadna, Zakładanie Rzymu, Terminus* itd.), kilka ze świata wschodniego *(Królowa Nofreari, Kochanka króla Cefrena, Pogrzeb Ibisa, Złoty cielec, Medznun i Leila* i in.), kilka ze stron najrozmaitszych *(Obol Belizarowy, Grób Alaryka, Romeo i Julia, E pur si muove, Antypody, U wejścia do raju, La ci darem la mano* itp.).

Nie wszystkie te trawestacye są jednakowo zręczne, nie wszystkie jednakowo dowcipne; są

pomiędzy niemi gorsze i lepsze. Do najznakomitszych policzyłbym: *Danae, Hero i Leander, Terminus* — w tonie satyrycznym, *La ci darem la mano* — w tonie prawdziwie humorystycznym, w którym tkliwość i serdeczność łagodnie się łączą z ironią.

Opowiedziawszy zabawnie o owym deszczu złotym, którym Jowisz obsypał ukochaną Danaę, przedstawia poeta troskę Junony o niewiernego męża, która wysyła Irydę (tęczę) do Danay, ażeby jej oddała natychmiast albo złoto albo męża:

Chętnie — odpowie zmoknięte nicpotem, —
Lecz cóż, gdy niema sposobu:
Nie wiem już, który bogiem, który złotem,
Więc muszę zatrzymać obu...

Leander grzmoci pięściami fale, chcąc do czekającej nań Herony dopłynąć; klnie bałwany, klnie delfiny i rekiny; nic to nie pomaga, czuje coraz większe osłabienie; już mu się do „gęby“ nalewa woda słona i gorzka. Hero tymczasem, przystroiwszy się, z niecierpliwością czeka na kochanka; wyjść na dwór nie chce, bo słota i wicher, który może jej przemoczyć świeżą sukienkę; z nudów zaczyna podejrzewać Leandra, że zamiast płynąć do niej co prędzej, gdzieś się zabawia po drodze. Przypatruje się sobie raz jeszcze w zwierciedle i nabywa przekonania, że

jest jej bardzo ładnie z twarzyczką pobladłą i ze wzrokiem mglistym. Zniecierpliwiona, woła wreszcie; Leandrze, gdzieś ty? — i słyszy w odpowiedzi: „Utonąłem!“ Hero wówczas mówi do siebie:

Z włosów mi grzebień wypadł mimowoli...
O, smutne losów koleje!
Ratunku! wody i trzeźwiącej soli!
Jak kto nadejdzie — zemdleję!

Terminus, jak wiadomo, był bożkiem granic w starożytnej Italii, a więc opiekunem i stróżem własności. Poeta opowiada satyrycznie jego przykre przejścia, gdy go wskutek zmieniających się pojęć zaczęto traktować jako zawalidrogę postępu, boć przecie: „wszystko wszystkim się należy, przeto jest własność kradzieżą“. Zresztą nie potrzeba iść aż tak daleko, by z bożkiem italskim nie być w zgodzie, jeżeli jego nazwę weźmiemy w znaczeniu dzisiejszem; z czego powstaje dowcipna słów igraszka:

Słusznie dziś nikt z nas nie dba o Termina —
Czyż my bałwanów czciciele? —

La ci darem la mano — to pełne wdzięku i uczucia, lubo często opiewane dzieje panny, którą opuścił kochanek, a która skłoniona przez rodziców wychodzi za mąż za człowieka boga-

tego, lecz nie kochanego — i po roku umiera. Efekt humorystyczny wywołuje powtórzony przy każdej zmianie w życiu panny — opuszczenie przez kochanka, wyjście za mąż, choroba, śmierć— dwuwiersz przedstawiający obojętność przyrody na te katastrofy serdeczne:

Blady naonczas księżyc tkwił w błękicie
I nucił słowik w gęstwinie...

Meandrami nazwał Felicyan zwroty swej myśli w różne skręty zwiniętej i w różne strony skierowanej, jak rzeka Meander słynna w starożytności z mnóstwa swych zagięć. Są to więc epigramata czyli fraszki, w których poeta składał wyniki swych spostrzeżeń, wrażeń, doświadczeń życiowych i rozmyślań. Ogółem biorąc Meandry te, których mamy dotychczas 234, odznaczają się trafnością pod względem wewnętrznym, a zwięzłością pod względem formy. Przedstawia się tu nam Felicyan jako marzyciel nałogowy, który się nigdy już trzeźwości nie nauczy i bardzo zręcznie opisuje, jakie mu figle płata fantazya, a on się za to na nią nie gniewa, lecz ją do nowych zwrotów pobudza:

Gra wyobraźnia ze mną, niby w karty
Dziewczątko ładne.
To błyskiem oczu, to przez wdzięki zdradne,
To znów trefnymi żarty,
Tak mnie usidla wspólnik ten nic warty,
Że nawet nie wiem, kiedy w płatkę wpadnę.

Wreszcie szachruje — i tą marną pracą
Zgrywa mię, gnębiąc jak drapieżna kania...
Nie mniej jej uśmiech słodki wciąż mię skłania
Nie tylko grać z nią dalej Bóg wie na co,
Lecz jeszcze bawi mię — gdy to ladaco
Zachęcam do oszukiwania.

Niekiedy sarknie Felicyan na krytyków, czasem da jaką przestrogę braciom literatom:

Wiecież, o mili towarzysze!
Nauka dla was w czem ukryta?
Wszyscy piszecie — nikt nie czyta.
Lecz niechby czytał ten, kto pisze,
I mielibyśmy wczas i ciszę
I w kąt-by poszedł sąd z kopyta.

Powierzchowne objawy pozornej samodzielności kobiet drażnią poetę, więc mówi bez ogródki do tych modnych emancypantek, niby w imieniu jednej z nich głos zabierając:

Mam warkocz nosić głupcom ku uciesze?
Nic z tego! Społeczność młoda
Niech wnet nożyczki mi poda!
Komu jest pilno w samodzielne rzesze
Co prędzej wstąpić, ten się niech nie czesze —
Bo na to czasu szkoda.

Po większej części Meandry Felicyana posępne są, niektóre zgrzytliwe, jak ten np. aforyzm: „z niedoszłych nieszczęść jedynie składa się szczęście człowiecze“; — w krańcowy pes-

symizm bynajmniej nie popadają. Jeden z nich odsłania nam wnętrze poety, jego dumania nad sobą samym i losem swoich poezyj. Rozmyślał on razu pewnego, czy też choćby drobna cząstka jego istoty będzie miała życie pośmiertne. Wtem coś nad nim zaszeleściało — i poeta usłyszał „słowo wieszcze, jakiem przemawia duch bez ciała:“

Kto, jak ty...
Odkąd mu błysło dnia świtanie,
Miał ciemną gwiazdę ponad czołem,
Ten przeznaczeniem niewesołem
W swym grobie cały pozostanie...

Jeżeli z tym posępnym poglądem zestawimy śmiałe zapewnienie Horacyusza, powtórzone przez Kochanowskiego i tylu innych pomniejszych: „nie umrę wszystek“, lub wogóle niezachwianą wiarę poetów w nieśmiertelność dzieł swoich: to się okaże skromność Felicyana w całej pełni. Nie potrzeba przecież przypisywać sobie daru proroczego, aby módz twierdzić, że w dziedzinie artyzmu poezye Felicyana nieśmiertelność zachowają niewątpliwie, — i im bardziej smak czysto-literacki wysubtelniać się będzie, tem i one większe rozpowszechnienie znajdować muszą.

Najnowszy zbiór poezyj jego p. n. *Pieśni spóźnione* (1893) w samym już tytule zawiera nie

skargę wcale, ale przedmiotowe głównie zaznaczenie, że są to utwory, które może zapóźno przychodzą dla chwili obecnej, że dla nich stosowniejsza-by była jakaś chwila poprzednia, dawniejsza... Mieszczą się tutaj jakby uzupełnienia zbiorów poezyj, ogłoszonych przez Felicyana przed laty; a więc są śpiewy „Z ponad mogił“, są „Świstki Sylena“, są „Meandry“. Uwzględniliśmy już je w powyższym przeglądzie.

Jest tu wszelako jeden dział jeszcze p. t. „Harmonie jesienne“, dział nie mający swego odpowiednika w poprzednio ogłoszonych książkach, chyba częściowo w „Odgłosach z gór“. Jak z przerywanego liczbowania pomieszczonych w tym dziale utworów wnosić można, stanowią one całość oddzielną, z której obecnie podał Felicyan wyjątki tylko.

Smutek zrezygnowany i spokój, wyrobiony w duszy walką długotrwałą, przeświecają wszędzie z tych wierszy, z których parę prawdziwie pięknymi nazwać możemy, jak mianowicie urywek V-ty, malujący bardzo ładnie krajobraz jesienny i obudzone przezeń uczucia, albo XVII-ty, gdzie poeta rozmyślając o zachodzie słońca, wypowiada te słowa, tęsknej melancholii pełne: „żegnaj mi, *jeszcze jeden przeżyty dniu*, co odlatasz ode mnie!“ — a następnie wyznając, że wszystko w nim zgorzkniało i że duch jego

zrywa się do odlotu, woła w ekstatycznej zadumie:

Nim blasków resztki zmrok pozasłania
I noc się czarna rozgości,
Bądź pozdrowiona na wysokości
Chwało skonania!

Artystyczna strona twórczości Felicyana z każdem nowem dziełem nabierała coraz więcej cech wytworności wyrażenia, w skutek unikania wszelkich frazesów spowszedniałych, w skutek mistrzowskiego władania językiem, nie wolnego jednak od pewnej dziwaczności w tworzeniu form i wyrazów, w skutek wykwintnego rymowania, w którem wszelako zauważyć można dość częste używanie przysłówków wcale nie malowniczych *(niesłychanie, jak najprościej* itp.) dlatego chyba jedynie, ażeby osiągnąć rym nie z jednakowych części mowy. Słowem na każdym kroku poezye Felicyana wykazują wirtuoza, pewnego dotknięcia swej ręki.

W jednym ze swych Meandrów powiedział Felicyan bardzo trafnie:

Gdy chcesz być godnym wejść w świątyni wrota,
To nie miej przed oczyma
Ni karła, ni olbrzyma;
Gdyż zdrowych form prostota,
To owa miara złota,
Którą w swej dłoni geniusz piękna trzyma.

Od tej prostoty form zdrowych Felicyan najwięcej się oddalał w środkowej dobie twórczości swojej; w początkowej i najnowszej zbliżyć się do niej starał: tam uczuciem miarkowanem kierowany, tu — rozwagą.

III. Bogumił Aspis.

Jest to poeta namiętnych wybuchów i uogólnień filozoficznych. Jak większość dzisiejszych twórców, nie wie on prawie, co to bezpośredniość uczuć, gdyż każde wrażenie przeprowadza najprzód przez dziedzinę analitycznego rozumu, zanim je w formie poetycznej wyśpiewa.

Jeszcze na studyach uniwersyteckich w Petersburgu bawiąc, napisał on i wydrukował tamże r. 1859 pod pseudonimem Jakóba Szatana początek poematu, przypominającego nastrojem (nie formą) Byronowskiego Don Juana i Beniowskiego. O ile z dedykacyi wnosić musimy, jakaś uraza osobista, jakieś przykrości doznane od kolegów stały się dla autora pobudką do napisania utworu wymierzonego przeciw objawom podłości. Zraniona dusza, niegdyś marzeń pełna, teraz śmiejąca się z przymusem, dla przypodobania się gminowi, w gwałtownych wylewach goryczy szuka dla siebie jakiegoś uspokojenia:

Głupiec wszak i poeta jedno i to samo:
Chcieć tego, czego niema, czego być nie może,
Świat chcieć zrobić teatrem, ziemię panoramą;
Niebo zasiać aniołmi, syrenami morze;
Drapieżnych leśnych wilków nazywać Faunami;
Tęczę, najprostszy utwór słonecznych promieni,
Nazwać czułą Irydą; deszcz równać ze łzami;
Wiek człowieka do lata równać, do jesieni;
Kazać ludziom się żywić myślami, nie chlebem,
Ludziom, co tak ogromną otchłań noszą w sobie;
Uganiać się za jakiemś wymarzonem niebem;
Przemawiać do umarłych, marzyć na ich grobie;
Noc z dnia robić, dzień z nocy; gwiazdy chcieć zrachować;
Parobkowi, co orze, kazać hymny śpiewać;
Rzeźnikowi nóż rzucić, kucharzom mędrkować;
Komu chłodno, uczuciem swe kości rozgrzewać;
Kobietę, co ma takież jak my ciało z gliny,
Obdarzona tąż gębką, noskiem, oczkiem, czołem,
Równać do pączka róży albo do kaliny
I nazywać niebianką, bożyszczem, aniołem!...
No, powiedzcież mi, proszę, czy tu jest sens jaki?...

Dawniej umiał i lubił płakać; dzisiaj czułość w czkawkę go wprawia, do mdłości skłania; śmieje się i drwi z przyjaźni, miłości, świata i ludzi.

. . . . . Ten świat, co się śmieje,
Co ma korpus ze śpiżu i serce ze stali,
Ten świat nam śmiać się kazał i — my się śmiejemy,
Z śmiechem na ból, cierpienie, na wszystko patrzymy;
My dziś od łzy wspomnienia czkawki dostajemy...

Na tle historyi Greczyna Salvatera, Zofii i Iryny historyi, nie obfitującej zresztą w cie-

kawe perypetye, rozsnuwa Aspis całe równianki rozmyślań po większej części sarkastycznych, w których sława, poezya, miłość i inne sprawy rozumu i serca następują po sobie jak barwne szkiełka kalejdoskopu. Wzruszyć autor nigdzie nie usiłował, starał się być dotkliwym, choć i to rzadko mu się udawało. Oto np. strzały wymierzone do pewnej garstki spółkolegów w uniwersytecie:

Wszechnico! tobie także częśćby się dostała
Z tych słodyczy; bo długi, bardzo długi
Mam ja z tobą rachunek, i nigdy nie pała
Serce kochanka taką miłością gorącą
Ku swojej ulubionej, jaką k'tobie moje.
Kocham twą młodzież mądrą, filozofującą,
Twych wielkich filantropów i te dzieci twoje,
Olbrzymy krasomówstwa. — Są wszak i tu ptaszki
Warte prętów brzozowych — tym ja moje pienie
Rzucam dla strawy teraz, dla pustej igraszki
Młodych *ptasich języków* lub... *psich* (przez skrócenie)...
Que voilà mój świecie! — oddawać ci trzeba,
Jakeś sobie zasługą i czynem zarobił.
Kocham cię, obaj kiedyś pójdziemy do nieba,
Obu nas jeden wieniec wszak męczeństwa zdobił.
Kocham cię, jak jednostka kocha zero swoje,
Co stoi z prawej strony jej wielkiej wielkości;
Jest z nas dziesięć: ja ruszę się z miejsca, gdzie stoję —
Tyś zerem, gdy ja zawsze jednostką w całości...
Que voilà, mój świecie!...

Salvater pozostał fragmentem; dalszych części poematu autor do tej pory nie ogłosił.

Wogóle produkcyjność Aspisa była i jest szczupła. Wiersz mu nie przychodził łatwo, nie płynął potoczyście, wyrabiany był pracowicie. Zdaje się nieraz, jakoby poeta przeklinał tę chwilę, kiedy mu wiersz do samego końca dobiegał, bo on chciałby jeszcze coś powiedzieć, myśl swoją jaśniej wyrazić, uczucia uwydatnić, a tu śpieszyć trzeba i rymu z mozołem poszukiwać. Stąd wynikał nietylko brak potoczystości, ale także pewna sztuczność, powtarzanie tych samych wyrazów (np. *wszak*, który tak często w Salvaterze powraca) i wyrażeń, styl urywany, zdania nawiasowe, forsowne akcentowanie pewnych słów lub frazesów. Dykcya bywała bardzo rozmaita, czasami sucha i prozaiczna, czasami kwiecista, śmiała, jędrna i oryginalna, ale brak jej zazwyczaj plastyki, spokoju, wykończenia.

Nie biorąc w rachubę wierszy pomniejszych, drukowanych głównie w „Tygodniku ilustrowanym“, jak: *Urwana powiastka*, *Do poezyi*, dopiero po latach dziesięciu od czasu ogłoszenia Salvatera, Aspis wystąpił z nowym poematem p. n. *Sen Odrodzenia* (Warszawa 1869). Rozwiązanie zawiłości życia wskazywał tu poeta w sztuce, każąc czcić zarówno: miłość i wiedzę. Duch jego, nie znalazłszy zadowolenia w poszukiwaniach naukowych, torem Fausta zwrócił się do potęg piekielnych:

To też wracając z niewoli sułtana
Jeniec, tak lubej w objęcia nie chwyta,
Ani się czulej z własnym bratem wita,
Jak jam u wrót tych przywitał szatana!

Szatan wszelako wyśmiał go, powiadając, że ani jego cierpienia, ani pycha, ani pogarda ludzi nie dają mu prawa do równania się z władcami podziemia. Poeta stał osłupiały w milczeniu, gdy się przed nim zjawiła postać niebiańska-Sztuka i wzkazała mu źródło prawdziwego poznania w sercu, które jest „zorzą, gromem, wszechmocą, źródłem i skarbem życia“, i poddała krytyce jednostronność uczonych, którzy serce lekceważą:

Wasi uczeni, oparci na księgi,
W sam postęp wiedzy z zapatrzonem okiem,
Myśląc, że prawdę zgłuszą słów potokiem,
Spychają serce z tronu tej potęgi;
Mówiąc, że wiedzę sam rozum stanowi,
Że serce zawsze jedno i toż samo
Jest jej w postępie tylko jeszcze tamą...

Sztuka jednak nie jest nieprzyjaciółką prawdziwej wiedzy i zachęca poetę do złączenia nauki z miłością:

Serce — to ogień, to znicz, co w snach wiary
Tych, co już dawno dziś śpią po cmentarzach,
Miał się przez wieki na ludzkich ołtarzach
Palić, by ziemi rozgrzewać obszary.

To święty płomień z niebieskich przedsieni
Tchem *ducha*, drzewem wiedzy podsycany,
Któremu ciasne... tego świata ściany,
Gdy go Bóg w pożar miłości zamiemi!
Sztukę — mnie biorąc za piastunkę sobie
Miłością, którą daje tylko ona,
Przygarnij razem świat cały w ramiona,
Miłość i wiedzę równo uczcij obie.

Duch poety darmo szuka wśród ludzi brata dla siebie — i tu się przypominają mimowoli sarkazmy *Salvatera.*

Ba! ja wam powiem jeszcze z pod kamieni,
Żeście wy sami nie wszyscy zrodzeni
Ludźmi... choć ciało bliźnięctwem was mami.

Mimo to, pomny na przestrogi Sztuki, kocha swych spółbliźnich, choć ciałem tylko są do niego podobni. Zjawiły mu się prócz tego inne „blaski prawdy“, ale o nich mówić nie chce, boby go ludzie „ukrzyżowali“. Tylko powiada, że piekła niema:

Bo Bóg sam tylko rząd nad światem trzyma
I co jest tutaj, on chce sam, by było...

Po tym poemacie, który w stosunku do Salvatera przedstawia pod względem psychologicznym i etycznym postęp o tyle, że zamiast nienawiści i drwin, zamiast sarkazmu i cynizmu, wprowadza zasadę miłości i harmonii, nastąpiły w r. 1871 dwa „momenty dramatyczne“: *Zazdrość*

i *Miłość* (drukowane w „Tygodniku Mód“), które w zamiarze autora miały być poetycznem uzmysłowieniem idei dwu tych namiętności. Ażeby zewnętrznie uzasadnić wybuchowość uczuć, poeta przeniósł scenę do Włoch, ale bynajmniej o szczegółowe utrzymanie kolorytu miejscowego się nie starał.

Weźmy pod uwagę najprzód *Zazdrość*. Belcolora della Sylvia kochała Brunona i miała liczne dowody jego miłości. Jeden z nich — paczka listów — dostaje się w posiadanie jej towarzyszki czy garderobiany, Bianki, która kochając Brunona również, zmusza dumną księżniczkę, pokazaniem tego dowodu, do upokorzenia się, do prośby. Stanowi to jednę tylko scenę, w której autor bardzo starannie określa poszczególne ruchy Bianki, każąc jej to się przysuwać, to odsuwać. Gorączkowość ruchów i słów im towarzyszących jest głównem znamieniem tej sceny, nie odznaczającej się ani ustopniowaniem wylewu uczucia, ani jego subtelnem cieniowaniem. Retoryczna amplifikacya, o tonie mniej więcej jednostajnym, wypełnia ją w całości. Oto próbka (przemawia Bianka):

. . . . . Ta para
Róż — to jego rumieńce — rumieńce, gdy szaty
Dotyka się twej, pani! gdy w objęciu ręki
Twej spocznie; gdy... Te czarne dwie — to oczy... jego
Oczy duże, jakiemi pożera twe wdzięki,

Patrzy na piękność twoją, pani!... Z liścia tego
Tulipanu·by można wyobrazić czoło
Białe, pogodne sobie, skryte pod kędziory
Niby tych oto włosków, co brzęczą wokoło
Naprzykład... tego kwiatka! — imię Belcolory
Marszczy je lub rozjaśnia! Z układu tych rąbków
Koralowych... tak! — usta namiętne, lubieżne,
Świeże, któremi... Z centków tych — dwa rzędy ząbków,
Ząbków ślicznych, foremnych, białych!... A te śnieżne
Kwiatki niechajby były już wyobrażeniem
Czegoby tu? — czystości jego!... W tym znów kwiecie
Możnaby widzieć smutek! — smutku tego tchnieniem
Żyć! — nieprawdaż?

Jak na charakterystykę zazdrości za dużo tu zastanowienia, za dużo retorycznego dobierania porównań, a nawet namyślania się świadomego nad doborem wyrazów.

I w *Miłości* występuje Belcolora, lecz inna, córka bogatego mieszczanina, którą kocha rozbójnik Carlo. Scena uwydatnia tę chwilę, kiedy Carlo przychodzi po raz ostatni ujrzeć twarz kochanki przed godziną dwunastą, o której ma zamordować jej ojca. Kochanka pyta się, dlaczego taki smutny, milczący. Carlo zamiast odpowiedzi, pyta o godzinę; Belcolora żali się na obojętność, na co on wybucha jakimś tłumionym wyrzutem:

Te chwile — — o, nie pytaj o nie, moja droga,
Nie pytaj! Carlo do nich nigdy się nie przyzna;
Myśl o nich już mu śmiercią — one mu od Boga
Są skaraniem — wspomnienie o nich — to trucizna!

Następnie zrywa się, chce odejść, a gdy Belcolora wybaduje o przyczynę niezrozumiałych dla siebie i słów i giestów, zmienia ton na miłosne gruchanie:

Nic mi nie jest, jam kłamał... Lekko mi i błogo
Przy tobie! Z oczu twoich, jakby z gwiazd, prawdziwa
Błyska światłość na duszę moją i... nie mogą
Żadne raje dorównać mej rozkoszy!
Jabym się zaprzeć Boga samego odważył
U nóg twoich i tobie powiedziałbym jednej,
Jednej na całym świecie, żeś mi dała życie
I... duszę.

Znaglony natarczywemi pytaniami kochanki, oświadcza, że ojciec jej ma być zabity, ale nie chce powiedzieć za co:

. . . . . O, droga moja,
Daj usta twoje! daj je, moja Belcoloro!
Patrz na mnie! Patrz mi w oczy i nie pytaj więcej
O nic mnie... bo i prośby skutku nie odbiorą.

Nakoniec decyduje się z nią uciekać, nie spełniwszy postanowionego morderstwa; siadają w łódkę, za niemi słychać strzał pistoletowy.

Myśl zasadnicza — że miłość wszystko przełamie — nie nowa, lecz zawsze interesująca. Bolesne kolizye wysoko natężonych uczuć: obowiązku, obawy i miłości, skreślone zostały bez szczególnego artyzmu, barwami i słowami dobrze w poezyi znanemi.

W obu tych utworach indywidualność poety silnie i, można powiedzieć, wyłącznie się maluje: te same wszędzie wyrażenia, ten sam styl urywany, jakby wysilony. Porwać, zachwycić, przejąć do głębi nie zdołają.

O wiele piękniejsze, bo naturalniejsze, lubo żaru zmysłowego pełne, są pieśni erotyczne Aspisa, wchodzące w skład poematu p. n. *Sulamita* (Warszawa, 1874), który autor nazwał tragedyą liryczną. W gruncie rzeczy dramatycznego charakteru niema tu zgoła; są natomiast ładne liryki z motywów „Pieśni nad pieśniami“ wysnute a wyrażające przejścia od upojenia miłosnego aż do utraty kochanka. Skala uczuć tu wyśpiewanych nie jest rozległa, lecz prawda i siła wyrazu nieraz występuje z całą barwnością kolorytu wschodniego. Gdyby nie usterki rytmu, pozbawiające czasami pieśni te melodyjności, byłby to zapewne najlepszy utwór Aspisa w kierunku erotycznym.

Późniejsze poezye mają przeważnie charakter opisowy lub filozoficzny: *Na cmentarzu* (1876), *Jezioro Tella, Dwie zdrady, Boskie oko* (1877), *W Walhalli* (1880 w „Ateneum“), *Niebieska sonata* (1881 w „Niwie“), *Na cześć Kalderona* (t. r. tamże), *Pytanie* (1791 w „Ateneum“). Jest w nich nieraz opis prawdziwie piękny, jest i myśl głębsza, oryginalnie wyrażona.

W *Boskiem Oku* kilkoma obrazkami w formie

sonetów, z życia zewnętrznego lub wewnętrznego wziętymi, udowadnia albo wpływ Opatrzności na losy ludzi, albo samo istnienie Stwórcy wszech rzeczy. Między innymi przedstawia także myśliciela, pogrążonego w wątpliwościach:

„Gdzieś ty, Boże? tak długo szukam Cię daremnie!
Przejrzałem ludzkie serca i wiedzy otchłanie,
A nigdzie niema Ciebie! nie widzę Cię, Panie!
Noc dokoła, mrok wszędzie! nade mną i we mnie!

„Czasem duch jakiś dobry szepnie mi tajemnie:
Klęknij! módl się! — toż klękam... i tak, na kolanie,
Czekając na mej dawnej Wiary zmartwychwstanie,
Proszę Cię, byś rozjaśnił mojej duszy ciemnie...

„Napróżno! — Ot, dziś wspiąłem się już na te góry
I patrzę z nich w dal światów... W chmurze gwiazd [tam może
Tyś się ukrył, toż zaraz ja dostrzegę Ciebie...

Lecz niema cię!“ — W tej chwili strzelił blask z za [chmury,
Sceptyk spojrzał... Jutrzenka igrała po niebie...
Patrzał — — wreszcie zawołał: „Jesteś, jesteś, Boże!“

Nie tak łatwo daje się przekonać o istnieniu i rządach Opatrzności na ziemi w innym utworze, w *Niebieskiej sonacie*. Poeta unosi się coraz wyżej w sfery niebiańskie; za każdym wzlotem dochodzi uszu jego strofa chórów anielskich, wielbiących Boga:

. . . . . Tyś jest wieczna siła!
Ty wiesz jedyny: czem jest wieczne życie?
Ty dobry jesteś! bo stojąc na szczycie,
Chcesz, by też w końcu każda z nas tam była.

Do tych śpiewów dołącza poeta swój, ale on z płaczu i jęku złożony; tętni w nim bolesna niepewność, czem jest nasza nieśmiertelność, czem nasza siła, czem miłość, nadzieja, czem rozum. Chór archanielski nie przestaje sławić dobroci bożej. Poeta mówi:

Zastyga ziemia i zastyga słońce!
Snać na nich chłodu więcej niż miłości,
Na jedno dobro tysiąc zimnych złości!
I gwiazdy marzną — choć niby gorące.

Chór archanielski nie milknie. Wkoło poety to mroki nagle się rozpościerają, to światło oślepiające płynie strugami. Wznosi się wyżej jeszcze, mniemając, że dostanie się na ów szczyt, z którego wszystko obejmie i wszystko zrozumie... Wtem czuje, jak mu lira jego z rąk się wymyka. Poeta tonie w smutku:

Ratujcie! — Znowu mam spaść do otchłani?
— — Ziemia?!! — przeklęty cień z twarzą Satyra?!!

Chociaż przeciwieństwo marzeń idealnych, w których zdaje nam się, że wszystko osięgnąć, wszystko pojąć zdołamy, z rzeczywistością, która nas przekonywa ciągle, jak dalekim jest od nas

nie tylko osiągnienie, ale nawet zrozumienie tajemnic najwyższych, nie należy do tematów świeżych; to przecież forma, jaką Aspis w *Niebieskiej sonacie* obrał dla wyrażenia tego przeciwieństwa, piękną i prawdziwie poetyczną nazwaną być musi, a wiersz policzyć należy do najudatniejszych w kierunku filozoficznym, jakie poeta ten napisał.

Poemacik: *W Walhalli* odznacza się rzadkimi u Aspisa przymiotami spokoju i równowagi w opisach i zachwytach. Pięknie odtwarza wrażenie, jakiego się doznaje przy wejściu do przybytku, poświęconego uczczeniu sławnych mężów:

O, blasku boski! o niebieska woni!
O szmerze słodki, coś mi głasnął uszy
I strugą dźwięków nieznanych dla duszy,
W duszę mi spłynął po nieznanej toni!

Szalona burzo, coś ciszę mych myśli
Skłóciła nagle bezładem zachwytu,
Żem, zlęknion, stanął jak posąg z granitu!
Któż — kto moc wszystkich tych czarów określi?...

Wysoka hala, z jasnemi ścianami
O lśniącem, z drogich marmurów podnożu,
Dachu falistym... jak woda na morzu —
Błysnęła nagle przed memi oczami.

Niewinny lazur i czerwień płonąca
I dumna białość i zieleń łagodna
I wszystkie światła... jakich boskość godna,
Drżały na ścianach, śród przemian tysiąca.

Dumni bogowie o słonecznych licach,
W przejrzyste szaty z mgły białej ubrani,
Oczyma duszy jedynie widziani,
Migali przed nią w cichych błyskawicach.

W *Pytaniu* odmalowany został los biednego poety, trapionego codziennymi, drobiazgowymi kłopotami, a odmalowany z bolesną co prawda rezygnacyą, wynikającą z porównania tego losu z losem biedniejszego jeszcze człowieka, szewca; lecz bądźcobądź bez deklamacyi i miotania się; w końcu stawia poeta przyszłym Millom „dla wprawy w rozwiązywaniu zagadek“ pytanie:

. . . . . Co trzeba
Zrobić (jest na to pewnie sposób łatwy?)
By, śród próśb ludzkich powszechnych do nieba
O szczęście, mógł je mieć równo mistrz łzawy
Rymów, za rym swój, jak za but — mistrz dratwy?...

Nie gorszmy się tem zestawieniem — choćby z tego względu, że i synowie pieśni, tworzący „niebieską sonatę“, jeść przecie muszą, jak inni ludzie, ażeby żyć mogli...

IV. Adam Asnyk.

W „Dzienniku literackim“ lwowskim z 18 listopada 1864 r. pojawiły się bezimiennie dwa utwory poetyckie, podpisane znakiem wyciągania pierwiastka kwadratoweg ($\sqrt{\ }$). Jeden miał tytuł: *Podróżni*, drugi zaś: *W zatoce Baja*. Czy wówczas zwrócił kto na nie baczniejszą uwagę, nie wiem. Czasopisma pomieszczały wtedy bardzo wiele poezyj najrozmaitszej wartości i piór najróżnorodniejszych, tak że nic-by dziwnego nie było, gdyby utwory owe zginęły w tłumie wierszy i wierszydeł. Nie uwydatniał ich bowiem ani ton namiętny i donośny, ani też pomysł niepowszedni; odznaczyły się one tylko tęskną zadumą i wykończeniem artystycznem. Istotnie jeżeli pominiemy w pierwszym utworze jeden rym mniej udatny *(żałobą — grobom)* i jedno niepoprawne pod względem językowym wyrażenie *(za* nowem *czekając* świtaniem); to zre-

sztą znajdziemy tu tak doskonałą budowę zwrotek sześciowierszowych, taką dźwięczność i swobodę wiersza, taką świeżość i oryginalność zwrotów, że już z nich domyślać się było można mistrza formy, który widocznie próby przygotowawcze pozostawił w swej szufladzie, a do druku przesyłał już rzeczy wytwornie obrobione.

Snać myślała tak redakcya „Dziennika literackiego“, gdyż nowemu spółpracownikowi swemu coraz częściej udzielała miejsca i to dla utworów większego rozmiaru, jak: „*Julian Apostata*“, „*Asceta*“, „*Aszera*“, „*Odłamowi Psychy Praksytelesa*“, „*Sen grobów*“, które wciąż wspomnianym już znakiem były podpisywane. Nastąpiła potem półtoraroczna przerwa; tak że dopiero pod koniec roku 1867 zaczął „Dziennik“ nanowo pomieszczać utwory znanego już sobie poety, który tym razem dla ogółu czytelników przedstawiał się już to jako litera *y*, już to jako zgłoska *El*, a wreszcie z połączenia tych dwu oznaczeń powstał pseudonim *El...y*, którego odtąd miał ów poeta używać stale, ogłaszając swoje liryki i dramata, gdy drugim pseudonimem: *Jan Stożek* posługiwał się drukując szkice powieściowe lub komedye. Ostatecznie stało się wiadomem nie tylko dla wtajemniczonych, ale i dla ogółu, że dr. Adam Asnyk, który miał w r. 1872 odczyt o Trubadurach, jest autorem ukrywającym się pod owymi dwoma pseudonimami.

Dotychczas starano się określić rodzaj talentu Asnyka w ogólności, lub też wydobywano z jego poezyj poglądy na przyrodę; ja chciałbym spróbować metody genetycznej i wskazać, jaki jest jego nastrój zasadniczy i jakie w kolei czasów w ciągu trzydziestoletniej działalności jego zachodziły w nastroju tym zmiany. Wszystkich czytelników uderza wielka rozmaitość usposobienia, wielka różnorodność uczuć opiewanych przez Asnyka; otóż spróbujmy poszukać, czy się nie odnajdzie jakiegoś gruntu wspólnego, na którym owe usposobienia wyrosły a owe uczucia rozwinęły się.

I.

Gdy Asnyk pierwsze poezye swoje drukować zaczął, nie był już młodzieniaszkiem, podobnym większej części poetów, co z nim razem albo nawet wcześniej od niego na widownię wystąpili. Przeszedł on już naówczas nie tylko zwykłą szkołę nauki, ale także twardą i bolesną szkołę życia.

W naukach zgodnie z kierunkiem wychowawczym, jaki w dobie jego kształcenia się (1850—1860) panował w Królestwie, zdobywał wiedzę realną, przyrodniczo-matematyczną, poczem wstąpił do świeżo otwartej w Warszawie Akademii medyko-chirurgicznej, a następnie na

wydział lekarski w uniwersytecie wrocławskim. Rodzaj zatem nauk nie mógł się przyczyniać do rozdmuchiwania uczucia, do wzmagania polotu wyobraźni, budził raczej myśl badawczą, nakłaniał do zastanowienia, do refleksyi.

W szkole życia natrafił na tak powikłane a tak doniosłe sytuacye, że myśl jego zająć się musiała zagadnieniami nie osobistemi, lecz ogólnemi, że uczucie jednostkowe musiało zamilknąć, by zostawić miejsce dla miłości bezbrzeżnej, wyłącznej, jedynej, zdolnej do poświęceń i ofiar, by sprowadzić dolę szczęśliwszą dla jak największej liczby ludzi. Marzenia o możności zamienienia ideału w rzeczywistość wypełniały serce młodego pokolenia, jak to później pięknie wypowiedział Asnyk:

O! wtedy jeszcze nurtem tajnych koryt
Płynęły na świat idealne mary
I nadawały cudowny koloryt
Tkanej przez losy przędzy życia szaréj,
A na niebiosach jaśniał blask nadziemski,
Niby wschodzącej znów gwiazdy betlemskiéj.

Poezya romantyczna, mesyaniczne sny i proroctwa wieszczów rozpalały dusze i nadawały niejako sankcyę marzeniom serc młodych. Nieubłagana atoli rzeczywistość rozrywała co chwila tę złocistą siatkę rojeń. Zawody na każdym kroku rozbijały w puch te wymarzone budowle,

które w upojeniu uczuciowem wznosiła fantazya.

Zawodu takiego doznał i Asnyk. Przyuczony już do refleksyi, nie wybuchnął on odrazu namiętnym okrzykiem przekleństwa czy rozpaczy, jak to zrobiło wielu innych, lecz się zastanawiać zaczął nad położeniem wytworzonem przez zawód. Uczucie jego nie miało tej cechy bezpośredniości, jaką się odznaczają usposobienia namiętne i gwałtowne, lecz przechodziło przez filtr rozwagi i załamawszy się w pryzmacie fantazyi w barwy tęczowe, w tym dopiero kształcie wypowiadało się w słowach.

Przerwawszy studya uniwersyteckie, przejechał Niemcy i Szwajcaryę i zatrzymał się na dłuższy pobyt we Włoszech południowych, gdzie jesień roku 1864 i zimę następnego przepędził, bawiąc głównie w Neapolu i stamtąd robiąc bliższe i dalsze wycieczki. Tu właśnie powstały najpierwsze znane nam jego poezye, w których się odbił stan jego duszy. Prawdopodobnie miał tutaj towarzystwo, gdyż w pierwszym swym drukowanym wierszu: „Podróżni“ mówi o „rzeszach sennych i cierpiących“, z któremi razem ciągnął przez włoskie wille, by „trochę niebios zaczerpnąć i morza“, szukając w gajach oliwnych noclegu. W usposobieniu był smutnem i przygnębionem, czuł się rozbitkiem, grubą odzianym żałobą. który nie wie, gdzie mu zatrzymać się

przyjdzie, w jakim zakącie świata znajdzie schronienie. Ból swój atoli wyraża łagodnie, zwracając się myślą w „mgły przeszłości“, wzdycha i zrywa gałązki cyprysów i „róże cmentarne“, jako symbole cierpienia. Na teraz wpatrywanie się w błękit niebios i w błękit morza nasuwa mu myśl, że tonie w „nieskończoność“, ale nie znaczy to jeszcze pragnienia śmierci, tylko pragnienie spokoju, dopóki nowa nie zaświta zorza.

Uczucie smutku i żalu wzmaga się nieco w wierszu następnym p. t. „*W zatoce Baja*“. I tu przemawia poeta w liczbie mnogiej, i tu widocznie ma na myśli owe „rzesze senne i cierpiące“, o których dopiero co słyszeliśmy. Znajduje się poeta wraz ze swem otoczeniem na morzu w miejscowości głośnej w dziejach rzymskich, nazwanej tu „starym cmentarzem“, dla którego odpowiednimi gośćmi są ci podróżni „z własnego pogrzebu“ wracający, „odźwierni grobowców, nad którymi już przeszłość zapadła“, Niobidzi, przerażający „kamiennej boleści wymową“. Wywoławszy cienie kapłanów Serapisa, Sybilli kumejskiej, Dyany-Hekaty, zgodnie ze wspomnieniami, jakie miejscowość wywoływała, i wypowiedziawszy boleść swoją i towarzyszy, prosi w końcu Hekaty (księżyca), by ostatnimi promieniami poświeciła im „na drogę podziemną“, dokąd się udają z nadzieją, ujrzenia po tamtej stronie Acheronu (rzeki piekielnej)

błądzących cieni spółbraci. I tutaj niewątpliwie nie ma na myśli poeta połączenia się z temi cieniami przez zgon, a jeśli pragnie przebyć Acheron, to w sposób idealny tylko, by się swobodnie, bez namiętności ziemskich rozpatrzyć w losach owych cieni. Myśl ta powróci jeszcze później poecie i stanie się zasadniczym motywem do większego poematu.

Z kolei pojawiła się w druku „*Odpowiedź*“, napisana w Neapolu w październiku 1864 r. Do kogo jest wystosowana? Jakie objawy życia rzeczywistego dały jej początek? Czy była ona wynikiem dyskusyj, prowadzonych przez poetę z towarzyszami podróży, czy też odnosiła się do jakiegoś faktu znanego ogółowi? Na te pytania niepodobna obecnie odpowiedzieć dokładnie i stanowczo, gdyż szczegóły życia Asnyka nie są nam znane tak, ażeby mogły zaspokoić badawczą ciekawość, dotyczącą jego twórczości. W samym utworze należy szukać objaśnienia. Jest on wymierzony przeciwko oportunizmowi, w jakiejkolwiek tenże przejawia się postaci, ale nadewszystko przeciwko poetom, którzy potrafią swe pieśni do wszelkich nagiąć okoliczności, którzy umieją:

Księżycowe nikłe tęcze,
Rozwieszone mgły pajęcze
Na leciuchne tkać przędziwa,
Chore serca do snu tulić;

Bladych dziewic wiotkie żale
Stroić w świeżej krwi korale
I Filonów dniowe troski
W harmonijne przelać zgłoski,
Jak w motyli rój skrzydlaty;
Nogą oprzeć się na grobie
I uwielbić ludzkość w sobie
I uwielbić się w ludzkości
I każdemu, co dziś żywy,
Oddać pokłon sprawiedliwy,
A spróchniałe uczcić kości.

Poeta z gryzącą ironią odzywa się o tem ich usposobieniu, którem ziemię mają „rozserdecznić“ i każe „roztkliwionym“ pójść w ich ślady, by „w harmonijnym westchnień szmerze z aniołami wejść w przymierze i zwiastować przebaczenie“. Temu elizejskiemu ubłogosławieniu, w którem wygodna drzemka dla ducha była zapewniona, w którem mdła i mdląca potrawka z rozdrobnionych na atomy uczuć miała stać się karmią dla serc, przeciwstawia poeta robotę „ciemnej piekieł kuźni“, która, wtórząc znanemu z biblii głosowi Ezechiela, powołującego kości spróchniałe do życia nowego, a „urągając się niebiosom“, wzywa umarłych z grobów, każe im wyrzucić z siebie „starą zgniłą krew“, zwalić „gliniane bogi“, podnieść „w niebo wściekłą pięść“, „rozpalać gniewu burze“, nie zaś „dziękczynne hymny głosić“, „oszczekać sąd“ nad zgasłymi i nie dać duchom spokoju.

Za którym-że z tych dwu nastrojów jest sam poeta? Pomimo kilku wyrażeń, których używamy zazwyczaj dla napiętnowania ujemnych lub niemiłych nam objawów, pomimo rodowodu całej wyprawy „z ciemnej piekieł kuźni“, chyba trudno się pomylić w oznaczeniu stanowiska, jakie zają. Asnyk wobec tych dwu wprost sobie przeciwnych poglądów. Co prawda, nie możemy sposobu, w jaki został wyrażony ten drugi, nazwać jasnym i pociągającym; nie wiemy mianowicie, po co owa „zgraja krwią zbryzgana“, nie czcząca żadnej świętości, ma „w niebo wściekłą pięść podnosić“, i nad jakiemi kośćmi z grobu wywleczonemi ma „sąd oszczekać“; — ale to nie ulega wątpliwości, że Asnyk nie chciał się liczyć do błyszczącej plejady wieszczów, co mieli ziemię „rozserdecznić“. Widoczną też jest rzeczą, że się nie zapisywał do grona „wierzących“ w zwykłem religijnem słowa tego znaczeniu, że z „niebem“ zwłaszcza takiem, jakie owi wieszczowie elizejscy malowali, zostawał w rozterce i wściekłą pięść ku niemu podnosił.

Dlaczego? Nie na podstawie jakichkolwiek filozoficznych, ściśle intelektualnych wywodów, lecz na tej samej podstawie etyczno-społecznej, która Konradowi do podjęcia walki z Bogiem posłużyła. Widzimy to wyraźnie z pięknych wierszy p. t. „*Julian Apostata*“ i „*Asceta*“ (napisanych w grudniu 1864 r.).

Przedstawiwszy marzenia Juliana o przywróceniu ku czci bożyszcz greckich „tchnących wdziękami młodości“, o odtworzeniu „promiennej przeszłości“, marzenia udaremnione strzałą perską, co go życia pozbawiła, dodaje do słów jego ostatnich: Galilejczyku! zwyciężyłeś! dopełnienie, w którem zwycięstwo to krzyża ważnem jedynie chwilowo mianuje, pytając:

Czy w imię tego czarnego krzyża
Świat się nie spławi krwi strugą
I wiara, co dziś niebo przybliża,
Ciemności nie będzie sługą —

i wieszcząc, że kiedyś —

O! przyjdzie chwila w której o tobie
Gromady zwątpią cierpiące,
Gdy ujrzą na swych nadziei grobie,
Jak ja dziś, niebo milczące...

W „Ascecie“ przepysznie maluje to zatonięcie w ekstazie religijnej, właściwe duszom gorącym i namiętnym, które szukają ukojenia w modlitwie i wizyach mistycznych.

W Tobie, o Panie, zamknąłem życie;
Ku Tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkiemi
I wciąż katuję wzgardzone ciało,
Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą,
A zostać obcym tej ziemi.
. . . . . .

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
Na duszy mojej smutne zwierciadło,
By się tam zawrzeć jak w grobie...
. . . . . .
Czasami tylko bólem targany,
Duch mój porzuca cielska łachmany,
W nowe przedzierzga się życie;
I do Twych niebios biegnie promienny,
W apoteozie rozlać się sennéj,
A ja umieram w zachwycie...

Atoli z tych krain ekstatycznych ściąga ascetę jakaś ziemska słabość lub ziemskie wspomnienie. Raz będzie to przewaga ciała nad duszą, to myśl o utraconej kochance. to wreszcie widok klęsk, jakie ponosi sprawiedliwy na ziemi, gdy zły i przewrotny nad nim tryumfuje: — podobnie jak Dawid w psalmach —

Bezpłodne męki dostał w udziale,
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale,
I dziś go czeka zagłada!
Takąż robotnik Twój bierze płacę?
. . . . . .
Gdzie jesteś, Panie? z oczów Cię tracę,
I niebo Twoje przepada!

Chociaż *Aszera*, bezpośrednio po „Ascecie“ napisana, przedstawia jaskrawe z nim przeciwieństwo, bo w całej świetności urok życia zmysłowego maluje, ostatecznie jednak zasadniczą swą myślą łączy się ściśle z całym szeregiem

utworów poprzednich. Aszera, jak wiadomo, była to hebrajska nazwa babilońsko-asyryjskiej Istary, bogini płodności. Poeta nasz wystawia jej narzekania na wyziębienie namiętności w świecie dzisiejszym, w którym zimne tłumy „zmysłową żądzę jasną, zapaloną w ust purpurze“ topią „w melancholii chmurze“ lub przelewają w „szum westchnień“, tak że „smutnie dymią ciał ogniska, a nie dają ciepła już“. „Smutna jesień“ namiętności traci „życiodajne ognie“, a w „opóźnionych pulsach świata erotyczna boska władza ledwie ciągnie dalszy byt“. Więc bogini powołuje lud do czci swojej, pragnie rzucić nań „błysk zmysłowy“, by „dzisiejszą łez opiłość w wulkaniczną zmienić miłość“ i wydać znów na świat silne pokolenie mężów, którzy nie płaczem, ale czynem zasłyną.

Obok tego przeciwstawienia potęgi miłości zmysłowej zdenerwowaniu świata dzisiejszego, Asnyk rozpatrując się w arcydziełach sztuki greckiej, zgromadzonych we Włoszech, przeciwstawił także namiętnym targaniom się doby obecnej wiecznotrwały spokój artyzmu, nie dlatego wszelako, iżby w kontemplacyi jego zatonąć, lecz ażeby wnieść do chmurnych i burzliwych dusz choć promyczek pogody. W poemaciku: *Odłamowi Psychy Praksytelesa*, napisanym 7 grudnia 1864 r. prześliczną a oryginalną zwrotką siedmiowierszową, taką właśnie myśl przepro-

wadzić się starał. Widząc w „Psysze“ odbicie „tej duszy świata, co senna przez wieki, dziewiczych natchnień odblaskom się dziwi, przed żywszem światłem zamyka powieki, zanim ją zbudzi kochanek daleki“ — maluje z uwielbieniem uidealizowany obraz cywilizacyi greckiej, „gdzie życie zlało w poematu całość: szlachetny kontur z ciepłem namiętności, a siła miękką podnosząc omdlałość, rozkosznych wygięć uwieczniła trwałość“. Temu „nadziemską pogodą“ jaśniejącemu obrazowi przeciwstawia niespokojny, tłumny, wrzawliwy a bolesny pochód późniejszej ludzkości. Wprawdzie z Golgoty wybuchnęło „boskim płomieniem“ królestwo ducha, lecz zawisło ono „w dalekich niebiosach“, a na ziemi: „tęcze pogasły w dzikich zawieruchach, harmonię stłumił tętent barbarzyńców“, a myśl swobodna stanęła pod pręgierzem; „ludzkość kroczy wciąż przez krwawe rosy i wciąż od celu swojego daleka“, napróżno poszukując drogi szczęścia, gdyż nic znaleźć nie może — „nawet Boga“. Przodownicy myśli ginęli i giną, nie wiedząc przy śmierci, „czy prawda, której zatknęli sztandary, z nimi w niepamięć wieczną nie zatonie, próżną męczeństwa palmą zdobiąc skronie“. „Wschodzące mary ledwie zejdą — zbledną, nigdy się w ciała oblec nie są zdolne“. Poeta wyraża jednak w końcu nadzieję, że dobre natchnienia nie zmarnieją przecie „i pójdą dalej

w niewstrzymanym pędzie, aż *prawda* ziemskie królestwo posiędzie". Psyche ziemska, „dziś tak milcząca", zmuszona skrzydłami swemi potrącać o krwawe kałuże, „zbudzi się wreszcie w gwiazd niebieskich wianku i jak te lilie, śpiące w wód lazurze, wypłynie wichry uciszyć i burze". Uciszenia atoli burz i wichrów nie spodziewa się doczekać sam poeta, więc też zwracając się w końcu do Psychy Praksytelesa, w tęsknej zadumie prosi ją, by tak samo jak od wieków patrzy na mijające pokolenia ludzkie, spojrzała też i na jego mogiłę.

Kamienna siostro! czekaj *wieków chwilę*
I świeć nadziemskiej pogody odbiciem;
Mirty zakwitną, powrócą motyle,
— Miłość ci przyjdzie zwiastować o wiośnie;
Tymczasem stój tu nad grobowców gniciem
I spojrzyj także z wysoka, litośnie,
Gdy trawa nasze mogiły porośnie!

Jak widzimy, szukał poeta na dojmujący smutek, nie z osobistych wynikły okoliczności, lecz z rozważania zagadki losu człowieczeństwa, rozmaitych środków ukojenia, to pragnąc pozyskać spokój wśród pięknych, łagodnych widoków przyrody włoskiej, to zastanawiając się nad dziejami, to próbując zatonąć w ekstazie religijnej, to podziwiając doskonałość sztuki nieśmiertelnej, to starając się pobudzić do bujnego życia zmysłowego, to w ruchu gorączkowym

szukając zbawienia. Czy znalazł poszukiwane i upragnione rozwiązanie dręczącej go zagadki? Czy znalazł ukojenie? Opierając swój wywód na treści i tonie utworów — a na czem innem oprzeć się obecnie nie możemy — musimy dać odpowiedź przeczącą. Samo owo zwracanie się w różne strony, w różne dziedziny uczuć i myśli, dowodzi ustawicznych wahań w duszy poety, który z niepokojem w sercu i głowie sam przed sobą przyznać się nie może, iżby wiedział jasno i stanowczo, jaką obrać drogę, by ludzkość mogła dojść do mety szczęśliwej, przez wszystkich pożądanej. Zaledwie w dalekiej przyszłości przewidywał mglisto, że „prawda ziemskie królestwo posiędzie“ i że Psycha ziemska uciszy kiedyś „wichry i burze“, ale taka odległa i ogólnikowa nadzieja zaspokić go oczywiście nie zdołała.

Atoli jeśli się nie dało odnaleźć drogi w sposób twierdzący, to może przynajmniej w sposób przeczący będzie można określić, co dla rozwoju społeczeństw jest niepożądanem, czego unikać potrzeba. Zdaje się, że podobny proces myślenia odbyć się musiał w duszy Asnyka, gdy powziął zamiar napisania poematu p. t. *Sen grobów*. Był on prawdopodobnie na większą pomyślany skalę, miał zawrzeć cały szereg obrazów, nasuniętych rozpamiętywaniem przeszłości, ale poeta, z uspo-

sobienia liryk, rychło się znużył snuciem pomysłów, które z natury swej epiczny miały charakter. Mamy tedy trzy tylko części *Snu grobów*, luźnie ze sobą związane, powstałe nie odrazu, lecz w pewnych odstępach czasu. Pierwsza część napisana była w Neapolu 8 stycznia 1865 roku, druga 7 lutego, a trzecia, nosząca obecnie nazwę „Epilogu“ dopiero w połowie r. 1867. Nastrój i formę wierszową wziął nasz poeta od Dantego Boskiej Komedyi, w której rozczytywał się z lubością we Włoszech, a nawet jedną pieśń przetłomaczył przepysznemi tercynami.

Poeta dostaje się „w posępną nocy krainę“, gdzie „zamarłej pustyni milczenie“ zdało się w nim łamać prawa życia; czuł się on tutaj upiorem, „myślą pogrobową skonań“, a wkoło niego „nic-jedno, wielkie, uroczyste, co się nie błyska nawet i nie chmurzy“. Z utęsknieniem przypominał sobie naówczas te chwile urocze, „gdy tęcze grały nad życia obłokiem“, gdy w niemowlęcej „świętości“ poił się czystemi wrażeniami, jakich mu dostarczało otoczenie:

Gaje i chaty! jasne zdrojowiska!
Zielone łąki, wysmukłe topole,
I na rozstajnych drogach wśród urwiska
Omszone krzyże w cierniach! was pacholę
Widziałem w tęczy migającej rąbku,
A dziś was widzę strojne w aureolę.

O lilio czystych krynic! o gołąbku
Opróżnionego gniazda! drzewko krasne,
Wieńczony krwawą jagodą jarząbku!
Widzieć cię jeszcze, nim na wieki zasnę,
Ach, dozwoliły mi anioły złote
I pod twe stopy rzucić serce własne.

A potem przyszły wspomnienia lat młodzieńczych, poeta ujrzał znowu przed oczyma duszy „wzniosły i święty orszak duchów“ sobie znajomych, co pragnieniem ideału żyli i poświęca im słowa czci i uwielbienia. Wtem otacza go chmura ciemniejsza od innych, a z niej wyłania się „anioł przeznaczeń“ — „jak płomień jasny, a jak marmur twardy, nieugiętością zbrojny, nie puklerzem“ i spogląda na poetę ze spokojną „pogardą“, a odgadując chęci zbłąkanego wśród nocy i pustki wędrowca, wypowiada swój pogląd na sprawę społeczeństw. Jest on nieubłaganym dla wszystkich objawów życia tchnących ławą miękkością, zadowoleniem z połowicznego istnienia, apatyą, rozpacznem zapatrzeniem się w przeszłość:

Bo kto do tyla duszę swą zuboży,
Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
I dobrowolnie w prochach się położy,
Jak samobójca pierś splamiwszy smętną —
Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mściciel
I nawet pamięć jego będzie wstrętną.
. . . . . .

Stąpaj bez wspomnień, żalu i bojaźni,
I zerwij dawną z grobami zażyłość
I całą przeszłość marzeń chciej zostawić,
Aby cię znowu nie zbłąkała miłość.
To, co upadło, musi w rdzy się strawić
I pod martwości szatą taić skrycie —
Bez próżnych pokus, aby siebie zbawić —
Nienadwątlone niczem nowe życie,
Któremu niańczy grób ten jak kołyska,
Nim niemowlęce odrzuci spowicie
I rzeczywistą siłę lotu zyska.

Dalekim tu jest jeszcze Asnyk od sformułowanego przez siebie później prawa logiki dziejowej; wiele wyrażeń w przemowie „anioła przeznaczeń“ ma cechę niejasną i mętną; bądźcobądź jednak wypływa z niej jedna prawda wyraźna, że zużyte ideały przeszłości nie mogą i nie powinny być ideałami teraźniejszości i przyszłości.

Pod przewodnictwem tego anioła odbywa swą dalszą wędrówkę poeta w drugiej części „Snu grobów“. Dwie tu tylko właściwie są sceny: W jednej pod postacią gołębi, co chciwie z czarnych strumieni piły gorycz upajającą na śmierć i w proch się zamieniły, przedstawione zostały dusze czyste i ofiarne, goniące za poświęceniem i sławą, chciwie wysączające napój boleści. Anioł przeznaczeń charakteryzuje byt dusz takich, jako jeden ciąg „pragnień i niemocy“, co „błyszczy się chwilę i ginie bez cześci“. Poeta ze swej strony żadnego o nich sądu nie wypowiada.

Druga scena umieszczona fantastycznie na najwyższej iglicy góry lodowej, daje nam poznać Juliusza Słowackiego, „wielkiego potępieńca, co deptał światów zwyczajne porządki“, jaśniejącego „jak niebem gardzące wyjątki“, w otoczeniu stworzonych przezeń postaci Rozy, Lilli Wenedy i rycerza w Anhellim. Gdy poeta wahał się pomiędzy czcią dla „chmurnej postaci mistrza“ a nauką anioła przeznaczeń, nagle na dźwięk piorunowy harfy odzywający się z owej iglicy, z grobowych kryjówek wydobywać się zaczęły szkielety bez rąk i głów, i „gnane boleścią, przestrachem, rozpaczą, jako upiorów hufce bezorężne“ biegły „ohydne“ za „nikczemnym zgonem“. Wówczas otwarły się wszystkie groby, a zastęp bohaterów dawnych z pogardą przypatrywał się tym „bezgłownym karłom“. Ale poeta nie tylko tym „wpółsennym, lichym, niedołężnym“ marom, poruszonym dźwiękami harfy „wielkiego potępieńca“, rzuca wyrok zniszczenia; on uogólnia swój pessymistyczny pogląd i w całej ludzkości widzi „zapleśniałe serce“ — kończy zaś swą pieśń zapowiedzią, że w długim szeregu zatraceń „od legendowych rajów Eufratu“ „wśród ciągłych bojów i oczyszczeń“ ma kiedyś spłynąć „anielska ojczyzna wszech ludów z rozbitej dziś kolebki cudów“. Na wyrażeniu tej ogólnikowej nadziei, tak samo jak w „Odłamie Psychy Praksytelesa“ poprze-

stał poeta, zapominając nawet, że wprowadzona przezeń postać anioła przeznaczeń powinnaby była coś ze swej strony wypowiedzieć, a choćby te nauki, jakich udzieliła w pierwszej części, ukazać w zastosowaniu do sceny, która najwięcej miejsca zajmuje w części drugiej.

Te wielce niepochlebne epitety, jakimi Asnyk scharakteryzował ów „proch podły“, owe „bezgłowne karły“, owe „mary krzywoprzysiężne, roznamiętnione do niezwykłych lotów“ dźwiękiem harfy „wielkiego potępieńca“, musiały obudzić w czytelnikach myśl, że poeta jest nieprzyjacielem pewnych co najmniej form poświęcenia i ofiary, i że dla nieszczęść i klęsk ludzkich nie ma spółczucia. Taki wniosek wyciągnąć musimy z trzeciego obrazu czyli z „epilogu“ do „Snu grobów“. Jest on odmienny i pod względem tonu i pod względem przedmiotu od dwu poprzednich. Ton jest elegijny, postać anioła przeznaczeń zniknęła, treści przedmiotowej wcale niema, tylko skarga na świat obecny, w którym ludzie ośmieszają dzisiaj to, w co wczoraj wierzyli, i „śród szyderstw głuszącego szumu do swych poziomów wszystko zniżyć pragną“; oraz zapewnienie, że poeta z tłumem tak żyjących mieszać się nie chce i dlatego nie snuje dalszego ciągu obrazów ze „Snu grobów“, ażeby nie sądzono, iż on im złorzeczy wraz z „tłuszczą“, co się boi i płaszczy. Z boleścią, nie ba-

cząc na słowa anioła przeznaczeń, jakie wypowiedział w pierwszej części, stwierdza, że „ideał starców łamie się zepsuty“, a młodzież „kłamstwo zadaje przeszłości natchnieniom“. Wie on, że ażeby żyć dalej, „trzeba ukochać jaką nową marę i nowe tęcze na niebie rozpinać, wątpić i wierzyć i znów tracić wiarę“; ale do rozpoczęcia tej nowej pogoni za ideałem odstręcza go podłość ludzi, więc woli wrócić do „splamionego grobu, jak upiór, któremu serce trza odjąć i głowę, aby nie straszył“.

Pomiędzy napisaniem pierwszych dwu części „Snu grobów“ a trzeciej, upłynęło, jak już wiemy, półtora roku czasu, co oczywiście i na umysł poety nie mogło pozostać bez wpływu, gdyż zachodzące i w nim samym i w życiu ogólnem zmiany musiały oddziaływać. W tych latach ukończył Asnyk swoje studya uniwersyteckie, uczęszczając na wydział filozoficzny w Heidelbergu, gdzie się oddawał nauce ekonomii politycznej i dziejów. Stopień dra filozofii otrzymał tamże w roku bitwy pod Sadową, która tak ważną miała odegrać rolę w historyi nie tylko dwu walczących ze sobą państw, ale i Europy całej.

Dla Galicyi otworzył się naówczas nowy okres rozwoju. Przybywszy tutaj, Asnyk osiadł we Lwowie i wziął udział w czasopiśmiennictwie.

Rzeczą jest znamienną, że poeta, który poprzednio w utworach swoich wyłącznie temata rozległe brał pod uwagę, teraz bardzo rzadko daje się natchnąć sprawom, które tak gorączkowo wtedy poruszały umysły w Galicyi z powodu zaprowadzonej autonomii i zapewnionego uczestnictwa tej prowincyi w ogólnem życiu państwa austryackiego. Co więcej, wogóle nawet porzuca zagadnienia powszechniejsze, a zwraca się przeważnie do malowania dziejów serca.

Dlaczego się tak stało? Politykę galicyjską, z wyniosłego patrząc na nią stanowiska, mógł lekceważyć, a zabiegi swoich spółziomków podzielonych na stronnictwa, jako drobne, satyrycznie traktować; ale po za nią istniała przecież sfera natchnień wielkich, które do duszy poetycznej przemówić mogły. Otóż zdaje się, że zwątpienie, przed którem dotychczas się bronił, teraz opanowało jego serce i umysł, i przejąwszy go przekonaniem o bezowocności nawoływań do uczestnictwa w „świecie idealnym“, ponieważ nasuwało się dręczące a nie rozstrzygnięte pytanie, po co ludzkość żyje, cierpi i umiera, kazało mu się zamknąć w zakresie serca własnego, wypowiedzieć jego niepokoje, żale, tęsknoty, upojenia, rozpacze. Okazało się niebawem, że potrafi to zrobić po mistrzowsku i pozyskać sobie liczne grono słuchaczów, któ-

rzy tych samych doznawali wzruszeń i wstrząśnień, lubo wyrazić ich nie umieli.

II.

Ta druga faza w rozwoju talentu Asnyka pospolicie charakteryzowaną bywa jako zależna od wpływów Heinego i Musseta. Jest to określenie niezupełnie słuszne, a przynajmniej nieścisłe. Niewątpliwie poeta nasz, obok Słowackiego, od którego przejął tajemnice języka pełnego blasku i barwy, rozczytywał się pilnie w pieśniach niemieckiego i francuskiego liryka. Niewątpliwą jest równie rzeczą, iż w niektórych (bardzo zresztą nielicznych) utworach ślady bezpośredniego oddziaływania poezyj Heinego mianowicie wykryć się dają. Na ogół atoli biorąc ma Asnyk ton swój własny i do rzeszy naśladowców liczyć się zgoła nie powinien. To co ma wspólnego z Heinem i Mussetem, iż uczucie jego przechodzi wciąż przez filtr refleksyi, nie może być poczytywane za jakąś od nich pożyczkę, lecz za właściwość jego umysłu; nigdy on bowiem nie pozował, jak słusznie zauważył Tarnowski, nigdy nie przybierał szat cudzych, zawsze był sobą, zawsze był naturalnym, jakiegokolwiek rodzaju wypowiadał uczucia. A skala tych uczuć jest bardzo rozległa, poczynając od

naiwności dziewczęcej a kończąc na zgrzycie rozpaczy i rozmiłowaniu się w śmierci. Wszelkie przez serce przepływające wrażenia, wstrząśnienia, nawet najlżejsze i najsubtelniejsze, wszystkie możliwe nastroje, jakim umysł wrażliwy a wykształcony ulegać może, umiał on w formie pełnej wdzięku niewypowiedzianego wyrazić.

Najdawniejszym w tym nowym kierunku jest wiersz: *Pijąc falerno*, drukowany bezpośrednio po III części „Snu grobów“ w r. 1867. Jest to wyraz rozpaczliwego rozstania się z wszelkimi ideałami, z chęcią zatopienia smutku i goryczy w kieliszku. Poranek życia krótki, więc trzeba go użyć; życie na żart niech się stanie naszem hasłem, miłość serdeczną zamieńmy na miłostki; miejmy „pijacką bezczelność“, a może dopijemy się nieśmiertelności, „w piwnice pójdziemy rajskie, wybierać z beczek wieczności wina tokajskie“, a że winnice rosną i na grobach, więc odstraszać nas nie powinny mogiły, ani upiorne duchy, co się z nich nam ukażą, a jeżeli nam mimo naszych usiłowań wspomnienia zbyt dokuczać będą, to klnąc w pijanym szale, można sobie w łeb wypalić.

Obok tej, ciągłymi krwawej ironii dysonansami tętniącej pieśni, pojawia się inna w zupełnie odmiennym tonie, bo i w odmiennem usposobieniu napisana: *Na przedpiekle*, gdzie opowiedział poeta na pół żartobliwie, na pół saty-

rycznie wędrówkę duszy szlacheckiej na sąd piekielny, który ją uznał za zbyt rubaszną dla piekła, bo szlachcic nie gustował w poezyi, strzegł się ideologów, nie cierpiał postępu, a jedyną jego ambicyą było zostać posłem. Sędziowie piekielni kazali wrócić szlachcicowi na ziemię, obiecując mu, że zostanie obrany posłem, a nawet zasiądzie w rajchsracie, domagają się tylko na dowód wdzięczności, żeby się ucierał żywo o propinacyę, żeby zdobywał dużo koncesyj na banki i koleje i żeby był zawsze śmiało bezczelnym.

Wątłość uczuć niewieścich i ich zmienność dostarczyła poecie bardzo dużo wątku do ślicznych liryk, w którym nigdzie niema tego tonu namiętnego oburzenia, jakim wybuchnął Gustaw przeciw „puchowi marnemu“, ale jest ciągle łagodna, rozmaicie a przepysznie cieniowana ironia. Najpierwszym w tym szeregu wierszem były „*Niezabudki*“. Przy rozstaniu wręcza kochanka lubemu kwiat pamięci, z prośbą, by, gdy za powrotem nie zastanie jej przy życiu, rzucił go na jej grób „w noc miesięczną“. Wraca luby, którego nieraz dręczył sen straszny o śmierci ukochanej, i zastaje kochankę w uścisku z jakimś młodzieńcem. Nie przeklął jej wszakże; owszem sam prowadził „rajskie dziecię“ do kościoła na ślub z owym młodzieńcem, tylko na weselu „w noc miesięczną“ wpiął we frak niezabudki kwiecie. Dziś już nie wierzy ani w stra-

szne sny prorocze, ani w niezapominajki. Innem wcieleniem tej samej myśli jest *„Legenda pierwszej miłości“*, gdzie młodzieniec poetycznie nastrojony kocha zwykłą pospolitą gąskę, każde jej odezwanie się umie sobie wytłomaczyć w sposób dla niej pochlebny, nawet wtedy, gdy jego miłość własna jest dotknięta, każdy szczegół najprozaiczniejszy potrafi upoetyzować, a ubierając postać ukochanej we wszystkie blaski własnej wyobraźni, zapytywał się nieraz sam siebie, czy jest godnym tak czystej miłości. A oto rozczarowujące zakończenie:

I byłbym rzucił wszystko — gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby nie... była z drugim uciekła...

Taka-to była prostota, niewinność, poetyczność ukochanej. — W *„Karmelkowym wierszu“* jest niejako moral wyciągnięty z legendy pierwszej miłości. Dawniej wierzył poeta w uczucie, aniołków brał na seryo, wielbił lalki i gotów był bić się za Dulcyneję z Tobozo; dziś zna na wylot komedyę salonu i wie, że z serca niewielki pożytek, więc ma dla dam w zapasie... karmelki. W *„Spóźnionej odpowiedzi“*, odmalowawszy bardzo mile uczucia swe i wyznanie wobec rozrzewnionej panienki, która odpowiedzieć nie mogła z powodu nadejścia mamy, powiada, że

po niejakim czasie znalazł jej odpowiedź, gdy usłyszał w kościele jej zapowiedź. „*Scherzo*“ najbardziej przypomina manierę Heinego. Siedzi smutny Janek, bo do lubej wysłał liścik, a nie otrzymał odpisu, ani żadnej oznaki życia. Wtem wyszedł księżyc z gospody niebieskiej, zrumienione miał lica i nabrzękłe oczy, podpił widać sobie, tacza się wśród drogi i chce się brać do gwiazd, które przed nim jako przed staruchem uciekają. Smutny Janek ujrzawszy go, przyzywa do siebie, zaprasza na fotel, by sobie odpoczął. Księżyc jakby przeczuwał, skąd go ta uprzejmość spotyka, bo oburkliwie narzeka na swój obowiązek przyświecania swą latarką wszystkim, co chcą romansować, i przysłuchiwania się wciąż tym samym uniesieniom i klątwom:

Każdy myśli z tych młodzików
Że on tylko jeden
Pełną piersią wykrzykników
Odkrył nowy eden — —.
Gdy go zdradzi ładne dziecię,
Wtedy znowu mniema,
Że na całym bożym świecie
Nieszczęśliwszych niema.

Smutny Janek przerywa gderliwemu staruszkowi i odmalowawszy mu swoją miłość czystą i bezinteresowną, prosi go tylko, by mu powiedział, co porabia jego miła, obiecując za tę wieść oddać wszystko, co posiada. Księżyc

szczwany w takich sprawach, odpowiada mu z ironią:

Jesteś hojny, bo posiadasz mało; ale mniejsza o to, dam ci wieść o twej ukochanej; list twój doszedł do niej, lecz ona miała już innego powiernika, wydobyła twe pismo i poszeptawszy coś do ucha siedzącemu obok młodzieńcowi, podarła je z uśmiechem. „O niegodna! o zdradliwa!“ zawołał Janek z gniewem — „tak mnie zwieść szkaradnie. — Co mi z tego, że jest żywa... A niechaj przepadnie!...“ Księżyc się zaśmiał, ramionami wzruszył, słysząc tę furyę miłosną, która go nudziła, a gdy go Janek chciał przytrzymać za kożuszek, aby swe żale przed nim wylać, on w mig mu się wysunął, zostawiając tylko „lisią czapkę“.

Wiersz „*Szumi w gaju brzezina*“ objaśnia i niejako usprawiedliwia nawet tę zmienność uczuć zestawieniem jej z odpowiedniem zjawiskiem przyrody. Szumi brzoza na wiosnę, wzdycha dziewczyna po miłym; w zimie brzoza liści się pozbywszy, już szumieć nie może; dziewczyna zaś wspominając o lubym smutnemi oczyma zacznie szukać... drugiego. W wierszu zaś „*Ty czekaj mnie*“ sam już kochanek upoważnia lubą, by poszła za mąż, gdy się jej sposobność zdarzy, bo jej to skróci czekanie; on zaś ze swej strony obiecuje powrócić, chociażby z grobu powstać miał... jeżeli mu tylko pozwolą.

Takie jednak lekkie, ironiczne traktowanie miłości nie wyklucza bynajmniej u poety wiary w jej potęgę. Pod wpływem ukochania silnego zdaje się wracać wiosna życia, w sercu topnieje lód zwątpienia, świat ślubne znów przybiera szaty, dusza dostaje skrzydeł wierząc w wieczny cud miłości (*„Ja ciebie kocham“*, *„Dziwny sen“*, *„Uwielbienie“*, *„Wątpliwość“*). To też poeta umie ślicznie odtwarzać i naiwność z odrobiną kokieteryi (*„Bławatek“*), i chwile upojenia, zarówno zmysłowego (*„Róża“*, *„Anakreontyk“*, *„Ach, powiedz“*), jak i duchowego (*„Lilie wodne“*, *„Serenada“*), chociaż wie, że chwile te krótko trwają, gdy mówiąc o *„Kwiecie paproci“*, powiada, że „młodość umie go dojrzeć w cudowności lesie“ —

A choć nie uszczknie kwiecia ideału
Co pod jej ręką jako sen przepada...
Jednak ma chwilę ekstazy i szału,
W której jest pewną, że niebo posiada.
. . . . . .
Kwiat ów cudowny tajemniczo wschodzi
I w pocałunku kwitnie niewidzialny!
Tyle też jego trwania. Gdy z zachwytu
Zbudzona dusza chce go ująć w dłonie,
Zniknął bez śladu... tylko wśród błękitu
Zostały po nim jakieś dziwne wonie.

Ta błogich natchnień krótkotrwałość, która nie tylko w miłości, lecz i w innych objawach ducha ludzkiego przemija (*„Myślałem, że to sen“*),

daje powód poecie do częstego przeciwstawienia marzeń i rzeczywistości (*„Marzenia poranne“*) i jest źrodłem smutku w nader urozmaiconem ustopniowaniu. Najwcześniejszym w tej grupie jest wiersz *„Różne łzy“*, gdzie obok łez dziewczyny opłakującej oddalonego kochanka, który może nigdy nie wróci, stawia obraz własnego smutku goryczy pełnego, gdyż znaleźć nań lekarstwa nie można. W motywowaniu tego smutku nie jest jasny poeta, wyraźniej za to wypowiada się *„W albumie“*, gdzie się określa jako „rozbite muzyczne narzędzie“, z którego dźwięk wydobyty brzmi jak odgłos „ostatniej myśli, która w grobach żyje“. Niewymownie tęskny jest *„Powrót piosenki“*, gdzie z dwu przypuszczeń, że pieśni jak skowronki wracają znów na wiosnę, i że są one tylko „własnym cieniem człowieka“, co tak duży z rana, zmniejsza się następnie a dopiero znów rośnie przy słońca zachodzie, to drugie właśnie jest zakończeniem utworu i powrót piosenki, którą niegdyś zwykła była nucić ukochana, zapowiada noc blizką. Albo jak ładny jest w prostocie swojej nastrój odtworzony w wierszu *„Tęsknota“*, gdzie obłoki, co wstają z ziemi i płyną w słońca blask złoty, często nad ziemią obwisną, łzy po nich spływają rzewne, czasem i tęcza się na nich ukaże, — porównywa do swego smutnego usposobienia. „Przemija rozkosz i szczęście, boleść niezmienną

zostaje!“ woła w wierszu: „*Na śniegu*“. Podobnież smutkiem są przeniknięte wiersze: „*Wspomnienie*“, „*Na pamiątkę*“, sonet „*Pierwsze uczucia*“, „*Ach, jak mi smutno!*“.

Chcąc smutek przygłuszyć, rozmaitych środków się chwyta. To zachęca do użycia chwili bieżącej i korzystania z czaru uczuć (*„Powój“*, *„Rada“*); to poczytując się za starego do miłości, sięga po kielich (*„Gdybym był młodszy“*, *„Piosnka pijaka“*); to pragnie sennego spokoju (*„Endymion“*), to znów chce cierpieć, kochać i żyć (*„Kamień“*), albo też wprost przeciwnie wzdycha do śmierci, apoteozując jej dary (*„Zmarłej dziewicy“*, *„Odpoczywa“*):

Chcę pozostać zimny, czysty
Na posłaniu mchów,
I spoczynek mieć wieczysty
Nieprzerwanych snów.
Niech natury wieczna praca
Wznawia dalszy byt,
Niech proch w koło istnień wraca
Witać nowy świt,
Lecz ja spocząć chcę na wieki,
Od duchów i ciał
Równie obcy i daleki,
Będę cicho spał.

Pragnienie to wszakże odpoczynku wiecznego nie jest wcale objawem jakiegoś pessymizmu z zasady, nie jest pożądaniem nirwany, jako

jedynego niezmiennego dobra, lecz wynika tak samo jak wszystkie inne uczucia Asnyka w tej dobie z chwilowego nastroju, wywołanego jakiemś przykrem wrażeniem, jakiemś starciem się z rzeczywistością. Chociaż bowiem poeta nie zrywał i nie chciał zrywać, na wzór zapalonych romantyków, z życiem ziemskiem i jego sprawami nawet po za sferą uczuć; to przecież boleć go musiała trudność a częstokroć niemożność przeprowadzenia idealnych celów, idealnych zamiarów w czyn istotny, realny. Prócz tego w duszy jego tkwiła wielka skłonność do marzycielstwa i rojeń. Jest wśród jego owoczesnych liryk jeden utwór bardzo ładny p. t. „*Nadgrobek*“, który jeśli nie w całości, to w części przynajmniej może być zastosowany do scharakteryzowania jego nastroju. Powiada tu o sobie marzyciel, który przeszedł drogę życia „z próżnemi dłońmi, z sercem rozżalonem“, że rzeczywistości nigdy ręką nie dotknął, że sen mu był życiem, przebudzenie katuszą, że nikogo nie znalazł, ktoby wraz z nim podzielił „gorycz próżnych chęci“, że błyszczał wprawdzie nieustannie „rosą uczuć“, lecz i tę „ptaki niebieskie wypiły“, że wreszcie gdy legnie w mogile, od zbudzenia zbawi go „ospałość“ i echa po nim nie pozostanie na ziemi żadnego.

Wobec takiego marzycielskiego usposobienia każde niemiłe zetknięcie się z poziomymi obja-

wami życia, każde rozczarowanie co do osób lub rzeczy, każde obniżenie idealnej miary, jaką w ocenie stosunków ludzkich przykładał poeta, musiało wywołać w sercu gorycz, która się w pieśni przejawiała ironią, sarkazmem, oburzeniem, przekleństwem — lub zobojętnieniem, apatyą.

Rodzaj swojej ironii, czasami ściśle spokrewnionej z humorem w estetycznem znaczeniu tego wyrazu, określił sam poeta w ładnym epigramacie, mówiąc:

Ironia dziwnem jest ziółkiem, co żyje
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita,
Na gruzach szczęścia jak bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita;
Choć krwawe ślady w łonie swojem kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita
I własną pustkę i smutek wyszydza —
Przed okiem widza.

Tego bólu i łez serdecznych i śmiechu a raczej uśmiechu wytwornego mamy w lirykach Asnyka podostatkiem. To radzi „lubemu dziewczęciu“, by wyszła za szlachcica, boć wraz z mężem potrzebuje wioski koniecznie; „miłość — to jakaś ciemna zagadka, majątek — ten jest widzialny“; może przykro będzie trochę zrazu, że się z młodocianemi rojeniami rozstaje, ale niebawem śmiać się pocznie ze swych żalów, gdy troszeczkę... utyje (*„Przestroga“*). To kreśli *„Dwa spotkania“*, z których jedno w mło-

dości, kiedy wspólne ideały napełniały serca przyjaciół, a drugie po latach, gdy jeden zapraszał drugiego do szynku. To znów pragnie pozyskać jedno serce, coby przy jego miłością zadrżało, i przekonywa się, że choć na pozór tak małe są jego wymagania, żąda przecie „*Zawiele!*“

Gdy ból jest dotkliwy a nastrój namiętniejszy, wówczas nie wystarcza ironia i sarkazm, lecz pojawia się zwątpienie i rozpacz, pogarda dla teraźniejszości, niewiara w przyszłość. Taka nuta drga w „*Pożegnalnem słowie*“, gdzie powiada, że „Syzyfowa praca“ mu obrzydła, że woli „pełen pogardy i wstrętu“ odwrócić swoje obłąkane oczy od lądu próżnych skarg i żalów i od przyszłości, którą robak toczy“, że woli samotny być świadkiem własnej hańby i rozpaczy, a umierając, nie pozostawić, coby ludzie mogli zelżyć „litością“. Podobnież w wierszu p. t. „*Do***“, przemawiając do jednego z przyjaciół, dzielących jego przekonania, gardzi tymi, co przeżuwają życie „na pokory zębie“, sądzi, że nieśmiertelni „wielkością zwątpienia“, zdołają gromem wstydu zetrzeć w proch ludzi, którzy „w nikczemności pędząc żywot marny, płazowe szczęście, nie wielkość obrali“. Ton ten namiętny, zasilony wspomnieniem „Grobu Agamemnona“ wywołuje „*Apostrofę*“, najsilniejszą w wyrażeniu ze wszystkiego, co Asnyk napisał, w pobudkach niewątpliwie szlachetną, ale zbyt pretensyonalną,

zbyt nierozważnie przeciwstawiającą jednostkę— ogółowi.

Po namiętnych wybuchach uczucia, jak naturalna, zjawia się osłabienie, upadek na duchu, kiedy wszystko wydaje się nam albo błahem albo ułudnem, nie zasługującem na żadne starania i zabiegi, kiedy nawet uczucia w nas wydają się tak przytępione, że nie czujemy nie tylko radości, ale nawet bólu. Stan taki odmalował poeta w wierszu: „*Rezygnacya*“, kiedy poety wziął już rozbrat, jak powiada, z tęsknotą i łzami, kiedy go już nic nie przejmuje zachwytem lub trwogą:

Niema boleści, coby mnie trwożyła,
Bo *dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę*,
Ogniowa próba dla mnie się skończyła...
I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi.
Żebym się po nie miał schylić ku ziemi...
I żaden zawód sił mych nie osłabi —
Przebytą męką panuję nad niemi.
Światowych uczuć miłość i obłuda
Już mnie nie porwie swym chwilowym szałem,
Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,
Więc *i zwątpieniu ulegać przestałem.*

Z całego tłumu „zmyślonych aniołów“ pozostała mu tylko garstka popiołu; dziś jeden mu tylko duch towarzyszy: rezygnacya, która uzbroi go na wszystkie burze, nie dozwoli mu roznamiętnić się gniewem, ani potępiać rzesz goniących

za błyskotkami; owszem da mu nawet jałmużnę pobłażania. Spokojnie czekać będzie zgonu,

> Bo żadna rozpacz i nadzieja żadna
> Nad mojem sercem nie ma już dziś mocy.

Lecz i to napozór zrezygnowane usposobienie trwałem się wcale nie okaże, nie ma ono bowiem gruntu w najgłębszych warstwach uczucia, ale jest wyrazem nastroju, wywołanego uczuciowo-refleksyjną kombinacyą, szukającą bodaj chwilowego ukojenia. Napróżno się odżegnywa poeta i od wiary i od zwątpienia, od nadziei i od rozpaczy, napróżno wypowiada zdanie, iż ze skrzydeł „zmyślonych aniołów“ pozostała mu tylko garstka popiołu. Wspomnienie lat dziecinnych, wspomnienie krzyżyka zawieszonego na szyi przez matkę, poprowadzi go nieraz jeszcze „*Pod stopy krzyża*“, epitet „wielkości“ przydany „zwątpieniu“ zmieni się jeszcze na inny, brzmiący: „bezmyślność“, jak to można widzieć w prześlicznym wierszu; „*Wierzba na pustkowiu*“; anioły zmyślone czy niezmyślone będą jeszcze niejednokrotnie wabić okiem niebieskiem lub czarnem: litością ludzką nie będzie pogardzał, a nawet czasem jej zażąda, bo nie za siebie tylko cierpi (*„Usprawiedliwienie“*).

I z życiem rzeczywistem wogóle nie zerwie poeta, a lubo rzadko, przemawiać będzie do ludzi słowami przestrogi, upomnienia, zachęty,

budzić będzie otuchę i zagrzewać do działania. Chociaż bowiem ludzkość w nieustannym pochodzie naprzód rani wciąż pierś własną, „głucha na łzy, nienawiścią zbrojna“, będąc sama sobie „katem i ofiarą“; to przecież „mimo klątw, bólu i zwątpienia“, przeczuwa cel, ku któremu zdąża powoli i lubo ująć go nie jest jeszcze zdolna, ma go przed sobą jako gwiazdę przewodnią. (*„Ludzkości!“*). Ażeby ten cel jeżeli nie osiągnąć, to przynajmniej przybliżyć, potrzeba ludziom: „rozumu, niezgiętej woli, prawdziwej duchowej siły i serc czystości“ (*„Na nowy rok“*), potrzeba odwagi, nie tej jednodniowej, „co w rozpaczliwem przedsięwzięciu pryska“, lecz tej, co wiecznie z podniesioną głową umie wytrwać na obranem stanowisku i „przeciwne losy stałością zwycięża“, potrzeba hartu duszy i istotnego ukochania ideałów.

Co więcej, poeta nie zaniedba nawet stanąć w obronie wesołości, przeciwko cnotliwym obłudnie damom, przeciw rozłzawionym prorokom, przeciwko głupim poetom, co same smutki bajroniczne opiewają. Nie wielką jest zaletą — mówi Asnyk — zjadłszy dobrą pieczeń z rożna, nad nieszczęściem łzy przelewać i przy cytrze dumki śpiewać; odkąd dobry humor przepędzono, znikła naturalność, znikło zdrowie i kolory na twarzy, „chorobliwe wszędzie cnoty, nigdzie wdzięku i prostoty“. Młodzież, zaledwie

skończy lat szesnaście, pozuje na Manfredów, błądzi nad przepaściami, porzuca pracę szkolną, w kąt Iliada! w kąt Horacy! „bohaterstwo rzecz tak łatwa, dosyć wstąpić na koturny, mieć wzrok czuły i pochmurny“. A poeci, „głusząc piękno i rozsądek“, za muzy swoje biorą jakieś „ćmy wężowe“ i pastwią się nad ojczystą mową: „nad bachantki, co rozniosły Orfeusza krwawe członki, sroższym jest ten niedorosły zastęp, zbrojny w dzikie mrzonki“, co z fanaberyą „kładzie Ossy na Peliony, by się gwałtem dostać w wieczność, gdzie króluje niedorzeczność“. Śmiech jest dobry i zdrowy; cały Olimp, nie wyjmując Minerwy, muz i Apollina, śmiać się lubi (*„Replika“*).

Zapewne w powyższem przedstawieniu rozmaitych odcieni, jakim ulegała uczuciowość i rozwaga Asnyka, pominąłem ten lub ów drobny szczegółik; zdaje mi się jednak, żem wyczerpnął w głównych zarysach najważniejsze przejścia od gorzkiego uśmiechu rozczarowania i ironii, poprzez różne stopnie, aż do swobodnego śmiechu i wesołości znamionującej człowieka, który nie zapomina wprawdzie o wadach i ułomnościach ludzkich, o marności lub nijakości zjawisk życia, który przecież pomimo to znajduje i wśród ludzi i w życiu pierwiastki, mogące czoło rozjaśnić i natchnąć nadzieją, że choć cząstka ideału da się urzeczywistnić na ziemi.

Niewątpliwie do wyrobienia takiego przekonania wielce dopomogła Asnykowi zdolność refleksyjna, usiłująca chaos wrażeń i myśli doprowadzić do pewnego porządku. Nie tylko tedy w ciągu tych trzech czy czterech lat przepędzonych we Lwowie porzucił poeta krainę „upiornego bytu“, w której zdawało mu się, że żyć będzie zmuszony, nie tylko w życiu wewnętrznem, uczuciowem, którego przejawy świetnie wyśpiewywał, znalazł niejako zastępstwo bytu owego, lecz jeszcze nadto doszedł w końcu do jakiegoś ukojenia i lirykę swoją, po wirtuozowsku próbującą tonów najróżnorodniejszych, zgodnie z chwilowym nastrojem, potrafił skierować tam, gdzie miała się zjawić jednolitość i spójność. Dokonanie tego zharmonizowania stanowi trzecią fazę w rozwoju jego talentu.

III.

Ta trzecia faza łączy się z przejazdem Asnyka do Krakowa w r. 1870. Nie odrazu się ona oczywiście ujawniła, lecz dokonywała się cząstkowo i powoli. Wpłynęły na nią zarówno stosunki z ludźmi i zwiększający się z każdym rokiem zapas doświadczeń, których zresztą wykazać obecnie, wobec braku wszelkich w tej mierze wiadomości, niepodobna;—jak niemniej, podobnie jak

na Mickiewicza podróż krymska, widoki gór tatrzańskich i rozważanie niezłomnych praw przyrody. Uczuł wówczas poeta żywiej niż kiedykolwiek ścisłą zależność człowieka od ziemi, która dając ciało, karmi zarazem na swem łonie „duszę zbudzoną“, roztacza przed nią „kształtów nieskończoność“, rozwija „widzeń tęczę malowniczą“ i wciąż świeżemi napawa wrażeniami. Ziemia-to przenika duszę barw i dźwięków falą, rzuca w nią ognie, które wiecznie goreją „w obłoku marzeń“ i kwiecistej woni, podaje jej przędzę, z której snuje ona dalej świeże uczuć pasma. Od ziemi oderwać się nam niepodobna, gdyż ciężarem ciała z jej ciałem jesteśmy spojeni; musimy zawsze czuć pod nogą ten grunt, „na którym kształty nasze stoją“; musimy żyć w zgodzie z ziemią, gdyż w przeciwnym razie „duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej, w złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczy, w sennem omdleniu lub w walce daremnej“. Chociaż stawiamy sobie cele wyższe nad czysto-ziemskie, to przecież, ażeby módz dojść do nich, ażeby sił do osiągnięcia ich nabrać, musimy jak Anteusz dotykać stopą ziemi-karmicielki.

Na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty,
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki,
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,
Swych poprzedników prochy i pamiątki,

I każdy tylko na swej własnej niwie
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Z zamiłowaniem też wielkiem kreślił poeta krajobrazy tatrzańskie, malując „*Ranek w górach*“, „*Letni wieczór*“, *Wodospad Siklawy*“, „*Ulewę*“, unosząc się nad wspaniałością *Morskiego Oka* w 5 ślicznych sonetach i nad samotnie na wyżynach rosnącą „*Limbą*“, rozkoszując się w „*Kościeliskach*“ i przepędzając „*Noc pod Wysoką*“ na dumaniach, w których słabość i potęgę człowieka w stosunku do przyrody rozważał. „Geniusz wyżyn“ stanął przed poetą surowy i groźny, rozpościerając dokoła „milczenie pustyń, nieskończoność ciemną“ i tę samotność, „co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata“, tak że chce się ona cofać przed potęgą sobie nieznaną, przed „niezbłaganem bezlitosnem prawem, przed rozpasanych żywiołów odmętem“, przed tajemniczą, nieujętą siłą.

Cisza — a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy,
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy
I fal powietrza szelest tajemniczy
I pękających głazów łoskot głuchy
I wszystkie świata nawpółsenne ruchy.
. . . . . .
I znowu płynie cicho pieśń natury

W gwieździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

Za tą pieśnią natury biegły myśli poety, wyswobodzone z pod tłoczącej je grozy; chociaż podlegał prawom powszechnym, uczuł się jednak wolnym, zapomniał o swoich ziemskich cierpieniach i zanurzył się w wiecznie żywem źródle „poruszającem wielkie koło bytu“, jako ogniwo jednego łańcucha rozciągniętego przez otchłań niebios „znalazł wspólne ognisko żywotów i związek z całym ogromem stworzenia“, z „wieczystym duchem, co mu podać gotów rękę“; więc już nie doznawał wrażenia niemocy i lubo drobny atom, mógł się powierzyć z ufnością tej „twórczej myśli“, co kieruje wszechświatem.

Te uwagi, jakie refleksyjnemu poecie nasunęły się w nocy, przepędzonej pod Wysoką, wracać mu będą często w dalszem jego życiu, wytwarzając szereg przepysznych poezyj, które nie tracąc powabu piękna, nabierają znaczenia filozoficznego. W „*Chórze Oceanid*“ przedstawia nieustanną walkę żywiołów jako powszechne prawo istnienia, odmieniające wciąż powierzchnią światów i toczące naprzód rwący prąd życia. Ono utrzymuje wszystkie wrogie potęgi w żywej równowadze; ono z sprzecznych dążeń i kierunków wytwarza jedność działania i celu, „w zni-

szczeniu siejąc światło nowych zórz". Godzi się z tem prawem wiecznej przemiany i wiecznej walki, choć w niej niejedna droga mara, niejedna zasługa sponiewieraną zostanie. „Nie można powstrzymać strumienia! — mówi przez usta Dyonizosa w wierszu p. t. *Orfeusz i bachantki* — ani młodzieńczych uniknąć nadużyć; kroczące naprzód nowe pokolenia kruszą narzędzia, co im nie chcą służyć." Ostrzega on starych, że „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia", że „trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe"; a młodych napomina, „by szukając prawdy jasnego płomienia", nie deptali „przeszłości ołtarzy", gdyż mądrość prawdziwa umie godzić potrzeby życia nowego z tem, co w ciemność już zachodzi „wraz z całą tęczą idealnych snów". Przejęty względnością wiedzy ludzkiej, z tego jej właśnie charakteru dobywa przestrogę, by pracy i wysiłków pokoleń poprzednich nie lekceważyć. „I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi — w ciemnościach pogasną znów" — woła on do zbyt butnie kroczących naprzód. Prawda jest jak ów mityczny Proteusz, który wciąż postać swoją odmienia, „gdy śmiały nurek w głębi go napadnie", i coraz to nową odpowiedź każdemu z nich daje.

Najrozleglejsze i najlepiej wcielone w kształty estetyczne rozwinięcie prawd nauki nowożytnej dał Asnyk w szeregu 30 sonetów, objętych ogól-

nym napisem „*Nad głębiami*“. Jest to jakoby streszczenie jego filozofii. Zgodnie z wynikami teoryi poznania twierdzi poeta, że „daremnie wzrok nasz za tem wszystkiem goni, co pod powierzchnią zmiennej fali bytu się ukrywa“; ruchliwa fala zjawisk, gdy jej tajemnice schyleni nad nią zbadać chcemy, „własną twarz naszą“ ukazuje nam, a cały nasz widnokrąg — to rzucone w wszechświat „odbicie człowieka“. Od otaczających nas wiecznych ciemności nikt odpowiedzi nie otrzyma, „chyba nam echo odrzuci pytanie, przywtórzy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie“, i nieraz bierzemy za prawdę, „ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni, sądząc, że słyszym tajny głos natury“. Pokolenia ludzkie nieprzerwanymi łańcuchami płyną „w nieskończoność mroczną“, nie wiedząc, skąd wyszły, jaką idą drogą i dokąd zajdą; „podległe skrytych instynktów wskazówce“ badają ten „wązki szlak przestrzeni“, jaki im poprzednicy zostawili, i „tę przelotną grę“ świateł i cieniów, jaką w swej krótkiej napotykają podróży. Gdy wśród ciemności nas otaczających ktoś światło wniesie, choć wzrok nasz obejmie widnokrąg szerszy, to dokoła miejsca oświetlonego, otchłań ciemności jeszcze większą się staje:

> Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,
> W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
> Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzedz możemy, jest niczem
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

Wszystko idzie na pastwę „bladej przemian druchnie“; przeszłość nigdy nie wraca w dawnej swej postaci, ale nie umiera; idealna jej strona ma wieczne siedlisko w żywej ludzkości; praca plemion uprzednich nie przepada, lecz staje się zasobem, który zwiększony przez nas dostanie się w spadku następcom naszym; istnieje ścisły związek pomiędzy kolejnemi ogniwami istnień:

Wszyscy są wspólną związani macierzą —
Umarli, żywi, wielcy czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub blizcy,
Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy.

Ten twardy obowiązek wzajemnej odpowiedzialności, ta zależność losów, wspólnictwo winy, ale zarazem i wspólnictwo zasługi, łączy wszystkich członków rozpierzchłego po ziemi rodu w „Duchu, co wszystko ożywia — jedyny“. Umysł, świadomy „nieprzerwalności zbiorowego bytu“, może spokojnie przyglądać się kolejnym fazom swego pochodu: „cząstkowym zgonom, pozornym zagładom, pomrokom nocy i jutrzenkom świtu“, gdyż śmierć jest „stopniem wyższego rozwoju“, jest „ciągłego postępu chorążym“. Cho-

ciaż się poruszamy w praw niezmiennych obrębie, to przecież poznawszy je, możemy „jako czynnik chętny, niezawisły“ grać „świadomą rolę“ w rozwoju istnienia; gdyby zaś przeciwnie kto chciał iść wbrew tym prawom, to wyższa ich potęga przemocą go powlecze za sobą i czyny jego przeciwko niemu samemu zwróci.

Poeta poszukuje celowości w zjawiskach przyrody, gdyż „natura twórcza, wieczna, bezcelowa nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie“; równocześnie jednak wie on, że to poszukiwanie celowości jest wynikiem naszego własnego ustroju duchowego, który sam sobie stawiając cele i zamiary, tłomaczy sobie na język ludzki odwieczność i konieczność praw rządzących światem jako rezultat pewnego określonego dążenia. Stąd płynie rozmaitość w pojmowaniu celów świata, każdy bowiem umysł inną barwę chłonie z białości słonecznych promieni prawdy, każdy za całość bierze jednę tylko cząstkę t. j. tę, którą sam w swej „odbija“ duszy.

Lubo z wyżyn patrzącemu duchowi wszystkie zmiany zachodzące w dziejach przedstawiają się jako cząstki jednej całości, ale my, których istnienie ograniczone jest czasem, nie mogąc objąć okiem tego, co przyszłość przyniesie, nie możemy być obojętni na przemijanie myśli lub kształtów przez nas ukochanych. Smutnie też dla nas wygląda schyłek roku, odarty

z kwiatów i owoców, smutniej — koniec bezsilny żywota, pogrążony w długie, ciemne, pełne cierpień noce, ale najsmutniej „duchowy schyłek zamierającej powoli epoki“, gdy w niwecz poszły prace pokoleń strawiwszy siły najlepsze, zostawiając w spadku szereg błędów. Ale do rozpaczy przyprowadzać nas to nie może i nie powinno, gdyż niema w rzeczywistości zgonu w znaczeniu zupełnego zniknięcia bytu, a jedynie „dobrowolne samobójstwo ducha“, wynikłe ze zwątpienia, jest okropnem na prawdę. Poeta sam świadkiem był schyłku jednej takiej epoki, gdy w jego oczach „rozpadło się w gruzy tęczowe państwo romantycznej muzy“, gdy przebrzmiały płomienne słowa, mistyczne zachwyty, „sny bohaterstwa i wielkie natchnienia w życiu i w śpiewie“. Żal mu tej „stubarwnej tęczy marzeń“, ale się umie pogodzić z myślą, że ludzie „muszą prawdy powszednie zdobywać pracą“. Zżyma się jeszcze niekiedy — i to rzecz naturalna — na nieubłaganą konieczność przemiany, na zapomnienie dawnych zasług, na nadużycie haseł nauki dla apoteozy siły drapieżnej, ale ostatecznie w nowym zwrocie umysłów uznaje strony dodatnie:

Prąd czasu innem popłynął korytem,
Nastała nowa epoka żelazna,
Która wciąż ziemskim zaprzątnięta bytem
Niebiańskich widzeń słodyczy nie zazna,

I tylko w ziemi wnętrznościach się grzebie,
— Zajęta myślą o codziennym chlebie.
Uboga duchem i uczuciem skąpa
Dokoła cień swój roztacza ponury,
Ciężko po ciałach ofiar swoich stąpa —
I chciwą dłonią szarpiąc pierś natury,
Pragnie zasłonę zedrzeć tajemniczą,
Za coraz nową zdążając zdobyczą.
. . . . . .
Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód wasz lodem spada nam na serce —
My błogosławim wam, rycerze młodzi...
Idźcie! jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu
Ku coraz wyższym i jaśniejszym celom!...

Nie we wszystkich wprawdzie poezyach z tego okresu znajdziemy taką pogodną wyrozumiałość i takie uznanie dla konieczności przemian dziejowych; znajdą się tam i słowa potępienia czasem, znajdzie się i niejasne rozgraniczenie pomiędzy hasłami wiedzy a okrzykami rozbestwionych tłumów, lub też pomieszanie całkiem uprawnionych wymagań z mrzonkami bezpodstawnemi (*„Wśród przełomu“*); ale biorąc rzecz ogólnie, trzeba powiedzieć, że powyżej określony pogląd na sprawy świata przemaga w tym czasie w twórczości Asnyka stanowczo, a odstępstwa od niego dadzą się łatwo wyjaśnić albo pochwyceniem w danej chwili pod wpływem nastroju jednej tylko cechy w zjawiskach spółczesnych, albo też

niedokładnem sformułowaniem sądu, nieścisłem jego wyrażeniem, co wobec wymagań stylu poetycznego i formy wierszowanej razić nie powinno. Poeta stanowczo zerwał ze zwątpieniem i rozpaczą, dodaje też innym otuchy, wskazuje potrzebę wyrzeczenia się samolubnych dążeń a ukochania ludzi, przejęcia się serdecznego ich potrzebami, spełniania obowiązku. To tylko nieśmiertelnem się stanie, „czego nie dzieli egoizmu miedza od wszystkich ogniw duchowych wszechświata“, to, co po za chwilowy swój zakres wybiega, bratając się z życiem przyszłych pokoleń, to tylko, co pozostaje w najbliższym związku z ciągiem usiłowań ludzkich ku coraz wyższemu udoskonaleniu.

Jakaż jest wobec tych zadań rola poezyi? Słusznie — mówi Asnyk — rzesza żywych żąda, „by dla niej z pieśni nowa jasność biła, świeża chęć życia i świeża odwaga, coby ją naprzód w przyszłość prowadziła“ (*„Orfeusz i Bachantki“*). „Zmalała pieśń pośród nas — skarży się gdzieindziej — i kona już, nie budząc żadnego echa, straciła dawną swoją moc, sercem człowieka nie włada“, ale nie wątpi, że nadejdzie znów chwila, kiedy „żywych natchnień złota nić przewiąże prawdy zdobyte“, bo „co nieśmiertelne musi żyć, choć zmienia kształty zużyte“ (*„Przeminął czas“*). Ta trumna poezyi, którą dzisiaj ludzie zimni do grobu składają, zawiera tylko „uwię-

dle kwiaty na jej ślubnej szacie, woń znikającą, lutni dźwięk rozbity". Poezya zniknąć nie może, bo ona jest wszędzie rozlaną „w całej błękitów przestrzeni"; ona przemieszkuje i w jaskiniach ciemnych i świeżym liściem gruzy rozzielenia—

Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie
Zawsze te same słowicze tęsknoty
I żądza szczęścia ta sama zostanie,
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę.
Dźwięki tak znane a tak wiecznie nowe.
(*„Na zgon poezyi"*)

Nie potrzebuje się ona stroić w niewłaściwe dla niej szaty naukowości, nie potrzebuje posługiwać się terminologią przyjętą w naukach przyrodniczych, — co Asnyk wybornie wyśmiał w żartobliwym wierszu *„Napad na Parnas"* — ale musi się przejąć głęboko wszystkiem, co ludzi najwięcej obchodzi, wszystkiem, co jest żywotne i wielkie, musi biedz z postępem ducha ludzkiego. Wówczas zachwyci znowu stęsknionych za nią kochanków.

Od prawdziwej poezyi wyróżnić należy fabrykaty. Dzisiaj tak wysoko postąpiła sztuka wyrabiania kwiatów, że kto im się nie przypatrzy, łatwo oszukać się może. Otóż i w poezyi wzmógł się przemysł — mówi Asnyk, — gdyż uczniowie wyzwolonych kunsztów wyrabiają ją na war-

sztatach: „odtwarzają nader wiernie układ, barwę i kształt wszelki, płatki koron, listki, ciernie, nawet lśniące ros kropelki“. Wyroby firm pierwszorzędnych, posiadając takie zalety, mogą ozdobić salon eleganckiej damy. „Nic im nie brak... oprócz życia i poezyi słodkich czarów“. (*„Sztuczne kwiaty“*).

Życie i prawda cechować powinny poezyą istotną, ale „realizm powszedni“ zdala od niej być musi, gdyż bez idealnego wzlotu obejść się ona nie może; „by wyjrzeć oczami do nieba“, ludzie piąć się muszą, a z wyżyn wszystko, na co spoglądamy, jaśniejszem i czystszem się wydaje, niż gdy się zblizka przypatrujemy przedmiotom. Prawda piękniejsza jest od zmyśleń, gdy ją odczujemy silnie a głęboko; nie potrzeba przyoblekać gór w szatę fantastyczną, dość jest odmalować pięknie a prawdziwie ich majestat; nie potrzeba skał przemieniać w posągi, gdyż one same w swych kształtach istotnych najlepiej i najpoetyczniej się przedstawiają.

* * *

Asnyk jest poetą skomplikowanych stanów duszy. Poeta, artysta, myśliciel, kobieta z wysubtelnionem uczuciem i rozwiniętą inteligencyą smakować będą w jego utworach najwięcej, gdyż stany, przejścia, zmienne nastroje swych dusz znajdą w nich odwzorowane z nadzwyczajną pra-

wdą i delikatnem dotknięciem. Myśl przenika tu wszędzie na wskroś stronę uczuciową i fantazyjną i stanowi z niemi jedność nierozerwalną, nawet w takich, samą napozór prostotą odznaczających się utworach, jak „Bławatek“. Urok główny liryk Asnyka polega, zdaniem mojem, przeważnie na niezmiernie świetnie pod względem artystycznym przeprowadzonej kombinacyi różnych nastrojów uczuciowych i myślowych, kombinacyi nie sztucznej bynajmniej, ale wynikającej z samej głębi duszy poety. Weźmy np. pod uwagę śliczny jego wiersz: „W noc czerwcową“. Jest to najprostszy napozór obrazek marzącego człowieka wśród ciepłej, jasnej nocy z jej duszącą wonią kwiatów, z srebrzystą mgłą księżycową, z trzódką białych chmurek i łagodnym wietrzykiem. Obrazek nocy jest tu tłem tylko, główną zaś rzeczą niejasne marzenia, napół senne, napół świadome; nie wiadomo, czy czoło marzyciela musnęła drżąca, miękka, pieszczotliwa dłoń, czy też to motyl nocny potrącił je swojem skrzydełkiem; nie wiadomo, czy przed jego wyobraźnią zjawia się słodki chór znanych kiedyś głosów, czy też dochodzi szum lasu; czy wśród liści drzew ukazała się jakaś twarz widziadła, czy też promień księżyca, czy to kropla rosy nagle na lica spłynęła, czy też łzy. — Oto jak falują w duszy znużonej, wśród ciepłej, jasnej nocy czerwcowej, sploty różnych myśli

i wzruszeń, wywołujące nastrój dziwnie tęskny i rzewny; a prostota środków artystycznych, którymi zostały wywołane, wprawia aż w zdumienie.

Ale biegły w odtwarzaniu stanu duszy umysłów refleksyjnych,— co mu służy także wybornie w przerabianiu mitów i podań greckich dla wyrażenia myśli nowożytnej — Asnyk nie potrafi przejąć się usposobieniem, nie potrafi odmalować przejść umysłów nieukształconych, ze sfery ludowej. Jakkolwiek demokrata z przekonania, jakkolwiek spółczuje serdecznie z ludem, jakkolwiek wielkie jego znaczenie uznaje i akcentuje; to przeciż jego losów, jego trybu życia i myślenia nie uczynił przedmiotem swoich pieśni. W początkach swego zawodu poetyckiego, w drugiej fazie swojej twórczości napisał wprawdzie 16 pieśni „z motywów ludowych“, ale wśród nich, trzy zaledwie można uznać za istotnie odpowiednie tematowi tj. oddające i szczerotę bezpośrednią uczuć i prostotę wyrażenia ludowego (*„Siwy koniu“*, *„Chłopca mego mi zabrali“*, *„Przykro jest dębowi“*), gdy inne pod jednym albo pod drugim względem mocno szwankują i za piękne istotnie poczytane być nie mogą. Takie wyrażenie jak: „kto prawdziwie czuć nie zdolny, ten się *szumem słowa pieści*“ wyborne znalazłoby miejsce w poezyi treścią swą należącej do sfer wykształconych, ale w pio-

sence ludowej razić musi. Podobnąż uwagę zastosować można i do wielu a wielu innych zwrotów mowy, porównań, przenośni, myśli, rodzaju uczuć, jakie znajdujemy w tych niby ludowych motywach, które o tyle chyba są ludowymi, że krajobraz wiejski w nich spotykamy.

Nie ma też Asnyk skłonności do malowania nędzy materyalnej. Mówi nieraz o klęskach i nieszczęściach, ale wszędzie ma na myśli jakieś sceny wielkie, jakieś pogromy milionowe. Nędzy natomiast powszedniej, codziennej, czy to w chacie wiejskiej, czy w zaułkach miejskich prawie wcale nie maluje. Gdy w izbie umiera stary siwy dziaduś, to biedę w niej panującą zbywa poeta dwoma wierszami, a dość długa pieśń poświęcona jest przemowie umierającego starca, mało prawdopodobnej, w której stara się przekonać córkę, że lepiej będzie, gdy on umrze, bo dla innych zostanie więcej chleba. I starzec mówi także o biedzie, ale to już wspomnienie tylko, tem bardziej, że zachował w mieszku cztery talary na pogrzeb ladajaki. A w „*Zapustnym obrazku*“, choć jest mowa o izdebce dusznej, odraźliwej, o lampie dymiącej, co ją oświetla, to przecież nie dlatego, żeby odmalować nędzę w jej całej nagości, tylko żeby powiedzieć, iż dla biedaków, prócz chleba, potrzeba także „odurzenia i szału“ i że jak panowie bawią się w pałacach, tak biedota w szynku. —

To są najwydatniejsze, o ile pamiętam, obrazki położenia mas ludowych w poezyach Asnyka. Z usposobienia swego, a może trochę i z tradycyi romantycznej, zajmował się on niemal wyłącznie mękami ducha wzlatującego na wyżyny i wciąż stamtąd spychanego, a nie zwracał uwagi na dotkliwe materyalne cierpienia ponoszone przez pracowite mrówki ludzkości. Nie myślę mu z tego robić zarzutu, bo każdy powinien działać w sferze, którą rozumie i odczuwa najlepiej; a że pozowanie nie leżało w naturze naszego poety, jest to jego zaletą.

Streśćmy uwagi nasze. Wielki zawód, wielkie rozczarowanie w młodości wylało się z początku tęskną bolesną skargą, potęgującą się stopniowo i zamieniającą się we wstręt do życia rzeczywistego, jakie widział przed sobą poeta. Lecz siły młodości nie dozwoliły mu zamknąć się w bezczynnej apatyi — wówczas niepokój wewnętrzny uczuć, wzmagany ciągłą pracą myśli, wylał się w szeregu pieśni, malujących zmienne nastroje duszy nadzwyczaj wrażliwej i subtelnej, którą raziły ustawicznie odwieczne, ale dla każdego młodego nowe kontrasty idealnych pragnień i niemocy ich urzeczywistnienia, pięknych haseł i zaprzeczania im w czynie, pozorów świetnych i dusz miałkich, powabu zewnętrznego i pustki w sercu

i w głowie. Ciężkie to było przejście, bo zarówno dla uczuć jak dla myśli było męką, ale przetrwał je poeta i potrafił zharmonizować swój dawny idealny pogląd na świat z wynikami nauki nowoczesnej i z dążeniami społeczeństw nowożytnych. Na nim sprawdziło się zdanie, że ból udoskonala, zdanie, które tak pięknie wyraził w swoim „*Chórze*“:

Kto obrał niezwykłe drogi,
Musi się zbroić na ból i męczarnie;
Wyniosłej głowy nie oszczędzą bogi,
Nie wolno wznieść się bezkarnie.
Lecz kara w tryumf zamienia się potem
Do dawnych blasków przyrzucając świeże:
Prawdziwa wielkość pod nieszczęścia młotem
Kształt doskonały przybierze!

V. Marya Konopnicka.

Po Asnyku największym rozgłosem cieszy się od lat wielu Marya Konopnicka; poezye jej są poszukiwane przez nakładców i czytane przez publiczność. Lubo wystąpiła na widownię literacką dość późno w porównaniu z innymi rówieśnymi poetami, gdyż pierwsze jej utwory zaczęły się ukazywać dopiero od r. 1876, a więc w dwanaście lat po pierwszych poezyach Asnyka; zdobyła sobie czytelników niemal odrazu, chociaż nie odrazu równie pięknie jak później śpiewała. Od czasu do czasu jakiś utwór nie licujący z pewnemi utartemi wyobrażeniami zwracał na nią uwagę baczniejszą, przysparzając jej z jednej strony zaciętych przeciwników, z drugiej — gorących wielbicieli.

Podobnie jak Asnyk stała z początku Konopnicka na rozdrożu pomiędzy tradycyami romantyzmu naszego, a wymaganiami doby realnej, która nasuwa poetce mnóstwo nierozwiązanych,

zwikłanych i bolesnych zagadek. Jak wiele dusz spółczesnych długo nie mogła przyjść sama z sobą do zgody wewnętrznej, długo szamotała się pełna niepokoju wśród dręczących ją wątpliwości, aż wreszcie osiągnęła pewny przynajmniej stopień ukojenia.

Chciałbym w tym szkicu naznaczyć główniejsze fazy jej rozwoju duchowego i jej talentu.

I.

Z początku, jak wszyscy niemal spółcześni poeci, zostawała Konopnicka pod przemożnym urokiem Słowackiego, korzystając obficie z jego bogatej i świetnej frazeologii, często bardzo tworząc wiersze w jego smaku, niekiedy pisząc nawet większe poemata, które dziwnie przypominały i rodzaj myśli i barwę fantazyi autora Balladyny.

Ciekawą wielce jest rzeczą, jak się starała nastrój i dykcyę tego czarownego fantasty nagiąć do opowiadania o rzeczach codziennych, powszednich a co najmniej, bardzo blizko przy powierzchni ziemi krążących.

Weźmy np. poemat niewątpliwie oryginalny: *W Szwajcaryi* i najdawniejszy, bo z roku 1877 poemacik Konopnickiej, który pragnie uchodzić za oryginalny: *Romans wiosenny.*

Z natury swego usposobienia Słowacki prze-

mienił rzeczywistość w obraz fantazyjny, rozkoszny, gdzie nieprawdopodobieństwa nawet razić nie mogą, gdyż całość otoczona jest mgłą poetyczną, a rzecz sama rozgrywa się nie tyle na twardej ziemi, wśród stosunków towarzyskich rzeczywistych, ale na niwie bogatej, świetlanej, pełnej blasków fantazyi wielkiego poety, który nie rzeczywistość odtwarzać, ale ją dostrajać do wyżyn swego życia duchowego zapragnął. Do tak pojętej treści wybornie się nadają rozwiewne porównania, eteryczne określenia, kapryśne epitety.

Inaczej z *Romansem wiosennym*. Tu kocha się dwoje ludzi zwyczajnych wśród otoczenia zwykłego. Niema tu ani gór, purpurą zachodzącego słońca okrytych, ani szaletów szwajcarskich, ani kaplicy Tella, ani szumiących wodospadów. *On* zobaczył *ją* w maleńkim dworku „*zgubionym* (!) w zieleni drzew“, o dachu nizkim, pokrytym „słomą poczerniałą“. Ona nie była „piękną, salonową“, zbroja zwyczajów i konwenansów światowych „nigdy nie strzegła jej piersi śnieżystych“; wiemy wszelako, że zamiast zbroi był na nich muślin. Bawili się ze sobą w „krzakach jeżyn, leszczyny i tarni“, zaglądali do gniazdka pliszki, przypatrywali się żabce zielonej, za barometr służącej, wreszcie rozmawiali i... zamieniali pocałunki. Rozstali się nie wiadomo dlaczego; on za nią tęsknił, a dusza jego „zraniona

i chora“ często się zwracała do owych chwil pięknych i drogich, które minęły niepowrotnie... Dotąd wszystko jeżeli nie zupełnie dobrze, to w każdym razie nieźle; chwile takie szczęśliwe i przypomnienia takie tęskne wydarzają się prawie każdemu młodzieńcowi i do wzruszeń skłonnej panience; każdy też mógłby je odczuć, a poezyę, o nich opowiadającą, ukochać jako wyraz prawdziwych wspomnień swych serdecznych.

Ale poetki nie zadawalnia treść zaczerpnięta z życia; oczytana w Słowackim, rada była dodać zwykłemu wątkowi jakiejś cudnej poetyckiej woni, coby wątek ten otoczyła atmosferą, od powszedniości odrębną. Cóż więc robi? Oto zamiast osobom swego opowiadania pozwolić żyć wśród ludzi; ona je wyosabnia, oddziela od świata. W poemacie Słowackiego takie wyosobnienie dziwić nas nie może: tam wszystko się odbywa w warunkach nadzwyczajnych. W *Romansie wiosennym* zaś jedne sceny dzieją się w warunkach zwykłych, inne w poetycznie zmyślonych; stąd dysharmonia treści i wykonania.

Przypuśćmy atoli, że się znalazła gdzieś para, nie mająca ani ojców ani matek, ani wujów ani stryjów, ani ciotek ani babek, ani przyjaciół ani przyjaciółek, idąca przez tłum samotnie; to przecież samo jej zachowanie się, same jej uczucia musiały mieć w sobie coś rzeczywi-

stego, coś realniejszego nad takie np. objawy, na Słowackim wzorowane:

Jam ją zobaczył; a *pierwsza ptaszyna*
Lecąca w niebo *podsłuchała dziwem*,
Że serce moje stało się lękliwem,
Że czegoś w gaju śmiała się olszyna,
Że się fijołki rozwiły dziś łzawe,
Że słońce weszło odmiennie jaskrawe...
Że ona miała oczy tak przejrzyste,
Jak niezabudka, kiedy na nią padnie
Rosa...

Dziecięco-naiwne gniewy zapewne inaczej się wyrażały, aniżeli w tej tragiczno-komicznej scenie z makiem polnym, który „stanął“ obok śpiącej:

. . . . . Krew we mnie zawrzała!
Ten polny maczek zdał mi się zuchwalcem,
Współzalotnikiem, zdrajcą i *padalcem*...
Z goryczą w sercu począłem rozważać
Jej dziwną płochość. Mogłaż się narażać
Na to sąsiedztwo? nie byłaż to zdrada?...
Uczułem zazdrość i gniew tak kipiący,
Żem zerwał szorstko, tuż nad głową śpiącéj,
Ten mak obrzydły i... zdeptałem nogą.

Zdaje się, że w całej tej dziecinnej awanturze krew nie miała nic do czynienia, że tu pracowała tylko wyobraźnia, przypominająca sobie rzeczy niegdyś czytane i reflektująca zabawnie, jakby z komentarzem estetycznym w ręku:

Ach! zrozumiałem, że zabijać mogą
Ludzie rywalów — *jam kwiat zamordował...*

A kiedy kochankowie mówią sobie: „kocham“, to, jak u Słowackiego nie wiadomo było, kto winien: czy on czy lilia: tak i tutaj taż sama fantastyczna panuje niepewność:

I dotąd nie wiem, czy róża, co dyszy
Lubem wzruszeniem, to słowo wyrzekła?
Czy ta konwalia, co się do snu kładła,
Czy ta wiewiórka, co w gąszczu przepadła,
Czy jasność dniowa, która nam uciekła?
Czy ja sam może?.. Kto zgadnie?.. Kto powie?..

Powody rozstania się, uosobione w plotkach rozniesionych przez „motyla“ pośród „żółte tulipany“ i „brzydkie makówki“, mogą być zrozumiałe chyba w poemacie fantastycznym, w którym się wszystkiego domyślamy tylko; ale w wątku z rzeczywistości wziętym wyglądają tak, jak wieżyczki gotyckie na dachu krytym „poczerniałą słomą“. Tak się kochają, i tak się rozstają jedynie mary wyobraźni przepojonej wspomnieniami świata, stworzonego przez autora *W Szwajcaryi.*

To oplątanie wątku rzeczywistego w sieć frazeologii romantycznej daje się uczuć dotkliwiej jeszcze tam, gdzie realizm szczegółów schwyconych z życia powinienby był skłonić poetkę do realistycznego traktowania całości.

Jeżeli np. autorka przedstawia biedną matkę, która sama nie ma czem dziecka nakarmić i otulić, to jakież wrażenie wywrzeć mogą na czytelniku takie puste frazesy:

Czy pójdzie prosić jasnego miesiąca
O srebrny rąbek,
By *cieplej miała* dziecinka jej drżąca,
Biały gołąbek?
Czy pójdzie prosić gwiazd, *żeby go strzegły*,
Bo matki nie ma?
Czy zaklnie *cienie*, by za nią nie biegły (?)
Jak *anatema?*
(Co pocznie?)

A trzeba zawsze pamiętać, że te romantyczne powiewy łączą się tu i plączą ustawicznie z osnową życia rzeczywistego wraz z jego bólami i klęskami.

Wyrobnik fabryczny, nieoświecony, nie może w głowie swej roić filozofii natury będącej zdobyczą nauki nowoczesnej; on ma swoją filozofię, to prawda; opartą jest na religii i doświadczeniu, ale trudno od niego żądać, by „czuł się cząstką i ruchu i siły, lecz nieświadomą i bierną jak dziecię“, gdyż to przechodzi zakres zwykłych jego wyobrażeń.

Sędzia, mający wydać wyrok, może wprawdzie jak filozof zastanawiać się nad przyczynami niemoralności nieletnich przestępców, ale nie zwykł przekraczać przepisów i pieścić tego,

którego miał osądzić, i obiecywać mu, że posyłać go będzie do szkoły; zrobić to mógł tylko prywatnie, a nie publicznie.

Takimi prozaicznymi drobiazgami gardzili co prawda fantastyczni romantycy, ale nie powinniby gardzić poeci dzisiejsi, pragnący otrzymać posłuchanie u społeczeństwa.

W całym pierwszym zbiorku poezyj Konopnickiej, wydanym r. 1881 w Warszawie, jest, mojem zdaniem, jeden tylko wiersz, w którym forma romantyczna nie zepsuła pięknej i zacnej myśli. Jest to wiersz p. n. *Jaskółka*. Budowa jego naśladowana widocznie z Lenartowicza:

Z za morza powraca!... ach leci tu, leci
Jaskółka pod strzechę, pod naszą...
A cichoż, ty bosa gromadko! sza, dzieci!
Bo krzyki ptaszynę wystraszą...

Przylatuje jaskółka i rozgląda się po wiosce, do której corocznie przybywa. Wszędzie widzi to samo: na drogach kałuże i wyboje, dachy garbate chat zapadają się, ściany się krzywią; na twarzach ludzi znękanie, dzieci wzrastają jak płonne kłosy na dzikim ugorze. Ona leciała z dobrą nadzieją, że zastanie nad wioską i słońce i błękit; a tymczasem spotyka się z zimą bez końca; więc woła smutna:

Och! Gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem,
Myśl zstrzęsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią
I lud-by się zbudził narodem.

W dworku szlacheckim pani domu spostrzegła jaskółkę i posłyszała jej skargi, że pod strzechą wieśniaczą bieda, a w główkach dziecięcych ciemno. Przemówiła więc do męża ciepło, serdecznie za oświatą ludu, za szkółką. W odpowiedzi posłyszała, że nauka dla chłopa to co najmniej rzecz rezykowna i że najlepiej nie myśleć o tem i czytać sobie gazety. Pani na takiej odprawie nie poprzestaje i, pobudzona głosem jaskółki, jeszcze goręcej do męża przemawia; napróżno!

Co?... może ja *pierwszy* mam zbijać wiatraki
Z poczciwym Kiszotem w zawody,
I brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki,
Sam gęsi zaganiać do szkody?
A może wziąć książkę i, siadłszy na trawie,
Nauczać z niej ludek, jak klecha?..
Stąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Być może, iż trudy się takie opłacą,
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety;
Lecz chłopu naszemu? jak, po co i na co?
Daj pokój!... czytajmy gazety!...

Jaskółka odlatuje od dworku z tęskną pro-

śbą do Boga o więcej światła i więcej ciepła, bo „zakrzepła ziemia rozbudzić się ze snu nie może“...

Wolno nazwać dość szczęśliwą poetycznie tę szatę, która morałowi odejmuje zbyt surowy, dydaktyczny wygląd; a szczęśliwą jest chyba dlatego, że wzięła ją poetka ze skarbca twórczości ludu, tej najgłębszej warstwy w historyi kształcenia się narodu.

Jak w zakresie obrazowania poetycznego, tak też i w sferze myślenia, romantyka dawna przebija się wyraźnie, w tym pierwszym zbiorze poezyj Konopnickiej, poprzez wyniki dzisiejszego pojmowania rzeczy.

Surowe warunki rzeczywistości, zdobycze ciągle rozwijającej się nauki, trzeźwe usposobienie panujące wśród inteligentnego ogółu, podziałały na poetów doby spółczesnej, zmusiły ich do poważnego zastanawiania się nad własnemi uczuciami i zdaniami, nad zagadnieniami chwili, nad potrzebami społeczeństwa. Ten zwrot w siebie a równocześnie skrzętne rozglądanie się wokoło wytworzyły w poezyi naszej wybitny nastrój refleksyjny, który powagą i surowością swoją zaciężył nad istotami „lekkiemi i świętemi“ (jak poetów nazwał Platon) i wtrącił je w stan niezwalczonych zwątpień, a przynajmniej mroku myśli i dążeń, który wywołuje równie mroczne, niejasne, ze sobą częstokroć sprzeczne natchnie-

nia, będące odbiciem chwilowych wrażeń lub chwilowych usposobień.

Konopnicka była wymownym odgłosem takiego nastroju, który w masach „ukształconych“ panował, powodując bolesne przejścia wzlotów w niebo i opadań na ziemię, wątpień i goryczy, przykrych rozpamiętywań i sarkazmów.

Niepokojona smutkiem, targana boleścią poetka szuka ciszy „w świątyni tajnej przyrodzenia“, w której dzieli ją od świata milczenie. Nie jest szczęśliwą, nie może i nie chce patrzyć w słońce, więc spuszcza oczy na dół, a łzy pokrywają źrenicę. Już ją strudził przybrany uśmiech, niezgodny z ciemnią w jej duszy; pragnie być sobą *(Echa majowe,* str. 150). Tak bywa w pewnej chwili; w innej — wprost przeciwne życzenie duszą poetki zawładnie; wtedy błagać będzie:

Niech ja zapomnę, że nade mną ciążą
Minione wieki posępną żałobą...
Niech mnie ustawy, niech prawa nie wiążą;
O! niech zapomnę, że *muszę być sobą!*...

To, co w pierwszym razie było ucieczką przed światem i jego sprawami, staje się teraz męczarnią nie-do-zniesienia; więc poetka nie chce nic widzieć, ponieważ każda rzecz przypominałaby własną jej istotę:

Zasłoń mi oczy, ty chmurko rozwiana,
Której cień nikły jasność dzienną mroczy...
Z oddechu kwiatów, z łez zdroju utkana,
Chmurko srebrzysta, ach, zasłoń mi oczy!
(Ostatnie piosnki, str. 304).

Jeżeli rozmyśla nad znaczeniem kobiety w ludzkości, to nauczona doświadczeniem, umie podać wiele trafnych określeń, mianowicie przeczących, czem miłość być nie powinna:

Posłuchaj! „kocham“ to nie znaczy wcale:
„Chcę być pieszczoną w twym domu królową;
Chcę iść przez życie drogą kwieciem słaną;
Chcę w pocałunków twoich tonąć szale;
Chcę, by mi słonko świeciło co rano;
Chcę, by co wieczór lampę djamentową
Srebrzysty księżyc palił mi nad głową;
Chcę, byś dzień cały mojego szczebiotu
Słuchał i zawsze witał mnie uśmiechem;
Chcę, byś mi pieśni śpiewał wraz z słowikiem:
Chcę żyć z twej pracy i z twojego potu;
Chcę, byś był moim cieniem, mojem echem,
Odpowiedzialnym za mnie niewolnikiem“.

Nie może jednak poetka zapomnieć o przesadzie romantycznej i twierdzi, że miłość kobiety „nie tylko szczęściem jest, lecz *złotą wagą, co byt wszechświata* utrzymuje w ruchu“, że kobieta nie powinna przykuwać „do trosk nędznych, ciasnych“ mężczyzny, co „przywykł na myśli

podmuchu wzlatać jak orzeł po najwyższych szczytach i gniazdo zwijać w błękitach". Zapomina w uniesieniu, że dawne to już czasy, kiedy gniazdo w „błękitach" zwijano i że obecnie idzie nie tyle o wysokie „podmuchy" myśli, ile o rozumne zużytkowanie tego, co się ma na ziemi, chociaż się przez to prawdziwych ideałów nie zrzekamy.

Jeżeli poetka chce dawać rady, to znajduje w zapasie wiele myśli trafnych, uczuć jędrnych, energicznych. Umie ona wypowiedzieć słowa prawdy tym wieszczom, co się skarżą na wiek „ważący i mierzący ideały", na bezechowość pieśni, na wyścig do złotej mety i słusznie poniekąd utrzymuje, że jeżeli poeci znajdą ton, co jest tętnem stuleci, to znajdą się także miliony serc pieśnią wzruszonych (*Fragment*, str. 147). Podobnież potrafi słowami pełnemi energii zachęcać do wytrwania, gdyż wie, że „póki w ciemnocie choć jeden duch kona, nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy w ciszy własnego istnienia". Woła więc:

Bądź silnym! życie swą wagą przygniata
Tych, co bez steru świadomej zasady
Wśród zdarzeń, zjawisk i sprzeczności świata
— Błądzą, wypadków uniesieni ruchem,
Własnym swym czynom nieobecni duchem,
Jako lunatyk ów blady...

Pojmuje znaczenie i doniosłość energii:

Ten, kto nieść będzie pochodnię nadziei
I zatknie sztandar zwycięstwa na szczytach;
Kto ducha swego odciśnie z lwią siłą
Na wieku swoim; ten, komu ta cała
Ziemia jest jakby niezastygłą bryłą,
Co jego piętna czekała:
Ten tylko imię człowieka wysłuży
W nieśmiertelności błękitach.

Atoli te przekonania, wzniosłym poglądem nacechowane, były tylko jakby szatą odświętną, przybraną dla niezwykłych gości; w domu, u siebie, przy ognisku domowem ducha, doznaje poetka trwóg i niepokojów nieokreślonych i może tem bardziej dręczących, które scharakteryzowała, mimowolnie zapewne, w czterowierszu:

Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata
Myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata
I wskroś przeniknąć pragnie nurty mętne
I w ciszę rzuca pytania namiętne...

Istotnie, forma pytań, w którą ujęte są liczne wiersze, jest właściwością Konopnickiej, bijącą odrazu w oczy; sama poetka starała się usprawiedliwić ją w wierszu p. n. *Nic dziw się*. Odpowiedzi nikt mi nie dał jeszcze — powiada — idę więc i w próżni chwytam jakieś przebłyski dalekiego świtu; lecz to są tylko nagłe błyskawice, ze starcia myśli wynikające; słyszę jedy-

nie łkania, skargi i bluźnierstwa na bezlitośne tajnie życia. Idę w pomroce zwątpień, któremi trują się dziś duchy. Cóż obecnie pozostało niezachwianem, wiecznie pewnem, niezłomnie prawdziwem? Bladzi badacze, co się w nędzy własnego istnienia grzebią, jak w ziemi na pół ślepe krety, odarci z uciech, a nieraz i z cześci, samotni, mają w piersiach krwawą ranę i wiedzą, ile poczucia smutku i niemocy jest w tem jednem słowie: *dlaczego?* — gdy je rzucają wśród bezsennych godzin „w niebo, co w gwiazd swych srebrzystej poświacie stoi nad ziemią, jak badań otwarta droga“...

To też poetka, odczuwając „z śmiertelną trwogą i goryczą“ znaczenie tego pytania dla ludzi, w jego formie roztacza przed czytelnikami swe wątpliwości i niepokoje — i wtedy pozostaje zazwyczaj w zgodzie z chłodną rozwagą. Często wszakże pragnęłaby niecierpliwie pochód myśli ludzkiej przyśpieszyć i rozwiązać czy rozciąć dręczące ją węzły zagadki, — a wówczas usiłuje pójść tam, „gdzie tchnienia czas nabiera w biegu, gdzie przestrzeń linije swe rozmierza, gdzie nicość uderza w życie jak piorun“; wówczas przedsiębierze „wieczne ogniwa liczyć, aż prawda zrzuci zasłony obłoczne“. Metafizyka-to, co prawda, nieszkodliwa, chyba dla bardzo słabych główek; podobnie też z uśmiechem

można się przysłuchiwać buddaistycznym marzeniom:

Zabierz mnie, srebrna, ach, zabierz mię w siebie
Ty, wstęgo mleczna!
Roznieś mnie, wietrze, po ziemi i niebie,
Gdzie cisza wieczna!
Albo mnie z czoła zrzuć, cichy błękicie,
Jak iskrę marną...
Albo mnie, ptaszki, pochwyćcie o świcie
Nad ziemię czarną!
I niech w przestrzeni zagasnę nareszcie
Jak błysk, co znika;
A wy mnie, szumy, po drzewach roznieście,
Gdzie puszcza dzika!

Tak-to poetka, która innym zalecała odciśnięcie pieczęci własnej na duchu wieku, sama kończy życzeniem rozpłynięcia się we wszechświecie.

W takim stanie ducha nie można być przodownikiem żadnej myśli; można tylko „amplifikować“ pomysły, jakie w danej chwili wyobraźnię naszą skądkolwiek uderzają, można być echem jedynie tego, co się mówi i pisze w świecie ucywilizowanym.

Nie bez rozmysłu użyłem tu słowa „amplifikować“; zdaniem bowiem mojem talent Konopnickiej w początkach swego rozwoju miał przeważnie barwę retoryczną, nie zaś czysto-poetyczną. Autorka pragnęła przekonać o jakiejś prawdzie,

siebie czy kogoś innego, i dlatego tworzyła wiersze; *rozumowanie* zajmowało w nich więcej miejsca aniżeli *obrazowanie*. Zdolności plastycznej w wyższym stopniu nie posiadała prawie wcale, dowodem tego są dwa jej opowiadania: *Klaudya i Tarcza Scypiona*, tudzież cała serya wierszy, zatytułowana: *W górach*.

Treść *Klaudyi*, poczerpnięta widocznie nie z Liwiusza, lecz z jakiegoś mętniejszego źródła, albo też dowolnie a niezbyt zręcznie przez autorkę przetworzona, nadawała się przecież do pięknego obrazka historycznego. Konopnicka nie starała się bynajmniej o koloryt miejsca i charakterystykę czasu, a nawet zaniedbała opisu postaci, który składa się albo z oderwanych ogólników, albo z takich określeń jak: Valerius Falton „*o wspaniałej brodzie*“. Liczne osobistości przesuwają się poprzed oczyma naszemi jak cienie, niczem się w pamięci nie zaznaczając, a bohaterka sama, Klaudya, nie charakterem swoim, ale zdarzeniem, w które jest wplątana, zarysowuje się w naszym umyśle. Rzymianie noszą nazwiska *Hannonów*, augurowie wzywają *Hermesa*... Wartość opisów poznać można z następnego kawałka: Augur dojrzał na morzu Klaudyę w łódce i poszepnął jej imię...

. . . . . Była chwila
Ciszy wśród tłumu po tym szepcie; echa
Tylko nadbrzeżne, miękkie i pieszczotne,

Szepnęły: Klaudja!... i umilkły drżące,
Jakby to imię miało samo z siebie
Jakieś oddźwięki namiętne, palące,
Od których więdną kwiaty i *wilgotne*
Rosy zajmuje płomień, a na niebie
Gwiazdy blednieją i lecą strącone...

Mało co lepszą od *Klaudyi* pod względem plastyki jest *Tarcza Scypiona*, w której wspomnienie walki Rzymian z Kartagińczykami łączy się z przygodą rybaka, co w 18 wieków po niej tarczę wodza rzymskiego z Rodanu wyciągnął... Jak niefortunne są tu niekiedy porównania, można osądzić z kilku wierszy:

Wiosenne wody przybrały z gór stoków...
I nowe wiry zerwały się z szumem,
Kręcąc się niby *zaklęte wrzeciona*,
Co przędą tęczę i promienie słońca...

Obrazki natury górskiej, pod wpływem podobnych utworów Asnyka kreślone, nie mają wcale życia; są studyami pracowicie odrobionemi, w których autorka wysilała się na odmalowanie piękności przyrody, nie odczuwając jej głęboko. Jakież wrażenie wywołać może taki np. obrazek:

Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie
I odjął — i stanęła tu piękność w osłonie
Dziwnego majestatu: smereki zielone
Zaplotły jej koronę szmaragdów na skroni.

A kształty jej *przepysznie* rzeźbionego ciała,
Niby grecka draperya, mgła lekka owiała...

Nawet w późniejszych o wiele utworach epicznych takich jak: *Imagina* (1887), *Wojna* (1888), *Pan Balcer w Brazylii* (1892), lubo nieporównanie wyższych pod wielu względami od wspomianych tu prób początkowych, plastyka osób i sytuacyj bynajmniej świetnie się nie przedstawia.

Brak uzdolnienia plastycznego nie przeszkadza jednakże barwności, świeżości i wykwintowi dykcyi, którą można w sobie wyrobić. Dykcyą też głównie celował z początku talent Konopnickiej. Przy pomocy amplifikacyi, to jest określania tej samej rzeczy w sposób najrozmaitszy, umiała poetka wypowiedzieć wiele pięknych myśli, co jej zjednały rozgłos szeroki. Taki retotyczny charakter mają najpiękniejsze jej poezye w pierwszym zbiorze zawarte: *Z dziejów pieśni, Fragment* (str. 147—8), *Tęsknota, Z dni smutku, Co to jest życie, Bądź silnym, Ty mi się nie dziw, Fragment II* (str. 269—272), *Nie skarż się, Do kobiety*. Potrzebaby wiele ustępów cytować, ażeby piękność tych poezyj uwydatnić, ażeby wskazać, jak umiała się poetka przejąć temi dręczącemi zagadnieniami, które rodziły i rodzą niepokój w duszach. Poprzestanę tu z konieczności na wyjątkach *Z dni smutku:*

O! dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,
I niech się niebo drzwiami błękitnemi
Otworzy i Bóg niech słucha!
Czy Tobie, Boże, imię: „grom i burza“
Że świat Twój w ogniach się nurza?
Czy Tobie, Boże, imię: „błyskawica“,
Że mu miecz nagi przyświéca?
Czy Tobie imię: „śmierć i wytępienie“,
Że się krwi leją strumienie?
Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy
Iskrą ci prysła z źrenicy?
Czy, jeśli bóstwo boleść uczuć może,
Łzą z oczu padła Ci, Boże?
Czy, gdyś ją cisnął w wir światów bez końca,
Smutkiem ściemniała twarz słońca?
Czy padł cień zgrozy w nieskończoność jasną,
Gdyś wydziedziczył myśl własną?
. . . . . .
Dech tracąc ludzkość, jak nurek, zapada
W otchłań, gdzie perła lśni blada,
I tysiąc śmierci widzi w tej głębinie...
Ach! czy ze skarbem wypłynie?
. . . . . .
W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,
Cichy myśliciel — ustawę pokoju,
Mędrzec — pęk światła słonecznego z nieba,
Nędzarz — pot krwawy i czarny kęs chleba,
Bohater — sławę, genjusz — swoje trudy,
Życie — swe prawa i swoje zjawiska,
Duch — swą tęsknotę, dzieje — całe ludy;
Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska...
A przecież, dotąd pragnieniem ziejąca,
Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca...

Wogóle biorąc, główną zaletą wymienionych dopieroco poezyj jest jakaś myśl piękna; główną wadą — rozwodnienie tej myśli; w przeważnej części, gdyby utwory były krótsze, zyskałyby na tem wielce. Autorka dawała się porywać obfitej swadzie, nie układała rozumowań swych w jakieś artystycznie obrobione szeregi, ale spisywała swe pomysły, jak się same nasuwały; a ponieważ, jak wiadomo, wyobrażenia nasze, puszczone swobodnie, ulegają prawom kojarzenia się, więc częstokroć to samo pojęcie w różnorodnych obsłonkach w kilku miejscach utworu powraca. Tak np. w wierszu p. n. *Credo,* w którym poetka od początku do końca powiada, w co wierzy, wiara w braterstwo ludów zjawia się czterokrotnie:

1. Wierzę w braterstwo ludów...
2. Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały...
3. Wierzę, że z drobnych iskier, skrzesanych przez dzieje,
   Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje...
4. Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte...

Gdybyśmy w ten sposób *Credo* autorki poddali ścisłemu rozbiorowi, okazałoby się, że zamiast długiej, 38-wierszowej litanii artykułów wiary, możnaby, z wielkim dla jasności pożytkiem, co najmniej 20 wyrzucić. Skłonność do retoryczności posuwała się wtedy u Konopnickiej tak daleko, że całe stronice zapełniała je-

dnym okresem preciwstawnym (jak np. trzy stronice wiersza p. n. *Głód);* napisać tak da się, ale jak to wygłosić? Potrzeba mieć chyba płuca olbrzyma.

W dykcyi, pięknej zresztą i poprawnej, zauważyć można było powtarzanie tych samych porównań, a szczególniej wyrażeń. Uderzającą mianowicie była predylekcya, odziedziczona po Słowackim, do przymiotników: *biały* i *blady*. Nie starając się o wyczerpującą statystykę, zanotowałem następne tych wyrazów połączenia. Najprzód: powój biały, brzoza biała, róża biała, kobieta na piersiach kochanka jak róża biała, obłok biały, bóg biały; — następnie: płomień życia biały, dobro o czole białem od promieni, kobieta promienna i biała, płaczki białe, próg białej świątyni, tron biały ideałów, idea biała, białe ideały nieskończoności, skrzydła białe piosenki, duch poezyi biały... Oprócz tej *białości*, nie mniej ponętna *bladość*: trubadur blady, światłość blada, życiowa burza blada, promyczek blady, zgroza blada, tęsknota blada. Obok tych epitetów można umieścić: nocy *cień perłowy*...

Może ktoś poczytywać taki wykaz epitetów za objaw stylistycznego pedantyzmu. Zapewne, gdyby nas zachwycała treść, pochłaniając całą uwagę, nie mielibyśmy nawet czasu na spostrzeganie usterek formy; atoli gdy forma w znacznej części musi wynagradzać niedobory treści,

mimowoli stajemy się skromnymi i nie możemy ukryć przed sobą, co nas przy czytaniu razi, zwłaszcza gdy zważymy, że owe zbyt często powtarzające się epitety wywołane były zwykle potrzebą rymowej końcówki.

II.

Niebawem po pierwszej pojawiła się druga serya poezyj Konopnickiej (1883, Warszawa). Są w niej i cechy dopiero co zaznaczone, ale są i nowe. Są myślowo rzeczy niezupełnie dojrzałe, są wzloty niepewne, ale znajdują się już pieśni pełne prostoty. Uwydatniła się tu głównie tendencya ludowa, w zasadzie zasługująca na całkowite uznanie, lecz nie zawsze szczęśliwa w sposobie swoich objawów.

Weźmy np. pod uwagę wiersz p. n. *Z szopką*. Wystawiła w nim poetka czworo bosych dzieci z odkrytemi główkami, stojących przed dworskim gankiem i drżącymi od zimna głosami śpiewających kolędę. Jedno z dzieci nagle zamilkło i zaczęło rozmyślać, dlaczego-to na wsi taka bieda i taka ciemnota, dlaczego to dwór nie okazuje prawdziwej względem chłopów miłości:

Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może...
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolędą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,

Żeby kto z dworów do chaty przychodził
I mówił: bracia, Chrystus się narodził.

Poetka wtóruje smutnym rozmyślaniom dziecięcia i jako przestrogę dla dworów, nie pojmujących swego względem ludu obowiązku, podaje słowa:

Och, aby tylko wiekowi przyszłemu
Grom pomsty twego nie powtórzył: czemu?!

Niektórzy oskarżyli autorkę o nieprawdę w malowaniu stosunków wiejskich, a co gorsza, o rozmyślne jakoby jątrzenie i waśnienie warstw społecznych. Konopnicka odpowiedziała im wierszem p. n. *Co ja sieję*. W przewidywaniu dnia „wielkiej przyszłości“ poetka stara się budzić uczucia miłości, zgody i braterstwa, by i silny i słaby utworzyli jedną całość i pracowali dla wspólnej doli; — lecz „serca w tłustości własnej osiadłe i skrzepłe bezruchem, co w spokój zwodniczy chcą ukołysać sumienie — upiora“, chłoszcze biczem, niewątpliwie pragnąc ich poprawy.

Gdyby Konopnicka na tem poprzestała, całe nasze spółczucie i całe uznanie nasze byłoby po jej stronie; lecz poetce uśmiechnęła się rola przedstawicielki i mścicielki ludu, rola Słowackiego odpowiadającego autorowi Trzech Psalmów; więc zapewniając o przyszłych losach tonem prorokini: „ja wam to mówię — ja mówić

mam siłę!“, oświadcza, iż ona ducha swego i krew swoją sieje, iż ziarno jej jest zdrowe i płodne i czyste, iż pragnie wstrząsnąć ziemię jak grzmot wiosenny, „aż *jutro* z niej wstaną ludzie godniejsi piastować to miano“, a w końcu przepowiada swoim i ludu przyjaciołom, iż kiedy „przyjdzie w słońca promieniach duch boży“, to „razem z mrokami nocnymi, z krzywdą, z niedolą i z hańbą i z nędzą duchy światłości obłudnych rozpędzą, a *pająk* (?) własną udusi się przędzą“; sobie zaś zawczasu daje zupełne odpuszczenie grzechów:

A teraz rzućcie, gdy chcecie, kamieniem.
Ale zaprawdę, jeżeli ja wzruszę
Pieśnią choć jedną zakrzepłą w lód duszę,
Jeśli choć jedną łzę bratnią osuszę:
Kamień — u nóg mych *upadnie ze drżeniem!*

Zamiłowanie frazesu nie liczącego się z zasadą, iż gniew próżny, gdy sił niema, pociągnęło autorkę aż na granicę śmieszności, a sprawie przez nią bronionej żadnego przynieść nie mogło pożytku. Można wszelako i należy wytłomaczyć sobie ten brak miary w wyrażeniu tą okolicznością, iż poetka, osobiście dotknięta, nie władała swojem uczuciem; a takie wyjaśnienie tem skwapliwiej przyjmujemy, iż w chwili spokojniejszej potrafiła ten sam stosunek, który ją w rozdrażnienie wprowadził, przedstawić w spo-

sób istotnie rozumny i zacny. Mam tu na myśli króciutki wiersz p. n. *Na progu:*

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa;
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Nie łatwo przed wzruszeniem serca przyjść do słowa.

Gdzie my od was odbiegli?... gdzieście wy zostali?...
Czemu nie razem w górę poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj — wielcy, a wy czemu — mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?

O, bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! — to my was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ach, i bardziej smutni!

Wiersze te wprawdzie to nie poezya, to wymowa, piękna i przekonywająca, ale tylko wymowa; taka już była właściwość talentu Konopnickiej, że myślom i poglądom rozumnym długo nie umiała sprawić szaty istotnie poetyckiej. Rzeczywiście te utwory, w których tętni myśl świeża, odbiciem prądów nowoczesnych będąca, są i w tym jeszcze zbiorze poezyj bez wyjątku retorycznie tylko pięknymi. Takim np. jest *Fragment V*, gdzie poetka wylicza pierwiastki siły i szczęścia ludzkiego; taką jest *Pieśń noworoczna*, gdzie nawołuje do pracy bezustannej, do wpatrywania się w tę słoneczność, „co z przyszłych dni wschodem zabłyśnie na ziemi“, a każe

odbić ochoczo od brzegów przeszłości, „żegnając dni stare, kto pieśnią, kto łzami“...; takim jest *Fragment IX*, w którym widząc czy przeczuwając zmiany w ustroju i przekonaniach społecznych, ową burzę, co świat ma zawichrzyć, pragnie zbudzić tego, „co karmi łaknące, poi spragnione, nagie okrywa krajem swej szaty“.

Wymienione tu trzy utwory nie są jedynymi o treści podniosłej w drugim zbiorze poezyj Konopnickiej; wiadomo bowiem, że poetka nasza lubiła przebywać w sferze oddalonej od ziemi, w krainie cichej i pogodnej, „gdzie nikt uroków nie zburzy ołtarza, gdzie milkną żądze i krwi fale chłodną, gdzie się płomieniem nie zajmują lica, gdzie wzrok głębiny duchowe odkrywa“, — a nawet tak mocno się troskała o swój poetycki majestat, iż się lękała, ażeby jej nie znieważył pył ziemi. Co więcej zamiłowanie to przemieniało się niekiedy w jakąś chłodną namiętność, która lubi zbytkować w abstrakcyach podniebnych i nie pozwala widzieć rzeczywistości poza niemi.

On se lasse de tout, même du sublime — zauważył Balzac, a prawdziwość tego spostrzeżenia odczuwa nieraz czytelnik w tych wysoko nastrojonych poezyach Konopnickiej, w których „mdlejące przestrachy niosą tęczowy płaszcz Boga“, a dusza poetki „cała *błękitnieje*, jakby w niej gwiazdę rozpalił kto *złotą*“; w których

„*przepaście* toczą skałę Syzyfową wiecznych zagadnień istnienia“, a poetka pragnie „trochy słońca w *konwalii kielichu*“; w których żar piersi poetki „przechodzi w bijący puls ziemi“, a Bóg zlatuje w jej duszę „jak one *strwożone gołębie*, co widząc *chmurę, stojącą w żałobie burz i piorunów* nad stawu błękitem... lecą i... biją w wód szybę“...

Czasem sam pomysł bywa dobry, ale autorka jakby naumyślnie psuła go mnóstwem amplifikacyj, osłabiających tylko wrażenie. Pięknym jest wiersz, gdzie Konopnicka powiada, że wszystkie łzy ludzkie policzone są u Boga i dodaje: „Co?... policzone? — co? — i... nie otarte?“ Zwięzłość wywołuje tu efekt niepospolity. Lecz gdy następnie w kilku osobnych poezyach a zwłaszcza w wierszu: *Ja się nie skarżę* ta sama myśl w różnych postaciach retorycznych powraca, to wobec tych produkcyj czytelnik zachować się musi jak wobec ćwiczeń, których jedynym celem — pokonanie trudności stylowych.

Branie na egzamin Pana Boga i wypytywanie go, czem jest, co robi i dlaczego tak robi, tem przykrzejsze robi wrażenie, iż egzaminatorka pytań nawet stosownie postawić nie usiłuje. „Czy Ciebie duchy zrodziły w boleści, jak matka rodzi swe dziecię?“ — pyta np. Pana Boga. Jeżeli poetka zna tajemnicę duchów i ich rodzenia się, to kwestya powstania jednego z nich jest już rzeczą podrzędną; jeżeli zaś tajemnicy

tej nie zna, to i odpowiedź Pana Boga nic-by jej nie rozjaśniła... „Wstań w blaskach słońca — mówi znów do Boga — lub wróć się do rdzenia wiecznych tajemnic!“ — a więc autorka nie pragnie właściwie wcale żadnego rozjaśnienia, a przynajmniej ze sposobu odezwania się wnioskować można, iż jej wszystko jest jedno, czy poznać Boga w słonecznym blasku prawdy, czy też wiedzieć, że on jest tajemnicą niezgłębioną, gdyż wówczas — jak powiada — zdroje zwodnicze już jej pragnienia drażnić nie będą!... Z tych i wielu innych splątanych węzłów ujawnienia myśli możnaby przypuścić, że poetka albo sama wartości i wagi wyrazów nie oceniała, albo też, że bawiła się wybujałymi floresami retorycznymi.

Nie tylko wszakże w sferach podniebnych, w które tak lubiła się wznosić, lot poetki nie był pewny, lecz i na ziemi, której pył tak ją przerażał, niezawsze równym postępowała krokiem.

Jest w drugim zbiorze jej poezyj dziesięć utworów napisanych w podróży. Poetka, naśladując Mickiewicza, starała się zakołatać tęskną pieśnią do serca czytelnika, przypominając mu ciągle, że jest na obcej ziemi i że tęskni do swoich... Zapomniała tylko, że pomiędzy jej podróżą a wycieczką Mickiewicza do Krymu zachodzi pewna dość ważna różnica. Wieszcz nasz

nie wyjechał dobrowolnie i nie mógł wrócić do kraju rodzinnego; tęsknota jego jest zrozumiała i każdy, kto odczuwać cudze cierpienia umie, potrafi znaczenie jej ocenić; Konopnicka zaś lada chwila mogła się była napoić wonią łąk i nasłuchać głosu fujarek rodzinnych, jeżeli naprawdę do nich tęskniła; stąd trudno spółczuć jej westchnieniom teatralnie na pokaz wystawionym. Dramatyzowanie uczucia swego równa się niemal jego sfałszowaniu; dlatego też piękne nawet liryki, jak np. VI str. 251 tracą urok, gdy podpis: *Ischl* przypomni nam intencyę, z jaką zostały napisane. Do udanej tęsknoty przyłącza się tu niekiedy udana naiwność i sprawia wrażenie niesmaku. Tak np. poetka bawiąc w Ischl, przygląda się słońcu i pyta: „Ty tutaj, słonko? — A *kto* tam świeci nad wioską naszą lichą“ — i wyliczywszy dwadzieścia kilka rozmaitych *kto* z właściwą sobie retoryczną swadą, zapędza słonko „do miłej naszej wioski“, bo — powiada — „tam jej przyjdzie zmarnieć bez ciebie od tęsknot i troski“. Czyżby przypuszczała poetka, że wraz z nią wyjechało z Mazowsza i słonko, a w wielkiej swej troskliwości o losy ludu, wysyłała słońce przynajmniej do ich dopilnowania, zanim sama przyjedzie?...

Nie chciałbym jednakże, aby słowa powyższe miały podawać w wątpliwość uczucia poetki względem doli wieśniaczej, która rzeczywiście

zajmuje ją mocno, a dowodem tego zajęcia są liczne poezye ku obronie słabych i biednych napisane, oraz wiele piosenek, osnutych na motywach ludowych. Bo Konopnicka, jako istota wielce wrażliwa, lubo w sferach podniebnych przebywać-by pragnęła, schodzi jednak do chat nizkich, zapominając o swym wstręcie do pyłu ziemi. Przyznaje się nawet, że „nigdy nie spocznie w błękitnej tej ciszy, gdzie duch, ukojon oddechem wieczności, zaledwo czuje i zaledwo słyszy namiętne skargi ludzkości“, że „nigdy nie dojdzie do olimpijskich słonecznych tych szczytów, kędy łez niema i niema zachwytów, lecz tron wieczystej pogody“ (str. 57). Możnaby jej wprawdzie zrobić wyrzut, po co zapraszała czytelnika, żeby poszedł z nią w ową krainę cichą i pogodną, gdzie nikt uroków nie zburzy ołtarza itd. (str. 215—217), jeżeli wiedziała, że do tej krainy nigdy nie dojdzie; — ale na to poetka odpowiedziałaby zapewne, że serce jej „nakształt błyskawicy, co rozpłomienia ciche noce wiosny, pali się — gaśnie i w zmrokach ciemnieje — i leży w piersiach jak kamień na grobie i znów się zrywa jak ptaszę i mdleje i samo dla siebie ma nieraz pogardę“... (str. 243). Wobec takiego wyznania, którego ani komentować, ani tem bardziej lekceważyć nie myślę, wykazywanie sprzeczności między różnemi formułami wiary poetyckiej byłoby zbyteczne. Przy-

jąć tylko należy za fakt zmienność nastrojów duszy — i stąd zmienność poglądów i nuty.

Konopnicka powiedziała w jednym wierszu:

Ja będę latać jako ptak zraniony
Nizko, nad ziemią tą, co w bólach kona,
Bym mogła objąć z miłością w ramiona
Smutnych miljony!
I jak jaskółka bijąc w skrzydła drżące,
Latać ja będę nad nizkie zagrody,
Nad pola nasze i lasy szumiące
I modre wody.

Program wyrażony w pierwszej strofie, spełniła poetka w szeregu „obrazków“, przedstawiających to niewinność dziewczęcia narażoną na szwank, to śmierć biedaka z braku pożywienia i ciepła, to niedolę dziecka przedwcześnie zwiędłego a sprzedającego świeże kwiaty, to wspomnienie piosnki rodzinnej wśród bachanalij lupanaru, to boleść matki poborem rekruta wywołaną.

Obrazki te nie mają artystycznego wykończenia, nie są zupełne, prócz jednego p. n. *Chłopskie serce;* wyszukana frazeologia psuje bardzo często wrażenie: „Noc *zraniona ostrzem złotej strzały*“; „dzieweczka drobna, niby obrazek *godny dyletantów*“; włosy *płowe* obejmujące dziewczynę w *srebrną kaskadę* i tym podobne nielogiczne lub niesmaczne wyrażenia, połączone z ty-

radami sentymentalnemi, albo myślami górnemi, włożone w głowy prostaczków, jako niezastosowane do treści, rażą dysharmonią. Wogóle zauważyć trzeba, że obok szczęśliwych porównań i właściwych epitetów, znajdujemy i w tym drugim zbiorze jeszcze tak dziwnie niestosowne, że trudno zrozumieć, jakim sposobem mogła ich użyć autorka, ubiegająca się o styl piękny. „Berło zapału“, „makata z łez i potu“, „rozperlone powietrze“, „kwiaty *wysrebrzone* w *płowe* rosy“ — oto przykłady przenośni. W epitetach, oprócz zaznaczonej już poprzednio predylekcyi do przymiotników: *biały* i *blady*, powtarzających się nieustannie, przybyły w tym drugim zbiorze jeszcze dwa ulubione: *srebrny* i *błękitny*. Czytamy więc: o srebrnej łzie, o srebrnem złudzeniu, o srebrnej tajemnicy, o srebrnych harfach mórz, o srebrnych błękitach; — a dalej o ciszy błękitnej, o obszarach błękitnych, o błękitnych marach, o błękitnych powojach, o błękitnych jasnościach, o gwiazdach, sferach, głębinach błękitnych, o cichem błękitnem dumaniu, o duszy, co błękitnieje jak prawda odwieczna, o zmierzchu obłękitniającym świat itp.

Prostotą odznaczają się tylko pieśni z melodyj ludowych. Jest ich 12 p. n. *Na fujarce*, 13 p. n. *Z łąk i pól*, 5 p. n. *Wieczorne pieśni*. Są to jedyne istotne liryki w całym zbiorze, nie wszystkie jednakiej wartości, ale prawie wszystkie

wolne od owej wymuszonej frazeologii, która znużyć w końcu musi. Pieśni te są wprawdzie bardzo jednostajne z przewagą smutnego nastroju; widnokrąg ich zawsze ten sam; w obrobieniu można dopatrzeć śladów maniery; — ale bądźcobądź prostota pomysłu i dykcyi właściwym sobie urokiem podbija czytelnika. *Na fujarce* wygrane pieśni w szczegółach tylko i to niewielu mogłyby uledz krytyce; *Z łąk i pól* najładniejsze są: VII, IX, XI; z *Wieczornych* — niektóre strofy. Oto choć jeden z tych utworów dla uwydatnienia różnicy tonu w porównaniu z innymi:

A żebyś ty jasne słonko,
Wiedziało,
Co na ziemi jeszcze cieniów
Zostało,
Nie padałobyś tak rychło
Za góry,
Za te lasy w płaszczu tkanym
Z purpury.

* * *

Krótki dzionek do wieczora
Od wschodu....
Nie roztaje pierś zakrzepła
Narodu...
Nie nabiorą światłem myśli
Człowieka,
Kiedy słonko tak mu prędko
Ucieka!

* * *

Oj, żeby to już nad ludźmi
Smutnemi
Uderzyła jasność ducha
Po ziemi.
Żeby w światło się podniosły
Powieki!
I przyszłości dzień już nastał
Na wieki!

Osiągnięcie takiej prostoty w wyrażeniu uczucia serdecznego to już ogromny krok naprzód w rozwoju talentu poetki. Odtąd postępował on szybko...

III.

W dusznych i mrocznych życia społecznego chwilach, kiedy nie tylko „hydra pamiątek zatapia szpony“ w sercu zbolałem, ale też gady zobojętnienia, nieufności we własne siły, pessymizmu, w niem się lęgną obficie, jakże to błogo posłyszeć głos dźwięczny i miły, wychodzący z piersi, która odczuwając wszystkie bóle i smutki, znając nasze wady i ciężkie pognębienie, nie straciła przecież ani wiary w żywotność narodu, ani nadziei w przyszłość.

Jeżeli we wszelkich sprawach usposobienie i nastrój zarówno jednostek jak i mas całych jest czynnikiem nadzwyczaj ważnym a nieraz decydującym; to pojawienie się takich głosów

poczytywać musimy za objaw lepszego zwrotu, gdyż nie są one oczywiście wynikiem tylko indywidualnego natchnienia, lecz wyrazem pewnej przynajmniej grupy społecznej.

Zbyt już długo „brzmiał na strunach wieszczów żal“, zbyt długo ponury, beznadziejny pessymizm wyżerał nam serce, pozbawiając otuchy i wiary w siebie, ażeby objawu takiego nie powitać radośnie.

Konopnicka dotykała tej struny i poprzednio, ale wówczas głuszyły ją inne o tonach, wyrażających niepewność, ból, zwątpienie, rozpacz. Poetka sobie, społeczeństwu, światu i Bogu ciągle zadawała pytania, w co wierzyć, za czem iść, co robić. W trzeciej seryi Poezyj swoich (1887, Warszawa), od pytań przeszła do twierdzeń. Widocznie umysł jej znalazł punkt oparcia, z którego może nie tylko rozejrzeć się wokoło siebie, ale i spostrzedz drogę, którą pójść potrzeba.

Nie oddaje się ona bynajmniej jakiejś optymistycznej radości, jakiemuś nieopatrznemu marzeniu, któreby jej wszystko w różowych przedstawiało barwach, zasłaniając widoki przykre i rozczarowujące; owszem widzi ona jasno grozę położenia, widzi braki wewnętrzne, widzi przeszkody straszne w urzeczywistnieniu choćby najskromniejszego ideału; lecz równocześnie dostrzega też możność wydobycia się

z nieszczęść, pokonania zapór, odrodzenia duchowego.

Cierpi poetka nad biernością ducha słabego, co chowa „swój ból oswojony jako gadzinę, gdy wyrwą jej jady“, co się daje zwyciężyć bez boju, gotów „zrzec się dziedzictwa światłości“, byle go tylko „z gnuśnego spokoju nie wyrwał okrzyk przyszłości“. Przeraża ją postępowanie tych, „co biegając w palącym się gmachu z wygryzionemi od dymu oczyma, w kąt się chowają z nędznego przestrachu, zamiast wyjść krokiem olbrzyma“, oraz tych, co nie mając odwagi hańby nazwać hańbą a nędzy nędzą, łudzą się pozorami zwodniczego dobrobytu. Więc „w gorzkiej zadumie“ patrzy na ziemię i widzi nad nią „gwiazdy coraz bledsze“ i widzi „słońca gasnącą koronę w mgłach, które smętną przyoblekły nocą wszystko, co światłem jest i co jest mocą“ i smutnie a pięknie maluje spustoszone pola życia:

Kwiaty się nasze skarżą łez swych rosą
Że woń ich z wiatrem wiejącym ucieka,
Że wiosny nasze nic z sobą nie niosą,
Że od żniw naszych nikt chleba nie czeka.
Kwiaty się nasze skarżą...

A więcej jeszcze smutku i goryczy budzą w poetce dowody płytkości ducha, bezsilność

woli i dłoni, strupieszałość serca wieku, o którem powiada:

Nie stargasz nawet i pajęczej przędzy...
Jedna z fal morza, co zowie się życiem,
Już cię ogłusza — drzemiące w swej nędzy,
I jeden oddech szerokiej przestrzeni
Przeraża ciebie, iż krew twą rumieni...

I w rozżaleniu głębokiem „trupami“ zowie nas, pogrążonymi w mogile „własnej niemocy“, bośmy utracili „duszę życia — życia wolę“; a z gryzącym sarkazmem zwąc szalonym tego, „kto chce na morskiej toni gasić pragnienie“, wznosi toast na cześć wina, bo:

My tyle właśnie mamy zapału,
Ile go mieści czara z kryształu;
Tyle uniesień, co pian w tej czarze,
I tyle ognia, co w tym puharze!
Płomień z helotów piersi nie bucha...
Brzęk szkła tak bawi, jak brzęk łańcucha...

Ludy się kędyś prą falą mętną,
Szumem ich wzbiera dziejowe tętno.
Nad żaglem trzeszczą maszty przegniłe,
To tylko żyje, co żyć ma siłę...

A nam tymczasem młynek na strudze
Obraca plewy swoje i cudze...
Górą mielizny! Na głębiach — giną.
Niech żyje wino!

Lecz nie! to bluźnierstwo względem ducha narodowego; trupami nie jesteśmy, a owego ognia wewnętrznego jest niewątpliwie więcej niż na dnie puhara; tylko przykrywa go gruba warstwa popiołu, licznemi naniesiona pogorzelami. Niecierpliwych i nerwowych, którzyby pragnęli, ażeby ogień ten żarzył się ciągle jasno i buchał płomieniem, razić może stan, w którym się on znajduje, ale przeczyć jego istnienia niepodobna.

Poetce nie można mieć za złe, gdy przeklina błyskawice natchnień, za któremi „grom żaden nie dyszy, by zatrząść zestarzałym i bezwładnym światem“, oraz grom, „po którym nie drżą ludy i nie płoną lasy“, a „cała stara nędza żyje i w starej pleśni drzemią starych bezpraw czasy“. Nie można zaś mieć za złe dlatego, że rozumiemy i oceniamy jej położenie, jak położenie każdej duszy gorącej, zamkniętej w ciasnych i dociskających obrębach. „Ciężka-to zaiste rzecz — możemy wraz z nią powiedzieć — ciężka rzecz jest pod wichry się zrywać i wyłamane pióra nieść do góry i mieć na czole znak wieku ponury i duszę pełną łez, — a przecież śpiewać, jak ptak, co spada“. Ze spółczuciem też składamy w sercu cichą jej skargę, że nie może mówić do nas, jakby chciała:

Po co śpiewać? Po co targać smutnie
Struny, które ozwać się nie mogą?
Idź, poeto, strzaskaj swoją lutnię,
Porzuć szczęty nad rozstajną drogą...

Niech odmieńce wśród życia biesiady
Dla wesela swoją lirę stroją,
Jak z wyrwanem żądłem liche gady,
Co się w tańcu za piszczałką roją.

Ich-to święto! Piersiami pełnemi
Niech okrzykną toast znikczemnienia.
Wy odejdźcie, o pieśniarze niemi,
Pełni ogniów wzgardy i serc drżenia.

Poetka jednak nasza nie odejdzie, gdyż wszystkie jej sarkazmy i gromy były wyrazem miłości a nie pychy, gdyż ona wierzy i ufa tym sercom, co jej słowa słuchają i pragnie obudzić w nich na nowo drżenia wielkie i święte, zapał i cześć dla ideału. Ona sama czuje się „ziarnem przeklętem krwawego siewu i cmentarnej roli“; ona sama przechodziła wszystkie stopnie apatyi, rozczarowania, przygnębienia, rozpaczy; więc się nauczyła cierpliwości i wyrozumiałości. Ale że czuje się przytem rodem z wielkiego cmentarza i krwawej roli, więc zgadza się pić gorycz, ale z morza, pozostawiając strumyki smutków i cierpień powszednich innym, mniej dzielnym duchom; więc kołacze do serc bratnich, by

w nich wywołać ten sam wielki bohaterski nastrój. Z tą myślą zwraca się do nich, mówiąc:

Bo nam się trzeba jak płomień wyrzucić
W górę, z ogromną siłą i ze wzgardą
Dla tej małości, co nas chce zawrócić
I zdjąć nam z czoła ostatnią myśl hardą.
Myśl, co się blasków paliła koroną
Nad każdą głową wielką a zelżoną...
Nam trzeba wzbić się własnemi skrzydłami,
Gdy nas odbiegły gdzieś anioły smętne,
I krwawe pióra na zorzę kłaść złotą,
Jak ptaki gnane ku słońcu tęsknotą...

Gorąco tedy przyklasnąć winniśmy poetce, gdy stłumiwszy w sobie ból w tem przekonaniu, że „nie łez nam potrzeba, lecz siły“ (str. 98), parafrazując słowa psalmu, stara się wlać otuchę w dusze, co są jak „zdrój bezwodny, płacz bez głosu, las wyrwany z libańskich gór tronu“,— i woła na podobieństwo proroka:

Więc ja mam głos! Więc ja wam śpiewać poczne!
Ja płomień tchnę w te smutki wasze mroczne
I pieśnią wam przyśpieszę serca bicie,
Na nowy bój, na nowe męskie życie!

Więc ja mam głos! Ja, ptak spętanych skrzydeł,
Zerwanych strun narodu lira brzmiąca...
Na wichrach pieśń uniosę z ziemi sideł
I gniazdo jej położę w blaskach słońca.

Więc ja mam głos! Pobitych krzyk jest we mnie
I łuny miast i winnic spustoszenie
I miecza ostrz przenika mnie tajemnie
I cisną mnie zelżywych pęt rzemienie...

W prześlicznej pieśni: *Contra spem spero* poetka, choć wie, że „odleciały te ptaki daleko, co nam na skrzydłach niosły chwały zorzę, i z rzek już naszych te wody nie cieką, które szły w morze“; chociaż jest ogarniona „piekieł naszych“ sferą: oczyma przecież szuka „dnia blasków i słońca“, i „w głębi mogił czuje życia dreszcze“, a „przeciw nadziei i przeciw pewności wystygłych duchów i śmierci wróżbitów, wierzy w jutrznię błękitów i w gwiazdę ludów“.

W piosence *Na Nowy Rok*, zaznaczając, że w duszy ludzkiej tkwi niepokonana siła, pędząca ku dniom jutrzejszym, wzywa do jedności bratniej, bo „jak się człowiek po gromadzie spojrzy w ciężki czas, to na sercu rękę kładzie: jeszcze kupa nas!“ W jednym zaś z *Fragmentów* (str. 53), powiadając, że „niedoli kres gdzieś musi istnieć przecie“, lecz że go z poza łez nie widać, każe otrzeć „spłakane powieki“, gdyż przyszłość to trud, wymagający potęgi lwiej, nie jęków, działania, nie zaś biernego oczekiwania, bo „kto czeka, ten na syna swego ramię spycha ten krzyż, pod którym sam się łamie, i żądać śmie, by przyszłe pokolenia znów stary bój podjęły i cierpienia“. Nam potrzeba „serca, co się tchem

wieku jak iskra zapala, jako płomień wybucha, a jak piorun gaśnie"; a jeśli kto takiego serca nie ma i woli „wywczasów ciszę"; ten jest „najnędzniejszym z nędzarzów tej ziemi". Nam potrzeba „wszystkie tęsknoty swej siły, co próżno mdleją u każdej mogiły", wytężyć w przyszłość i szukać blasków świtu, a nie kląć tylko brzemię życia; gdyż wówczas jedynie można się spodziewać „dnia majowego przebudzeń"; albowiem „wielkością czynu, nie martwą pokorą dzieje ludzkości są płodne"...

Poetka wie, że „my słońca nie zdejmiemy z nieba, by rozwiać cienie po przepaściach nocy"; jedno przecież „każdy z nas zrobić powinien — więc może:

Może za rękę wziąć chłopskie to dziecię,
Co stoi przed nim w służalczej pokorze,
I poprowadzić je na ciche pola,
Gdy ranek bije smugami złotemi,
I ciepłem słowem przemówić o ziemi,
Którą uprawiać przypadła mu dola,
O jutrze, które wyorać nam trzeba,
Łzami i potem skrapiając te łany,
Gdzie każdy kłosek na przyszły kęs chleba
W wspólnej nadziei ma być zasiewany;
Bo tylko takiej przyszłości nasiona
Wzejdą i chwast ich złośliwy nie zaćmi, —
A potem w syna swojego ramiona
Popchnąć to dziecię i rzec: wyście braćmi.

* * *

Taki jest główny ton trzeciego zbioru Poezyj Konopnickiej, ton czysty, dźwięczny, podniosły, niezamącony sprzecznościami, wahaniem, niepewnością. Poetka czuje, że uderzyła w strunę, która brzmieć będzie długo i donośnie, budząc ze snu ospałych, nasuwając myśli i poglądy szersze tym, którzy się w obrębie spraw codziennych, powszednich zacieśniają,— wywołując cześć dla ideału.

Może ktoś zarzucić, że w słowach jej same są ogólniki bez dokładniej określonych i wskazanych torów działania; ale na to łatwo odpowiedzieć uwagą, że zadaniem poezyi nie jest kreślenie programu politycznego czy społecznego, ale wywoływanie nastroju, któryby do przyjęcia pewnych poglądów, do urzeczywistnienia pewnych dążności usposabiał. Który poeta potrafi przemówić do serc, który zdoła wzruszyć i zapalić do czynu; ten spełnił to, co w zakresie jego działalności, jako poety, leżało. Szczegóły działania i jego kierunek musi już nakreślić rozwaga, licząca się z siłami i okolicznościami. Konopnicka, dostrzegłszy wśród społeczeństwa naszego oznaki martwoty duchowej, uderzyła w dzwon trwogi i powołała do ocknienia się z niej słowami gorącemi i pełnemi siły. Odrzuciwszy precz od siebie „pieśń słowiczą a miłosną“, zawiodła taką, „co na orlich skrzydłach lata, chorągwianą pieśń ogromną“ (str. 165, 166),

ażeby dodać bodźca leniwym, ducha osłabłym, otuchy wątpiącym. Niepodobna zaprzeczyć, że pieśń taka przyszła bardzo w porę i życzyć jej należy w interesie dobra ogólnego, żeby znalazła odgłos jak najszerszy i wywarła skutek zamierzony.

Oprócz pieśni, będących wyrazem dobitnym tego męskiego, entuzyastycznego nastroju, w trzecim zbiorze Poezyj Konopnickiej znajdujemy inne, które w tonie łagodniejszym, ale ku temuż samemu zmierzają celowi.

Najmniej dostrojone są do całości „Freski“, w których poetka skreśliła scen parę z życia dziejowego. W *Kaloskagatos* wystawiła przeciwieństwo wykwintnego wychowańca cywilizacyi z tłumem biednym, ogłupiałym i rozbestwionym, który przecież nie winien swojej ciemnocie i upodleniu, bo owi wykwintnisie umieją nim tylko pogardzać, a nie podnosić go ku światłu i uszlachetniać. *W Pirejskim porcie* spotykamy się z mniej lub więcej dowcipnemi gawędami ukształconych i nieukształconych sofistów. *Demos Cezarowi* wyśpiewuje ironiczne a raczej sarkastyczne słowa pozdrowienia. *W rocznicę* Termopilów nieszczęsny Grek pod żelaznem panowaniem Rzymian nie miał ani na czem, ani komu ofiarować kwiatów i pochodni; zbolały więc „nad hańbą, przeżył dzień wesela“. *W Janie Husie* widzimy proroka, który nie nad własnem

boleje cierpieniem, ale nad przyszłością swego narodu i w ekstazie umiera spokojny, bo przeczuwa, że naród ten po wielu wiekach znów będzie wolny. *Pieśń Żyrondystów* — to ubłogosławienie męczenników, co giną za Francyę i wolność ludu.

Inny dział poezyj ma napis: „Piosenki i pieśni“. Są to klejnociki liryczne, śpiewności pełne, a smutne smutkiem nie jednostkowym, lecz ogólnym po tej krótkiej zorzy kraju, „najpiękniejszej z zórz, co od morza szła do morza złotem polem zbóż“. Po pradziadach objęliśmy długi — mówi poetka — ale przecież stać nas na płużyce, więc „jeśli nasza dobra dola pod ziemią leży, przeorajmy wszystkie pola na zagon świeży“. Zanim atoli dojdzie do tego, zanim ukaże się „dzionek błogi i słoneczko boże“; zanim „rycerze zapalą gwiazdy w złotej koronie“, smutno poetce, smutno każdemu sercu, bolejącemu nie nad sobą tylko. Jedne kwiaty zwiędły mi — woła ona — drugie porwał wicher zły, a te trzecie, te ostatnie, poją moje gorzkie łzy“.

W oddziale poezyj p. n. „Na palecie“ rozwijają się dalej smutkiem i tęsknotą owiane obrazki jaru, gaju, lasów, gór, drogi wiejskiej, po której chodząc zadumana poetka marzy o dobrych słowach i złych uczynkach, co się tu kłębiły:

Dobre słowo wciąż odkwita
To w kwiat polny, to w kłos żyta...
Stara krzywda głazem leży
Na pustkowiu, na rubieży,
Pod siwymi mchy...
W dumach, dumkach oto chodzę
Po tej cichej, wiejskiej drodze.
Nad schyloną moją głową
Lecą smętnie i echowo
Jakieś skargi... łzy...

W działach zatytułowanych: „Po rosie“ i „Z chaty“ rozlega się nuta wieśniacza, już poprzednio najmilej brzmiąca na lirze Konopnickiej, wdzięczna swoją prostotą i naturalnością, serdeczna uczuciem szczerem.

W wierszu *Do granicy* stylem, przypominającym opowiadanie Matki Makryny Słowackiego, z upodobanym temuż epitetem: *lichy*, który i w innych poezyach III-ej seryi nieraz powraca, opisuje poetka bolesne, niemal tragiczne dzieje wypędzania rodzin polskich z W. Ks. Poznańskiego. Opowiadającą jest wieśniaczka, która po prostu, bez deklamacyi, tylko ze zwrotami do Ukrzyżowanego, przedstawia smutki i cierpienia wypędzonej gromadki, a i swoje też własne. Jakże pięknym, jak wzruszającym jest opis zrezygnowanego bólu matki grzebiącej swe dziecię w polu podczas wygnańczego pochodu:

Trzy dni my takie i trzy mieli noce;
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły.
A ze mnie wyszły ostatnie już moce
I duch i wszystkie wyszły ze mnie siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci
Jedno po drugiem przez dwa dni i trzeci;
A było już ich, jako w koniczynie
Onych listeczków, trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzej, pod krzyżem, odprawować warty
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać a indziej zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży.

Przejrzeliśmy oto główniejsze działy utworów oryginalnych Konopnickiej, pomieszczonych w III-ej seryi. Wszędzie zaznaczyć nam wypadło myśli i uczucia podniosłe, zharmonizowane w sobie, dotykające szlachetnych stron duszy ludzkiej. Skupienie i dojrzałość talentu wszędzie tu widoczne. W wykonaniu zdarzają się jeszcze pleonazmy i tautologie, ale już nie w takiej jak poprzednio ilości; ton liryczny walczy tu zwycięsko z retorycznym. Słowa niezawsze jeszcze mają dosyć siły i plastyki, ażeby zostać wiernem odbiciem uczuć lub poglądów; czasami wypowiadają nie to, coby z logicznej wynikliwości było spodziewanem; czasami zadaleko wybiegają po za myśl, którą sformułować miały; lecz nie wchodząc w drobiazgi, ogół dykcyi w poezyach

III-ej seryi uważać można za prawdziwie piękną szatę treści.

Od czasu ogłoszenia tej seryi Konopnicka napisała wiele zarówno w formie epicznej, lirycznej i dyalogowej *(Ślepiec z Paros, Prometeusz i Syzyf)*, wierszem i prozą. Kierunek twórczości pozostał dotychczas takim, jakiśmy w rozbiorze III seryi Poezyj wskazali; szczegóły będzie można lepiej uwydatnić, gdy rozproszone po czasopismach utwory w książce skupione zostaną.

VI. Wiktor Gomulicki.

Lubo Gomulicki już od 25 lat z górą uprawia niwę poetycką, niewiele przecież zebrał z niej czy też chciał zebrać plonów; zmieścił je bowiem w jednym niedużym tomiku, wydanym w Warszawie r. 1887.

Trzeba jednak wiedzieć, że tomik ten zawiera w sobie wybór tylko poezyj, jakie Gomulicki napisał. Od samego początku swego zawodu odznaczał się ten autor tak delikatnem poczuciem pięknej formy, że w miarę doskonalenia się w technice skazywał na zapomnienie rzeczy dawniej pisane i drukowane w czasopismach, przechowując i ukazując publiczności to jedynie, co w danej chwili za warte czytania uważał. W r. 1873 w 3-im zeszycie „Księgi pieśni“, redagowanej przez Mirona, miał się znajdować zbiorek poezyj Gomulickiego; był on już podobno wydrukowany, ale do handlu księgarskiego puszczony nie został. Poeta zaś sam, gdy w dzie-

sięć lat potem w 2-im tomiku „Liry polskiej“ na nowo zbiorek podobny układał, zaledwie drobną cząstkę z dawniejszego utrzymał. A wreszcie w wydaniu wspomnianem na początku opuścił kilka obszerniejszych nawet wierszy, jakie się już w „Lirze“ znajdowały, nie dlatego widocznie, żeby nie chciał powtarzać rzeczy raz już wydrukowanych, gdyż znaczniejszą część utworów z „Liry“ przejął do tej edycyi z roku 1887, lecz dlatego, że już jego ówczesnym pojęciom o pięknie poetycznem niezupełnie odpowiadały.

A przecież najdawniejsze nawet poezye Gomulickiego pod względem formalnym przynajmniej nie należały do słabych. Z wielką starannością dbał on o budowę wiersza, o wytworność stylu poetyckiego, o rym bogaty i urozmaicony. Pod względem nastroju nie miał on w początkach własnego, przejmował się tem, jaki mu nastręczała lektura. Studyował i uczył się Słowackiego, czytywał pilnie Wiktora Hugo, Musseta, trochę Heinego w polskiem tłomaczeniu, jakie Aleksander Kraushar wówczas głównie podawał. Jak bywało nieraz u młodych, pozował na powagę; dość przeczytać X-y ustęp „Intermezza“ pisanego i drukowanego w „Przeglądzie Tygodniowym“ w r. 1870 i 1871, ażeby się o tem dowodnie przekonać. Myśl prostą, która Anakreontowi niegdyś posłużyła do napisania

ładnej piosenki, myśl, że w duszy młodzieńca najwięcej miejsca zajmuje miłość, ubiera on w koturny i maskę poważną na wzór Wiktora Hugo.

Mroczna jest głąb mej myśli. Dróg w niej tysiąc bieży
Powikłanych, jak zmarszczki na obliczu starem;
Jedne błyszczą pancernie, jak włócznie rycerzy,
Drugie gubią swój wątek w oddaleniu szarem;
Te znaczą chód ślimaczy, tamte — orła loty...
Wśród nich jedna jak sznurek odkreśla się złoty.

Tą drogą, w dniu rozmyślań, duch mój często chodzi,
Tę między siecią innych umie znaleźć zawsze,
Bo na jej kwietnym szlaku i milej i słodziéj
I pamięć po niej pchnięta ruchy bierze żwawsze...
Skąd ta siła? skąd urok? Tam, kędy jej meta,
Czy szatan, czy archanioł świeci? — Nie! kobieta.

Pozowanie takie, przybieranie obcego nastroju ustępowało w miarę wzrastającej rozwagi i doświadczenia życiowego. Artysta z wirtuoza formy, jakim był w początkach, przemieniał się na poetę, który pragnie to tylko wyrazić, co w duszy jego rzeczywiście zachodzi, co w danej chwili najżywiej go zajmuje.

Wyrazem tak zmienionego punktu widzenia jest wiersz p. t. *Gdzie piękno?* Na pytanie to odpowiada Gomulicki, że *nic piękniejszego niema nad prawdę*, i zaleca poetom, ażeby na fundamencie rozumu bóstwom poezyi stawiali ołtarze, ażeby mieli duszę własną a nie pożyczaną, ażeby

tem byli w pieśniach, czem są w życiu, ażeby łez nie zmyślali nigdy — „bo to zbrodnia!“

W poczuciu wielkiej potęgi, jaką na umysły wywiera prawdziwa poezya, nie chce Gomulicki zezwolić na praktyczne zastosowanie znanego wykrzyknika: taki wieszcz, jaki słuchacz, i z ześrodkowaną siłą przekonania i obrażonej dumy poetyckiej upomina poetów: „niech tłum do was się stroi, a nie wy do tłumu“, zarzucając im równocześnie, że z ich lutni „rzadko płyną te dźwięki, co są życia echem“.

„Czyż nie umiecie — powiada do nich — śmiać się naturalnym śmiechem i naprawdę być gniewni, pragnący lub smutni. Czemu maską aktora lica swe kryjecie? Czemu więzicie w piersiach uczuć zapał szczery?“ A dla wskazania im drogi i pokrzepienia w nich wiary w czarodziejską siłę natchnienia, odwołuje się do świetnej poetyckiej przeszłości:

Czemże Homer potężny? czemże Szekspir wielki?
Lud ich czci, bo mu własne odgadują życie,
Kocha ich, bo w ich *strofach* (?) słyszy serca bicie,
Ich muzy — to kapłanki, a nie wichrzycielki!

A czyż w teraźniejszości niema już sposobu wniknięcia do dusz ludzkich?

Wobec zobojętnienia i apatyi, akcentuje Gomulicki wpływ poezyi na rozbudzenie ducha, na

wywołanie zapału, na ukojenie i uświęcenie wielkiej boleści:

Lubię krzyk namiętności, kiedy się wyrywa
Z ust poety, namysłem niespętanych jeszcze;
Lubię słowa, co w piersiach obudzają dreszcze
Dlatego, że je miłość zrodziła prawdziwa.

Lubię gniew Tytanowy, co nie drży przed niczem
I Helikon rozburza, jak lichą garść ziemi;
Lubię boleść, gdy łzami przemawia krwawemi:
Lubię zapał ze złotem od gromów obliczem.

Poeta potrafi „wstrząsać“ ludzi pieśniami natchnionemi, potrafi ich za sobą pociągnąć, jeżeli sam „uczuciem jak wulkan wybucha“, bo jak „świat z lawy wulkanicznej poznaje głąb ziemi“, tak „z krzyków namiętnych“ poety „pozna głębie ducha“.

Wpatruj się w objawy życia i bądź sobą! — oto w streszczeniu rady i wskazówki dane przez Gomulickiego poetom w odpowiedzi na pytanie: gdzie piękno. Rady-to zdrowe, a jakkolwiek ich nowość jest dosyć stara, nic to wszakże nie ujmuje ich trafności, tembardziej, iż tak są sformułowane, że ze strony rozumu badawczego nie napotykają opozycyi.

Czy autor miał je zawsze na pamięci wtedy, gdy sam tworzył w różnoczesnych i różnorodnych usposobieniach ducha?

Z usposobienia i upodobań pierwotnych jest on nie myślicielem, co nad zagadnieniami wszechświata najchętniej rozmyśla lub nad bolesną dolą ucywilizowanych narodów się zastanawia, ale poetą, który śpiewa o miłości i naturze, a zadowolnienie największe znajduje w marzeniu i ułudzie; żyjąc atoli w czasie, kiedy przemożne okoliczności i prąd ogólny przedstawiają każdemu myślącemu człowiekowi do rozważania i rozwiązywania naglące sprawy społeczne, zająć się niemi musiał i, z niejaką zapewne goryczą w sercu, lecz z poczuciem nieuchronnej konieczności, pomieścił na czele zbioru swoich poezyj dział zatytułowany: „Pieśń w służbie świata“, przypominając tym napisem Schillerowskiego Pegaza w jarzmie. Poeta jednak, pogodziwszy się z losem, nosi to jarzmo swobodnie i z godnością.

W wierszu: *Dwa głosy*, odpowiadając na zarzut bezużyteczności poezyi w pracy społecznej, w walce z materyą, w olbrzymiej fabryce świata, roztacza Gomulicki obraz całej armii ludzi, „co przegrała ciężką życia bitwę“ i w cichą duszę poety „rzuca, jak do urny, ból swój i złorzeczenia, klątwy i modlitwę“, wykazując, że te walki duchowe, przez poetę opiewane, warte są przynajmniej tyleż, co wysiłki armii, pracującej w pocie czoła w wielkiej fabryce świata.

„W księgach drzemią czyny, jak w chmu-

rach grom złoty“ — powiada, odpierając zdanie, jakoby poeci znali tylko „głupie nerwów niepokoje“, a w rozwinięciu tej myśli o bohaterskim nastroju pieśni, woła:

Ty dzielisz pieśń od czynu? Wspomnij Tyrteusza,
Za którym lud lawiną potoczył się w pole!
Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia...
W dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy
I kreśli pierwszy zarys społecznej budowy,
Którą kończy powszednich pracowników kielnia.
Pieśń nie jest gołębicą, która słodko grucha,
Gdy jej dobrze, a cierpiąc, równie słodko kwili —
Idzie ona do boju jako szermierz ducha,
A nigdy i przed nikim czoła nie uchyli.

W takiem odparciu pocisków przeciw poezyi miotanych tkwi prawda niewątpliwa, o ile się rozważa całkowity rozwój twórczości w dziejach powszechnych, lecz w bezpośredniem zastosowaniu do naszych najbliższych stosunków dźwięczy, niestety! przeważnie frazeologia tylko. Nie mamy dzisiaj Tyrteuszów nie tylko tam, gdzieby ich głos był tłumiony, ale i tam, gdzie mógłby się rozlegać swobodnie. A nie o Tyrteuszów tu idzie w dosłownem znaczeniu, lecz o tych wogóle, coby myślą jakąś wielką i genialną stali się istotnymi przodownikami narodu, coby rzeczywiście „kreślili pierwszy zarys społecznej budowy“, coby inicyatorami byli jakiejś lepszej, jaśniejszej przyszłości. Poeci dzisiejsi zbolali,

znękani, zmuszeni do bronienia już tylko racyi bytu swojego, nie posiadają ani odwagi, ani siły, ażeby choćby zamarzyć jedynie o przodowaniu w społeczeństwie. W rozległe pomysły ubodzy, albo przetwarzają w obrazy poetyczne to, co rozum analityczny już zbadał, co do katechizmu nauki przeszło, albo też wysiłkom tym złorzeczą i usiłują bezskutecznie pochód prawd niemiłych sobie powstrzymać. Braknie im tytanicznego pędu, którym niegdyś ich poprzednicy porywali za sobą tłumy, braknie im tej wiary prawdziwej, głębokiej, niepokonanej, w możność przetworzenia budowy społecznej za pomocą pieśni, tej wiary, która lubo nie ziszczona, stanowiła przecież potęgę wieszczów narodowych. I dlatego nie dziw, że królewskie miejsca tracą a schodzą w tłum „powszednich pracowników“, manipulujących nie „kielnią“, lecz piórem, szczęśni, jeśli ich talent uczyni zadość potrzebom duchowym społeczeństwa.

W poezyach Gomulickiego spotykamy się z całą najdrobniej szczeblowaną skalą uczuć ludzkich, począwszy od dziecinnego napawania się uciechami życia aż do beznadziejnego westchnienia za śmiercią; a to wszystko wyśpiewane z jednakowem mistrzowstwem w wierszach, układanych jak najrozmaiciej, zarówno w zwykłej strofie czterowierszowej jak i w wykwintnej formie sonetu, oktawy, tercyny, lub też we wspa-

niałych aleksandrynach naszych, idących sfornie jak żołnierze — dwójkami. Jest ten poeta, jak większość spółczesnych, wirtuozem treści i formy, rozporządza i władnie najróżnorodniejszymi tematami, poddaje się najsprzeczniejszym uczuciom, wyśpiewuje na najdowolniejsze napozór tony, wchłaniając te prądy, jakie przebiegają w naszem i wogóle europejskiem społeczeństwie.

Są zatem w poezyach Gomulickiego rzeczy smutne i wesołe, poważne i lekkie, sarkastyczne i pogodne, rozumne i trzpiotowate. I nic naturalniejszego: liryk śpiewa, gdy ma ku temu jakąś pobudkę; od rodzaju pobudki i od chwilowego usposobienia zależy rodzaj utworzonej pieśni; jak nie powstają odrazu, ryczałtowo, tak też nie mogą być ocenione należycie, gdy się je odczytuje jedną po drugiej wśród tegoż samego usposobienia i otoczenia...

Ale mimo to wszystko jest coś, co pieśni te z sobą łączy, co je cechuje znamieniem wskazującem, że one wyszły z takiej a nie innej duszy. I to coś wspólnego nie polega jedynie na frazeologii poetyckiej i toku wiersza; tkwi ono głębiej, bo w umyśle i sercu poety; nie potrzebuje być ono czemś ściśle i dokładnie określonem, jakimś stałym poglądem na stosunek poety do świata i ludzi; sama już bowiem nieokreśloność może się stać cechą znamienną twórczości poetyckiej.

Jakąż jest ta cecha w utworach Gomulickiego?

Nie jest nią optymizm, bo poeta jasno i wyraźnie oświadcza w wierszu p. t. *Z listu*, że pragnął wprawdzie gorąco wejść na ten wygodny gościniec, wiodący ku przybytkowi, gdzie „bóstwo harmonii króluje widomie, niebo jest stropem, listki róż podnóżem, a cichy pielgrzym, który po niem kroczy i depce kwiatów stufarbne kobierce, ma błękitami napojone oczy i w świetny kryształ zakrzepnięte serce"; — lecz, niestety! naprożno, gdyż dotąd po ostrych musi brnąć kamieniach, dotąd bolą go niespłacone winy i życie ofiarnicze, a nie widząc szczytu ludzkiej doli, nie wie, czy w mroku ginie czy w błękicie:

I już przed śmiercią nie zakończę boju,
I już przed grobem nie znajdę spokoju;
Zawsze mi twardą będzie ziemska gleba
I fałszywymi ziemskiej pieśni tony;
Bo wiem, że aby w zgodzie niezmąconéj
Żyć z przeznaczeniem blizkiem i dalekiem
I aby nie drżeć... na to być potrzeba
Czemś mniej, czemś więcej, lecz już—nie człowiekiem!

Mimo jednak tego przejęcia się nędzą ludzką i dysharmonią zjawisk społecznych, poeta nie popada w drugą ostateczność, nie staje się pessymistą. Czy kotwicą ocalenia jest dla niego

wiara w opatrzne rządy Boga, jakby wnosić można z *Modlitwy* i z kornej rezygnacyi wyrażonej w wierszu *Bóg tak chce!* [1]) — czy też silne przywiązanie do życia i chęć korzystania z jego uciech, których istnienie poeta uznaje, jakby to wynikało z paru anakreontycznie podkasanych wierszyków, a mianowicie z tego, co ma napis *Piosenka;* — dość, że autor, choć cierpi i boleje nad nieszczęściami ludzkiemi, choć niekiedy od uczucia rozpaczy ledwie obronić się może, nie bajronizuje, ani hartmanizuje, poczytując dobro i zło, zło i dobro za jednakowo i równomiernie rozwinięte w świecie pierwiastki.

Nie może atoli przyjść do jakiegoś filozoficznego ukojenia, chociaż wie, że szukać go można w rozważaniu wiecznotrwałych a zawsze prawu uległych zjawisk przyrody *(Fragment* w „Lirze polskiej“ str. 108); gdyż wyobraźnia jego jest zbyt ruchliwą, a uczucie zbyt żywe, lubo nie namiętne; woli więc poddawać się wrażeniom, aniżeli panować nad niemi, woli naprzemian śmiać się i płakać, aniżeli patrzeć na wszystko rozważnie a spokojnie. Zyskuje na tem jako poeta; odczuwa sympatycznie boleści i radości cudze, umiejąc im nadać wyraz barwny, bezpośrednio z życia lub ducha własnego wzięty.

---

[1]) Wiersze te znajdują się tylko w wydaniu z roku 1882 w „Lirze polskiej“; w następnem zostały pominięte.

Nie wszystkim, co prawda, w jednakowym stopniu. Najchętniej, bo najczęściej, maluje Gomulicki uczucie miłości z jego strony marzycielsko-zmysłowej wśród pięknego a zwykłego otoczenia natury. Piękno przyrody i czar uczucia zlewają się w jedną całość jakiegoś cichego marzenia, w którem wszystko nabiera niewysłowionego uroku, i wszystko innem, lepszem, milszem się wydaje aniżeli w życiu rzeczywistem. Miękkiemi, łagodnemi barwami odtwarza poeta objawy takie; a ta zgodność formy z treścią nadaje tym utworom cechę artystycznego wykończenia, które każe zapomnieć, że temat i motywa są już wielce stare. Najwięcej świeżości posiadają może: *Czary:*

Zdaje mi się, że złociściéj
Palą się latarnie,
Że posągi pośród liści
Mrugają figlarnie;

Zdaje mi się, że pojazdy
Do rytmu turkoczą,
Że nie świece, ale gwiazdy
W ulicach migoczą;

Zdaje mi się, że tęczowo
Lśnią kamienic ściany,
Że mozajką marmurową
Chodnik wykładany;

Zdaje mi się, że przechodnie
W uśmiech stroją twarze,
Że ich serca biją zgodnie,
Jak młotki w zegarze;

Zdaje mi się, że krzewiną
Wstrząsa nimfa płocha,
Że z ogrodów szepty płyną:
Kocham, kochasz, kocha;

Zdaje mi się, że w lazurze
Mkną anielic wianki,
Że mnie wabią oczy duże
Z za każdej firanki...

„— Na Minerwę! na Darwina!
Bracie, ty majaczysz!
Napiłeś się pewnie wina,
Lub paliłeś haczysz“...

Tak, co złudzeń mych przyczyną,
Zgadliście najprościéj
Odurzyło mnie dziś wino...
Wiosny i młodości!

Podobnie uroczemi lirykami, w których zachwyty nad powabami ciała, świeżością cery, czarownym uśmiechem, wesołą rozmową przeważają, są: *Chloe, Nie odchodź, Zbudź się i słuchaj, Anielskiej, Marmurowej, Co mówi poranek*, a po części także dłuższy poemacik: *We dwoje*.

Mamy tu najprzód ładny sielski krajobraz:

Milcząc, nad strugą siedzimy błękitną.
Wkoło gaj szumi i czeremchy kwitną,

Przez liście słońca wdziera się ulewa.
Muskając warkocz od jedwabiu gładszy,
W lusterko wody biała brzoza patrzy,
Na brzozie usiadł słowiczek i śpiewa.
Po mchu zielonym leśne pełzną bluszcze,
Woda kamykom coś gada i pluszcze,
W pluszczącej niebo dwoi się i drzewa.

Po mniej udatnym opisie osoby i ubioru dziewczyny i przedstawieniu uczuć młodzieńca, co do warg swych tulił jej rączkę maleńką, znowu następuje prześliczny obrazek przyrody wiejskiej, potem przedstawienie wrażenia, jakie na słuchającym wywarł śpiew dziewczęcia „o Kalinie“, a dalej wyznanie trochę za kunsztownie wyrażone przez porównanie dziewczyny do słońca, nadającego wszystkiemu życie i barwy, bo oto, po słońca „pogrzebie“

Za siecią krzewów dzienne zorze gasną,
Hukają sowy i twarzą niejasną,
Przez olch gałęzie pełnia patrzy blada;
Znikają farby kwietnego kobierca,
Struga śpi martwo, bo strudze brak serca,
Złotego serca, co z chmur na nią spada.

Dziewczyna zrozumiała wyznanie, przetłomaczyła je na język prosty, powszedni i zaśmiała się — ale był to śmiech udany; w jej sercu tętniło uczucie niespokojne, niepohamowane:

Znagła cię czuję całą w błyskawicach,
U warg mych wrzących, przy piersi, na licach,
. . . . . .
Gaj szumi, w strudze słoneczna drga łuska...

W innych lirykach są także ładne ustępy, świeże i dobrze utrzymane porównania, ale całość mniej jest zadawalniającą.

W „*Non omnia vanitas*“ poeta opiewa odwiedziny dziewczęcia — „niezbyt może skromnego jak na kapłankę zimnokrwistej Westy, lecz Nimfom równego“ — w izdebce studenta, „co rzadko chrzęsty spódniczek pamięta, a częściej — myszy zgłodniałych szelesty“, — i rozpamiętywając, jaki kontrast tworzyła jej młodość i jej suknia perkalikowa ze zbutwiałą księgą, na której usiadła, dochodzi do tego przekonania, „iż za lat trzysta i z naszej mądrości tylko zbutwiałe pozostaną kości — dziewcząt zaś lica zawsze będą świeże“, rozumie się nie tych, co przed trzystu laty siadywały na dziełach Alberta Wielkiego.

W innej pieśni (*„Gdy kochasz“*) zachęca kobietę do wyłącznego poświęcenia się wybranemu duszą i ciałem, nawet wówczas, gdy on jej darów odpłacić nie zdoła, bo „kto kocha, bardziej jest z bóstwem zbratany, niż kto kochany“.

We „Wniebowziętej“ opowiada o „nieszczęśliwej nieszczęściem innych“, która „chłonęła

w siebie smutek wszechrzeczy, rozlany po niebie, gwiazdach i morzu, obłokach i ziemi“... ale dla ukochanego miała „wesołe słówka, uśmiechy cukrowe, pierś pełną żaru, pełną marzeń głowę, w ciemnościach oczu fosforyczne błyski, krótkie piosneczki i długie uściski“; jej pocałunek „miał coś w sobie z powabu stokrotki, którą dziewczyna, wyjąwszy z warkocza, daje lubemu“, podobny był winu, „co nie odurza, ale rozwesela, i miał potęgę cudownego ziela, które do skarbów ukrytych prowadzi“.

W wierszu „*Na dzień dobry*“ wysuwa szereg komplementów, jak szereg pereł, nie nowych wprawdzie, jak nie nowem jest to porównanie, ale nie tracących przez to swej ceny.

„*Nad brzegiem morza i nieskończoności*“ rozkochana w sobie para błądzi senna, jakby z ciał wyzuta, „słuchając w cichem zmysłów upojeniu, jak wrzawa miasta z wrzawą fal się kłóci“, zadowolona, że nikt jej nie rani spojrzeniem ciekawem, że niczyje śmiechy czaru chwili nie płoszą... Wśród takiego upojenia, mówi poeta:

Mgły gęstniejącej biała, mokra fala
Zatapia domy, gasi księżyc złoty;
Lecz im się bardziej świat od nas oddala,
Tem bliższe siebie są nasze istoty;
Chwilami, patrząc na światła, co bledną,
Zda się nam, żeśmy nie dwoje, lecz jedno...

Święte złudzenie! Czyż się w niem nie mieści
Zachwyt najwyższy i siła i szczęście?
Ach! człowiek doszedł głównej bytu treści
Przez takie duchów cudowne zamęście,
I niech się jak chcą dni jego wypełnią,
On już szczęśliwy — bo żył życia pełnią.

Żartobliwie zabarwioną historyą miłości młodego prowincyonalisty, który przybył do Warszawy szukać zajęcia, przedstawia poemacik p. n. „Kocia“. Młodzieniec chciał skorzystać z listów polecających „od wuja i stu ciotek“, ale nie na wiele mu się one przydały; za to bez jego przyczynienia się zagustowała w 16 letnim chłopcu prezesowa. Ale Otton nie umiał się poznać na tym guście, który dla jego karyery mógł się stać pożytecznym, sam natomiast poczuł wielką skłonność do kwiaciarki „Koci“. Rozmawiali z sobą mało, a raczej nie rozmawiali wcale słowami, tylko oczyma, bo mieszkali naprzeciwko; raz zetknęli się na schodach i rozbiegli się czemprędzej; drugi raz listek kwiatka może naumyślnie upuszczony przez Kocię podjął młodzieniec, ale popieściwszy się z nim, odniósł go jako zgubę sąsiadce. Romans ten bez wyrazów mógłby zapewne ciągnąć się długo, gdyby nie przypadek. Zadumanego Ottona spotkała raz w ogrodzie prezesowa, pociągnęła za sobą i próbowała na nim siły wdzięków. Gdy mu kazała wyszukać sobie komara pod brodą,

i gdy się ku niej bardzo blizko nachylił, rozległy się dwa krzyki: prezesa i kwiaciarki; prezes odpędził chłopca od owocu zakazanego, a kwiaciarka odepchnęła go od siebie jako zmiennika. Treść sama tego poemaciku nie zaleca się niewątpliwie pomysłowością, ale o treść poecie nie bardzo chodziło, użył on formy opowiadania na podobieństwo Słowackiego w Beniowskim, do wypowiedzenia pewnych uwag i refleksyi, którym umiał nadać lekkość, wdzięk i rozmaitość. Całość jest powiewna jak puszek kwiatu i po przeczytaniu na drobne rozpada się płateczki i nitki.

Uwielbienie dla natury, zamiłowanie wiejskiego krajobrazu i atmosfery wiejskiej widoczne są w nader wielu pieśniach Gomulickiego; poświęcił on atoli wypowiedzeniu tych uczuć osobne działy w swej książce zatytułowane: „Z księgi przyrody“ i „Sub tegmina“.

W pierwszym dziale zwracają na siebie uwagę przedewszystkiem: *Pustkowie* i *Pod toporem*. Trochę w nich przeciągnięty ton patetyczny. W *Pustkowiu* znajdujemy wprawdzie wiele pięknych obrazów, lecz ich obfitość szkodzi jednolitości wrażenia; osobno wzięte są ładne, razem połączone gmatwają się. Błąd-to znaczny; większy jednak jeszcze tkwi w tej przesadzie, z jaką autor myśl swą główną, grozę pustego serca, przeprowadzić usiłuje. Stara się poeta dobrać

barw jak najczarniejszych, jak najbardziej ponurych; a w tem staraniu nie widzi sprzeczności powstających pod jego piórem. Odmalowawszy okropności wojny, tej „konwulsyi ludzkości“, sili się na wykazanie, że straszniejszą jest cisza, bo tą ciszą jest rozpacz, jest grób; nie spostrzegając, że takich rozpaczy i takich grobów dostarcza właśnie w wielkiej ilości wojna. Po tym kontraście obraz opuszczonego domu, który niegdyś ożywiały gwary ludzkich głosów i śmiechy szczęścia rodzinnego, już nie może zrobić wrażenia, już jest za słaby, nie dlatego, żeby słabo był malowany, bo owszem sam w sobie jest wielce udatny, — lecz dlatego, że następuje po daleko jaskrawszym. A w zestawieniu z wierszem noszącym napis: *Pod toporem*, gdzie „obraz pustki po lesie wyciętym“ poczytuje autor za smutniejszy od obrazu „ławeczki małej, co pomni zmarłej kochanki pieszczoty“, prawdziwość uczucia, które natchnęło *Pustkowie*, podlega pewnemu zakwestyonowaniu, tem bardziej, że ów wycięty las sprawia na poecie smutne wrażenie nie ze względu na dobro ogólne kraju, lecz ze względu na „ból drzew“, zawodzących pod toporami płacz wielki... To już chyba romantyczny sentymentalizm. — Po tych dwu większych utworach, malujących życie przyrody, wymienić należy piosenki i uwagi, nie mogące z tamtemi rywalizować, ale posiadające

piękności cząstkowe, jako to: *Bzy zakwitły... Jesień, Zima, Gwiazdy.*

Dział, zatytułowany klasycznie *Sub tegmina*, co przypomina Sielanki Wergiliuszowe, przedstawia poetę, uciekającego na wieś, by zapomnieć w cieniu drzew, pod przykryciem błękitu, o książkach, obrazach, koncertach, dziennikach, teatrach i fabrykach — i wypocząć na łonie matki-przyrody. Nie jest to jednakże sielankowe, sentymentalne zatopienie się w urojonych wsi urokach, wyzłoconych i wybłękitnionych „ciężką wieszczów pracą, bo poeta zna cierpienia i brzydkie strony wsi rzeczywistej, — ale jakby panteistyczne „zespolenie się miłosne z ziemią", o którem powiada w zakończeniu tej wycieczki wiejskiej, przedstawionej w 7 ślicznych sonetach:

Zwolna się cały tracę we wszechbycie
I snem odrębne zdaje mi się życie,
Ten szlak samotny, żałobny, tułaczy...

Wzlatam w wietrzyka subtelnym podmuchu,
Błyszczę w grze świateł, płynę w chmurek puchu —
Lekko mi, błogo — wiem, co umrzeć znaczy!...

Ostatnie to wyrażenie, będące jakoby parodyą znanego: wiem, co to być ptakiem! — uważać trzeba raczej za koncept, aniżeli za wyraz rzetelnego i głębokiego nastroju lub przekonania; wiemy już bowiem, że poeta dostrzega

w życiu dosyć powabów, ażeby miał chęć dobrowolnie się ich pozbawiać, a prócz tego, jak się zaraz przekonamy, autor nie myśli się usuwać z widowni prac i zachodów, bólów i cierpień ogólnych. Zna on, odczuwa i rozumie drgnienia społeczne wśród mas i lubo jest czcicielem piękna, nie zatapia się w wygodnym epikureizmie, nie szuka ochrony dla siebie i sobie podobnych w przybytkach czystej sztuki, lecz wie, że głód nędzarzy, których jest tyle na świecie, przedewszystkiem zaspokoić potrzeba, jak to czytamy wierszach: *Głodnego nakarmić*, *Bez chleba*, *Na zgliszczach*. Przedstawiwszy cierpienia wygłodzonego kamieniarza w przepysznych tercynach, przemawia poeta do ogółu:

O wznośmy pięknu wspaniałe ołtarze,
Marmur i złoto niech rzucają blaski,
Wino niech szumi w kryształowej czarze;

Skroń strójmy w róże, twarz w wesołe maski,
Myśl nasza słońcem niech będzie pojona,
A słuch zamknięty na niesforne wrzaski;

Wieżami tumów prujmy chmurom łona,
Niech posąg każdą przyozdabia niszę,
Rzeźb koronkowych niech błyszczy zasłona;

Niech nas pieśń wieszczów dopóty kołysze,
Aż każdy smutków daremnych zaniecha,
I myśl pogrąży w olimpijską ciszę,

Wesołe tylko budząc w życiu echa;
Niechaj ofiary biorą od nas wszędzie:
Miłość i rozkosz, piękno i uciecha...

Lecz wprzód—niech głodnych pośród nas nie
[będzie!

Jak w wyliczonych dopiero co wierszach brzmi wspaniale głębokie współczucie dla cierpień mas wogóle, tak w poemacie „Żydzi“ przejawia się toż współczucie dla biednych, pogardzanych i poniewieranych tłumów ludu, niegdyś wybranym nazywającego się. Gomulicki wyprowadza na scenę różnorodne głosy potępiające ów lud i skazujące go na zagładę z powodu przywar właściwych rasie, wśród nader nieprzyjaznych okoliczności rozwijającej się, a sam pod imieniem „poety“ głosi słowa wyrozumiałości i miłosierdzia. Są w tem przemówieniu i uczucia podniosłe i myśli zdrowe, ale całości nie zdołał autor uchronić od nieco oschłego tonu dydaktycznego.

Niema go wcale w wierszu, który do arcydzieł Gomulickiego w tonie patetycznym zaliczyć należy, a który ma napis: *El mole rachmim.*

Poeta przypatruje się weselu żydowskiemu na śmieciach; przed nim brudne podwórze, brudni i pospolici ludzie. Według tego pierwszego wrażenia maluje obrazek realistycznie wierny: wszyscy wydali mu się istotami zwykłemi, „co

strzegą z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia".

Wtem zabrzmiał śpiew na nutę pogrzebową, gdyż oblubienica była sierotą. Z początku pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana ból serdeczny, powstrzymywany siłą rozwagi; potem przesiąkłszy smutkiem, jaki z grobów wieje, rosła w moc i już nie jednej mogiły, lecz grobów miliona stała się głośną płaczką, która zawodziła nad kośćmi Izraela, po całej ziemi rozsianemi, i nad tem, że na grobach chwast porasta głuchy, i nad tem, że skarlały słabe synów pokolenia i że ta noc niewoli tak długa, tak długa!... A gdy śpiewak wspomniał świętą Jeruzalem i bezlitośne losów okrucieństwo, nędzę, prześladowanie, tułactwo i szczęście utracone nazawsze; to całe zebranie zawrzało ogromnym, beznadziejnym krzykiem...

I wtedy też nastąpiło przemienienie w oczach poety: nie widział już szpetnych plam na baldachimie, nie raził go Icek ani jego imię, nie raziło otoczenie:

Podwórko!... Nie! to była już kwietna dolina,
Kędyś, u stóp Libanu, co się w niebo wspina
I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał.
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,
Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem,

A palmy ochładzały wachlarzami z liści.
Między ziemią i niebem nie było zawiści;
Twarz Jehowy patrzyła z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta;
Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu pływał zapach nardu i szafranu,
Strumień jak wąż, rozwijał srebrnołuskie sploty. —

Wszystko wyszlachetniało, uidealizowało się pod tchnieniem prawdziwej boleści i jej prawdziwego wyrazu w śpiewie.

Poemacik ten jest doskonałym nawet pod względem szczegółów; jeden tylko wiersz ostatni mąci ogólne wrażenie. Gomulicki z rozmysłem oczywiście powtórzył tu z małą zmianą ten sam wiersz, który w części pierwszej, przed śpiewem, umieścił. Tam, malując z dobroduszną ironią obrazek podwórka żydowskiego, powiedział, że „niebo od gwiazd błyszczało jak *szabaśnik* złoty“ — i porównanie to zupełnie odpowiadało nastrojowi; ale gdy po owem poetycznem przemienieniu, znowu czytamy, że „gwiazdy tak błyszczały jak szabaśnik złoty“, czujemy fałsz psychologiczny; wśród podniosłego nastroju porównanie to staje się trywialnem; gdy się wszystko uidealizowało, niepodobna, ażeby ten jeden szczegół pozostał niezmienionym.

Dobrym jest także wiersz z okoliczności gwałtów grudniowych r. 1881 popełnionych na ży-

dach w Warszawie, wiersz p. n. *Głos zelżonego*, tylko że w nim przemaga swada retoryczna nad poetyckiem obrazowaniem.

Niema tego tonu retorycznego w poezyach, poświęconych zobrazowaniu życia powszedniego i w malowaniu smutnych, bolesnych przejść ducha. Wszystko tu żyje, drga, lśni się i błyszczy; najsubtelniejsze nawet odcienie wzruszeń znajdują swój właściwy, najzupełniej do treści dostrojony wyraz. Zwrócę tu uwagę na opowiadanie o losach cudzoziemki-nauczycielki *(Francuzica)*, w którem prawdziwy *humor* jaśnieje, na pełen bolesnej prawdy *Pogrzeb aktora*, na zręczną i powabną *Warszawiankę*, na nieporównanej lekkości i werwy ironiczne obrazki z życia miejskiego, zaklęte w misterną formę sonetów: *Ogródek na przedmieściu, Na huśtawce, Odpoczywa, Ślepy, Na wodzie, Tajemnica róży, Nazbyt lubił, Balkon, Rodzina, Wspomnienie, Ostatni cygan, Paryas.* Wdzięk, tym utworom właściwy, nie da się wykazać przez streszczenie i rozbiór; potrzeba je czytać i odczuwać. Oto przynajmniej jeden z nich:

Lat pięćdziesiąt ważył pieprz i kawę —
I rwąc wszystkie serdeczne ogniwa,
Depcząc miłość, młodość i zabawę,
Zebrał miljon. Dzisiaj odpoczywa.
Jego pałac — sen zmieniony w jawę,
Jego ogród — Arkadja prawdziwa:
Kwiaty przed nim gną główki jaskrawe,
Chór słowików pierś dla niego zrywa.

Oto siedzi w swym wózku, jak w niszy;
Kurcz ma w nogach, na oczach ślepotę;
Stół odepchnął z jedzeniem — i dyszy...
Cóż więc zyskał za serca martwotę,
Za dni w mroku wleczone i ciszy? —
Do wygodnej trumny wieko złote!

Łagodnem i spokojnem malowidłem cichego a bezbrzeżnego smutku wciska się do duszy *Ständchen*, przypomnienie muzyczne krótkich błogości chwil, póki zbolałego serca grób nie przytulił. Siłą wyrażenia wymownie się zapisują w pamięci *Piołuny*, skarga na cierpienia dotkliwe, zakończona prośbą o śmierć, jako jedyne na nie lekarstwo. Scena *Na balu*, gdzie poeta opowiada roztańczonej kobiecie o losach jej dziecka porzuconego wśród ludzi i zmarłego, chociaż razi trochę nieprawdopodobieństwem jako całość, posiada w częściach swoich moc wzruszającą do głębi. Gdy odszczególnimy jeszcze dwa utwory: *Z nizkich lotów*, będący wymownym wizerunkiem nędzy, i *Na Kanonii*, gdzie znów bieda z wesołej przedstawiona jest strony i opromieniona uśmiechem ironii z samej siebie; to będziemy mieli mniej więcej wszystko, co w poezyach swoich Gomulicki zobrazowaniu cierpień ciała czy ducha poświęcił.

Namiętnego upojenia i szału rozkoszy nie lubi przedstawiać nasz autor, chociaż tam, gdzie tego przedmiot z konieczności wymagał, jak np.

w wierszu poświęconym Henrykowi Siemiradzkiemu, potrafił odtworzyć plastycznie scenę wyuzdanej rozpusty w Romie starożynej.

W pochwałach pisanych dla artystów i poetów przeważa jednak retoryka, jak to widzimy w wierszu na cześć Szekspira i na cześć Jana Matejki skreślonym. Są tu ustępy prześliczne, ale zbyt często ogólniki zajmują miejsce żywych i barwnych szczegółów, które nadają wyrazistość bez deklamacyi słowu poetyckiemu.

Podobne zalety i podobne wady mają u Gomulickiego objawy siły w tonie satyrycznym. W zbiorze jego poezyj jeden jest obrazek *Syna obywatelskiego*, odwzorowany widocznie z natury, bez przesady, poprostu a z werwą, i jest drugi obrazek *Czarnej damy* (tylko w „Lirze polskiej“) t. j. dewotki i hipokrytki, skreślony z pewną afektacyą żółciową, która odbiera doniosłość pociskom satyrycznym, gdyż osobę ludzką w karykaturę przemienia, chociaż poeta zamiaru tego zapewne nie miał.

Pod względem kompozycyi Gomulicki jest zupełnym panem siebie w utworach drobnych, które obrabia jak cacka artystyczne; w większych natomiast nie obmyśla dokładnie następstwa okresów i daje się unosić swobodnemu kojarzeniu się wyobrażeń, ale i tu łatwo mu przychodzi zawładnąć trudnościami, jak to widzimy w *El mole rachmim*.

Co do dykcyi. to ta, wykształcona na poezyach Słowackiego, zawsze jest wykwintna, czasami tylko trochę wymuszona. Obrazowość nie polega tu tyle na plastycznym rysunku, ile na doborowych przenośniach, któremi poeta osłania nawet nastrój retoryczny, będący u dzisiejszych naszych i nie naszych twórców tak częstem zjawiskiem. Wiersz wszędzie u Gomulickiego piękny, a rymy wytworne, język czysty i bogaty.

W ostatnich czasach oddał się Gomulicki więcej prozie, rzadko jedynie przypominając się ogółowi poetyckim talentem swoim, który do wielkich lotów się nie zrywa, ale we właściwym sobie zakresie tworzył i tworzy rzeczy prawdziwie piękne i artystycznie wykończone.

VII. Czesław Jankowski.

Pięć mamy dotychczas zbiorków poezyj Czesława; pierwszy wyszedł w r. 1879, drugi w 1881, trzeci w 1884, czwarty p. t. „Capriccio“ w 1889, piąty p. n. „Rymów nieco“ w 1893. W każdym następnym widać doskonalenie się poety pod względem formalnym, technicznym; we wszystkich jeden ton zasadniczy przemaga.

Czesław jest poetą nawskroś uczuciowym. Nazwał się on sam (w „Capriccio“) trubadurem średniowiecznym, zabłąkanym w wieku XIX, marzącym wciąż i śpiewającym o kwiatach i miłości. Piosnki swoje przyrównywał do perełek rosy, co „błyszczą i drżą na kwiatach w noc majową“; obmówił się nawet trochę, powiadając, że piosnki te, co „pieszczą, całują“, są dla dam, „marzących w buduarach“. Są one istotnie miękkie i łagodne, nawet w ironii i szyderstwie; ale poniżyłoby się je może, gdybyśmy je chcieli naprawdę poświęcić jedynie „damom w budua-

rach“. Zasługują one na los nieco lepszy. Wprawdzie jest w nich dużo wdzięcznych kaprysików, które się zdenerwowaniem buduarowem tłomaczyć mogą; są w nich jednak i uczucia serdeczne, które zarówno w budarach jak i w zwyczajnych prostych pokoikach znajdą miłe przyjęcie.

Czesław jest wielbicielem Heinego; szczerość, prawdę i siłę uczucia ukrywa, z obawy niezrozumienia lub wyśmiania, poza uśmiechem ironii, poza sceptycyzmem słów (któremu przeczy drżenie wewnętrzne, pragnące, żeby słów tych nie wzięto za całkowitą prawdę serca), poza niewiarą w stałość i trwałość miłości, poza swawolnymi czasem wybrykami. W umiejętności utrzymania się na granicy między sentymentalnością a cynizmem, w umiejętności prawdziwie „humorystycznego“ sposobu traktowania uczuć i sytuacyj, Czesław należy do najwytworniejszych zwolenników mistrza niemieckiego, umiejąc unikać popełnianych przez niego trywialności.

Z nowszych poetów niemieckich lubi Czesław szczególniej Scheffela i Baumbacha, o których napisał piękne studya („Dwie sylwetki“) i z których przełożył kilka ładnych piosenek, między innemi bardzo udatny satyryczny wierszyk Baumbacha p. t. *Kurz*, wymierzony przeciwko tym zbyt troskliwym gosposiom, co to „z brzaskiem ująwszy w dłoń miotełki pręt, jak

dom szeroki, dzień długi, pędzają kurze ze sprzętu na sprzęt i z jednej izby do drugiéj".

Z francuskich poetów XIX stulecia Musset jest oczywiście ulubieńcem Czesława; lecz i starzy mistrze poezyi prowansalskiej z XII i XIII, a francuskiej z XVI stulecia mają u niego łaski niemałe; rozczytuje się w nich z upodobaniem.

Że z naszych poetów Słowacki a po nim Asnyk wywarli na Czesława czar swój przemożny, o tem, znając ogół spółczesnej twórczości naszej, z góry można być uprzedzonym.

Czesław w początkach swego zawodu zupełnie szczerze się przyznawał do niemożności wynalezienia nowych tematów i do zależności od wielkich mistrzów natchnienia:

Już wyśpiewano
Wszystko na ton rozmaity:
Niebios błękity,
Majowy wieczór i ranek
Płochość kochanek,
Twarz łzami zalaną
Już wyśpiewano...

Przyznawał się również, iż słyszał ostrzeżenie, ażeby nie szedł drogą przez wieszczów utorowaną, „żyjąc ich pieśni echem, skrą ich ducha", gdyż

. . . . . dzisiaj poeta
Dobić się sławy nigdy nie potrafi;
Chwyci z Heinego coś a coś z Musseta,
Błyśnie i zgaśnie — we własnej parafji.

Istotnie Czesław obracał się z początku w kółku pomysłów niezbyt obszernem i pomysły te wypowiadał w formie, która niezawsze za poprawną uchodzić mogła. Zdawało się, że pieśni swoje wysnuwał nie tyle z doświadczenia życiowego, ile z rozczytania się w utworach Goethego, Heinego, Słowackiego, Syrokomli, Asnyka. Znalazł on — jak sam wyznaje — kilka świetnych szmat z królewskiej mistrzów swoich odzieży, a strzępki tych szmat — dodać muszę od siebie — dość często na płaszczu jego poetyckim znać było wyraźnie.

W jednem miejscu powiedział wtedy, że mu „obce miłosne katusze i zawiedzionych serc nieznana żałość“ (I, 33[1]), że „nigdy łez nie chował w łzawnice“ (I, 57); a jednak często te żałości i te katusze za przedmiot pieśni swoich obierał; wszakże sam pisał, na wzór Syrokomli, w zakończeniu pierwszego zbiorku poezyj swoich:

Cóż tak struna pieśniarza wciąż bez zmiany powtarza
Tęskne, smutne swe pieśni?

[1]) Cyfry w nawiasach oznaczają kolejne tomiki zbiorów poezyj Czesława, i stronice w nich, gdzie odnaleźć można przytaczany utwór.

O, bo żywot tułaczy i na świecie inaczéj,
Jak marzyło się we śnie.
W waszej uczcie ochoczéj wesołości nie zmroczy
Łza na oku dziwaka:
Zmilkł dźwięk w strunie zerwanéj. — Przyszedł, poszedł
Ot, i życie śpiewaka. [nieznany;

Smutek już wówczas przebijał się poprzez uśmiech, który od dobrodusznego począwszy przechodzi niekiedy aż w cyniczny.

Poeta, torem Musseta i Asnyka, skarży się na czas, w którym przyszedł na świat, bo czuje jad w zdrowej ojców krwi i widzi pieśń swoją owianą zatrutym czasu tchem (II, 88). Na stuleciu XIX spostrzega płaszcz arlekina „bez nazwy, szyty lnem i złotem, tkany z różnobarwnych strzępków przędzy“. Przepowiada mu tedy przyszłość wcale nie-do-pozazdroszczenia: oto szata jego w szmaty się rozpadnie, a on sam legnie na strzępków posłaniu; wiek zaś następny uczci poprzednika łzą litości, ryjąc na grobowcu napis: „jeden z tych, co wielkość swą przeżyli“. Że taki będzie los wielu jednostek, co zarówno rzeczywistą jak i marzoną wielkość swoją przeżyją, o tem nie możemy powątpiewać, widząc, co się dzieje codziennie; ale z wieszczeniem o przyszłości całego stulecia możnaby poczekać, choćby ze względu na to, że nawet w meteorologii przepowiednie jeszcze zawodzą.

Zdaje się też, żeby się autor nie bardzo

upierał co do prawdziwości swego prognostyku, gdyż sam gdzieindziej wyraził połowiczną swą przynajmniej zgodę na hasła tego wieku.

Ta właśnie połowiczność jest może najbardziej znamienną cechą sposobu myślenia Czesława, jak lubowanie się w pół i ćwierć-tonach, charakteryzuje sposób wyrażania przezeń uczuć swoich.

W wierszu: *Z dziejów wieku* opowiada poeta, jak po dniach skarg, jęków, płaczów i rozpaczy nadeszła chwila, w której zażądano od pieśni, ażeby, porzuciwszy strefy gwiaździste i obłoczne, zanuciła nad zagonem ziemskim jak skowronek nad rolnikiem. Ze swej strony poeta wzywa pieśń, ażeby zadała kłam swym grabarzom i podniosła głos nieśmiertelny, co z niebieskich płynie bram. Próba się nie udaje; słuchaczów głos ten nie porusza. Poeta widzi przed sobą ciżbę wielką, wyznaczającą tory nowych dróg pracą powolną, trudem ciężkim, mozolnym; ciżba ta za hasło swe ma „światło i swobodę“. Przyjrzawszy się jej i wysłuchawszy jej słów, powiada poeta, że chociaż nie idzie razem z ową ciżbą, nie chce przecież być jej wrogiem. Straszy go tylko niepewność, czy będzie można zebrać plon z nowej siejby, „gdy wśród rumowisk zamrze kłos“, gdy nie będzie słychać czystych dźwięków strun, tylko huk młotów i wrzask tłumów. I sam się lęka o siebie, czy będzie

w jego mocy powrócić przed dawne ołtarze, jeżeli nowa droga uznaną zostanie za mylną. Z tej tedy obawy zostaje przy pieśni, każąc jej jednak oddać cześć trudom nowych ludzi.

Na tem wyczekującem stanowisku, którego obranie świadczy, iż w duszy poety niema głębokich namiętności, ale jest rozwaga poddana przyzwyczajeniom, najbezpieczniej wodzić spokojnie okiem po wszystkiem, co nas otacza, i starać się pochwycić rzeczy ważne i doniosłego znaczenia, rozróżniając je od błahych i przemijających.

Na czele 3-go zbiorku poezyj Czesława znajdujemy ośm sonetów, w których autor chciał wypowiedzieć swój pogląd na wielkie zagadnienia spółczesne, na stan duchowy świata dzisiejszego. Nastrój uroczysty, powaga słowa zdają się uprzedzać czytelnika, że usłyszy coś niezwykłego, coś, co jest kwintesencyą myśli poety. Nasłuchawszy się tych słów, tych rzeczywiście pięknie utoczonych wierszy, nie możemy, niestety! powiedzieć, nie tylko żeśmy jakąś trafną, rozumną czy nową myśl poznali, ale nawet żeśmy właściwe przekonanie autora zrozumieli.

Czesław widzi wszędzie „zmrok tylko, niepewność i trwogę i żądz nienasyconych żrącą dusze wściekłość“, wszędzie dostrzega „łzy lub uśmiech, w którym słychać jęk tłumiony i konającą wiarę w ideałów wieczność, porywów

gorączkowych ironiczną sprzeczność z zawodami nadziei nigdy nieziszczonej"; we wszystkich pracach ludzkości rozpoznaje tylko majaki nowych obietnic i nowych zapowiedzi, rozpływające się ciągle wśród powszedniej troski życia: „i tylko płonnych marzeń ta chwila szczęśliwa złudzeniem nowem nasze wspomnienia wzbogaca".

Jeżeli w tym obrazie zamętu i niemocy nie będziemy się doszukiwali przedmiotowej charakterystyki wieku, tylko będziemy widzieli podmiotowy sposób widzenia poety; to nie trudno przyjdzie nam przyznać, iż jest to jeden z najudatniejszych wierszy Czesława treści ogólnej. Każdy oczywiście widzieć musi tak, jak patrzeć może i umie; narzucać komuś nasz sposób patrzenia nie na wiele się przyda, bo choćby ten ktoś pozornie przyznał nam słuszność, w głębi duszy jednak, z powodu nałogu patrzenia tak a nie inaczej, powróci do swej własnej myśli. Niech więc poeta boleje nad zamętem i niemocą świata, jeżeli porządku i objawów potęgi dopatrzyć się nie może; ale niechże już będzie w poglądzie swoim konsekwentny, zwłaszcza kiedy go rozpowszechnić pragnie; niechże ogół wie, pod jakim kątem widzenia poeta ukazywać mu zechce przedmioty. Otóż o ścisłą konsekwencyą u Czesława trudno. Zdaje się niekiedy, że pod wpływem chwilowego usposobienia, dla pięknego

frazesu lub udatnego rymu przekonaniom swoim odmienny nadaje kierunek.

Z dopiero co przedstawionego wywnętrzenia się autora wypadałoby, iż to go boli najwięcej, że ludzkość nie posiada dostatecznej siły do urzeczywistnienia swoich pragnień, gdyż troska powszednia wciąż ją odrywa od „jaśniejszych widziadeł“. Tymczasem z III sonetu dowiadujemy się, że poecie wcale nie przypada do smaku „marny zachwyt“ ludzkości „nad własnych sił potęgą“, że mu wstrętnem jest uniesienie, wstrętną jest rozkosz, z jaką ludzkość bierze wciąż nowe na siebie kształty bytu... A więc jakże? tylko kamienna ludzkość mogłaby odpowiedzieć życzeniom autora? Bynajmniej, gdyż w dalszym ciągu tegoż sonetu, wbrew temu, co Czesław powiedział o niemiłem mu przybieraniu nowych kształtów, drwi on z tych, co chcą pojednać ludzi z rzeczywistością, a to dlatego, że „od rzeczywistości ludzkość wciąż ucieka i w coraz to ją nowe kształty przyobleka, byleby tylko zbliżyć ją do ideału“.

A zatem jest jakieś dążenie w ludzkości szlachetne i wielkie; a zatem nie wszystko jest chaosem i niemocą; tem bardziej, że poeta zdaje się uznawać rządy Opatrzności i w przyrodzie i w dziejach, gdyż mędrcom dzisiejszym gorzko wyrzuca zaślepienie, które nie dozwala im dojrzeć Boga. Przekonanie to jednak chwilowo

tylko może przejść do umysłu naszego, gdyż sonet VIII przedstawi nam Boga takim, jakim go przy końcu swej improwizacyi odmalował Konrad. Mówi tu Czesław o nędzy, nicości i zgonie ziemi, zapytując: „ileż ci takich mogił potrzeba, Jehowo?!“

Z tego pessymistycznego nastroju może nas wyrwać sonet V-ty, w którym bardzo rozsądne, tchnące otuchą spotykamy słowa:

To dola gwiazd i kwiatów, że wichry i burze
Przedwcześnie kwiat zrywają nawpół rozwinięty,
Że promień gwiazd uroczy, chmurą przysłonięty,
Zapala się i gaśnie niedostrzeżon w chmurze.
Nie trwóżmy się tą rzeczy niezmienną koleją,
Nie złorzeczmy jesieni w żyzny plon bogatéj,
Świtom, zwiastunom pracy, krzepiącym nadzieją.
Niech skwarny dzień przeminie, owoce dojrzeją...
Wieczne jak ziemia-matka, jak niebios bławaty,
Zabłysną znowu gwiazdy, zakwitną znów kwiaty!

Gdyby takie myśli częściej gościły w duszy Czesława, nie potrzebowałby zżymać się na tych, co zachęcając ludzi do wytrwania i pracy, krzepią ich słowami: będzie lepiej; nie potrzebowałby nazywać szałem gorączki usiłowania tych, coby chcieli zbadać prawa owej „niezmiennej rzeczy kolei“, o której pisze sam poeta.

Obok sonetów myślą poważniejszą odznacza się dłuższy poemat p. t. *Psyche* (w III zbiorku), szkoda tylko, że Czesław dość mglisto, bez wy-

razistej plastyki ją uwydatnia. Maluje on tę chwilę, kiedy bogi pogańskie strącone zostały z nieba, Psyche zaś wygnana schroniła się nad brzegi Jordanu, być może spodziewając się, że tam, gdzie rozbrzmiewał głos miłości i przebaczenia, znajdzie spółczucie kochanka:

Tak smutna, zbłąkana wśród głuszy
Puszcz ciemnych drzemiących u rzeki,
Wieczorem, gdy z łąki dalekiéj
Flet cicho przygrywa pastuszy,
Gdy rzesza komarów brzęcząca
Nad kwiatów rozwiesza się wonią,
Wiatr lekko kołysząc wód tonią
Mgły białe przed sobą roztrąca,
Gdy zachód falami purpury
Czerwieni wyniosłych palm czoła; —
Ujrzała raz Psyche anioła,
Co ciemne przebiegał lazury.

Psyche wyznała aniołowi swą miłość gorącą i usłyszała w odpowiedzi, że tylko miłość niebiana może ją z wygnania wyzwolić; poczem anioł odlatuje. Po upływie pewnego czasu anioł miłosierdzia ujrzał w Psysze obraz dawnej swej kochanki i ucałował ją śpiącą; rozpromieniona Psyche unosi się ku gwiazdom... Czy to ma być idea odkupienia przez miłość wyższą, uszlachetniającą?...

Obrazki zatytułowane „Za dni cezarów“ mają niepowszednie zalety zewnętrzne; wspaniałe pen-

tametry *Opowiadania* pieszczą ucho obznajmione z miarami klasycznemi. W treści ich mamy przeciwstawienie bogaczów, panów świata, cezarów — biednym, lekceważonym, pogardzanym i srodze karanym niewolnikom. Niedopowiadanie myśli, niekończenie obrazów nie dozwala tu czuć w zupełności zadowolnienia estetycznego, a nawet uczuciu moralnemu niezawsze czyni zadość.

* * *

Kiedy się Czesław dotykał namiętnych, płomiennych uczuć, znać było w wyrażeniach przesadę, nienaturalność, albo zbyt widoczne naśladownictwo. W *Odpowiedzi*, przypominającej różne ogniste liryki Słowackiego, czuć jeno szamotanie się z oporną myślą i słowem, ale nie widać potęgi uczucia, coby usprawiedliwiła takie np. wyrażenia:

. . . . . Mnie trzeba
Światła i barwy *z wszystkich krańców nieba,*
Zórz blasków złotych, krwawych łun zachodu...
I dziś, choć cierniem dola skroń mi wieńczy,
Choć zmroku kiry zwisły mi nad głową,
To żyć potrafię z koroną *takową,*
I cień nie straszy mnie, co snów nie ściera (?!)

Powiada tu autor, że „blade barwy, półblaski“ są mu wstrętne; a jednak im to właśnie, jak zobaczymy, zawdzięcza to, co napisał naj-

lepszego. A gdy chce nam przedstawić np. bezgraniczne zwątpienie, wtedy siląc się na malowidło krańcowości, napotyka na swej drodze niedorzeczność. Jest jeden wiersz p. t. *Trzeci...*, gdzie autor powiada, że na całym świecie nie znalazł dla siebie brata i tylko wśród natury kiedy niekiedy znajdował jakąś serdeczność czy przyjaźń. Jednym z takich przyjaciół był dąb, pod konarami którego przesiedział długie godziny, słuchając gawęd szemrzących liści „nie bez zajęcia, nie bez korzyści"; dąb ten został strzaskany przez piorun. Potem kupił sobie poeta pudla za trzy reńskie, do którego tak się przywiązał, że gdy teraz wspomni o tej przyjaźni, „żal szczery serce boleśnie drażni". Włóczył się z nim po świecie, aż mu go w Madrycie (?) skradli. Teraz jeśli serce zbudzi się czasem z letargu i zatęskni do ludzi, szukając dłoni i duszy pokrewnej; wtedy zjawia się ostatni, trzeci z kolei przyjaciel — cień własny poety. Co prawda, nad wyszukaniem tego ostatniego towarzysza nie potrzebował się autor trudzić, nie potrzebował zań płacić nawet trzech reńskich; a może on to właśnie był przyczyną, że poeta nigdzie serca bratniego znaleźć nie zdołał, bo kto cień tylko własny za przyjaciela poczytuje, ten chyba zanadto w sobie zakochany, ażeby mógł promieniować uczuciem..

Usposobienie do ironicznego uśmiechu, nie

sięgającego zresztą w rdzeń stosunków, ale błąkającego się po ich powierzchni, wydało najlepsze poezye w zbiorkach Czesława. Łagodna gorycz, zwątpienie w miarę, szyderstwo niezbyt dotkliwe, mieszanina smutku i radości — oto cechy najpiękniejszych wierszy, już w samych początkach jego zawodu poetyckiego, jak to widać z takich utworów jak: *Niedoszły poemat, Noc lipcowa, Co powie, Rozmowa, Dziwna rzecz,* kilka *Impromptu* (które autor z francuska w liczbie mnogiej *Impromptus* nazywa).

A i w późniejszych poezyach ten sam nastrój był źródłem rzeczy najładniejszych. Milutkie są wielce obrazki w III tomiku (powtórzone następnie w V-ym), przedstawiające miłość, chwilowe nieporozumienie, ponowną zgodę, radości i smutki młodego małżeństwa. Z figlarnym uśmiechem, a niekiedy z tłumionem wzruszeniem opowiada Czesław, co to było *Między nami.* Więc „pierwsza zwrotka“ przedstawia nam zachwyty wzajemne młodych małżonków i chwilowe zasępienie czoła pani, gdy mąż jej pokazał swoje malowane tylko bobo; do zupełnego szczęścia brakło jedynie, żeby ono było żywem. W drugiej widzimy toż małżeństwo w wagonie; żona udaje śpiącą, a mąż-artysta patrzy na jej śliczną postać, boi się sen jej przerwać, nie śmie ucałować ręki, która go tak nęci, wreszcie bierze na odwagę i przekonywa się z radością, że żona

wcale nie spała. Potem grają „na cztery ręce“, potem mąż dowiaduje się radosnej „nowiny“, potem bardzo ładnie odmalowana sprzeczka, zakończona tem serdeczniejszymi pocałunkami, dalej spełniona „nowina“ i obrazek prawdziwie ujmujący zajęć maleństwem, które zaprząta całą uwagę i pieczołowitość rodziców. Wszystko to opowiedziane miło, zgrabnie, z dowcipem serdecznym.

Jeszcze piękniejsze, a pod względem formy bardzo często zupełnie doskonałe są ulubione przez Czesława „arabeski“, w których celował najbardziej w samych już początkach twórczości swojej. Odpowiadają one po części dawnym epigramatom, a po naszemu fraszkom; mają mianowicie niejakie podobieństwo do fraszek Brodzińskiego; ale utożsamiać ich z tym rodzajem poetyckim niepodobna, gdyż znajdują się wśród nich poprostu piosenki krótkie, całkiem lirycznego charakteru. Już w pierwszym zbiorku poezyj Czesława można było wyróżnić parę prześlicznych takich drobiazgów, a mianowicie następny (przedrukowany później w „Capriccio“), w którym utrata szczęścia nie pozbawiająca jednak życia, przecudnie, bo z wielką prostotą została odmalowana:

Rośnie kwiat polny nocą w lesie,
Ukryty w cień i ciszę,
Perełkę rosy, skarb jedyny,
Na listkach swych kołysze...

O świcie jasny słońca promień
Wpadł w leśny cień i ciszę,
Perełkę rosy zabrał z sobą,
A kwiat się wciąż kołysze...

W „arabeskach“ tych składał Czesław wyniki swoich chwilowych spostrzeżeń, swoich zmiennych usposobień, swoich marzeń, smutków, krótkich radości i krótkich zwątpień lub rozczarowań. Nie widzimy w nich ani umysłu, który doszedł już do jakichś niewątpliwych (dla siebie) pewników, ani serca świeżego, naiwnego, któreby odebranemi wrażeniami natychmiastowo, bezpośrednio podzielić się z kimś chciało; ale znajdujemy człowieka, zastanawiającego się nad zjawiskami życia i nieraz trafne robiącego spostrzeżenia; widzimy duszę trawioną sceptycyzmem, łagodnym wprawdzie, ale dojmującym; widzimy serce rzewne, ale rzewność swoją ukrywające; widzimy umysł jakby przesycony wrażeniami, ale umiejący i chcący je odtwarzać jeszcze z subtelnością iście artystyczną. Do odmalowania takiego nastroju zaczerpniemy barw z wiersza p. t. „Przesyt“, pomieszczonego w 3-im tomiku poezyj Czesława:

Wiesz ty, co przesyt? Ani łza na rzęsie,
Ani też błyska żaden promień w oku,
Nawet wspomnienia nie mają uroku.

Zewsząd-byś uciekł jak z pustego domu,
Gdy wszyscy twoi najdrożsi pomarli;
Do serca nie dasz przystępu nikomu,
Bo cała ludzkość w oczach twych się karli,
Bo gardzisz światem i przeklinasz życie;
Drażni cię nawet to, że serca bicie
Wciąż jeszcze słyszysz, drażni widok ludzi,
Bo choć się skryjesz z tem i łudzisz siebie,
Nawet ich smutek zazdrość w tobie budzi,
Zaś śmiech ich boli, jakby nad twą trumną
Ktoś parsknął śmiechem i zelżył twą dumną
Duszę, — lecz sam ty na własnym pogrzebie
Wybuchasz śmiechem...

Taki to nastrój i takie ciągle falujące uczucia najlepiej umie uwydatniać Czesław. Co w powyższym wierszu przedstawił w sposób retoryczny trochę, to w „arabeskach“ występuje w ładnej a zwięzłej lirycznej formie. Cały zbiorek p. n. „Capriccio“ złożony jest z takich właśnie „arabesków“ czy „arabesek“, jak sam autor w liczbie mnogiej je odmienia, chociaż w liczbie pojedyńczej używa wyrazu tego w formie męskiej. „Capriccio“ — to poetyczne odtworzenie różnorodnych wrażeń doznanych i wzruszeń miłosnych, mniejsza czy od jednej, czy od wielu kobiet, zawsze wytwornych, nie raz dowcipnie sformułowanych, czasami tęsknych i rzewnych. Całość tych dziejów miłości kapryśnej i zmiennej, jakże ładnie przedstawiona we wstępie do „Capriccia“:

Na listku róży dzieje zwykłej treści
Opiszę; praca ręki mej nie znuży;
Miłości naszej poemat nie duży
Wraz z epilogiem ręczę, że się zmieści
Na listku róży.
Dwie łzy, półuśmiech i kaprys niewieści...
Ten utwór, pani, niechaj Tobie służy!
Wspomnij, gdy krótkość jego cię oburzy,
Że dzieje szczęścia mego w tej powieści
Na listku róży...

Początek dziejów tych odmiennie kreśli Czesław od zwykłych w duchu Heinowskim historyj:

Zakochali się w cudnem dni wiosennych zaraniu,
Latem byli już sobą dostatecznie znudzeni;
Po tęsknotach, rozpaczach, wielu łzach i ziewaniu
Rozstali się wreszcie w jesieni.

Myśmy nie szli do szczęścia utartemi drogami:
Miłość nasza zakwitła z jesiennymi astrami,
Tlała w sercach bezwiednie bladą jutrznią zimową,
A z wiosną — ożyła nanowo.

Jeden z epizodów tchnie nastrojem Heinego:

Wiem już, czemu ty wciąż pytasz mnie:
W co ja wierzę, a w co ja nie wierzę?
Pan Bóg, dziewczę, tyle rzeczy wie —
Nuż go spytam, czy kochasz mnie szczerze?...

Wierzym w Boga, dziewczę, ja i ty,
I jednakie mówimy pacierze,
Lecz ja, wybacz, w szczęścia wieczne sny
Nawet wtedy, gdy kocham — nie wierzę.

Oświadczenie miłości wyrażone dowcipnie w tonie Musseta:

Wyszedł z mody już romantyzm
I klasyczny spokój grecki,
Wyszedł z mody styl *rococo*
I styl *empire* staroświecki.

Kwiat niebieski romantyzmu
Zwiądł i wskrzesim go nierychło;
Zaś o wdzięku form klasycznych
Dziwnie jakoś w krąg przycichło.

W przyszłość — nam już za daleko,
Nad poziomy — za wysoko;
Choćbyż został na pociechę
Styl *empire* lub styl *rococo!*

Trudno stąpać wśród tej matni
Śladów, ścieżek i dróg tylu...
Gdy ci mówię: „kocham!“ powiedz,
W jakim ja to mówię stylu?

Gdy ci mówię: „kocham!“ powiedz,
Czy klasycznie brzmi choć *trocha?*
Lub przeciwnie mówisz sobie:
Romantycznie on mnie kocha?

Pani! miłość jak świat stara,
Starsza, jeśli się nie mylę,
Niż klasycyzm i romantyzm
I najlepsze wszystkie style...

Epilog przypomina zakończenie „Rusałek“ Bohdana:

Parki złotą nić wyprzędły...
Błysła — zgasła szczęścia chwilka:
Pukiel włosów... kwiatek zwiędły...
Trochę wspomnień — piosnek kilka.

Po za cyklem, zebranym w „Capriccio“, jest jeszcze wiele arabesków Czesława, które czy to myśl do żywszego ruchu pobudzić mogą, czy to uczucie wstrząsnąć łagodnie. Piosenki bywają prześliczne, malując albo krajobraz swojski, albo utęsknienie za znikłymi snami młodości, albo wiarę w wieczną młodość ducha, albo doskonały portret kokietki, bo wszystko w nim, jak w rzeczywistości, „nawet serca ani śladu“...

Z pomiędzy wierszy gnomicznych wyróżnić należy ten, w którym serce samotne porównane zostało do kwiatu w ciemnej puszczy, co nie ma nawet blasku słonecznego, oraz ten, gdzie wśród rautu przychodzi poecie uwaga o miękkiej, ciepłej ręce kobiety, „co skrzydeł myśli nie więzi przy ziemi, co się śmiałego lotu ich nie lęka, i sama wzrokiem podąża za niemi,

a gdy myśl łamie się lub serce pęka, podwaja siły pieszczotami swemi"...

Warto również zaznaczyć, jak poeta łagodnego, marzycielskiego usposobienia zaleca hart duszy:

Potęgą własnych nie gardź sił,
Lecz nie mów: cuda stworzę!
Bo ten, kto wielkim w czynach był,
Największym jest w pokorze.
A bohaterskich wieńców wart,
Choć go nie sławią chwalce,
Ten, kto zachował duszy hart
W codziennej z życiem walce.

Inny arabesk, przeciwko bierności ludzi lepiej widzących rzeczy wymierzony, zasługuje także na przytoczenie, zawiera bowiem prawdę, której coraz szersze zastosowanie w naszych mianowicie stosunkach bardzo byłoby pożądane:

Ten, kto z pola walki zmyka,
Zamiast pierś nadstawić hardo,
Ten milczeniem i pogardą
— Nie zabije przeciwnika.

Choć ty mędrszy, lepszy, wyższy,
Ciebie, mówisz, nikt nie słucha?
Nie dziw!... Tłum nadstawia ucha
I tam biegnie, gdzie głos słyszy.

Tego żaden cud nie zbawi,
Kto w swej pysze się zasklepi,
Twój przeciwnik głupi prawi,
Nie milcz, ale powiedz lepiéj!

Może nie powiem lepiej od Czesława, ale bądźcobądź w duchu rady jego postąpię, jeżeli założę opozycyę przeciw myślom, zawartym w wierszu p. n. „Nekrolog“ (w III-im zbiorku). Jest to satyryczna wycieczka przeciw krytyce. Jakiś krytyk gazeciarski donosi o śmierci młodego poety, oceniając jego życie i działalność. Choć nie mówi tego Czesław, ze sposobu jednak, w jaki przedstawia nekrolog, widać, że go pisze ktoś pijacką czkawką dręczony, który po sutych libacyach o zgonie biedaka rozpowiada. Nie myślę bronić takich krytyków, ani wszystkiego, co piszą; zrobię tylko uwagę, że w niektórych razach, o ile z poza satyrycznych wzmianek wnieść można, mają i oni trochę racyi. Wpływy fizyologiczne na ustrój ducha są rzeczą niewątpliwą, tak, że Czesław prędzej stępi ostrze swego dowcipu, niż pewnik ten obali. Że poeci jak zakochani tylko w wyższym jeszcze stopniu, idealizują swe kochanki, to także twierdzenie, na które nowych dowodów przytaczać już bodaj nie trzeba; a i to nawet, co Czesław może jako największy dowód filisterskiej nieczułości krytyka przytacza, że gdyby się pobrali kochankowie, tobyśmy piosnek pełnych łez nie czy-

tali, nie należy do zbyt śmiałych hipotez. Używanie zbyt pospolitych, a co gorsza, fałszywych rymów jest wadą, której między innymi podlegał i sam Czesław, kiedy wskutek wadliwego widać wymawiania rymuje: *krócéj — smuci, kładzie — znajdzie.* Zaniedbanie rytmiczności dla każdego, kto ceni muzykę słowa, będzie zawsze wykroczeniem estetycznem; a jeżeli go Czesław broni, to dziwić się tylko wypada. iż taki w praktyce czciciel formy jest nieprzyjacielem jej teoretycznego uzasadnienia. Wreszcie i ostatni punkt krytyki nekrologowej, w którym krytyk narzeka, iż piosnki młodo zmarłego są smutne i że wolałby w nich widzieć więcej pogody duchowej, jest ze względów psychologicznych nieusprawiedliwionym, jeżeli smutek był wynikiem rzeczywistego nastroju duszy; ale jeżeli to był smutek sztuczny, wypływający z chęci pozowania, dramatyzowania życia swego, to nagana zarówno psychologicznie jak społecznie była najzupełniej zasłużoną; prawda bowiem wszędzie, sztuki nie wyłączając, popłaca. Odstręczać od smutków błahych i jałowych jest jednem z zadań krytyki w interesie zdrowego rozwoju społeczeństwa, w interesie tego hartu duszy, który i Czesław widocznie ceni, kiedy go zaleca, lubo nie dał mu w poezyach swoich wydobyć się na jaw w całej pełni.

Z innych satyrycznie nastrojonych obrazków

Czesława wymienić należy te, które p. t. „Mozajka“ zamieścił w ostatnim, V-ym zbiorku swych poezyj („Rymów nieco“). Do najlepszych tu zaliczamy następne: *Szrubiści* (t. j. Winciarze), *Pan prezes, Trzeba żyć, Trzy pamiątki, Bałamutka.* Z pomieszczonych w innym oddziale tego zbioru najżywszemi piosnkami satyrycznemi są te, które pisał na „marginesach przeglądów politycznych“, a pomiędzy niemi znowuż za najudatniejszą podać można *Lady Dixie*, zakochaną w Keczewaju. Chcąc uwydatnić wdzięk, dowcip subtelny, lub trafność uwag, zawartych we wzmiankowanych obrazkach i piosnkach, potrzebaby wielu przytoczeń. Wolimy, żeby przeczytano same całostki w książce.

Jest jeszcze w zbiorkach Czesława kilka poezyjek odznaczających się wesołością bachiczną, pisanych w tonie Anakreonta lub też skoliów Antologii greckiej. Są one zręczne, opiewają rozkosze wina ze swobodą trochę wymuszoną co prawda, ale w swej brawurze naturalną. Próby natomiast ironicznej opowieści: *Z życia* bardzo wiele pozostawiają do życzenia; silenie się na dowcip jest rzeczą samą w sobie niemiłą i niesmaczną, a gdy się jeszcze połączy z treścią spowszedniałą, wydaje utwór mdły i sztuczny. Trzeba atoli dodać, że próby te należą do epoki młodzieńczej.

Fakt, uwydatniony przez krytykę, że Cze-

sławowi udawały się najlepiej poezye drobne, arabeski, piosenki, z życia powszedniego wzięte; kompozycye zaś na większą skalę chromały, nasunął autorowi pomysł do wiersza p. t. *Poezya*, pomieszczonego w V-ym tomiku. Skarży się tu poeta, że na „dźwięczne rytmy“ ten i ów z pogardą wzrusza ramionami; sam zaś rozróżnia poezyę, „co iść przodem od wieków przywykła z wieńcem gwiazd u czoła“, od tej, która „wśród ciżby ludzkiej dziś obchodzi ziemię“. Rozróżnienie wcale niepotrzebne, gdyż jednej jak i drugiej toż samo jest źródło — dusza każdego człowieka, a w spotęgowaniu — dusza prawdziwego poety, to jest twórcy kształtów, uczuć, pragnień, ideałów.

Prawdą jest niewątpliwą, że poezyę znaleźć można wszędzie, gdziekolwiek wzrok głębiej wpatrzy się w życie. Trafne też przytacza Czesław przykłady na poparcie tego zdania. Tkwi poezya w tym pięknym krajobrazie leśnym, który kilkoma ładnymi rysami nakreślił poeta, jak nie mniej w duszy biednej matki, co wśród strasznego mrozu szuka zarobku dla utrzymania życia drogiej sobie istoty, lub w duszy dziewczyny, tęsknie żegnającej odpływającą łódź rybacką, w której zapewne ukochany jej puszcza się na morze...

Opiewanie takich i tym podobnych widoków lub uczuć może stać się miłem i wzruszającem,

ale na niem naturalnie wcale się nie kończy dziedzina poezyi. Nie samo tylko życie codzienne, nie owa tylko bezimienna ciżba ludzka, najprostszemi oddychająca wzruszeniami, lecz i bardziej złożone psychiczne lub społeczne zjawiska dostarczają poezyi obfitego wątku.

Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy od każdego poety wymagali orlich wzlotów i pomysłów rozległych. Jak we wszystkich dziedzinach życia, tak i tutaj służy prawidłowo: każdy robić powinien to, co umie robić najlepiej. W niczem to nie ubliża róży, iż nie ma potężnych konarów dębu, lecz ma natomiast prześliczny zapach, którego olbrzym naszych lasów nie posiada. Liryk niech tworzy pieśni, bo mu na dramat sił może zabraknąć.

W takiem jedynie znaczeniu można się zgodzić na przykłady przez Czesława podane, a świadczące o istnieniu poezyi w drobnych nawet zjawiskach życia powszedniego. Przykłady te określają też do pewnego stopnia zasób tematów, podjętych przez Czesława, zasób wyobrażeń i uczuć, których uwydatnienie powodzi mu się najlepiej; ale go wcale nie wyczerpują.

I dawniej i w zbiorku poezyj najnowszym Czesław porusza sprawy natury społecznej, niezawsze należące do owego szczupłego zakresu twórczości, jaki w wierszu *Poczya* zdawał się za główny dzisiaj poczytywać.

Obrazek np. *Szewca* do tego zakresu jeszcze się liczy; opowiedziana tu jest ciężka dola rzemieślnika, którego oszukał lokaj hrabiego, a hrabia na pocieszenie i nakarmienie zgłodniałej rodziny dał szewcowi książeczkę, nauczającą zapewne o potrzebie przezorności. I *Sylwetka* człowieka popularnego, który rozmierzywszy dokładnie zyski, jakie płynąć mogą ze zdań niepodległych lub schlebiających opinii, obrał sobie tę drugą rolę i z zapałem wygłasza to, w co nigdy nie wierzył, nie obraża nikogo, chwali w miarę i gani w miarę, zawsze zręcznie przyklaśnie większości, mając dla niej służebny szacunek — również się w owym obrębie zmieścić może.

Ale już takie obrazki, jak: *Ludzie czy szakale*, *Kassandra, Pan* wybiegają po za te szranki i mogą mieć słuszną pretensyę do liczenia się w rzędzie myśli kierowniczych nie życia powszedniego, lecz szerszego o wiele. Bo Czesław w gruncie rzeczy nie porzucił bynajmniej szlaków wielkiej poezyi i w *Adagio* z tęsknotą zwraca się do przybyszów z krain ideału, „do których serce rwało mu się z łona w chwilach młodzieńczej wiary i zapału“. Boleje nad tem, że jeden za drugim bóg na tronie kona lub „zrównan z tłuszczą schodzi z piedestału“. Wiara, miłość, sława — oto były te jego bogi. które dzisiaj wydają mu się „cieniami tylko w bóstwa majestacie“, duchami, rzuconymi na

„styksowe zdroje“. Sądzi, że ta rzesza bojaźliwa mar sennych pierzcha już nieodwołalnie, „jak mgła, co w rannych brzaskach się rozpływa“, — a w sercu swojem czuje jak „dzień wiosenny kona i jesień życia kwiat za kwiatem zrywa“. Ale może to są tylko objawy rozdrażnienia nerwowego? Może tu Heine zanadto silnie oddziałał na duszę, która wierzyć pragnie, która i odżyćby zdołała? Wszak Czesławowi nie grozi jeszcze starość, a w innym swym wierszu wyraził przecie swą wiarę w wieczną młodość ducha...

VIII. Stanisław Grudziński.

Krótko trwał zawód poetycki Grudzińskiego, bo wszystkiego lat 14, ale i w tym krótkim przeciągu czasu miał on swoje dość wybitne fazy. Zacząwszy pisać bardzo młodo (r. 1871: *Idealista*, r. 1872: *Marzenia i piosnki)*, nie mając wyrobionej myśli, a posiadając łatwość wierszowania, poszedł za wzorami poezyi ojczystej, jakie mu naśladować przychodziło bez trudności. Marzycielstwo bezpłodne, trawiące się samo w sobie, choć wciąż ulatywało w „kraje uroku, w kraje ideału“, szukając „postaci gdzieś we śnie marzonych“ i „mar wypieszczonych“, a gardząc „prozaicznym światem“, — marzycielstwo takie nie dozwalało młodzieńcowi jasno patrzeć na sprawy naszej biednej ziemi. „Wicher życia“ porywał go z sobą jak liść jesienny i niósł na „cierniste bezdroża“, na „nowe cierpienia“; a jakkolwiek poeta rozumiał niby „wszystkie natury głosy“, nie pomagało mu to przecież do utrzyma-

nia równowagi w świecie ducha. Raz był tęskny i smutny jak grób, bo „jak świat ten wielki“, los jego nikogo już nie obchodził; drugi raz rozhulany jak Bachus, niepohamowany w epikureizmie, wołał do braci:

Więc się śpieszyć do użycia,
Pić, gdy jeszcze pełny zdrój,
Oto cała mądrość życia,
Oto, bracia, system mój! *(Przy kieliszku).*

Ktoby atoli chciał brać autora za słowo i pragnął weń wmówić, że istotnie „całą mądrość życia“ widzi w pełnym kielichu, odpowiedziałby mu zapewne poeta, że jest bluźniercą, gdyż o kilka stron dalej można było przeczytać cztery wiersze treści odmiennej. Śpiewa tu bowiem poeta, że, gdy się zbliży chwila czynów, gdy przyjdzie czas stanowczy, to owym bachusowym czcicielom odpadną skrzydła motyle, a oni w orłów się zmienią... Wogóle jednak przeważał w ówczesnych poezyach Grudzińskiego ton smutny; ciągłe tam były narzekania na boleści i cierpienia, na ciężką drogę życia, na „zimne, puste“ tłumy... Forma wierszy już wtedy była gładka, niekiedy nawet prześliczna, jak widać z poezyj: *Szach i mat, Naiwny* i paru sonetów; język był dosyć czysty i poprawny, lubo nie wolny od rusycyzmów czy rusinizmów, wskazujących ukraińne pochodzenie autora.

Przejął się następnie Grudziński, lubo chwilowo, temi hasłami, jakie młodzież postępowa głosiła, zagrzewając do pracy, do szerzenia światła, budząc spółczucie dla biednych, nieszczęśliwych, upadłych. W wierszu p. n. *Fiat lux!* wołał, odpowiadając tym, co się lękali, by „rydwan postępu“ serc nam nie zdruzgotał:

Naprzód — ty, kochanko ducha!
Czynów hasło, naprzód pieśń!
Niechaj tłum, co ciebie słucha,
Swej apatyi zetrze pleśń!...
Dalej, wiedzy archaniele,
Tyś nam wodzem, naprzód leć
I na trudów, pracy wiele
Swą pochodnią jasno świeć!
I co wieki chodził ciemny
Przejrzy przez nas biedny lud,
Błyśnie w głębi blask tajemny,
Stanie się światłości cud!
Nie słowami Stwórcę chwalić!
Nie pokutą zbyć się win!
Lecz ciemności państwo zwalić,
A modlitwą zrobić czyn!

W innym wierszu p. t. *Bohaterstwo pracy* scharakteryzowawszy rozczarowania, zwątpienia i upadki tych duchów ognistych, które odrazu chciały dokonać wielkiej w świecie przemiany, protestuje przeciwko rozpacznej apatyi i zachęca do podjęcia robót na pozór małych, które jednak z czasem na wielką całość złożyć się muszą:

Postęp, światło, szczęście ludów,
Cały szereg ofiar, trudów
To nie marne tylko słowa!
Każdy działać może wiele,
Kto ma tylko czyste cele...
Lecz gdy nowa błyska era,
Miejmy w *prawdzie* przewodnika...
Zrzućmy togę bohatera,
Wdziejmy szatę pracownika!
Niech na swojej każdy grzędzie
Choć najmniejsze źdźbło dobędzie,
Mały chwast niech wykorzeni,
Małą iskrę niech roznieci,
A noc w dzień się nam zamieni!...

Obok takich i tym podobnych utworów, nacechowanych jasnym a mimo to serdecznym na świat poglądem, Grudziński nie pozbył się dawnych marzycielskich nawyknień; stąd też w zbiorku jego poezyj wydanych r. 1873 w Krakowie, spotykamy rozsądne uwagi, zdrowe uczucia pomieszane z mało uzasadnionemi wyrzekaniami na zhańbienie ideałów sztuki, na poniżenie objawów zapału i bólu — przez rozbiór naukowy. Autor zapominał w takich wypadkach, że sam w szczęśliwą chwilę napisał:

Nie zrywajmy ducha związków!
Niech w harmonii się pogodzi
Światło głowy z ciepłem serca,
Bo bez światła — ciemność wszędzie,
Bo bez światła — zima będzie!

A gdy tylko chłód morderca
Rząd obejmie ponad światem,
Ludzkość będzie automatem!

Tak jest! harmonijne łączenie wyników naukowych z wymaganiami serca naszego, z naszym nigdy niestrudzonym popędem do ideału powinno być zadaniem wszystkich a mianowicie i poetów, jeżeli chcą uchodzić za przewodników społeczeństwa. Rozprawianie zaś o gladyatorstwie poety, o „nagiej, smutnej, nędznej prozie życia“ nie zbliży nas tak bardzo do ideału, bo nie wskaże nam wzorów idealnych, do których nie tylko wzdychać, ale które naśladować powinniśmy. Trudna rada: ból, rozczarowanie, z jakichkolwiek zresztą pobudek i przyczyn płyną, nie przestają przecież być objawem chorobliwym, nienormalnym;—dla życia potrzeba zdrowia, ciepła, siły, odwagi i wytrwałości; bez tych warunków życie będzie nędznem wegetowaniem paralityka...

Pomimo dość pospolitego tematu, dają się w tym zbiorku z r. 1873 z przyjemnością odczytać wiersze p. n. *Sielanka* i *Miłość artysty;* pierwszy przedstawia naiwność dziewiczego serduszka, drugi — usposobienie artystyczne; pomysłów nowych tam niema, lecz jest zręczne przeprowadzenie tematu.

Z utworów większego rozmiaru mieszczą się

tutaj: *Rusałka,* (obrazek ukraiński), *Obłąkani* (sceny liryczne), *Kartka z pamiętnika.*

Rusałka jest to obrobienie znanej powszechnie klechdy, że boginka, która się kochała w młodzieńcu śmiertelnym, gdy ten ją porzucił, zwabiła go do swego podwodnego mieszkania, ażeby już nie mógł złamać ślubów. Zanadtośmy się już nasłuchali naśladowców pomysłu „Świtezianki", ażeby podobny utwór, mający za treść zdarzenie nieprawdopodobne. a nieodświeżony jakąś głębszą treścią wewnętrzną, mógł na nas robić wrażenie.

Obłąkani są zestawieni z ludźmi o zdrowych zmysłach. Autor zdaje się utrzymywać, że nieraz w umyśle i sercu waryata są głębsze myśli i szlachetniejsze uczucia aniżeli u zwykłych śmiertelników, swobodnie chodzących po ziemi. Możnaby tu zrobić uwagę, że chcąc tezy takiej dowieść, potrzebaby więcej nagromadzić argumentów... a powtóre, że nie jest to wcale pomysł nowy; w dobie romantycznej setki podobnych się pojawiało.

Kartka z pamiętnika przedstawia historyę poznania się i rozstania dwojga młodych osób, przyczem poeta wtrącił tyradę przeciwko ludziom wogóle a kobietom wszczególności, odtrącającym biedną sierotę i nie dającym jej pracy, przez co ją narażają albo na hańbę albo na śmierć głodową. Tę ostatnią myśl przeprowadził

też Grudziński w innym wierszu p. t. *Dramat na bruku*. Jeżeli jeszcze dodamy, że w owym tomiku poezyj mieści się także przekład *Rolli* Alfreda de Musset, to odtworzymy sobie znamienną chwilę w rozwoju naszego życia społecznego, kiedy się pojawiały liczne utwory wierszem i prozą w obronie kobiet szukających pracy i łamiących się z nędzą, w obronie szwaczek, zmuszonych żyć z lichego zarobku a kuszonych przez lekkomyślną młodzież, a przeto narażonych na upadek. Grudziński, co prawda, powtarzał tylko to, co przed nim już powiedziano, śpiewał wciąż na jedną dobrze znaną nutę, dowodząc, jakoby tylko nędza przyprowadzała kobiety do upodlenia, gdy tymczasem wiadomo, że i namiętność wielką w tej sprawie rolę odgrywa.

Po kilku latach od czasu wydania omawianego zbiorku poezyj, Grudziński, który je przepędził, bardziej się oddając publicystyce i powieściopisarstwu, wystąpił z poematem na tle podań ludu ukraińskiego osnutym p. n. *Dwie mogiły* (Warszawa, 1879). Treść tego utworu jest bardzo prosta i nie odznacza się prawdopodobieństwem, przynajmniej w tym kształcie, w jakim ją autor odtworzył. Kniaź Perepiat idzie na bój z Połowcami pomimo zaklęć żony i złowróżbnej przepowiedni dziada. Gdy wracał, Perepiatycha, sądząc, że to Połowcy pod zamek

podstępują, napada na jego oddział i w walce zabija własnego męża, a poznawszy straszną omyłkę, śmierć sobie zadaje. Lud pali ciała obojga i usypuje nad ich prochami dwie mogiły.

Zdarzenie-to bardzo smutne bez wątpienia, lecz tylko zdarzenie, prosty wypadek, omyłka fatalna. Żadne uczucie, żadna namiętność, a zatem najsilniejszy żywioł poetyczny nie wchodzi tu jako składowa część kollizyi; cóż więc dzisiejszego czytelnika może obchodzić *qui pro quo* zaszłe niegdyś w zamierzchłej przeszłości? Mogiły Perepiata i Perepiatychy tem chyba tylko interesować mogą, że tam Wernyhora obiecał świetne zwycięstwo... Przypadkowe nieszczęścia zazwyczaj epizodycznie jeno używane bywają w poezyi; dobrej całości poetycznej utworzyć nie są w stanie, tak jak cegła spadająca z dachu na głowę niewinnego nie może przecież służyć za dzielny motyw tragiczny. W starożytności budowano wprawdzie na zbiegu dziwnych wypadków tragedye, ale wypadki te miały inne znaczenie — były wyrazem wiary religijnej w działanie konieczności, fatum. Wobec pojęć dzisiejszych już taki sposób traktowania postępków ludzkich jest wykroczeniem przeciwko psychologii.

Z tej głównej, zasadniczej wady poematu wynikł zupełny niemal brak ruchu w opowiadaniu, monotonia w przedstawieniu osób i ich

uczuć. W pierwszej pieśni kniaź żegna się z kniaziową i słucha wróżby dziada; w drugiej — księżna tęskni i słucha, jak dziad o zwycięstwie męża zwiastuje; w trzeciej znajdujemy nawiasowe wspomnienie, że Perepiat ranny jest w prawą rękę, ale więcej zato dowiadujemy się o snach jego; w czwartej znowu księżna tęskni i, na mylną wieść, że Połowcy idą, wypada z zamku. lecz znowuż nie widzimy bitwy, gdyż „noc czarna żałobną zasłoną nakryła bój srogi"; w piątej wreszcie słyszymy narzekania ludu z powodu straty kniazia — oraz jego pochwały.

Charaktery zaledwie są naszkicowane bardzo ogólnymi rysami; kniaź, żądny boju, ale zarazem lubiący niewieście pieszczoty, których urokowi możeby nawet poświęcił obowiązek obrony od hord dzikich, gdyby nie rżenie konia Szulaka. Kniazia tego nigdzie w walce nie widzimy, słyszymy tylko o snach jego lubieżnych. Księżna — to czuła a nawet sentymentalna istota w pieśni drugiej, gdy tymczasem w pieśni czwartej zjawia się jako nierozważna amazonka. Słowa, któremi uczucia swe wyraża, pomimo swego kolorytu ludowego, byłyby stosowniejsze w czułostkowym romansie, aniżeli w poemacie z czasów starodawnej prostoty. Wszak w „Wyprawie Igora na Połowców", Jarosławna nie lubuje się wcale własnem cierpieniem, ale myśli swoje wszystkie zwraca do męża walczącego z wro-

giem; nie mówi: „ja będę całować każdą trawkę, co zwiędnie zdeptana konia jego żelaznem kopytem“, gdyż to byłoby romantycznym jedynie frazesem bez istotnej treści, ale płacze łzami rzeczywistemi i modli się o powodzenie dla męża, bo wie, że gdy zwycięży, to powróci i łzy jej otrze.

Sposób traktowania tematu zawarunkowany był poezyą ludową; pełno tu zatem pytań i porównań, pełno dziadów i gęślarzy, pełno zuzul, orłów, sokołów, pełno przemów do koni, wiatrów, gwiazd, kwiatów i traw. Gdyby się to wszystko pojawiało w poezyi artystycznej po raz pierwszy, interesowałoby zapewne, mając urok świeżości; ale żeśmy już tem nawet przesyceni, a autor po większej części był echem jeno oddawna znanych dźwięków, stąd owe poetyczne dekoracye już na nas wrażenia nie robią. Mnie osobiście jedna tylko apostrofa do czasu, pomimo powszedniości myśli, wydała się piękną:

Czasie, czasie! starcze siwobrody!
Czemuż wtedy, gdy nas boleść gnębi,
Lot tój słabnie, jakby lot gołębi,
Co z wichrami nie chce iść w zawody?

Czemuż stoisz, kiedy dusza rada
Jak najprędzej przebyć ciężką chwilę,
Kiedy serce, jak kwiat na mogile,
Więdnie z bólu, więdnie i opada!

Pod względem czysto technicznym wierszowania, rymu i rytmu, poemat ten, podobnie jak liryki przedstawia się wielce dodatnio. Rym zazwyczaj bywa nietylko dobry, ale nawet wytworny; a wiersze trochaiczne wogóle bardzo starannie są budowane.

Jak się ostatecznie skrystalizował talent Grudzińskiego, to nam pokazuje zbiorek poezyj, wydany w Warszawie roku 1883, gdyż wkrótce potem autor nasz, trawiony suchotami, napróżno szukając ratunku w oderwaniu się od pracy i zamieszkaniu na wsi, zakończył swój byt ziemski. Grudziński nie trwał długo pod sztandarem młodych postępowców, natura jego miękka i marzycielska nie dała się pogodzić z trzeźwym pozytywizmem, a lgnęła więcej do zasad tradycyjnych, do sposobu myślenia i patrzenia na rzeczy ze stanowiska umiarkowanej zachowawczości. Nie należąc do umysłów wojowniczych, po krótkiej fazie uwielbienia dla nauki, schylił kornie głowę przed dogmatami wiary. Historyę swoich przejść duchowych opowiedział on we *Fragmencie* (str. 75—77 poezyj, wyd. r. 1883). Był czas kiedy wierzył, że natchnioną pieśnią można było wpłynąć na przetworzenie społeczeństwa; więc sercem jego wstrząsały hasła postępu, zagrzewając i ciało i ducha do coraz to nowej walki. Tymczasem życie, idąc swoją koleją, zachwiało niejednem marzeniem; znikły

komety brane za słońca, a poeta dowiedział się, „kędy idzie postępu droga prawdziwa i kędy mądrość obłędom wroga przebywa“. Z tej skarbnicy mądrości wydostaje i czytelnikom podsuwa dwie, według siebie, prawdy, że ludzkości nie można zbawić frazesem i że nie wolno pytać głosem zuchwałym, dlaczego łzy płyną z oczu ludzkości. Następnie określa Grudziński swą dążność w tej fazie, kiedy się stał dojrzałym: oto radby pieśń swą napoić miłością, świecić promieniem pociechy i walczyć z każdą troską, zwątpieniem i rozpaczą:

Niech o mej pieśni za całą chwałę
Powiedzą:
Że lata nizko, jak ptaszę małe
Nad miedzą;
Że towarzyszy pracy pokornéj
Wśród potu,
I nie zaznała żądzy miesfornéj
Odlotu;
Że cicha, słaba, wznieść się nie może
W niebiosy
I widzi całe nieba przestworze
W łzach rosy,
I że najmniejsza gwiazda srebrzysta
Jej gwiazdą,
A światem dla niej łąka ojczysta
I gniazdo!...

W tem określeniu zakresu i nastroju poezyi niema przesady, ani fałszywej skromności autor-

skiej. Istotnie, pomysłami swymi, mianowicie w lirykach, nie wybiegał poeta poza granice kraju rodzinnego; uczucia tkliwe i rzewne przemagały w jego utworach, urozmaicone tu i owdzie łagodną ironią lub miarkowaną wesołością. Los biednych i słabych głęboko wzruszał poetę, ale nie obudzał w nim niechęci do bogatych i silnych, gdyż wierzył w dobre serce tychże, śpieszące uciśnionym z pomocą i wsparciem.

W *Prologu na otwarcie teatru Dobroczynności* przeciwstawia np. zabawy możnych i cierpienia biednych w zimie. Dziewczyna uboga, patrząc na nieme ojca rysy, na boleść matczyną, na całą rodzinę, co „osłabłymi pulsami serc liczyła chwile“, zdecydowała się pójść i... „przynieść pieniądze“. Dwie postacie, „dwa cienie tajemnicze“, Nędza i Zima szły za nią... Czy nie mogła znaleźć nabywcy, czy nie miała siły w ostatniej chwili, dość, że dziewczyna zaszła na ganek kościelny i tam się położyła. Nad ranem wracają z balu karety; jedna z nich zatrzymuje się nagle przed kościołem; pani bogato ubrana wysiadłszy z powozu, dąży do dziewczyny w odzieniu żebraczem. Następuje scena rozczulenia i łez. Dysonanse tedy zharmonizowały się w zimie nad ranem... Ażeby dobrze było na świecie, dość jednego czułego popędu serca; gdy zmarzną biedni, trzeba ich będzie pochować, a wówczas nawet łzy staną się zbyteczne... Oprócz tego

optymistycznego zakończenia, które zresztą wymagane było niejako przez sam cel napisania *Prologu*, oprócz melodramatycznej sceny z Nędzą i Zimą, utwór ten jest skreślony udatnie i żywo.

Od tego silnie tendencyjnego poemaciku, który wysunąłem naprzód głównie dla charakterystyki poglądów poety, przejdźmy do innych.

Tragicznie nastrojonym jest obrazek miejski p. n. *Dwie matki:* jednej syn umarł z przeziębienia, drugiej — przyzwyczajony do wygód, oddawał się grze i pijaństwu, a w końcu się zabił.

Wiersz p. n. *Za Nerona* opowiada rozwlekle o zezwierzęceniu Rzymu, o chrześcijanach i św. Piotrze, o dzieweczce, która na sam widok św. Piotra nawróciła się i poniosła śmierć wraz z chrześcijanami, lubo nieochrzczona, o czem ma widzenie pewien kapłan i każe ciało jej przynieść do katakumb.

W wierszu: *Zburzenie Persepolu* opiewa autor, jak kochanka Tais wymogła od upojonego winem i jej wdziękami Aleksandra W., by mszcząc się za Helladę spalił Persepol.

W obrazku z nad Wisły p. t. *Hala* mamy maleńki dramacik miłości i obowiązku. Pusta i wesoła dziewczyna pokochała gorąco sierotę Janka flisaka. Janek, będąc biednym, nie chciał prosić o jej rękę rodziców, którzyby go może

odepchnęli z pogardą; pojechał więc do Gdańska dorabiać się. Razu pewnego ktoś przywiózł Halce sznur korali i wieść o śmierci flisaka. Przebolawszy tę stratę, Hala po kilku latach, na naleganie rodziców, zgodziła się wyjść za bogatego i dobrego rolnika. Gdy już dziecię pieściła, zjawia się nagle Janek i namawia ją do ucieczki. W sercu Hali odezwało się echo dawnej miłości; o północy wychodziła już z chaty, by ją na zawsze opuścić, gdy wtem zakwiliło dziecię; uczucie macierzyńskie przemogło; została.

Z poemacików tych najsłabiej wykonanym jest *Za Nerona*, najlepiej *Hala*. Najważniejszą wadą Grudzińskiego był zwykle brak miary artystycznej w kompozycyi, w użyciu barw, w doborze wyrazów; autor dawał się pociągać łatwości tworzenia gładkich wierszy i tworzył ich za wiele; tam gdzie starał się o krótkość, treść na tem zyskiwała *(Zburzenie Persepolu)*. W *Hali* powszedniość pomysłu okupiona została względną prostotą opowiadania, lubo nawet w tym utworze, mającym formę pieśni ludowej, nie ustrzegł się poeta tu i owdzie przesady: „Gdyby ż z ziarnek piasku przyszło sypać górę, wnetby się podniosła góra aż pod chmurę, byle ujrzeć mogła Janka choć na chwilę“... Że podobną przesadę spotykamy w pieśniach ludowych, to nie może służyć za usprawiedliwienie dla spółczesnego autora; w pieśniach bowiem mówi tak

zazwyczaj bohater a zwłaszcza bohaterka, a słowa takie są jedynie miarą ich uczuć; w *Hali* zaś poeta powyższe określenia stanu duszy dziewczyny i jej pragnień podaje od siebie, a jako świadek czy opowiadacz bezstronny powinienby trochę być rozważniejszym od rozkochanej bohaterki, której łudzić się wolno, bo to złudzenie stanowi co najmniej połowę jej szczęścia i osładza gorycz nieurzeczywistnionych marzeń.

W poezyach lirycznych Grudzińskiego z tej doby bardzo mało znajdujemy miłosnych, wiele natomiast refleksyjnych i elegijnych.

Tam gdzie refleksya jest tematem pieśni, muszą naturalnie myśli odgrywać pierwszorzędną rolę; ze stopnia ich wyrobienia wnioskujemy i wnioskować musimy o umyśle poety. Jakież myśli wypowiadał Grudziński? We wstępnym wierszu: *Na przebój* powołuje do walki z losem i przeszkodami przezeń stawianemi, obiecując palmę zwycięstwa tym, co hasła tego usłuchają. W wierszu: *Miłość i słońce*, idąc za Krasińskim nawet w wyrażeniach, wygłasza zdanie, że mądrością jest: kochać rozumnie. *Nić babiego lata* jest dla niego symbolem wszystkich rzeczy ziemskich; nie popada jednak poeta w zwątpienie i rozpacz, bo go podtrzymuje wiara, której wyznanie składa trochę ostentacyjnie wobec rzeczników sceptycyzmu. *Siłę ducha* upatruje nie w buncie przeciw niebu, lub w pozbyciu się pęt

wszelkich, lecz w karności, w opieraniu się prądom, w zaniechaniu skarg na cierpienia. Teraźniejszość przedstawia się mu jako czcicielka mamony i pychy, a przeszłość natomiast jako bohaterka, co „z zimną pogardą“ patrzała na błędne koło fortuny *(Dola-lichwiarka)*. Przykładów tych będzie dosyć, ażeby dać poznać ognisko, z którego wychodzą rozliczne promienie rad, wskazówek i zdań Grudzińskiego. Ogniskiem tem — wiara i tradycya. I w jednej i w drugiej są zasady cenne i myśli zdrowe, lecz obok nich są też i takie, których znaczenie jest już tylko historyczne. Poeta nie wyróżniał widocznie jednych od drugich.

W wierszach elegijnych Grudzińskiego nigdzie nie brzmi nuta fałszywa; uczucia żalu nad losem obcym i swoim wypowiada autor zgodnie z temperamentem własnym; ale ponieważ w temperamencie tym niema pierwiastku siły, więc też wyśpiewane przez poetę uczucia nie wywołują żywszego wrażenia, nie upamiętniają się w umyśle czy sercu. Za najudatniejszy uważać-by można wiersz p. n. *Smutna wiosna*, gdzie poeta patrząc na objawy odżywającej przyrody przez pryzmat bolesnego przygnębienia, nie rad im, gdyż w sercu jego smutek radosną swoją barwą zwiększają. W jednym z elegijnych utworów pomysł jest dość oryginalny; wyraża on ból wynikający z wyjątkowości położenia. Sosna

sama jedna zachowuje w jesieni zieloność swoją, lecz jest smutna; brzoza ją pyta, dlaczego się smuci, choć wszystkie drzewa zazdroszczą jej zielonego płaszcza. Nie zazdrośćcie mi — odpowie zagadnięta — bo ja nie znam ani wiosny ani jesieni i „wolałabym nie być zieloną i z cierniami się tulić do ziemi, byle w maju zakwitnąć wraz z niemi, byle młodą mi być nie wzbroniono“. Szkoda, że przez rozwlekłość i brak trafności w pewnych szczegółach pomysł został zepsuty. Sosna nie może przecież mówić, że nie ma po czem ani za czem płakać, boć i ona ma tak samo owoce jak i inne drzewa. A wyrażenie, że gdyby drzewa znały tajemną burzę w jej piersi, toby płakał nad nią las cały i chmury-by płakały — trąci sentymentalizmem.

Z powyższych uwag wywnioskować można, że Grudziński nie odznaczył się w dziejach poezyi naszej talentem wybitnym, wielkimi pomysłami, bogatą fantazyą, silnie rozwiniętą uczuciowością, ani też subtelnością w wyrażeniu wzruszeń swoich; ale że to, co pisał, odczuwał nie tylko artystycznie, lecz i serdecznie. Szczerość jego natchnień widniała wszędzie, czy-to kiedy hasła postępowe wygłaszał, czy też kiedy na łonie wiary i tradycyi niepewnościom swoim chciał koniec położyć. Pod względem formalnym poezye jego nie miały ani zalet nadzwyczajnych, ani też wad zbyt rażących. Pisał wier-

szem gładkim, harmonijnym, językiem czystym, poprawnym, nieraz pięknym, ale posługiwał się dykcyą, którą każdy utalentowany człowiek może dziś sobie przyswoić; rzadko kiedy puszczał się na poszukiwanie wyrażeń nowych i świeżych.

IX. Włodzimierz Zagórski (Chochlik).

Włodzimierz Zagórski występuje na widowni literackiej od r. 1865, kiedy został spółpracownikiem, a następnie spółredaktorem t. zw. czasopisma humorystycznego we Lwowie „Chochlik“; wydawał potem sam podobne czasopismo p. t. „Różowe domino“; pisywał też do „Szczutka“. Wybrane z tych pism utwory poetyczne ogłosił w roku 1882 w dwu zbiorkach; jeden p. n. „O zmierzchu i świcie“ obejmuje wiersze treści politycznej, drugi p. n. „Piosnki i żarty“ wiersze treści towarzysko-społecznej. „Żywiołem jednych i drugich — jak sam autor objaśnia — była walka, a tworzeniu przewodniczyła myśl polityczna, — artystyczna zaś dopiero na drugim znajdowała się planie“. Wiersze te ściśle więc były związane z okolicznościami życia galicyjskiego od r. 1865 do 1881; właściwą sobie służbę spełniły w łamach pism peryodycznych; wyjęte z nich w bardzo małej już tylko mierze mogą wywołać

silniejsze wrażenie; potrzebaby bowiem opatrywać je ciągle rozległym komentarzem. Czuł to sam Zagórski pisząc w przedmowie do „Piosnek i Żartów“: „Gdy chodziło o to, aby humorystycznie zaokrąglić ten lub ów numer Chochlika albo Szczutka i w zbyt poważną symfonię polityczną wpleść jakieś wesołe allegro, wtedy w takt turkotu pośpiesznej drukarskiej prasy pisałem żarty te, aby ich swawolną nutą podnieść przez antytezę wrażenie poważnych politycznych śpiewek. Był to więc rodzaj lekkiej kawaleryi, która mi w publicystycznych walkach moich nieraz dobre oddawała usługi!... Oczywista rzecz, że wesoła wiara ta, pozbawiona obecnie skutecznej pomocy swych towarzyszy, z którymi niegdyś wspólnie walczyła, nie zawojuje dziś już świata i nie zdobędzie mi laurowej nagrody. Puszczona samopas bez swej wiernej towarzyszki, piechoty, bez artyleryi strzelającej z dział zasadniczego kalibru, nie przedstawia też ona wcale owych zastępów, które w bój prowadziłem przez lat kilkanaście, biorąc żywy udział w politycznych walkach naszej dzielnicy. Więc też i nie bez pewnego żalu wypuszczam w świat dzisiaj te sieroty, które obecnie z ramek czasu i otoczenia wyjęte, nie posiadają już onej racyi bytu, onego polemicznego uprawnienia, jakie miały niegdyś w chwili pierwszego swego występu“.

Ogólny to los wszystkich prac publicystycznych; starzeją się one rychło, stają się niezrozumiałe bez objaśnienia, lub też wyglądają dla późniejszych pokoleń karykaturalnie.

Zagórski nie posiadał na prawdę „humoru“ w estetycznem znaczeniu tego wyrazu, gdyż jeden ze składowych tegoż pierwiastków, uczucie głębokie i rzewne, dość słabo jest w nim rozwinięte, kiedy ostrze dowcipu satyrycznego i zdolność do wnikania w przepaściste zagadnienia filozoficzno-moralne wybitnie się w twórczości jego zaznaczają. Najlepsze rzeczy, zawarte w owych dwu zbiorach jego wierszy to satyry, trawestacye, żarty wymierzone przeciwko obłudzie, bigoteryi, zacofaniu, służalstwu i tym podobnym ujemnym objawom życia społecznego. Heine i Scheffel byli dla niego wzorami i przewodnikami i to tak dalece, że niekiedy ich pomysły za swoje podawał (*„Ojciec Ruf“*, *„Z Kopalnego Romancero“*). Z własnych jego pomysłów zaznaczyć należy jego oburzenie na świętoszkostwo: *„Omnia ad majorem Dei gloriam“*, *„Post Świętoszka“*, na hasło siła przed prawem: *„Z wilczego brewiarza“*, na kobiety nie idące torem tradycyi: *„Do sawantki“*, *„Zaściankowa lwica“*, *„Do emancypantki“*. Pewnym stopniem rzewności odznacza się nowella wierszowana p. n. *„Kuzynka“*.

I w późniejszym zbiorku „Poezyj“ (Warszawa, 1894), spotykamy najczęściej już to temata,

które są ulubionymi motywami pism „humorystycznych“, a właściwie żartobliwo-satyrycznych, już to poważne refleksye nad losem i obowiązkami ludzi, a rzadko kiedy uczuciowość. Zręcznie i śpiewnie kreśli autor rozmowę miłosną, przerwaną nagle ukłóciem panny przez komara *(„Ten trzeci“)*, szynkowniany obrazek *(„Hebe“)*, wędrownych grajków, którzy za jedzenie i napitek bawią ludzi i u szynkarek nawet mają powodzenie *(„Tercet“)*, dowcipnie prowadzi *Rozmowę pijaka z księżycem*, drwiąco maluje spijanie śmietanki życia za młodu i pocieszanie się na starość, że wszystko jest głupstwem *(Lukier)*, lub też chwalbę dawnych dobrych czasów *(Bywało)* itp. Mamy tu także dłuższy poemacik satyryczny p. t. *Poradnik dla konkurentów;* ale w nim poza powtórzeniem starych już i wyszarzanych konceptów, poza nieznośnymi makaronizmami polsko-francuskimi, trudno się dopatrzyć nowych jakichś spostrzeżeń, delikatniejszego smaku i szczęśliwych wyrażeń. Nie warto było uwieczniać tego utworu w formie książkowej; niechby sobie spoczywał w numerach którego z pism „humorystycznych“, gdzie zapewne pierwotnie był pomieszczony i gdzie, ukazując się kawałkami, w pewnych odstępach czasu, nie raził jednostajnością zwrotów.

Z innych motywów, zawartych w najświeższym zbiorze poezyj Zagórskiego należy chyba

uwydatnić jeszcze naiwność i szczerość młodocianego uczucia, opisanego w poemaciku p. t. *W wagonie*. Jedzie młodzian do szkół pełen rojeń o przygodach romantycznych w podróży. Długo spędza czas samotnie, aż na jednej stacyi wsiada piękna kobieta. Młodzian pragnąłby rozpocząć rozmowę, ale nie ma odwagi, nie nasuwa mu się żaden temat, któryby utorował drogę do wyjawienia tego, co czuje. Po uporczywej z samym sobą walce zdobywa się zaledwie na wymówienie słowa: „Pani!“ jako wstępu do przemowy, ale po wstępie ani jednego już wyrazu dodać nie może. Zmieszanie jego podoba się widocznie kobiecie, lecz i ona nie przemawia ani słowa, wysiada, i dopiero gdy pociąg rusza dalej, a młodzian ku niej z wagonu wyciąga ramiona, ona patrzy w jego stronę, uśmiecha się życzliwie i od ust całusa posyła. I tak w duszy młodzieńca pozostało tylko miłe, tęskne wspomnienie, bo już nigdy w życiu kobiety tej nie widział. Prostotą i szczerością odznacza się także wiersz: *Podlotek*.

Całkiem odmiennego charakteru jest najobszerniejszy poemat Zagórskiego p. t. „Król Salomon“. Nie był on napisany odrazu; początek ukazał się r. 1881 w Albumie dla Zagrzebia, ostateczne wykończenie wypadło w kilka lat potem, kiedy całość r. 1887 wyszła z druku (Warszawa). Autor zastrzega się w przedmowie,

żeby utworu tego nie brać za syntezę jakiegoś filozoficznego credo. „W chwili — powiada — gdy pessymistyczna nuta tak głośno rozbrzmiewa we wszystkich utworach piśmienniczych, uważam za swój obowiązek położyć szczególny nacisk na to zastrzeżenie“. Każe więc go uważać za wyraz stanu duszy poety „w pewnej danej chwili“ życia; a chcąc dla niego pozyskać i szersze uzasadnienie, dodaje: „Doświadczył tych smutków i tego bolesnego znękania z pewnością każdy, ktokolwiek spragnione usta zbliżył do krynic nowożytnej nauki“.

Jeżeli w tem zdaniu zmienimy ostatnie wyrażenie zbyt jednostronne o wpływie nowożytnej nauki na inne obszerniejsze, wskazujące cały szereg zawodów, smutków, cierpień życiowych i jeżeli jako spółczynnik tych wszystkich bolesnych doświadczeń, dołączymy wyobraźnię żywą a skłonną do zadumy; to niewątpliwie przyznać będziemy musieli słuszność twierdzeniu, iż człowiek wśród takich okoliczności zmuszony do życia nieraz zawoła:

Marność jest klątwą ziemi syna,
A dziełem jego — nieświadomość,
A losem jego dzieł — znikomość
A imię jego proch i glina!
Próżno się kusi wzlecieć duchem
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota;
Próżno się zrywa i szamota
Skowan glinianym pęt łańcuchem.

Dni jego są jak dni najemcy,
A jak sęp głodny jego serce
I w wiecznej z sobą on rozterce
I niemasz, niemasz dlań rozjemcy!

W tych słowach streszcza się, ściśle biorąc, wszystko, co „Kaznodzieja“ a za nim W. Zagórski w pierwszej części utworu „Vanitas vanitatum“ wypowiada. Wszystkie inne ustępy są już tylko rozwinięciem i zastosowaniem ogólnego spostrzeżenia o znikomości myśli, uczuć, rozkoszy, bólu. czynów i zabiegów ludzkich. Gdy mówi o pracach człowieka, o wiecznem „prochów wirowaniu“, o marności użycia zmysłowego, o miłowaniu mądrości, o gospodarności i marnotrawstwie, o szukaniu sławy w sprawach wojennych, o losie dobrych i złych; wszędzie znajduje rozczarowanie, wszędzie widzi, że w świecie panuje, nie mądrość ni też sprawiedliwość, jeno bezmyślność i przygoda, że wszystko, za czem się ludzie ubiegają, jest tylko chwilowem omamieniem zmysłów lub ducha, że znikąd niepodobna zaczerpnąć otuchy, że celem wszystkiego istnienia jest ciągłe dążenie do nicości, a raczej ciągła bezmyślna przemiana.

Po tak bolesnem uświadomieniu sobie marności snów i czynów ludzkich, mędrzec w II części poematu zatytułowanej „Vae soli“, przeciwstawiając swój los jako reprezentant ludzi losowi kwiata, ptaka i błękitu niebios, które

pędzą żywot swój pełen wdzięku bez trosk i smutków, najsilniejsze udręczenie odkrywa w tym fakcie, że jemu jednemu „mózg żrą myślenia głody“, że on jeden dobaduje się przyczyny swych nieszczęść. Uciekając od gwaru życia, wśród którego snuł dotychczas przędzę swych myśli, pobiegł w „step głuchy i stroskany, w krainę śmierci i milczenia“, by tam poszukać spokoju.

Nie rozumiemy dostatecznie powodu, dlaczego tak sobie postąpił znękany i znużony mędrzec, boć chyba po wielu doświadczeniach tajnem mu być nie mogło, że przyczyna jego bólów nie leżała w otoczeniu, wśród którego żył, ale naprzód w ogólnym ustroju świata, a powtóre i głównie w jego własnem usposobieniu, w jego wnętrzu. Mędrzec taki musiał wiedzieć, że samotnym można być wśród największego gwaru, a zupełnej samotności nie osiągnie człowiek nawet w takim samotnym i głuchym stepie jak ten, do którego się schronił, gdyż zawsze towarzyszem jego nieodłącznym będzie nieubłagany sęp myśli. Raz wprawdzie czytamy, że mędrzec szedł piasków stepowych topielą „pod straszną nieba *rozgorzelą*“, myśląc, że wyjdzie „z dróg żywota“, ale zdaje się, że to tylko frazes, bo nigdzie dalej na seryo do samobójstwa czy wogóle do unicestwienia nie dąży.

A do takiego przypuszczenia skłania nas za-

chowanie się mędrca na owym stepie — dziwnie żakowskie. Powiada on, że krocząc puszczą stawił słońcu czoło hardo „chcąc przesiłować je *pogardą*“, aby mu „z czaszki mózg wyżarło“, to znowu wyzywał wiatr pustynny, żeby mu otworzył grób gościnny; ale że próżny był jego zgrzyt i jęki, więc porzuciwszy nieme stepy, dlatego, że go *gniewała* ich zmartwiałość, pobiegł „przez skał urwiska i wertepy“ po to, żeby hyeny głodne i lamparty, a nawet lwy płoszyć „srogiem wejrzeniem“ lic swoich. A tłómacząc tę zrozumiałą ze strony hyen, ale dosyć zabawną ze strony lampartów i lwów tchórzliwość czy też grzeczność, powiada, że ponieważ był jak ogniem owionięty klątwą, iż śledzi dróg żywota, więc go „prawa świata“ nie dotykały... To wyjaśnienie trąci zanadto mistycyzmem, ażebyśmy mogli mu uwierzyć, i musimy przypuścić, że autorowi zabrakło pomysłu, ażeby zgodniej z rzeczywistością przeprowadzić dzieje wewnętrzne swego mędrca.

Bądźcobądź rozpędziwszy swem „srogiem wejrzeniem“ hyeny, lamparty i lwy, wydostał się wreszcie mędrzec ze stepu, dokąd zabiegł chyba dlatego tylko, ażeby autorowi dać sposobność do namalowania krajobrazu ponurego, i wybiega nareszcie na szczyt wysoki Libanu, mając u stóp gaje mirtów, słuchając tęsknych pieśni słowiczych i wtóru potoków. „Grało wszę-

dzie bujne życie", ale wdzięki jego nie wzruszały znudzonego mędrca; tonął więc w coraz *„grubszą* smętność i w cięższy przesyt i *surowość* (? dla kogo?), klął po staremu świata bezcelowość, aż nareszcie padł na zimny głaz i sądził, że go już ciemnie czarne śmierci ogarniały, co witał jak wybawienie, jak rozkucie pęt.

Wtem (w III części poematu p. n. „Sulamit") zbudził go głos dziewiczy, co „jak srebrny promień księżycowy lał się przez górskich łąk parowy, pełen tęsknoty i słodyczy". Mędrzec na ten głos zbudził się i poczuł, że dźwięk jego padał mu na duszę „jak na ów kwiat, co zwiądł w posusze, pada ożywczy deszcz wiosenny", obmywał go „jak łez potokiem i głód mu życia w piersi wlewał i niby światłem go przewiewał, kojąc pieszczoty swej urokiem". Ten cudotwórczy wpływ głosu dziewiczego, jak wyjaśnia mędrzec, pochodził stąd, że dawniej badając zawiłe sprawy świata „zapomniał wdzięczną miłość, co jedna słodzi życia wstrętność". Zdaje się, że to wyjaśnienie podane zostało wśród omroczenia erotycznego, bo gdyby mędrzec mówił w stanie normalnym, toby musiał się sam zastanowić nad sprzecznością słów swoich z tem, co powiedział dawniej (str. 28 i 29), gdzie przedstawił nam się jako człowiek, który wszystkich już rozkoszy kosztował:

I piłem, piłem życia kruże
Ustami, sercem, całą duszą,
Myśląc, że wiecznie żądze kuszą
I wiecznie kwitną wianka róże.

I wówczas to doszedł do przekonania, że „rozkosz ziemska jest zwodniczą i leży na dnie jej znikomość, i czarem jej jest nieświadomość, a nasycenie jej — goryczą!“ Widocznie jednak wtedy się omylił, kiedy oto teraz w młodej i pięknej Sulamitce znalazł „mistrzynię słodką prawdy wiecznej“, co miodem swych całunków odtruła wszystkie wstręty i frasunki dawniejsze. A może... może to nie był wcale mędrzec, tylko stary znudzony sybaryta, co się *bawił* przez czas jakiś w mędrca, nibyto badając zawiłe sprawy świata, dopóki nie znalazł jędrnego, świeżego ciała, które mu obiecywało dać chwilowe przynajmniej podrażnienie zmęczonych nerwów?...

Takim rozdźwiękiem pomiędzy zamiarami autora a wrażeniem czytelnika kończy się poemat, w I części którego znaleźliśmy rzeczywiście odbicie przejść duchowych, doświadczanych przez niejednego i dawniej i dzisiaj. Poeta źle zrobił, przeniewierzając się tradycyjnemu sposobowi pojmowania „Pieśni nad pieśniami“ i przenosząc miłość do Sulamitki na zakończenie pessymistycznych poglądów „Kaznodziei“. Tylko z epikurejskiego (w zwykłem znaczeniu tego wyrazu) punktu widzenia, zakończenie to dałoby się uspra-

wiedliwić, sprowadzając wszystko do rozkoszy zmysłowej. Ale ani pod względem estetycznym ani moralnym takie zakończenie nie zadawalnia bo estetycznie brzydkim jest obraz przeżytego; starca w objęciach hożej dziewczyny, a moralnie bolesnem jest przyznanie zwycięstwa zmysłów nad rozumem.

W kilka lat potem dał Zagórski zakończenie tego poematu, wydrukowane w jego „Poezyach“ z roku 1894, p. t. *Psalm tęsknoty*. Opowiada tu poeta dzieje swych wątpliwości religijnych przy rozważaniu ustroju świata i głuchej rozpaczy, w jakiej go one pogrążyły:

I nie objawił mi cię, wielki Boże,
Ten świat, którego nędza i brzydota
Wyrazem myśli twojej być nie może,
Ani to życie, co się tam szamota
Na znikomości toniach — słoma krucha,
A jest ciał męką i strapieniem ducha.

Przedstawia następnie poszukiwanie rozwiązania zagadki w wywodach wiedzy materyalistycznej i jej niemoc w sprawie odpowiedzi na pytanie o pierwszą przyczynę wszechrzeczy:

Wtedy mię porwał ten huragan szlochów,
Co się dobywał z tego łez padołu,
Brzemienny skargą uciśnionych prochów
I z łkaniem duchów zmieszany pospołu,
Wnikał mi w duszę, nawskroś ją przewiewał
I roztkliwioną do buntu zagrzewał.

I zwątpił poeta o istnieniu Stwórcy i strasznо mu było w „odbożonym świecie“, a jego samego uciskała „gorzka świadomość, że się rozkłada duch“, co w nim gościł, „jako proch w otchłań lecący nicości“. Tęsknota za nieśmiertelnością, poczucie pustki w tym świecie atomów wróciły mu wiarę i zawołał „hardo“:

Przez tę skrę boską, co we mnie zaklęta;
Tęskni do źródła, skąd wzięła poczęcie...
Przez ten głód prawdy, co ziemi odjęta,
Przez to wszechdobra i bóstwa pojęcie...
Przez to, że myślą w nieskończoność płynę —
Jam duch nad ziemską wywyższony glinę.

Pessymizmu tedy się wyrzeka i składa Bogu dzięki za to, że „dał tu i owdzie miejsce do wytchnienia, gdzie powój ciernie oplata i głogi“, gdzie „ptaszków kapela ponure myśli piosnką rozwesela“, gdzie „czasami bywa przyjaźń stateczna, a miłość szczęśliwa“, gdzie wiara w nieśmiertelność, krzepiąc ducha, „jad ziemskiego odtruwa cierpienia i śmierć nadzieją życia opromienia“. I tak dochodzi poeta do spokoju i pogody wewnętrznej.

Myślowo zakończenie takie rozważań „Króla Salomona“ zadowolnić może — do pewnego przynajmniej stopnia, ale artystycznie bynajmniej związane nie jest z utworem poprzednim. Tam poeta przemawiał ustami króla, tu mówi

sam od siebie; tam zakończył odmalowaniem upojenia zmysłowego, tu przenosi kwestyę do wnętrza duszy. Potrzeba-by jakiegoś łącznika, któryby te dwa odmienne nastroje zjednoczył, zharmonizował — w obecnym stanie utworu mamy obrazy dwu odrębnych sfer myślenia, dwu różnych kierunków. „Psalm tęsknoty“, mający niewątpliwie swoje piękności myślowe i poetyckie, pozostanie przecież całością w sobie zamkniętą, nie zaś zaokrągleniem „Króla Salomona“, pozostanie jako świadectwo zmienionego poglądu autora.

Zagórski nie jest mistrzem formy; nie popełnia wprawdzie rażących usterek, umie zachować raz obrany ton i sposób obrazowania, lecz nie stara się bardzo o świetność dykcyi ani o dobór rymów; końcówki jego wierszy — to pospolicie jednakowo kończące się kształty gramatyczne, a we frazeologii aż nazbyt często pojawiają się abstrakcyjne wyrażenia zamiast konkretnych. Baczny czytelnik odnajdzie przykłady tej charakterystyki w poprzedniem streszczeniu: tu dodam tylko parę uwag co do niestosowności lub niepoprawności niektórych wyrażeń nawet w „Królu Salomonie“, który od innych utworów względną poprawnością się odznacza. Przymiotnik *łasy* stosowany do kotów i do dzieci łakomych jest nieodpowiednim w charakterystyce żywota, co „plon zgonów chłonie“ (str. 25).

Forma czasownika *zmęci* (str. 27), użyta dla rymu zamiast *zmąci*, jest niepoprawna; a formy *wiera!* (str. 39) niema w języku naszym; po staropolsku mówiło się *wierę!* Dlaczego śmierć idzie dzieci ludzkich *sadem* (str. 38), to wyjaśnia się jedynie potrzebą zrymowania jakiegoś wyrazu ze *śladem*. Wyjątkowe użycie form staropolskich *rodzajowie* (str. 51) *zatrzymywasz*, (str. 70) również tylko koniecznością rymu da się usprawiedliwić... Czasownika *ściemiał* (str. 68), imiesłowu *nurząc się* (str. 84) nie zna język polski.

X. Mikołaj Biernacki (M. Rodoć).

Mikołaj Biernacki zaczął drukować utwory swoje satyryczne w formie lirycznej od r. 1876 (w Krakowie) p. t. „Piosnki i gawędy humorystyczne“; miał już ich jednak spory widocznie zapas, gdyż zeszyty raźnie następowały po sobie, budząc żywe zajęcie. Dotychczas zbiorków takich wyszło 12 (ostatni z r. 1894 we Lwowie).

Satyry te nie odznaczały się co prawda, mianowicie z początku, ani wielką oryginalnością pomysłów, ani też wykwintnym wierszem; co więcej, styl i wierszowanie bardzo często były nader zaniedbane, ułomne, niekiedy nawet niesmaczne. Posiadały one wszakże jeden przymiot wartości niepospolitej: były wyrazem uczuć i myśli prawie powszechnych; tak doskonale odzwierciedlały pewne przekonania krążące wśród ogółu, że musiały mu koniecznie przypaść do serca; każdy chętnie je odczytywał i powtarzał, bo to

znaczyło tyleż, jak gdyby wypowiadał myśli własne.

Czy to była mowa o powodzi koncertów i koncercików *(Muzyków zejście na ziemię)*, czy o niesumienności prawników *(Dr. Skubacki)*, czy o niepoznawaniu się doktorów na chorobie *(Lekarzy dziesięciu)*, czy o plotkarstwie i dewocyi *(Strasznie nienawidzę plotek)*, czy o manii ubierania się modnie za jakąbądź cenę *(Modnie ubrana)*, czy o kłopotach wdowca *(U wdowca na wsi)*, czy o wykwintnej żarłoczności sybaryty *(Nie jestem przy apetycie)*, czy o marnotrawieniu grosza w handelku a skąpstwie w domu *(Ciężkie czasy)*: zawsze u Rodocia znalazło się słówko lekkie, zręczne, skrzydlate, które nadzwyczaj łatwo wpadało w ucho i zatrzymywało się w pamięci. Przypominał on niekiedy owe wybryki wesołego humoru Syrokomli tak rzadkie w ciągu ciężkiego jego życia, a świadczące o wesołem z natury usposobieniu. Niektórzy też wielbiciele Rodocia nazywali go Bérangerem polskim, jak to u nas zwyczaj zawsze swojskim talentom dodawać etykietę zagraniczną. Wesołe, lekkie usposobienie, niektóre wstręty i niektóre upodobania, dają mu niejakie podobieństwo do piosenkarza francuskiego; ale porównanie jest bądźcobądź conajmniej przesadne.

Béranger był poetą, a czy Rodoć jest nim, trudno to orzec na pewno — znać w nim by-

strego obserwatora i zręcznego wierszopisa, ale wyobraźnia jego woli zazwyczaj kreślić karykatury tylko, a nie ludzi. Béranger, prócz wesołych i szyderskich obrazków, umiał także dotykać stron głęboko i rzewnie wstrząsających sercem; Rodoć celuje jedynie w kreśleniu sylwetek komicznych; a tam, gdzie wyraża uczucia zadowolnienia, czystej radości, tęsknego smutku, rzewnej wdzięczności — co zresztą bardzo rzadko się zdarza — nie wychodzi poza obręb nader powszednich pomysłów i wyrażeń, nie wznosi się nad zwykły poziom poetów tuzinkowych. Takiemi są piosnki nie satyryczne: *Władysławowi B.; do P. H. J.; Prośba-piosenka* i t. p. Najudatniejszą z pomiędzy nich, rzeczywiście w nastroju Bérangerowskim napisaną, wydaje mi się piosenka zatytułowana: *I jestem szczęśliwy!* W niej Rodoć przedstawia swoje proste uciechy, swoje pragnienia i życzenia w szczupłym, ale jasnym i uroczym zawarte obrębie.

Gdy powiodę okiem
Po niebie wysokiem,
Po świata kobiercu;
Gdy z miłością w sercu
Widzę piękne w każdej porze
Nasze polskie niwy
Wielbię Ciebie, dobry Boże!
I jestem szczęśliwy!

Gdy sercem lub mieniem,
Dzielę się z cierpieniem,
Bratnią łzę osuszę,
Gdy w zbolałą duszę
Promyk nadziei położę.
Widząc uśmiech tkliwy
Wielbię Ciebie, dobry Boże!
I jestem szczęśliwy!

Béranger obejmował okiem i szerokie także widnokręgi polityczne; Rodoć, w zbiorkach mi znanych, dał nam właściwie jeden tylko, bardzo charakterystyczny wprawdzie utwór, wychodzący po za sferę stosunków towarzyskich. Być może, iż są nieznane mi wiersze, które w innych zbiorkach się mieszczą; dlatego też zdanie moje, podaję warunkowo. Wiersz, o którym wspominam, ma napis: *Ja mu tam nie dam głosu.* Zbliżają się wybory w Galicyi. Dwu sąsiadów rozmawia, na kogo głosować. Kandydatem jest hrabia Adam. Bracia-szlachta oburza się na arystokratę. „To tępa głowa!“ powiadają; więc jeden szlachcic proponuje pana Siermięgę, bo to i pracowity i wykształcony i ze światem obyty i zna dobrze nasze strony. Tak — odpowiada drugi szlachcic — to czysty brylant, jedno ma tylko ale, że jest... synem oficyalisty, to jakoś nie uchodzi; możeby już wybrać pana Barskiego. Ba! zarzuca pierwszy — toć to demagog; u niego herb — to blaga, magnaci — pasorzyty; lepiej już głosować

na rzecz pana Wagi. Niema zgody! — woła oburzony szlachcic, który za czasów urzędowania Wagi przegrał sprawę o młyn i stąd wnosił, że temu Wadze brak wszelkiej odwagi. I tak wymieniają jeszcze parę nazwisk, ale żadne z nich nie znajduje aprobaty; gdyż albo żony są ze sobą na bakier, albo skąpstwo kandydata nie podoba się wyborcom; więc choć hrabia uchodził z początku za tępą głowę, gdy przyszło do porachowania jego możliwych zastępców, wypadła konkluzya:

No, no, kłopot nie lada:
Niema ludzi, dzicz sama;
Chyba wrócić wypada
Do hrabiego Adama.
— Tak, to człowiek właściwy;
Gościnny, oprócz tego
Ma stosunki, ma wpływy...
Ja głosuję na niego.

Rodoć jest zapalonym demokratą; hrabiów nie cierpi, widzi w nich tylko krew zepsutą, obłudę religijną, zmienność polityczną, zupełny brak uczuć obywatelskich; nie tyle jednak nienawidzi samych arystokratów, co ich popleczników, co zaprzańców, którzy z byłych zwolenników demokracyi przedzierzgnęli się w mniej lub więcej liberyowaną zależność względem swoich niegdyś wrogów.

Stańczyki i ultramontanie są przedmiotem najzjadliwszych jego pocisków. Kiedy o nich mówi, traci Rodoć zimną krew, zapala się nienawiścią stronniczą, a raczej klubową, rzuca na przeciwników obelgi, nie rachując się ze słowami. To też satyry wymierzone przeciw Stańczykom, literatom od Stańczyków, księdzu Golianowi, niektórym profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Umiejętności przestają być satyrami, a stają się pamfletami w złem znaczeniu wyrazu. Można być przeciwnikiem Stańczyków, ultramontanów, konserwatystów, arystokratów; można walczyć z nimi na każdem polu, w każdej formie literackiej; ale przedewszystkiem trzeba zachować pewną godność słowa i w przeciwnikach widzieć ludzi i obywateli tegoż samego kraju, jeżeli chcemy, aby i z drugiej strony podobnież z nami postępowano. Obrzucić błotem przeciwnika, odmówić mu nietylko zasług, ale zdolności, uczciwości, sumienia nie jest rzeczą trudną; każde złośliwe indywiduum najmniej nawet wykształcone, dlatego właśnie tem gwałtowniejsze i zawziętsze, zdobyć się na takie inwektywy potrafi; skuteczność ich atoli jest nadzwyczaj mała. Mogą się one podobać w klubie przy piwie czy winie, wpośród stronników mniej rozważnych niż żarliwych; ale nie zdołają wyrobić dla siebie szerszego uznania. Przeciwnie, zarzuty, któreby godziły w istotnie słabe

strony, któreby zatem mniej były ogólnikowe, a za to większą subtelnością się odznaczały, prędzejby cel zamierzony osiągnęły.

Wiemy, że powyżej scharakteryzowana walka stronnicza jest bardzo w modzie; wiemy, że nietylko demokraci i liberalni posługują się bronią niewłaściwą, że tak samo Stańczyki, ultramontanie i konserwatyści szafują obficie słowami ulicznemi; nie zmienia to wszakże naszego przekonania, że tak być nie powinno.

Na samych satyrach Rodocia można się przekonać, że inkryminacye osobiste i zwalczanie przeciwników przez odsądzanie ich od czci i wiary nie działa tak dobrze, jak spokojne i pogodne wystawianie wad ludzkich wogóle. Ten uśmiech, towarzyszący każdej satyrze ogólnej Rodocia, dowodzi pobłażliwości, a raczej wyrozumiałości koniecznej w życiu zarówno towarzyskiem, jak społecznem, dowodzi zarazem, że Rodoć kocha ludzi pomimo ich wad i słabostek. Stąd i w czytelniku powstaje to błogie uczucie, że pomimo wszystko, co można złego powiedzieć o ludziach, są oni przecież godni kochania, że świat nie jest zbiorem jakichś wyrzutków i śmieci. Podobają się więc utwory takie i chętnie są odczytywane (*Alfonsie! ach, ja się nudzę*; *Nie, to skandal, jakich mało*; *Gdy cię los ściga niebože* i t. p.).

Przeciwnie takie wiersze jak: „*Literaci od Stańczyków*“ lub: „*Lucyper—literatem*“ lub: „*Co ja*

zrobię z moim synem“ mimo silniejszej niż w innych formy przejmują wstrętem tych, którzy nie są wmieszani w codzienne sprzeczki, czy intrygi zaściankowe. Kto chce ludzi poprawiać, musi ich przedewszystkiem kochać; bo słowa płynące z nienawistnego usposobienia mogą wprost przeciwny wywrzeć skutek; przejmując oburzeniem, rodzą nienawiść i zamiast doprowadzić do porozumienia i harmonii, a choćby tylko do rozumnej walki, czynią ją coraz zawziętszą i coraz bardziej zaślepioną.

Uznał to i Rodoć po kilku latach żarliwego bojowania; potrafił powściągnąć swój nerwowy temperament i coraz częściej przechodził na pole ogólniejsze, wytykając trafnie, z wielkiem umiarkowaniem słowa, a z dowcipem nieraz subtelnym słabostki, wady i grzechy spółziomkom swoim; starając się o coraz to lepszą formę, lubo zaznaczyć należy, iż kształtów lirycznych rzadziej używał, a natomiast zaczął posługiwać się dość często naszym 13 zgłoskowym aleksandrynem. Takimi są jego „Listy“ pisywane do redaktora „Kuryera Warszawskiego“, takim większy obrazek typowego filistra *Pana Karola*.

XI. Autor „Strof".

W zbiorku poezyj autora „Strof", wydanym w Warszawie r. 1863 najdawniejsze utwory są podznaczone r. 1858. Były to częścią tłómaczenia z Goethego, Schillera, Heinego, Wiktora Hugo, częścią pieśni oryginalne, będące odgłosem nastroju, jaki w owych latach w społeczeństwie i literaturze panował. Pobrzmiewała w nich nuta otuchy i nadziei, lubo indywidualnie autor wyrażał dość często smutek, albo mówiąc jego frazeologią „cierpień ponurą noc". O poezyi miał autor podniosłe, entuzyastyczne wyobrażenie:

Pieśni! pieśni! tyś święta jak aniołów chóry,
Ty w duszę wlewasz balsam, gdy dusza zraniona;
Na twoich wiotkich skrzydłach wzlata się w lazury
Daleko! tam! daleko... gdzie śpiew ptasząt kona...

W tematach rzadko kiedy poruszał strunę miłosną, o wiele częściej mówił o nieszczęsnej

doli ludu żydowskiego, wzywał o współczucie dla niego, żądał coraz więcej światła jako najdzielniejszego środka do zmiany jego wzgardzonego położenia, radował się z faktu równouprawnienia żydów w Królestwie.

Zajął się następnie przekładem pieśni Heinego, ale w natchnieniach własnych nie odrazu poszedł jego śladem; twory romantyki naszej silniej nań wtedy oddziaływały. Jakoż w r. 1867 wydał on w Lipsku dwa poemata: „Tytan“ i „Aryon z Koryntu“ (ponowna edycya w Krakowie 1889), wypowiadające uczucia podniosłe i myśli szlachetne, ale omroczone cieniami zwątpień i niemal rozpaczy, gdyż bolesne doświadczenie życia zatruło już niejednę chwilę istnienia poety, a romantyka nasza ponurych barw niemało dostarczyć mogła do odmalowania takiego stanu duszy. Wobec charakteru marzycielsko-refleksyjnego raczej niż skłonnego do natychmiastowej działalności w życiu rzeczywistem, stan ten przybrał cechę zadumy smętnej, raz po raz zmieniającej swe usposobienie, to ufnej, to trwożnej, to bluźnierczej, to kornej, bo męka wewnętrzna nie dawała spokoju poecie i zmuszała duszę jego do wahań ustawicznych.

Obok tego duchowego rozdarcia zauważyć też można, mianowicie w *Tytanie*, jakby umyślną niejasność obrazów, ogólnikowość, niedomówienia, które nie mogą usposabiać czytelnika do

spokojnego cieszenia się pięknem estetycznem lub też do myślowego porozumienia się z autorem. W nieoznaczonem miejscu i czasie, na jakimś zamku średniowiecznym, ów „Tytan“, bohater-młodzieniec składa wyznania wobec mnicha, jak w „Giaurze“ Byrona, lub jak we „Fragmencie“ Korzeniowskiego, z tą wszelako ważną różnicą, że wyznania te — to tylko napomknienia, które trzeba sobie wyobraźnią własną dosnuwać, ażeby otrzymać jakąś zaokrągloną całość. Tytan był z początku jakimś bohaterem ludzkości, wodzem „morderców niewoli“, walczył z „przesądami“; ale gdy się zawiódł w swych nadziejach, matka wskazała mu cel bliższy — usługi dla własnego narodu. Spełnił te usługi (jakie, domyślać się tylko można) i za to na śmierć skazany został. W ostatniej chwili ukochana jego, przybrawszy się w strój mnicha, z nim razem pod gradem kul śmierć znalazła. Z tej ostatniej sceny wnieśćby wolno, że to chyba dawno dziać się musiało.

Aryon z Koryntu nie jest to ów sławny pieśniarz, którego delfiny z upragnieniem słuchały, ale jakiś entuzyastyczny poeta z czasów, gdy Hellada „śmiertelną złożona była niemocą“, gdy Rzym „pogański“ pod hasłem oswobodzenia uciskał ją srogo i gdy lud grecki nie odczuwał już swej sromoty i w igrzyskach szukał zapomnienia. W ładnej, ale niekiedy niezbyt silnej

przemowie starał się Aryon ducha we współziomkach obudzić i zagrzać do walki z Rzymem. Naprożno jednak zapewniał, że mu „rozdziera piersi natchnienie; — nie starczyło ono do zelektryzowania narodu. Każdy patrzył na śpiewaka „*z* wzrokiem podziwienia“, iż śmiał „z zapadłych mogił cmentarzyska oderwać głazy krwią dyszące jeszcze, gdy miecz przy boku najeźdźców połyska“. Naród obdarzył poetę tylko wawrzynami, lecz do czynu się nie zerwał. Raz jeszcze próbował Aryon przemówić do duszy i chcąc przykładem podziałać, cisnął po skończeniu pieśni swą arfę w skronie wodza najezdników rzymskich; — a wówczas zginął pod ciosami wrogów, lecz cel swój osiągnął: lud grecki wszedł w zapasy z Rzymianami. Na tem urywa nasz autor; boju nie kreśli, sławi jeno pamięć poety.

Wersyfikacya w obu utworach nie jest zaniedbana, ale do wytwornych zaliczyć ją trudno.

W dwadzieścia lat dopiero go ogłoszeniu *Tytana* i *Aryona* przypomniał się autor ogółowi jako poeta piszący oryginalnie wydaniem roku 1886 swoich „Strof“ w Krakowie, w których przypomniał szereg tortur, na jakie skazani jesteśmy w życiu dzisiejszem.

Poeta znękany sam i zbolały, „zimny, bez wrażeń, jak zrąb krateru, żyje już tylko wygasłym duchem i mknie przez życie jak łódź bez

steru, rzucona w odmęt wichrów podmuchem“, bo dawna jego wiara w ideały ludzkości, braterstwa, zburzona została najświeższymi objawami Bismarkowego barbarzyństwa, znęcającego się brutalnie nad wszystkimi pokonanymi, głoszącego zwycięstwo siły nad prawem, podającego za trzy główne dziejów czynniki: nienawiść, krew i żelazo. Tak usposobiony składa przed nami „zwęglone uczuć swych szczątki, co słabym żarem jeszcze się palą“, mając nadzieję, że ci, których serce kochające wchłonie je w siebie sympatycznie, węgiel na dyament przetworzą...

Że w niejednej duszy proces taki nastąpi, to chyba wątpliwości ulegać nie może, bo miłość zdolna do przetwarzania, ale byłoby złudą, której autor „Strof“ niewątpliwie nie ma, ażeby przemiana zawsze i we wszystkich dokonała się sercach. Nie dlatego bynajmniej, iżby pomiędzy owymi „zwęglonymi uczuć szczątkami“ a społeczeństwem całem nie było nici sympatycznych. I owszem, kiedy w strofie XX *(„Intryga“)* upomina się o prawo bronienia bytu narodowego, kiedy w XXI *„Dziennikarzom“* wyrzuca przewrotność w potępianiu tego, co cześć wzbudzać powinno, kiedy w XXVI zgadza się na to, iż prawom natury ulegać trzeba, ale robi uwagę, że i ziemia ciąży ku słońcu, a jednak słońce jej nie pochłania, kiedy w XXXI kreśli obrazek posiedzenia sądu, na którem wszyscy byli Po-

lacy, a jednak obcym mówili językiem, kiedy w XXXVIII zaznacza zmianę w poglądzie na cywilizacyę niemiecką, kiedy w XXXIX woła:

Mury spiżami z armat obwiedli,
Milion bagnetów ich strzeże,
Pod twierdz basztami groźnie przysiedli
I wdzieli lśniące pancerze...
Lecz troska marszczy ich chmurne czoła,
Przyszłości lękać się każe...
Więc gdzie słowiańskie kwitnęły sioła,
Wzrość mają pruskie cmentarze...

kiedy w LXXI przedstawia żarłoctwo pruskie; kiedy w LXVIII charakteryzuje „pieśni nasze“; słowem, kiedy pomysły swoje osnuwa na uczuciach trwałych, głębokich, albo mających w danej chwili silne rozpowszechnienie: — to „zwęglone szczątki“ natchnień poety „Strof“ łatwo przemienić się mogą w dyamenciki.

Ale kiedy utrwala wierszem uczucia przelotne, myśli nieprzetrawione, aspiracye chwilowe, rozgoryczenie z powodów mniej ważnych (III, VIII, IX, XIII, XV, XXII, XXXVII, XLVI, XLVII, LXXV); to czytelnik zanadto się krztusi pyłem węglanym, ażeby nie pragnąć usunięcia go z tej atmosfery, którąby wraz z poetą oddychać pragnął i trudno od niego żądać, ażeby przerabiał te atomy na dyamenty; woła wtedy

z poetą, który w strofie p. n. „*Skrzydeł*“ bardzo pięknie powiada:

Chwastem porosła poezyi gleba,
Brak duchom wyższej podniety,
Wielkiego wieszcza światu potrzeba,
Dantejskiéj siły poety...
Onby umysłom dał skrzydła nowe,
Tchnąłby w nie iskrę zapału.
On jeden mógłby duchy lodowe
Roztopić w czci ideału!

Każdy musi trochę liczyć na wyrozumiałość ludzką, ale nie można liczyć na nią zanadto. Nie każde wrażenie da się przebrać w szaty poezyi tak, ażeby znalazło spółczujący oddźwięk w duszy bliźnich; zbyt wielka pochopność w tym względzie szkodliwie oddziaływa na ocenę całej produkcyi poetyckiej, zwłaszcza gdy się łączy z łatwością rymów i ze zwykłym jej towarzyszem, zaniedbaniem w formułowaniu myśli.

Są w „Strofach“ dobre pod względem ogólnego pomysłu i sympatyczne pod względem treści utwory, ale nie mogą obudzić myślowego lub estetycznego zadowolenia dlatego, że w nich przez jakieś niezręczne, a niewątpliwie z zaniedbania tylko pochodzące, wyrażenie lub przez pierwszy lepszy, bez wyboru wzięty obraz albo rym, treść ta wypaczona została. Takimi są w znacznej części wiersze pomieszczone w dziale „Scherzo“. Są one zazwyczaj lekkie, zręczne, tu

i owdzie istotnie dowcipne, ale klejnocikami nazwać ich niepodobna, gdyż ogólnie chorują na słabe, pospolite rymy, na niewybredne porównania, na szlafrokowe wyrażenia. Podobnych okazów nie brak również w działach: „Adagio“ i „Andante“, lubo ich tutaj mniej znacznie.

Dla przykładu wskażę jeden tylko wierszyk: „Ausrotten!“ dziejowo upamiętniony, z tendencyą sympatyczną. Jakżeż niedbale wykonał go autor! Ani logika ani gramatyka nie zostały w nim uwzględnione; a wyrazy i wyrażenia dla rymów tylko pozbierane. „Narodem mędrców ich nazywano“ — mówi poeta o Prusakach. Dlaczego? „Bo wiedzy czcili *wyniki*“, a dopiero po takiem zaznaczeniu rezultatów dodaje o procesie myślowym, który do nich doprowadził: „Metodą nową, *głupcom* nieznaną, *badali* myśli tajniki“; a to określenie metody niczem się nie da wytłómaczyć jak tylko potrzebą rymu. Następnie mówi: „Czerpali mądrość z źródeł Prakritu, Z teoryi Indów — nirvana...“ Prakryt oczywiście wspomniany tylko dla osobliwości dźwięku, gdyż nie stanowi ani antytezy do teoryi „Indów“; ani rozwinięcia myśli; nirvana zaś użyta w formie nieodmiennej z powodu, że trzeba było zrymować z filozofią Hartmana w dalszym wierszu...

Autor „Strof“ niewątpliwy ma talent, ale go lekceważy, może z przekonania, że wszystko jest marnością na ziemi, że tedy nie warto nad do-

borem pomysłów i wyrażeń myśleć zbyt długo, a może dla uilustrowania w sposób dotykalny tych przeszkód, jakie w pracy poetyckiej napotyka, co żartobliwie opowiedział w wierszu XCV „*Męczarnie poety*“. I pierwszy i drugi powód nie jest przekonywający. Kto drukiem ogłasza swoje poezye, nie może ich poczytywać za marność i dbać winien o to, co ogółowi do ręki podaje; a szczegóły *roboty* poetyckiej dobrze jest zachować przy sobie, zostawiając czytelnikowi gotowe już *prace*.

Szczerość uczuć, ukochanie tego, co kocha ogół, szlachetne i rozumne myśli przewodnie są-to istotne zalety „Strof“; to też ze względu na nie tem przykrzejszym dla mnie obowiązkiem było wytknięcie usterek i wad, które wynikły z zaniedbanego sposobu traktowania tematów, co się mogły stać przedmiotem prawdziwie pięknych utworów.

W nowem wydaniu wyszły „Strofy“ w roku 1891; urosły w niem znacznie, bo prawie o połowę (w pierwszej edycyi było całostek 115, w drugiej 203). Tętni w tych świeżo dodanych jak i w dawniejszych uczucie szlachetne, lecz po większej części smutkiem i goryczą, pessymizmem przeniknięte. Forma pod względem wiersza i dykcyi jest wogóle ładna, chociaż nie zawsze w zupełności wymaganiom estetycznym czyni zadość.

W przemówieniu końcowem p. n. *Ostatnie* poeta skazuje sam siebie na milczenie, dlatego, jakoby doba dzisiejsza, domagająca się czynów, odbierała „swobodę myśli“ nawet.

Ustąpmy z placu! Rydwan zwycięski
Co niedobitków miażdży w pochodzie,
Nie tylko pieśniom zwiastuje klęski,
Wróży on koniec myśli swobodzie...
Zanim nastąpi bój bez ratunku,
Gdy pięści z duchem zmierzą się siły,
Czas, dobrowolnie, w pełnym rynsztunku,
Do zapomnienia zstąpić mogiły...

Sądzimy, że jest to wyraz chwilowego jedynie zniechęcenia; bo w kim iskra natchnień poetyckich się żarzy, ten z śmiercią dopiero pieśń swą zwykle kończy i nie daje się zwalczyć naciskiem przeciwności, chociażby wielkich nawet.

XII. Włodzimierz Wysocki.

Przedwcześnie zmarły 11 sierpnia 1894 roku fotograf-poeta w czasie mało co dłuższej nad dziesięcioletnią działalności swojej pozyskał sobie rozgłos dosyć szeroki naprzód satyrami: *Wszyscy za jednego, Nowe Dziady*, potem powieściami poetyckiemi *Laszka, Oksana* i obrazkami: *Las.* Prawie wszystkie jego utwory doczekały się drugiego a nawet trzeciego wydania. Najładniejszy jego poemacik: *Laszka* w r. 1894 ukazał się właśnie w trzeciej, bardzo ładnie wydrukowanej w Kijowie edycyi. Prócz tego na kilka miesięcy przed zgonem zebrał Wysocki dawniej w czasopismach ogłaszane wiersze i wydał w dwu zbiorkach, z których jeden ma napis *Bocian*, a drugi: *Satyry i bajki.* Jak zaczął, tak zakończył swój zawód satyrami; od nich więc nasz przegląd rozpoczniemy.

Pierwszy swój utwór: *Wszyscy za jednego!* (Kijów, 1882) nazwał sam autor „fraszką“. Są-to

satyrycznie opowiedziane dzieje pana Wincentego Wątroby, zacnego obywatela na Obij-bokach, który ożywiony zawsze jak najlepszemi *chęciami*, nigdy ich w czyn zamienić nie mógł, więc pola zasiewał pośladem, w stodole nie miał ani ziarnka, sośninę sprzedał, młyna nie naprawiał i masę długów narobił. Widocznie chęci i zamiary nie mogły pana Wątroby postawić na nogi, tak samo jak wielu jemu podobnych obywateli w przeszłości i teraźniejszości. Słusznie też autor powiada:

O! „dobre chęci“ nasze, o! najlepsze cele!
Któż was, jak my Polacy, posiada tak wiele!
O, szczytne chęci polskie, czynami jałowe!
Dziatki nasze rodzone, chwasty narodowe!
Jak bujnie w sercach naszych i głowach rośniecie
I jak nam z wami dobrze na tym bożym świecie!
Gdyby was, „dobre chęci“, nie było, broń Boże,
Któżby kark nasz opasły ozdobił... w obrożę!...

Wobec niemożności robienia dalszych długów pan Wątroba zamierzył udać się do serc obywatelskich, ażeby urzeczywistniając hasło: „wszyscy za jednego“, dopomogli mu w kłopotach i od obawy sprzedaży majątku dłużnikowi Niemcowi uwolnili. Ale na sucho kołatać do serc tych byłoby dowodem nieumiejętności życia; potrzeba wyprawić obiad, ugościć, upoić i rozczulić sąsiadów. Pan Wątroba, tak samo jak ex-marszałek Rura, który „dziewięć lat po-

wiatowi wiernie kuchnią służył, aż się całkiem zrujnował", wie doskonale, jak sobie zaskarbić względy łaskawej braci. Za weksel na trzysta rubli dostaje sześćdziesiąt — naturalnie za pośrednictwem nieodzownego w szlacheckiej ekonomii arendarza Elka — sprasza sąsiadów na obiad, pozwala im wygadać się do woli, popisać najróżnorodniejszymi talentami, zrzucić całą winę nieszczęść na przeklętego Niemca i wygłosić śliczne frazesy o jedności i miłości braterskiej. Korzysta wtedy z okazyi pan Wątroba i woła o ratunek dla siebie. Gdy skończył, „cisza zaległa jak w grobie... nikt nie mógł słowa wyrzec, czując, jakby ćwiekiem język mu przygwożdżono".

W największem zakłopotaniu znalazł się ów żarliwy mówca, który tak pięknie o miłości bratniej się rozwodził. Widząc, że wszyscy nań patrzą, zdobył się wreszcie na odwagę i, aby dowieść, że „polska solidarność nie jest żadnym mitem", zaproponował zgromadzonej szlachcie w kilku pojechać do Niemca i rozebrać między siebie dług pana Wątroby. Propozycyę przyjęto i nazajutrz wybrano się w drogę.

Dzień był pochmurny i dżdżysty: chwilowy zapał szlachty minął, głód zaczął dokuczać, stanęli posłowie w karczmie, a Elka wysłali do Niemca dla ułożenia punktów przedugodnych. Niemiec zażądał weksli na podwójną kwotę z ter-

minem miesięcznym, ale natomiast ze swej strony zawiadomił, że gotów o 5 rubli więcej za każdy mórg zapłacić i to nie tylko w majątku Wątroby, ale każdego z posłów. Pokusa była silna. Wprawdzie piorunowała wczoraj szlachta na Niemca, wprawdzie obiecywała się nie dać i dobra zatrzymać w swych rękach; ale cóż robić w krytycznych czasach, kiedy praca na roli jest męczarnią nieznośną! Szlachta co prawda nie zastanawiała się nad tą sprawą rozważnie, tylko puściła w ruch palce, bo choć to nie nowy sposób decydowania, ale „nasz narodowy“, który służy nam bardzo dobrze na wszelkie przygody: „dość nam oczy przymrużyć i dwa palce zetknąć, by wątpliwość rozprószyć i sprawę orzeknąć“. Atoli i palce nie chciały przyjść z pomocą; dopiero gdy Elko oświadczył, że Niemiec czeka ze śniadaniem tych, co się na sprzedaż zgodzą, uważał to ex-marszałek za prawdziwe natchnienie, a za jego zdaniem pociągnęła reszta szlachty. Jak wyszła na sprzedaży, łatwo zgadnąć; w krótkim przeciągu czasu zmarnowała gotówkę, albo poszła do szpitala, albo w służbę. Pana Wątrobę obronił jedyny rozumny wśród owego zebrania obywatel, który wziąwszy Wątrobiankę za żonę, obronił wieś od Niemca, sam w niej gospodarował, gumna niebawem i oborę napełnił.

Trafnością rysów, rubaszną werwą pozyskał sobie Wysocki tą fraszką odrazu czytelników,

którzy na usterki języka i wersyfikacyi, jak nie mniej na brak subtelniejszego rysunku mało zważali. Uznanie to zachęciło autora do dalszych prób satyrycznych, takich jak: *Nowe Dziady* (1885), lub *Satyry i bajki*, które w książce zebrane ukazały się dopiero w 1894 r., ale umieszczane były poprzednio w czasopismach, głównie w „Prawdzie“. Nie roztrząsając ich tu poszczególe, postaram się je scharakteryzować w ich całości.

Niewątpliwą jest rzeczą, że Wysocki kierował się pobudkami najzacniejszemi w chłostaniu wad i zdrożności: obłudy, nieuctwa, karciarstwa, bezmyślnego wychowania, życia bez zasad, sybarytyzmu, bigoteryi itp. Niezawsze jednak umiał się liczyć z niektórymi względami natury społecznej, które powinnyby były wstrzymać satyryka od dotykania spraw i zagadnień, wielce cierpiących na jednostronnem ich oświetleniu. Rozgoryczenie autora przeciwko pewnym warstwom (szlachcie) i pewnym instytucyom (kościołowi katolickiemu) było tak wielkie, że przekraczało czasami nie tylko granice oportunizmu, ale też słuszności i dobrego smaku; żarty jego przemieniały się niekiedy na proste drwiny, a satyra przechodziła w niesmaczną karykaturę. Może te jego wyskoki i rubaszności jednały mu w jakiemś kółku zwolenników, ale w dziedzinie piękna nie przysparzały zasług. Jego *Latający szlach-*

cic, którego na ziemię zwabić mogły jedynie karty, w pomyśle zasadniczym może nie zły nawet, stał się w wykonaniu niesmacznym. Jego *Zuzanna* — bigotka, opuszczająca męża i chorą córkę bez posiłku i opieki, dla dewocyi powierzchownej i plotek, również w pomyśle dobra, stała się w obrobieniu karykaturalną. *Gawęda wesoła w dni słotne do czytania nader pożyteczna*, gdzie jowialnie zostało przedstawione pochodzenie Bismarka od biesa, nie budzi bynajmniej wesołości, a zadowolnić może wielce chyba niewybrednych czytelników. Najwięcej rozumnych myśli i uwag mieści w sobie satyra *Na odpuście*.

Co do bajek Wysockiego, te zazwyczaj odznaczają się trafnym, chociaż rzadko świeżym pomysłem, ale artystycznie obrobionemi nazwać ich niepodobna. Zamało posiadał autor giętkości i lekkości wyrażenia, za mało zastanawiał się nad układem całości, ażeby bajkom swoim nadać wykończenie, któreby im zapewniło dłuższe w dziedzinie poezyi życie artystyczne.

Równocześnie z satyrami ogłaszał Wysocki wprost im przeciwne pod względem nastroju utwory epiczno-liryczne. W pierwszym utworze takim: *Laszka* (Kijów, 1883) uwidoczniła się uczuciowość w sposób niezmiernie dla ogółu sympatyczny, a przejmując na wskroś poemat,

zasłoniła luźność jego kompozycyi i usterki formy.

Laszka — to utwór, co do ducha i kształtów należący do szkoły ukraińskiej z przymieszką niektórych pierwiastków poezyi Syrokomli. Po „przygrywce“, gdzie poeta zwracając się do stepowego wiatru ukraińskiego, i do Dniepru, „Dziadusia siwobrodego“, umie uniknąć niewłaściwości tej zużytej formy i jeżeli nie zachwyca, to przynajmniej nie razi takich nawet umysłów, które się realistycznie na poezyę zapatrują, — następuje opowiadanie o walkach Polaków i kozaków z Tatarami, umyślnie, jak się zdaje, bez oznaszenia czasu opiewanych zdarzeń. Jak w *Maryi* Malczewskiego, tak i w *Laszce* jeden z tych, co idą na wyprawę, pozostawia ukochaną w domu jej rodziców; jak w *Maryi*, tak i tu obecni jesteśmy pożegnaniu kochającej się pary; jak w *Maryi*, tak i tu kochanka puszczając lubego na bój, chce, ażeby w walce się odznaczył, ale pragnie również, ażeby się kierował „oględnością sędziwą“.

Zdzisław jedzie tedy wraz z chorągwią swoją do obozu kozaków, aby się z nimi we wspólnym zamiarze połączyć. Tu zapoznajemy się z atamanem Tymkiem Czałym oraz z setnikami: Ostapem Teterą i Kuźmą Syłuchą, ze znachorem wreszcie i kobzarzem zarazem Łahodą. Wszyscy oni serdecznie witają i podejmują chlebem i pieśnią

polskiego rotmistrza i razem z nim gotowi dzielić losy wyprawy, razem żyć i umierać.

Charakterystyka ogólnego usposobienia kozaków i Polaków nie odpowiada wyobrażeniom, jakie w tym względzie u nas panują. Adam wypytując Zdzisława o powód smutku i nie otrzymując od niego odpowiedzi, podaje taką paralelę:

Nie darmo, Lachy, znana wasza skrytość.
Nie to co u nas: jawnie i otwarcie,
Serce i myśli zawsze jak na dłoni!
Bo kozak duszę jak *kozyr* wyświéca,
A u was, Lachy, zawsze tajemnica;
Nawet przed druhem tak się Lach osłoni,
Że dużo, dużo trzeba z nim zjeść kaszy,
Nim tam co na wierzch wyjdzie z duszy laszéj.

W opisy bitew nie wdaje się poeta, kreśląc je w słowach ogólnikowych i zdążając co prędzej do malowania uczuć i myśli. Po jednej z utarczek Tatarzy rozpierzchli się, zostawiając łupy i jeńców. Pomiędzy jeńcami znajdowała się dziewica, której ojca Tatarzy właśnie przed rozproszeniem się swojem utopili. Dziewicę bierze do namiotu ataman Czały i poczuwa do niej naprzód braterskie, potem namiętniejsze uczucie. Gdy Zdzisław w pogoni za wrogiem powrócił, gdy przyszedł do namiotu, ujrzał wybiegającą z niego i rzucającą mu się na szyję swą drogą Terenię.

Tu dopiero zaczyna się rozwój właściwej myśli utworu. Ataman, który Laszkę pokochał, nie chce jej oddać Zdzisławowi, lecz pragnie zatrzymać dla siebie jako swoją brankę. Podszczuwa go Syłucha. Namiętny ataman daje się porwać wzburzeniu pomimo łagodzących przestróg Łahody. Miał się odbyć bój samowtórny o Laszkę, gdy kobzarz dla zyskania na czasie obmyślił inny sposób rozstrzygnięcia sporu: „kto z was — powiada — dzielniej zetnie Tatarzyna, przy tym niech lacka zostanie dziewczyna". Ataman pierwszy odciął głowę przywiązanemu do kołka jeńcowi; Zdzisław nie chciał bezbronnego zabijać i rozciąwszy więzy, dał miecz Tatarowi do obrony i odniósł zwycięstwo. Łahoda przyznał Laszkę szlachetniejszemu. Ataman, niezadowolony z wyroku, podburzył całą drużynę kozacką, która gotowa była rzucić się na szczupły zastęp polski. I znowu dla oszczędzenia krwi bratniej miał nastąpić pojedynek. Wtem ukazują się Tatarzy. Zażarty ataman powiada, że Tatarzy mogą zaczekać, wprzódy zakończyć trzeba spór z sobą. Wówczas Terenia, słysząc przekleństwa miotane na siebie, jako na przyczynę walki bratobójczej, odzywa się:

Jeśli brat bratu cios śmiertelny zada,
Przekleństwo *jemu!*... wolę Tatarzyna,
Niżeli żoną pozostać Kaina!

Ja spór rozstrzygnę: ten z was moim mężem,
Kto mię tam pierwszy dobędzie orężem!

To mówiąc, pobiegła w stronę, w której stała horda. Naturalnie i ataman i Zdzisław rzucili się w wir walki; jeden drugiemu życie ocalił; pierwszy dobiegł do Tereni Zdzisław; niestety, ranną była i, pomimo leków kobzarza-znachora, do zdrowia i życia powrócić nie mogła; a umierając połączyła dłoń atamana z dłonią Zdzisława, błagając ich o wzajemne przebaczenie sobie i zgodę:

. . . . . Odpoczynek wieczny
Racz jej dać, Panie! — szepnęła drużyna.
Gołąbko czysta! tam u tronu Pana
Wyproś, niech odtąd nasza Ukraina,
W której pokrewne osiadły narody,
Będzie świątynią braterstwa i zgody.

Środki poetyczne, użyte przez Wysockiego, są niezmiernie proste, czasami naiwne; wiersz nie zawsze poprawny, w języku i stylu jest kilka prowincyonalizmów często się powtarzających; niewłaściwem jest zupełnie bezpotrzebne wspominanie Feba i Dyany (zamiast: słońce, księżyc); — ale mimo zaniedbań i usterek poemacik czytać się daje z prawdziwem zadowoleniem; a w autorze znać nieraz głębokie uczucie poetyczne i umiejętność wyrażenia go w sposób wzruszający. Możnaby kilka przytoczyć tego przykładów; poprzestanę na jednym:

Kraju rodzinny, jedyny na świecie!
Jakżeś mi piękny, kochany i miły!
Matko ty moja! czyż ja twoje dziecię,
Które pięknoty twoje wypieściły,
Które twa bujna wykarmiła gleba;
Ja, com ci winien duszy méj osnowę,
Winien ci czucia, myśli... mowę,
Czyż mając ciebie, mogę żądać nieba?
Nie pragnę nieba, jeśli tam na niebie,
Ojczyzno moja, mieć nie będę ciebie!
Nie pragnę nieba! tam czyż dasz mi, Boże!
Taką krainę jak ta moja macierz,
Moja kolebka, gdziem dnia ujrzał zorzę,
Moja świątynia—pieśń — marzenie — pacierz!

Po „Laszce“ nastąpił „Las“ (Kijów, 1885), malujący w 26 dość ładnych wogóle, a niekiedy pięknych sonetach rozległe i wonne krajobrazy sielskie w przeciwstawieniu do ciasnych, „więziennych“ murów miasta. Uciekając od trosk, zabiegów i zawiści wiejskich żywy, poetycznie nastrojony młodzieniec, poszukujący letniego dla siebie mieszkania, wjeżdża w las duży, przejmujący go uczuciem jakiegoś tajemniczego upojenia:

Nie cisza to! tu pełno jakichś ech i gwarów,
Jakichś głosów, szelestów — to bliżéj, to daléj...
I szeptów tajemniczych zpośród drzew filarów...
A górą płyną szumy niby morskiéj fali!

I tonę w tym poważnym, uroczystym szumie,
Ucho chwyta szmer każdy a serce rozumie.
Pierś ma pełna... chcę westchnąć — oddychać się
[boję...

Słucham: udział w tym hymnie biorą piewcy leśni,
Tu wilga, kos, tam drozdów ozwały się pieśni...
Co to? czy dzięcioł stuka?... Ach! to serce moje!

W takiem otoczeniu i wskutek takiego usposobienia silnie musiał podziałać najprzód śpiew, a potem ukazanie dziewczyny wiejskiej, Ołenki:

Oto po migotliwych, złotych haftach słońca,
Co się przez drzew wierzchołki na drogę przeciska,
Biegnie postać dziewczęcia w blaskach się mieniąca,
A lekka i powiewna jak senne zjawiska.

W wyszywanej koszuli — w zwojach barwnych wstążek,
Stanęła na swych bosych nóżkach jak posążek,
Patrząc na mnie zdziwiona i mnąc swój fartuszek.

Z ust jej pierzchła przed chwilą rozśpiewana dumka,
A dziewczyna spłonęła jak kraśna poziómka,
Których w rączkach swych pełen unosi garnuszek.

Była to wnuczka starego leśnika, zakochanego w swych drzewach jak w żywych istotach. W chacie pozostał młodzieniec, rozkoszując się prostotą obyczaju, wyprawami do lasu, przypatrywaniem się burzy, a najbardziej przestawaniem z hożą i wysmukłą Ołenką. Z początku

była ona wesołą i rozśpiewaną, potem zamyślała się często i chmurki po jej czole przelatywały. Pokochali się oboje, ale wiedzieli, że pobrać się nie mogą, bo ich dzieli pochodzenie. Młodzieniec z goryczą powiadał sobie, że Ołenki nie może nazwać żoną, gdyż nie ma „przymiotów sroki, papugi rozumu“, nie ma zębów fałszywych, nie tynkuje twarzy, nie nosi turniury, ma własne piersi i włosy, słowem jest prostaczką, dzieckiem nieucywilizowanej ciżby. Ołenka płakała, bo chciałaby zostać żoną pięknego młodzieńca, a przeczuwała, że to jej marzenie spełnić się nie może. Wtem dziad razu pewnego chmurny z lasu powrócił i już do niego nie zaglądał; pan sprzedał żydom jego najdroższych ulubieńców. Zaczyna się ścinanie drzew; trzebież wciąż dalej się posuwa; tylko jeszcze koło chaty strażnika szumiał kawał lasu. Gdy i tutaj drwale się pojawili, przy pierwszem uderzeniu siekiery, dziad zerwał się, ścisnął pięście, chwilę patrzył w okno nieruchomem okiem, nagle pochwycił rusznicę, odepchnął młodzieńca, który go chciał powstrzymać, odepchnął Ołenkę włóczącą mu się u nóg, wybiegł w las, wycelował i strzelił do żyda. Naraz ucichł stuk siekier, któremi olbrzymi stuletni dąb ścinano, ale już go leśnik nie uratował, sam legł pod nim zdruzgotany.

Młodzieniec nie opowiada, co się stało z Ołenką; tylko odmalowawszy pustkę na tem miejscu,

gdzie szumiały graby, sosny, dęby, gdzie śpiewało ptastwo, gdzie świat cały stworzeń się roił, zwraca się sarkastycznie do tych, co tę pustkę zrządzili:

A gdzieście wy, łupiezcy, bez serca, bez głowy,
Którzyście zmarnowali ten nasz skarb krajowy?
Po latach może kilku, w odzieniu żebraczem

Wrócicie tu, strwoniwszy za granicą krocie,
Może niejeden, widząc pustki te, w zgryzocie
Zapragnie się powiesić... lecz nie będzie na czem!...

Szczere poczucie piękna przyrody łączy się w tym utworze z myślą społeczną, która nigdzie zresztą nie odstępowała autora. Wszyscy uciśnieni i nieszczęśliwi znajdowali zawsze jego spółczucie. W balladzie p. t. *Zaklęta łza* opowiada z przejęciem się głębokiem dzieje śliny szlacheckiej, która spadła na odkrytą i nigdy nieczesaną głowę chłopa. Stała się ona łzą przeklętą, co ulgi nie daje, i w tym stanie błąkać się miała po świecie do tej chwili, „aż z trudów i pracy na czole szlachcica wystąpi kropelką potu...“ W wielu wypadkach była już pewną, że pokuta się jej skończy, lecz poeta nie doprowadził jej do wyzwolenia, chociaż nie wątpił, że chwila ta nadejdzie.

Dwie legendy ogłoszone p. n. *Bocian* należą do rodzaju poezyi powieściowej; gdyby się utwory

te chciało oznaczyć właściwemi nazwami gatunkowemi, to nie legendami, lecz gawędami raczej mianowaćby je wypadło; cudowność bowiem w duchu chrześcijańskim jest z nich wykluczona. Pierwsza z tych „legend“ przedstawia nam bociana, pobitego i okaleczonego przez gromadę spółbraci swoich, a przygarniętego przez dwoje młodych, którym następnie wywdzięcza się ptak ów, stając się posłem dobrej wieści. Wojak z dalekich stron afrykańskich za jego pośrednictwem przesyła ukochanej Jadzi wieść o sobie i zapowiedź powrotu, co zrywa jej związek z nielubionym, mający się właśnie zawrzeć w kościele. Treść jest bardzo mało skomplikowaną, a objętość poemaciku urosła wskutek wylewów uczuciowych samego autora. Są między nimi niektóre bardzo ładne jak np. obrazek jesieni:

Kocham pogodną, cudną jesień naszą,
Jesień rumianą, dostatnią, obfitą,
Która na łąkach stawia sterty z paszą,
I sypie w zasiek pszenicę i żyto!
Lubię jej rosy rzęsne i mgły senne
I te pól rżyska milczące, przestrzenne
I ciche w skibach leżące ugory
I ową w lesie jakąś ciszę błogą
I spadłych liści cichy szmer pod nogą...

Druga „legenda“ o bocianie przedstawia go nam jako wykonawcę zemsty za krzywdę sierot

i za swoją własną. Autor oświadcza, że słyszał opowiadanie takie wśród ludu na Wołyniu i ubrał je tylko w szatę wierszowaną. Dwoje sierot stryj wyrzucił z dotychczas zajmowanych pokoi we dworze, każąc się im mieścić w piekarnianej sieni. A gdy razu pewnego synowcy się pobili, zapowiedział sierotom, że pójdą do stajni. Unikając tego losu, zbiegły biedne dzieci i tułały się w lesie, żyjąc żebranym chlebem. Przy porządkowaniu dworu, kazał nowy dziedzic zburzyć gniazdo bocianie, od niepamiętnych czasów na dachu dworu umieszczone. Bocian zobaczywszy to, pochwycił z pastwiska żarzącą się głownię i zaniósł ją na dach i wzniecił pożar, który tak szybko się zajął i rozprzestrzenił, że o ratunku nie mogło być mowy nawet. Stryj chciał ocalić syna zapomnianego wśród powszechnej trwogi; już go wynosił, wtem belka duża upadając przygniotła go; ludzie widząc to „wyli“ z przerażenia, lecz nikt w pomoc pośpieszyć się nie odważył. Płomienie, jak węże, spowiły go i dym pochłonął... Gawęda ta, krótka i prosta, nie posiada tych epizodycznych piękności co pierwsza, lecz jako całość lepiej się przedstawia pod względem układu. Niektóre wyrażenia mają pewną malowniczość lub świeżość, choć na ogół potęgi grozy wywołać w czytelniku gawęda chyba nie zdoła.

Bohaterstwo serca chłopskiego wyśpiewał

Wysocki w *Oksanie* (Kijów, 1891). Oksana — to Ołenka z „Lasu“; początek nawet ich dziejów prawie jednakowy, tylko, że w „Lesie“ stosunek przerwany był śmiercią dziada; w „Oksanie“ zaś rozwija się dalej według znanego prawidła: panicz zobaczywszy ładną córkę rybaka, coraz częściej zagląda w te strony, gdzie ją spotkać może, potem następują pocałunki, potem dar chustki jaskrawej, kupionej w miasteczku, potem uwiedzenie i zapomnienie... Panicz idzie wraz z innymi na partyzantkę. Bardzo ładnie, po prostu, bez patosu opowiedzianem zostało rozstanie się z rodziną, przemykanie się partyi przez lasy, składanie przysięgi, przebieg utarczki, ucieczka bohatera i skrycie się w „burzanie“, pastwienie się gminu nad martwymi i rannymi. Panicz błąkał się dzień i noc bez odpoczynku, aż przyszedł w okolice swoje rodzinne. Tu rybak go poznał i przy pomocy innych chłopów związał go i odstawił do swej chaty. Spotkanie z Oksaną:

Naprzeciwko mnie przy stole
Siedzi Sania nieruchoma,
Jak kamienna — i milcząca,
O stół wsparłszy się rękoma;
Dobrze twarzy jej nie widzę,
Gdyż z okienka, z tyłu pada
Na nią światło, lecz się zdaje,
Że ma brwi ściągnięte, blada

I że musi uporczywie
Patrzyć na mnie, a działanie
To jej oczu magnetyczne
Czuję, choć nie patrzę na nie.

Panicz ujrzał w jej ręku nóż, sądził, że pomści swoją krzywdę; ale Sania nożem tym rozcięła więzy, krępujące młodzieńca i kazała mu skryć się w komorze, ażeby mógł w nocy umknąć. Zamiar ten się nie udaje. Rybak powróciwszy, nie widząc panicza w izbie, gdy Oksana powiedziała, że go wypuściła, katować ją i znieważać zaczął. Nie mógł tego znieść młodzieniec, wybiegł z komory, by ratować Sanię. Oddany do rot aresztanckich, mając wyruszyć w drogę, widzi zbliżającą się Oksanę, która daje mu jałmużnę na drogę: była tam „palanica“ (placek), grudka soli, sznur korali, kilka miedziaków — słowem cały skarb biednej dziewczyny owinięty w ową perkalową chustkę, którą niegdyś darował jej panicz... „Więc przebaczasz?“ — pyta jej młodzieniec. — „Tak — szepnęła — niech obojgu nam przebaczy Bóg na niebie“. Oddział ruszył w drogę:

Drobny deszcz ze śniegiem mroczy...
Oglądam się — Sania stoi
I ociera płachtą oczy;
Okutana mgłą, na słocie
Stoi sama pośród drogi;
Widzę jej poczerwieniałe,
Jej zziębnięte, bose nogi...

Czyż-to nie bohaterka, wyższa od niejednej heroiny dramatycznej?

Wysocki jako poeta i rymotwórca nie znał subtelności, wykwintności; posługiwał się środkami prostymi dla wyrażenia myśli trzeźwej, zwykle trafnej, lub uczucia szczerego, serdecznego. Lubo chłostał wady biczem satyry, nie z nienawiści do spółbraci to robił, lecz z gorącej dla nich miłości. Usposobienie to swoje wyraził w słowach: „ja się śmieję, a łzy cieką“ — położonych jako motto na satyrze *Nowe Dziady*. Uczuciowość istotnie przemagała w jego duszy i w wyrażeniu jej przejawów najprostszych, ale i najgłębszych bywał on najlepiej natchnionym.

XIII. Kazimierz Gliński.

Z usposobienia, z upodobań, z nawyknienia jest Gliński niewątpliwie wychowańcem romantyzmu, nie walczącym wprawdzie przeciwko prądom nowym, lecz tęsknie spoglądającym na natchnienie lat młodocianych, unoszące „do słońc i za słońca“. Natura to miękka, serdeczna, z uczuciem płomiennem, marzycielska, spragniona przyjaźni, harmonii i wdzięku, a zmuszona łamać się z ciężkiemi raniącemi przeszkodami i kłopotami życia powszedniego, tem cięższemi i nieznośniejszemi, że są powszednie. Ucieka też chętnie od tej szarzyzny w kraj pamiątek dalszych czy bliższych, ażeby odetchnąć głębiej i szerzej. Lubi przebywać — w wyobraźni przynajmniej — z duchami bohaterskimi, lubi sceny nadzwyczajne, powikłania tragiczne. Stąd skłonność jego do dramatu, w którym to rodzaju literackim dotychczas najlepszą swą rzecz — *Almanzora* — napisał; stąd marzenia o stworzeniu epopei z dzie-

jów narodowych w *Królewskiej pieśni;* stąd chętne zwracanie się myślą w czasy pierwszej młodości, kiedy utworzył swój pierwszy wiersz „na pamiątkę czci, jaką cały naród polski otoczył zwłoki wielkiego króla i prawodawcy Kazimierza, ostatniego z rodu Piastów“ (Kraków, 1869).

Kiedy po bardzo długiej przerwie wystąpił Gliński po raz pierwszy ze zbiorkiem poezyj p. t. *Wspomnienie Tatrów, z marzeń o szarej godzinie* (Warszawa, 1891), to z rozkoszą właśnie do owych czasów studenckich się zwrócił, gdy bez troski o jutro szedł a raczej biegł wraz z ukochanym przyjacielem na szczyty i napawał się wspaniałymi, rozległymi lub groźnymi widokami Morskiego Oka, Krywania, Kościeliskiej doliny. Jego uwielbienie dla przyrody spojone jest najściślej z tą przyjemnością, jakiej doznawał, dzieląc się wrażeniami i uczuciami z towarzyszem wycieczki. Spisywał więc wspomnienia swoje z całą gorącością i bezpośredniością uczuć młodocianych, w tej nadziei, że one przed pamięcią przyjaciela —

Przelecą, błysną jak srebrne motyle,
Co się do słońca złotego wyroją
W jego się blasku skąpać — i potrącą
Duszę twą, niby harfy strunę drżącą
I może, dawno zapomniany, stary
Druh twój ku tobie dłoń wyciągnie wdzięczną —
I wraz z nim pójdziesz gonić złote mary,
Jak to bywało niegdyś, w noc miesięczną.

W chwilach owych widzi Gliński najszczęśliwsze dni swego życia — i błogo mu, rozkosznie, kiedy o nich mówi. Wtedy ani znużenie, ani głód, ani niebezpieczeństwo życia nawet nie istnieje dla niego; uczucie sympatyczne przetwarza wszystko w tkań złotą poezyi, która stokroć więcej warta od chłodno rozpatrywanej rzeczywistości.

Ilekroć zaś myśl poety zwróci się do chwili obecnej swego istnienia, zalewa ją gorycz; zdaje się mu, że „zgasłe popioły serca już nie tleją iskrą żadną“, to znowu, że w tem sercu szaleje burza sroższa i zimniejsza, aniżeli najszaleńszy wicher na szczytach gór, bo „sny najlepsze kładzie do mogiły i w proch rozwiewa wszystkich lat nadzieje“.

Tak bywa wśród zwykłych nawet warunków życia, a cóż dopiero się dzieje w tem sercu, gdy zajdzie kollizya pomiędzy najszlachetniejszemi natchnieniami a wymaganiem bytu codziennego, gdy poeta zmuszonym będzie dla kawałka chleba obniżyć swój polot, ażeby się podobać tłumowi, ażeby napisać rzecz, która w jego własnem poczuciu będzie głupstwem, lecz znajdzie pokup? Są natury, umiejące bez bólu rozłamać się na dwoje: dlu chleba tworzą rzeczy popłatne na targu, dla siebie i sztuki — to, co popytu w danej chwili nie znajdzie. Ale są inne, którym takie rozdwojenie przychodzi

z nadzwyczajnym wysiłkiem i cierpieniem, które nie mogą sobie darować przeniewierstwa, jak powiadają, względem ideału. W takie natury „grom bije“, gdy dla innych on „tylko błyska“. Wówczas powstaje w nich ten rozstrój wewnętrzny, który Gliński odmalował w urywku dramatycznym p. t. *Z walk życia* (Warszawa, 1891).

Żona poety Janusza, jako strażniczka potrzeb codziennych, przypomina mu o potrzebie lekarstwa dla chorego dziecka i pobudza do śpiesznego ukończenia utworu, co ma dać na nie pieniądze. Poeta rozstrojony śpieszy z robotą, ale ciągle go od niej odrywa myśl, że robota to licha, nędzna, daleka od tych marzonych oddawna wcieleń, które mu radość wewnętrzną i cześć u ludzi zjednać miały:

Ja, który chciałem omdlałemu światu
Myśli siew złoty sypać dłonią hojną
I w posągowych konturach dramatu
Rycerskich duchów pierś pokazać zbrojną,
I serce białe, mające woń kwiatu
I czyny wielkie — i nieść śmierć spokojną
Tym, którym dusza nigdy się nie karli,
By w błyskach gromu jak bogowie marli —
Dzisiaj mam rzucić świat marzeń tęczowy
I własnych pragnień zaprzeć się nikczemnie?...

Wobec rozognionej wyobraźni Janusza staje Widmo poezyi i wypowiedziawszy prześliczną charakterystykę swego znaczenia w życiu, żegna

go z boleścią, bo już mu przestało być „silnych duchów wiarą“ i „szczęścia promieniem“; znika tedy „przy szumie wichru“, wśród „gromów i błyskawic“. Dziecko poety umarło, a on zostaje w osłupieniu, nie wiedząc co począć.

Janusz jest poetą uczucia i w tym jedynie kierunku myśl jego natężona nie ma siły ani możności chłodniejszego rozpatrzenia się w położeniu, nie znajduje wyrazów stosownych w odpowiedzi Widmu poezyi, boć to Widmo to tylko ta sama myśl poety, w kształty zewnętrzne prybrana.

Całość jest skreślona w tonie wysokiego nastroju, wobec którego odezwania się żony poety rażą, jak „zgrzyt żelaza po szkle“, są niemiłosiernie płaskie, choć w gruncie rzeczy uzasadnione. Z dramatu pozostały tu oczywiście szczątki formy jedynie. Jest to silny, piękny wybuch liryczny.

I sam Gliński nie zawsze ma możność rozwinięcia szerszego skrzydeł i pobujania we właściwym sobie żywiole; i on także nasuwa ciągle na myśl ów piękny a tak gorzko prawdziwy obraz, skreślony przez Schillera — Pegaza w jarzmie kłopotów i trosk codziennych, małych, drobnych, ale tem dokuczliwszych, że się tak wciąż powtarzają z niezmordowaną, lecz mordującą jednostajnością. Wprawdzie bezwzględna większość ludzi chodzić musi w tem jarzmie

powszedniości; refleksya ta jednak nie zdoła uprzyjemnić losu naturze wrażliwej, czującej w sobie zdolność do lotów wznioślejszych, a zmuszonej nieodbitą koniecznością do rozmieniania dużego talentu na drobną monetę. Potrzeba umieć odczuwać wrażenia i uczucia twórców, rozmyślających o wielkich tragedyach dziejowych, ażeby zrozumieć dotkliwość bólu, jaki im sprawia propozycya napisania t. zw. „humorystycznego“ wierszyka, którymby można w rodzaju winietki urozmaicić treść „Kuryera“ czy pisma tygodniowego.

Znaczna część wierszy, rozpoczynających tom „Poezyj“ Glińskiego, wydanych w Warszawie r. 1893, takiemu właśnie stanowi rzeczy zawdzięcza swój początek... Dlaczego je autor wysunął na czoło zbiorowego wydania swoich utworów? Wszak epigramata czy fraszki, do których owe wiersze gatunkowo należą, mieścić się zwykły na końcu zbiorów, jako „wety parnaskie“, wedle wyrażenia Wacława Potockiego, po innych olimpijskich daniach. Kto wie, czy źródłem, z którego wypłynęło takie postanowienie poety, nie jest wzmiankowana już przemoc codzienności! Może sobie autor pomyślał: wierszyki te krótkie, żartem zaprawne, najrychlej jeszcze przeczytane będą przez rozbawiony filisterski ogół, zarekomendują poetę jako człowieka nie nudnego, który wylewami uczuciowymi i myślami górnolotnemi

nie będzie mącił spokoju dusz powszednich. Dopiero później, kiedy już czytelnicy nie będą mieli odrazy do wierszy, zajrzą dalej i wdrożą się pomału do budzenia w sobie uczuć, do kierowania myśli ku wyżynom...

Jakkolwiekbądź, wśród tych „bajek“ Glińskiego znajduje się wiele takich, które zaszczytne zająć mogą miejsce w szeregu licznych „fraszek“ naszej literatury, a trafnem spostrzeżeniem, rozumną uwagą, żywem uczuciem zwracają na siebie uwagę. Pod koniec tego działu znajdują się ballady i tłomaczenia obcych autorów: *Rybak* Goethego, *Róża* Wiktora Hugo.

Dział drugi, zatytułowany za przykładem Bohdana Zaleskiego: „Wiośnianki“, mieści w sobie maleńką wiązankę wspomnień miłosnych z doby widać młodzieńczej. Prześliczny jest wstęp do nich:

Pierwiosnku! jesteś ty młodością roku,
Młodości! jesteś ty pierwiosnkiem życia —
Czas dla was płynie na falach potoku.
Wśród blasków słońca i wśród tęcz spowicia.
Lecz przyjdą burze i piorunów bicia,
Gromy uderzą z przeznaczeń wyroku —
Zginiesz, pierwiosnku, ty młodości roku,
Pierzchniesz, młodości, ty pierwiosnku życia.

Dwoje młodych, oddanych marzeniom i rojeniom, bez troski i bez złych przeczuć, korzysta z wiośnianych swych usposobień, drwiąc

z oburzenia obłudnych świętoszków, co sami grzeszyć już nie mogąc, zazdroszczą najniewinniejszych uciech młodszym od siebie.

W ostatnim dziale p. n. „Piosnki, sonety, powieści i fragmenty“, obejmującym więcej niż połowę książki, wraca oczywiście jeszcze niejednokrotnie nuta miłosna, lecz nie z tą już zazwyczaj swobodą i naiwnością, co w „Wiośniankach“; męty bowiem nieraz na dnie kielicha rozkoszy dojrzane, oraz plątanina stosunków towarzyskich i społecznych zamącają błogość edenu miłości i wprowadzają do niego smutki, rozczarowania, gorycze. Tu często pojawia się przeciwieństwo bezmyślności życia salonowego z twardymi warunkami bytu klas pracujących, czy to umysłowo, czy fizycznie. Spółczucie poety jest naturalnie zawsze po stronie pracowników i nieraz wypowiada się w bardzo ładnie przeprowadzonych pomysłach. Za przykład może posłużyć obrazek powieściowy p. t. *Gęsiarz*, gdzie znajdujemy opowiedzianą bez sentymentalnych wykrzykników i bez użycia krzykliwych barw historyę sieroty, dla którego w dzieciństwie pociechą jedyną były gąski, staw, wierzbina nad stawem rosnąca, puchy kwiatów i to echo, które w borze gada. Ukochana Magda wyszła za kogo innego; on puścił się w świat i różnej tu zażywał doli, a gdy starość zgarbiła mu plecy, gdy z piersi kaszel mu suchy się wyrywał, zapragnął

znowu wciągnąć w swe płuca powietrze wsi rodzinnej i wsłuchać się w znanych wichrów podmuchy. I na starość wrócił do zajęcia, od którego rozpoczął; niezdatny do innej pracy, znowu pasł gęsi i chwytał echa boru. Bardzo pięknie skreślone są wrażenia powracającego dziada do wioski, a wzruszająco — zgon biedaka cichy.

Z innych wierszy wymienić należy jako piękne istotnie: *Czy znasz?*, *Nie tak, nie tam*, *Z prawd życia*, *Wspomnienie*. Smutna nuta, myśli zabarwione melancholijnie, marzenia i rojenia są-to motywy, które poeta najlepiej umie wyrazić. Dodać potrzeba, dla odróżnienia Glińskiego od rzeszy spółczesnych melancholików poetyckich, że niema w jego smutku pozy, ani doktryny żadnej; śpiewa smutno, bo to zasadniczy nastrój jego duszy, ale w tym smutnym śpiewie niema ani pessymizmu, ani drapowania się w Byronowski czy Mussetowski płaszczyk; poeta wierzy w dobre strony ludzkości, chociaż zeszpecone czasowo różnemi nawianemi z zewnątrz piętnami, wierzy również w możność oddziaływania na spółbliźnich za pośrednictwem słowa, więc wierzy także w społeczną doniosłość poezyi.

Z większych poematów Glińskiego znamy dotąd same urywki. *Królewska pieśń* ma nam odmalować pierwotne dzieje kraju naszego, ale z niej początkowe tylko ustępy, dość obszerne zresztą, wydrukowało „Ateneum“ (1891, tom III).

Pochop do napisania tego utworu dał niewątpliwie Król-Duch Słowackiego. Gliński zatrzymał formę opowiadania oktawami, któremi włada przepięknie, ale odrzucił nastrój mistyczny, po ziemsku rzeczy traktując. Nie znaczy to jednak bynajmniej, żeby się ubiegał o szczegóły realistyczne; tu i owdzie co prawda uległ nowemu prądowi estetycznemu i jednego z bohaterów swoich (Waligórę) niezbyt uroczo przedstawia, fizyczne niedomagania starości jaskrawo uwydatniając, ale wogóle jest i w tej opowieści romantykiem zakochanym w marzeniu, w niespodziankach, w przesadzie czy to na stronę wdzięku czy na stronę siły, w kolorycie tęczowym i błyszczącym. Zasłuchani w melodyą wiersza płynącego gładko i przejrzyście, dajemy się porwać poecie i mało zważamy na niewielką rolę, jaką w opowiadaniu gra poczucie rzeczywistości; przyjmujemy je jak baśń piękną bez szczegółowego rozbioru, w uznaniu czarownego wątku. Oto np. opis porannej przechadzki Bożenny w lesie:

Cicha jak promyk, co przez okienniczki
Sosnowe wpadłszy, muskał ją po skroni,
Nie budząc śpiącej u boku siostrzyczki,
Która sen może jaki srebrny goni,
Wstała cichutko, róg białej spódniczki
Uniosła, fałdy zgarnęła do dłoni,
I cicha, lekka, jak światło księżyca,
Przez głowy śpiących pierzchęła wietrznica...

I powitały ją lasy, grające
Jak arfy złote... Jodeł aromaty
Biły w krąg — w rosach kąpało się słońce,
Schylone głowy podnosiły kwiaty,
A górą wyżej drzew — morze szumiące
Wiatrów płynęło. Dzień srebrzył się, szaty
Brał jasne — w dołach słały się muśliny
Mgieł, białą piersią trącane dziewczyny.

Szła cicha, senna... Ramiona i szyję
Całował słońca promień purpurowy;
Żaden ptak przed nią w krzewach się nie kryje,
Żadne zwierzątko w gąszcz nie chowa głowy;
Nawet z omszonych pniów wypełzłe żmije
Leżą spokojnie; tylko szmaragdowy
Kobierzec muraw pod idącej nogą
Sypał ros perły, stał się kwiatów drogą.

Treść ogłoszonego dotąd ustępu da się ująć w krótkie słowa. Stary Wysz, który władał nad Gopłem, zwołuje gromadę, by pomyślała o wybraniu następcy, syn bowiem jego, Lech, w młodych leciech, dobrowolnie zabrał się z Niemcami do ich krainy — i słychu o nim niema. Wtem Lech, który od Niemców sztuki tylko wojennej chciał się nauczyć, wraca do chaty rodzinnej — następuje serdeczne powitanie.

Drugi większy poemat p. t. *Z nocy bezsennych* znany jest również z urywków tylko, przeważnie w „Ateneum“ (r. 1893). Jak wnosić należy z części drukowanych, ma to być utwór składający się z licznych, oderwanych ustępów auto-

biograficzną jedynie nicią połączonych ze sobą. Różnorodność uczuć w miarę doznawanych wrażeń jest naturalną właściwością takiego poematu; obrazki jednak przeniknięte rzewnością lepiej się w nich przedstawiają, aniżeli te, w których nastrój satyryczny lub wesoły miały być przedstawione.

Na zakończenie tego krótkiego zarysu twórczości Glińskiego podaję niedrukowany wiersz jego pod znamiennym napisem: *Piosnka o niczem* dla uprzytomnienia czytelnikom warunków, wśród których poeci u nas wogóle tworzą.

Piosnka o niczem.

O niczem śpiewać?... Czy nie za śmiało?...
A no: o niczem!... Cóż chcecie? —
Może do pieśni wątku nie stało
Nie z bożej łaski poecie;
Może się serce życiem znużyło
I dusza w senność zapadła —
Coś się urwało, coś się zamgliło,
Mar dawnych pierzchły widziadła.
A może ktoś mi szepnął do ucha —
Poeta o tem pamięta —
Że dzisiaj piosnek nikt już nie słucha,
Ni chłopcy ani dziewczęta.
Nie wiem! — Serc kilka bije w mym domu,
Na losy trudno się gniewać —
I może śpiewać byłoby komu,
Lecz nie wiem o czem mam śpiewać?

Minęły czasy, gdy w wieczór letni
Kończąc słów tkliwych szermierkę,
Pasterz czarował dźwiękami fletni
W pieśń zasłuchaną pasterkę —
Gdy księżyc schodził, a po za dworem
Trzykrotne brzękło klaśnięcie,
Później szept ciszy biegł pod jaworem,
Wiecznej miłości zaklęcie.

Flet! pasterz! jawor!... Stare to dzieje,
Przebrzmiała dawno piosenka!...
Dziś się młodzieniec szczerze rozśmieje,
W rytm mu zawtórzy panienka.
Nikt na wschodzący księżyc nie patrzy,
Strzegą kudłate psy dwory —
Dłoni dziewczęcych oklask wciąż rzadszy,
Ząb czasu nadgryzł jawory.

Precz z tkliwą nutą!... Z sercem ochoczem,
Wspomnieniem orlich lat wskrześnij —
Znasz różne pieśni... Śpiewaj!... Lecz o czem?...
Gdzie znajdę przedmiot do pieśni?...
Wiem: są pochyłe dworki i strzechy
I spora ludzi gromadka,
I stare cnoty, i nowe grzechy,
I pacierz siwego dziadka;
I są marzenia w sercu dziewiczem,
I w chmurach skrzydło sokole —
A jednak?... śpiewać muszę o niczem —
I wraz lirniczą kląć dolę!
O słońcu nuć mi, kwiatach, o lesie
Lub o tym zielonym gaju —
Gdzie echo piosnkę hen — hen w dal niesie,
Aż skąpie w falach ruczaju —

O lesie śpiewać... Ba! a któż zgadnie,
Jakie tam licho śpi w lesie —
Jakie tam echo w głębi wypadnie
I dokąd piosnkę zaniesie?
Wiesz-że, co szumi wierzba przydrożna
Wśród puszcz ciemnego szałasu?...
Zawołasz: kocham!... a głos: Nie można!
Z głębi odpowie ci lasu.
Ku tobie czarów świat się uśmiecha,
Ale błagania twe próżne — —
Nie wolno budzić leśnego echa,
Bo echo głosy ma różne. —

Uchodź stąd, dziewczę, prędko a prędko,
Nie wołaj śpiących ech w ciszy —
Nad brzegiem stawu siądź z złotą wędką,
Gdzie ucho szelest fal słyszy.
Nad tobą niebo jasne, pogodne,
Pod tobą głębia z kryształu — —
Zarzucaj wędkę w te tonie wodne,
Pomału tylko — pomału.
Może tęczowa złapie się płotka...
Stój! niebezpieczne zachcenie — —
Skąd wiesz, co wędkę twoją tam spotka,
Jakie ją chwyci stworzenie?
Może głowonóg legł tam na stronie,
Haczyk urazi go giętki —
Nie wolno, dziewczę, w milczące tonie
Zapuszczać długą nić wędki.

Hen — hen, daleko jest step zielony,
Bujne się trawy kołyszą —
Kurhanów łańcuch w dal rozciągniony
Wichrami rozmawia z ciszą.

Czuję, jak zbiera krew w twoich żyłach,
Rumieńców widzę kolory...
Stój!... wiesz-że, kto tam śpi w tych mogiłach,
Jakie z nich wyjdą upiory?
Darmo o grobu szepcesz nicości,
Masz do tęsknoty pierś zdolną — —
Nie wolno trącać umarłych kości,
Zazierać w groby nie wolno!...

Gdzież jest pieśń twoja? — ku innej stronie
Obróć swe kroki wraz ze mną. —
Wzniesioną piersią wchłaniasz lip wonie,
I drżysz rozkoszą tajemną.
O! wstrzymaj oddech... Lip gęste cienie
Nie będą tobie ochłodą — —
One zabójcze miewają tchnienie,
Gdzie nie chcesz — tam cię zawiodą!
Uchodź od sennych drzew tych pogwarów,
Zabrzmieć pieśń może zdradziecka —
Ja znam te lipy!... Szum ich konarów
Zatruł niejedną pierś dziecka.
Precz — zdala od nich! — Istni pątnicy
Przechodzim z sioła do sioła — —
Przygasa zwolna ogień źrenicy,
Ku piersiom chylą się czoła.
Ach! szept modlitwy w ucho ci wpada,
Głos drżący w serce uderza — —
Precz! ty nie słuchaj pacierza dziada,
Nie znasz słów tego pacierza!

I po twych pieśniach!... Marna pociecha
Z rozbitych urn i puklerzy — —
W stawach — potwory, w lesie — są echa,
W mogile krwawy trup leży.

Myśl twa nie spocznie w cieniach ogrojców,
Z pod mchów wypełza wąż długi —
Cicho szeptanej modlitwy ojców
Już nie wymówisz raz drugi.
Darmo twe serce rwie się i skacze,
Dłoń różne potrąca struny:
Wiatr — rzadko jęczy, deszcz rzewnie płacze,
Z chmur letnich biją pioruny.
Zostały jeszcze na tym padole
Kwiaty z promiennem obliczem — —
Lecz powój — ściska, pierś róży — kole...
Nie!... musisz śpiewać o niczem.

XIV. Adam M-ski.

Adam M-ski (pseudonim) znany jest bardziej ogółowi jako wytworny tłomacz Luzyad Kamoensa, Jocelyn'a Lamartinowskiego, Kwiatów grzechu Baudelaire'a, aniżeli jako poeta oryginalny. Nic dziwnego. Pieśni jego i większe nawet utwory rozproszone są dotąd po czasopismach; szukać ich trzeba głównie w „Tygodniku ilustrowanym“, w „Życiu“ i w „Ateneum“. Osobno ogłosił M-ski, o ile wiem, mały tylko poemacik p. t. *Jeden z wielu* (Kraków, 1890).

Widocznie autor przeszedł i przecierpiał w życiu dużo, zanim pisać, a raczej zanim drukować zaczął. I nie frazesem jeno poetycznym, ale głęboko odczutym faktem duszy własnej jest porównanie piersi poety do toni przepaścistej, z której „grążel gwiazdą złocistą wytryska“,

Tak, o duszo poety namiętna,
Ty się nieraz zasklepiasz głęboko:
Wolniej biją krwi gorącej tętna,
Serce lodu pokrywasz powłoką,

Chociaż całych pokoleń boleści
Wielka miłość w łonie twojem mieści.

Jak na fali ów grążel złocisty,
Na twych ustach igra piosnka srebrna,
I świat cieszy się z pieśni artysty,
Co jak promień słońca mu potrzebna,
Ani wiedząc, że kwiat ten słoneczny
Życie bierze z ran, ze krwi serdecznéj.
(Toń i pieśń).

„Chcesz wywołać hymn nowy?— Zrań wprzód piersi pieśniarza“ — mówi Adam M-ski w innem miejscu *(Posąg)*. Z bólów tedy, zawodów, rozczarowań popłynęły jego utwory, śliczne pod względem formy, uczuciem głębokiem i silnem na wskroś przeniknięte. Poeta wszakże bynajmniej się w szał rozpaczy nie pogrąża, ni też w apatyi egoistycznej szuka zapomnienia, gdyż zdaniem jego „lepsze jest wrzące życie, choć ból piersi krwawi, niż spokój w martwem zdrętwieniu“ *(Lira)*. Pożali się on nieraz na dolę swoją, to prawda, lecz nie rozpływa się wyłącznie nad swemi cierpieniami; odczuwa on również cierpienia innych, a mianowicie ludu, kobiety rzuconej na fale losu i tych duchów gorących, które rzucone z nieba marzeń, giną fizycznie lub moralnie.

Pamięci jednego z takich duchów poświęcił poeta większy poemacik, niedawno wspomniany: *Jeden z wielu*. Prześlicznie zwrotkami czterowier-

szowemi, jasnemi i czystemi jak kryształ, a mieniącemi się grą barw tęczowych opowiedział tu dzieje, bardzo często się wśród nas zdarzające: w zaraniu młodości wielkie, niebosiężne, Prometeuszowe wzloty myśli i uczuć wraz z rwaniem się do czynu, i rychło po nich następujące rozczarowanie, zwątpienie o możności urzeczywistnienia owych świętych ideałów, a nieumiejętność utrzymania równowagi duchowej wśród tych warunków, jakie przedstawia życie realne. Opowiadanie włożone jest w usta bohatera. W samem zaraniu życia —

Z ławicą szkolną wnet skowany,
Śród rówieników — ja, pacholę,
Nosiłem w piersi głuche bole,
Śród gier stawałem zadumany,

Pytając, co się stało z bytem
Moich i wszystkich naokoło?
I chmurna zmarszczka ryła czoło,
Ściskałem zęby z głuchym zgrzytem.

Przygnębić się jednak wspomnieniom nie dał; „młodość wskrzesicielka“ znów mu w piersi hymn potężny zaśpiewała:

I ile we krwi młodej wrzenia
A w orlich lotach jest porywu,
Świat bohaterstwa, uczuć dziwu,
Wszystko spłynęło mi w marzenia
. . . . . .

Mieliśmy walczyć jak Tytany.
Heraklesowe podjąć trudy,
By synów zazdrościły ludy
Téj naszéj świętéj ukochanéj.

.

Ktoby nam wówczas chciał tłomaczyć
Zwątpienie, jęk, złamane męstwo
Krzyknęlibyśmy: niedołęstwo!
Ledz w polu — tak! lecz nie zrozpaczyć.

Więc jeden miał do chat kmiecych zakołatać i obdzielić je myśli plonem; drugi biegł bez trwogi „ku wiekuistych prawd krynicy“, inny z ziemi wydobywać chciał skarby — nie dla siebie; wszyscy w bój lecieć pragnęli, a gdy bój ich zawiódł, jeszcze nie zwątpili, a stojąc na krwawej mogile, znowu sen wysnuli „olbrzymiej pracy organicznej, co gmach wznieść miała od podstawy“.

Z początku dobrze było z tym snem nowym.

Praca i wiara w sił swych dzielność nadawały urojeniu rozmiary i potęgę rzeczywistości. Łudzono się, bo się łudzić potrzebowano; lecz wkrótce „bezowocność trudów“ jęła myśl trwożyć, zasiewając w niej zwątpienie; często pracować nie było na czem; przeszkody się piętrzyły; słabsi upadali na duchu, i zapominając o poprzednich ideałach swoich, zaczęli wołać: „uży-

cie! użycie tylko pozostaje!“ — „rozkoszy! choćby kosztem życia!“

Ach! ileż w przepaść się stoczyło
Czół przeznaczonych pod wawrzyny...
W bezdusznej uściśnieniach Fryny
Ile serc dzielnych się spodliło!...

I bohater poematu, sądząc, że nic zdziałać już nie zdoła, szukał w miłości kropli szczęścia dla siebie, lecz trafił nieszczęśliwie. Miłość zawiedziona — nie tyle może w rzeczywistości, ile w poematach i powieściach — odbiera takim miękkim, choć szlachetnym entuzyastom wiarę i ufność, rzuca ich na pastwę smutków i niemocy do działania. Zdaje mi się, że takie tłomaczenie jest bardzo często wygodną, poetyczną, czasem wzruszającą wymówką prostej nieudolności do działania wytrwałego po wypaleniu się namiętnych ogniów młodości; czyby miłość dopisała, czy nie, zapaleńcy tacy, nie mówię zawsze, ale często, nie potrafiliby się utrzymać na pierwotnej wyżynie; a ponieważ życie prócz pięknych słów, domaga się czynów, tacy bohaterowie, narzekając na ciasnotę szranków, nic nierobić wolą, utyskując na złamanie swych skrzydeł.

Nie stosuję tych słów do *Jednego z wielu*, gdyż w poemacie tym dźwięczy nuta prawdy w malowaniu przejść serdecznych, a niektóre ustępy zdolne są porwać za sobą nawet chło-

dniejsze usposobienia, jeśli tylko wogóle mają poczucie poetyczne.

Jakby uzupełnieniem i obroną osoby bohatera, opiewanego w *Jednym z wielu*, jest *Fragment*, drukowany w „Ateneum“ (r. 1892, tom II). W formie fantastycznej, z wprowadzeniem Chóru bachantek, białych wieszczek, Mefista i Głosu wyrokującego ostatecznie, przedstawił autor dramat wewnętrzny człowieka o niepowszednim polocie myśli i uczucia, który nie mogąc wytrwać w walce życia i nie chcąc się poniżyć, ginie. Jest to według wyznania poety „najgorętsza z piersi piewcy wzięta krew, z serca jego wnętrza“ — i w tym charakterze zasługuje na rozbiór szczegółowszy.

Autor podaje najprzód w kształcie osobistego wspomnienia charakterystykę bohatera, schylonego nad księgą poważną, lecz bynajmniej nie zamykającego się w obrębie pojęć abstrakcyjnych. W postaci jego była „ta moc gladyatora, w którym zbudził się człowiek, jak w onym Spartaku, kiedy do boju wodził niewolnicze tłumy“. Wydawało się, że był on stworzony, aby zostać jakiejś myśli szermierzem i „jakiejś sprawy wielkiej, ale nieszczęśliwej, przez ludzi i przez bóstwa podle opuszczonej“. Nie danem mu było atoli dokonać tego, co zamierzał, pozostał on więc wielkim i pięknym w idei tylko, we wspomnieniu poety:

Bo wielka moc zdradliwym darem bywa,
Gdy nie wcielona w wielki czyn:
Ocean rozszalały lądy zmywa,
Krew wrząca bodźcem wielkich win.

Chór bachantek zachęca bohatera do użycia rozkoszy ziemskich, ale „białe wieszczki“ t. j. tęsknoty, porywy, nadzieje ducha, pęd w nieskończoność nie dozwalają mu ugrzęznąć w błocie. Poeta nie zakazuje mu uciech, bo „rozkosz jest także siłą“, staje w obronie potężnej miłości:

. O, święć się, ty młodości wrzące pożądanie!
Bóstwo, co zbliżasz serca, zaplatasz ramiona
I rozgorzałe usta pocałunkiem łączysz!
Ty zdrowych ciał potrzebo, snów wieszcza podnieto,
Dawczyni szczęścia, przyszłych pokoleń rodzico,
Niech każdy wedle sił swych puhar twój wychyli,
Nie wydziedziczon z prawa śmiertelnym wspólnego!

Poeta nie lęka się dla swego bohatera nawet uścisku wielu córek ziemskich, „bo kto raz widział Psychy rysy idealne, już nigdy nie zapomni słodkiego oblicza i — po chwilowym żalu — jej szatę błękitną z gorętszem uniesieniem do ust swych przyciśnie“.

Lecz jeśliby starości dobiegł niedołężnej,
Ust swych nie umoczywszy w rozkoszy napoju,
Choćby mu sława wieńce uplotła stokrotne,

Choćby na łonie Psychy konające skronie
Do snu wiekuistego łagodnie kołysał,
Jeszcze ostatnie jego słowo skargą krwawą
A ostatnie westchnienie byłoby tęsknotą!

Tak ziemia, która niegdyś jądrem ognia była,
I mnogich ciał niebieskich słoneczną siostrzycą,
Chociaż się dała w ciemną zakować skorupę
Cierpi wieczną tęsknotę za niebianek gronem
I wieczystą nienawiść ku srogiej niewoli.
A kiedy bunt zbyt silny we wnętrzu jej wzbierze,
Wybucha krwią płomienną, law stopionych zdrojem
I nim ku czci sióstr swoich wznosi toast wrzący;
A choć ją czarne mroki nanowo otoczą,
Na jedną krótką chwilę mogła krzyknąć: „żyję!“

Więc też nie lęka się również dla swego bohatera ogniów namiętności, ani burz i wulkanicznych wybuchów, ani walk i przewrotów. Widzimy bowiem nieraz, jak po strasznych klęskach, po zalaniu lawą okolic całych, znów „setki, tysiące płodzą się i kwitną i u stóp się wulkanu jak jaskółki sklepią — a zaś ogień — niszczyciel znów życia jest źródłem“. Straszną jest tylko mielizna pojęć i uczuć, cisza gnuśna, apatya bezradna, w której jednostki wystrzelające nad poziom, nie znajdując ani pobudki ani podtrzymania swych dążeń, trawią się w sobie, gnuśnieją i przepadają.

Poeta w rozległym obrazie poetycznym przedstawia najprzód ową zgubną ciszę w przyrodzie, lub naniesienie gór piasków niestrudzoną pracą

oceanu, a następnie zastosowuje ten obraz do położenia ludzi i ludów, skazanych na bezczynność lub na marnowanie sił swoich w drobnych, codziennych, powszednich i pospolitych, ducha zabijających robotach i rozrywkach. Najwymowniejszy to może ustęp w całym *Fragmencie*, nie wahamy się przeto podać go tutaj prawie w całości:

Lecz biada, kiedy wicher spalony i suchy
Podniesie falę piasku i sunie przed sobą,
I rodzajne krainy w jałowe pustynie
Zamienia — niszcząc do cna wszelkie ślady życia.
Gdy ni gaju zieleni, ni gędźby ptaszęcej
Ani szmeru strumienia już tam nie usłyszysz,
I tylko niema cisza albo bestyi ryki
Rozlegają się smutnie nad zmarłych trupami,
Podróżnych, — co zginęli zabici pragnieniem.

Biada, gdy morze na dnie namuły swe zmąci
I powolną robotą posuwa w ostoje,
Gdzie się na gwarnych łodziach tłum żeglarzy roi.
Straszliwą jest podstępna oceanu praca!
Bo przeciw sile burzy siłą walczyć można,
Lecz któż się zdoła oprzeć ziarn piasku nawałom,
Na których obliczenie myśl ludzka liczb nie zna?

Płyną godziny, lata, stulecia — powoli
Pustoszeją bogate, głośne niegdyś brzegi,
Na których pracowity przemysł dźwigał grody;
Coraz daléj żaglowców odpływają skrzydła,
Aż w końcu chyba czarny szczęt łodzi strzaskanej,
Jakimś kaprysem fali z namułu wypchniętej,
Świadczy, gdzie była przystań Tyru lub Sydonu.

O synu marzeń moich! Ciebie nie zabije
Ani myśl nazbyt śmiała ku Niebu lecąca,
Aby się ostrym grotem werznąć w ich błękity
I sfinksowych zagadek szukać rozwiązania,
Ni burza namiętności, co chociaż potężna,
Nie potężniejsza przecież niźli siły twoje
Wzięte z życiem z przyrody ręki dobroczynnej;

Nie drżę o ciebie, choćby nawet cierpień nawał,
Jako Prometejowi lub Heraklesowi,
Stał ci się sępem krwawym, zatrutą koszulą:
Herakles wobec śmierci został Heraklesem
I wyszedł jak Niebianin ogniem oczyszczony.

O! nie burz ja się boję, ale téj pogody,
Która ciszą na morzach zabija okręty;
Téj ciszy bez tchu wiatru, kiedy srebrna woda
Łodzi tkwiącéj bez ruchu zdaje się całunem
A drugim błękit Niebios bezlitośnie jasny.

O! nie życie mię trwoży, ale ta martwota,
Jaka niekiedy spada na pobite ludy,
I najdzielniejszym mężom gnuśnie pleśnieć każe
I niby rdza złośliwa hart dusz ich przegryza.

Lękam się duchów zimnych, co niezdolne rzucić
Myśl wielką, myśl płomienną — chociażby
Chociażby niszczycielską — śladem tego boga,
Co słońca wozem jadąc chciał glob ziemski spalić;
Tych mędrców, tych ostrożnych, ślimaczo roztropnych,
Którzy codzień, co chwila, jak wycie szakali,
Zwątpienie, beznadziejność w piersi ludzkie sączą.

Ja lękam się tych godzin na dziejów zegarze,
Gdy żaden wulkaniczny czyn ziemi nie wstrząsa,

Gdy nawet bohaterskie leniwieją duchy,
A żadne żywsze czucie drgań serc nie przyśpiesza;
Gdy walki turniejowe i koturn tragiczny
Zastępuje śmiech klowna, koziołki pajaca,
A niema jednej piersi dość zdrowej, dość dzielnej,
By krzyknąć: Duszno mi tu! I do atmosfery
Zatęsknić pól szerokich, gór wolnych i lasów
I walkę z nędzą przenieść nad ducha ubóstwo.

Występuje potem Mefisto i wieszczy, iż ów bohater, ów Muz wychowanek pod wpływem otaczającej go powszedniości, pożegna wielkie ideały i stanie się podobnym do tłumów; daje więc jemu i każdemu, co w niebo wzlatywał, szyderczą radę:

Zamiast łbem bić o niebo, śnić Ikara loty,
Ginąć za lubej uściski,
Niech się lepiej nauczy, jak z ludzkiej głupoty
Pewniejsze wyciągać zyski.

Nigdy się z wyższą myślą przed tłumem nie zdradzić,
Nad innych nie wznosić głowy,
Własną swoją istotę ociosać, ogładzić
Jak gładki pionek szachowy.

Pomnieć, że marzycielstwo dziś obudza litość,
A więc go strzedz się jak zbrodni,
Mieć za jedyne bóstwa — dobrobyt i sytość,
Bo szubrawcami są głodni...

Nie sprawdziły się przepowiednie Mefista; bohater nie chciał uledz przemocy pospolitości,

nie chciał zostać obojętnym na wielkie zagadnienia życia i świata, jak inni; ale też i żyć nie mógł; zabiła go ta nużąca, szara, bezduszna pospolitość. Poeta wspomnienie jego otacza spółczuciem serdecznem i kształty jego uwielbione pragnie przechować w „kryształowej trumnie poezyi — jak śpiącego baśni królewicza“, mając nadzieję, że duchy pokrewne ku niej myślą wzlatywać będą. Odrzuca z pogardą okrzyk zgrai, drwiącej z tych, którym w życiu się nie powiodło; sam zaś biorąc w pierś swą magnetycznie ból duchów, nie mających możności rozwinięcia się w pełni, woła głosem przejmującym:

Ja wiem, co cierpi sokół, gdy skrzydła rozmachu
Nie mogą mieć,
Czem dla wolnych mieszkańców powietrznego gmachu
Klatka i sieć;
Czem jest w godzinie marzeń zbyt wielkich się zrodzić,
A w jarzmie żyć,
I nigdy snów młodości nie módz z życiem zgodzić
I sercem gnić;
Co czuje duch, nim myśl swą odrze z wyższej treści,
Z boskości cech;
Wiem, że najwięcej boli z duchowych boleści
Nad sobą śmiech...

Ileż w tych słowach prawdy bolesnej! ile spółczucia dla Prometeuszowych duchów w zapasach w codziennością wrażeń i wypadków!

Fragment nie jest doskonałym jako całość; myśl jego przewodnia nie jest uwydatniona z całą możliwą artystyczną dosadnością; ale czyż w tem wina tylko talentu poety? Ach, i on jest tym sokołem, którego skrzydła nie mogą mieć rozmachu...

XV. Przedwcześnie zmarli lub zmarnowani.

Było i jest wśród nas dużo zdolności niepowszednich, które czy-to wskutek win własnych czy też nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, nie mogły talentu swego w pełni rozwinąć i pokładanych na nim nadziei nie spełniły, lub też we wczesnym zgonie albo obłąkaniu znalazły kres działalności swojej.

Nie zamierzając tu wyczerpywać wszystkich nazwisk, parę wydatniejszych przytoczę dla przykładu.

Od roku 1867, kiedy pierwszy swój zbiorek „Poezyj“ ogłosił, budził Miron (Aleksander Michaud) dość żywe zainteresowanie się w kołach inteligentnych i zdawał się rokować piękną zdolność wśród wielu spółcześnie z nim drukujących swe wiersze. Przez lat kilka nadzieje te były trzymane przez autora w stanie zawieszenia pomiędzy pewnością a zwątpieniem („Fantazye“ dramatyczne 1871); ale potem talent jego wi-

docznie słabiał, a pióro powtarzało dawniej już kreślone uczucia i położenia. Autor nie wychodził z zaczarowanego kółka westchnień, sarkazmu i goryczy, a nie miał dość siły, ażeby tym uczuciom swoim dać wyraz tak imponujący, ażeby nim zawładnąć umysłami. W czasie kiedy najwięcej mówiono o potrzebie pracy organicznej, o zużytkowaniu wszelkich sił i zdolności celem podniesienia dobrobytu, poeta po Mussetowsku i Heinowsku wyrzekał na świat albo drwił z niego; musiał więc być zaliczonym do rzędu kwilących bezsilnie ptasząt, na które w dziale pracy społecznej rachować niepodobna. Usposobienie swoje i nastrój określił Miron dobrze w końcowym ustępie swego poemaciku p. t. *Don Juan:*

Ludzka komedjo! na scenie świata
Czterdzieści wieków grana bez przerwy,
Jakżeż ty strasznie rozstrajasz nerwy
Tym, których dusza nad błoto wzlata.
Kto na cię przybył z szczęścia pragnieniem,
To ten tak idzie jak Milton ślepy
Za melancholją, w całunie z krepy
I grób swój wita z gorzkiem zwątpieniem.

Szczegóły tej komedyi w świecie spółczesnym wywołują z piersi poety jęk, albo też szyderstwo na usta.

Rozporządzając dobrze wyrobioną frazeologią i pięknym wierszem, zręcznie umie poeta

nadać pewną rozmaitość zewnętrzną utyskiwaniom swoim, tak że pojedyńczo prawie każda z jego pieśni czyta się z niejakiem zadowoleniom estetycznem, bo chociaż ducha żadną zazwyczaj myślą nie wzbogaca, zajmuje jako forma udatna; ale gdy utwory te znajdą się w skupieniu (ostatni zbiorek Poezyj, Warszawa, 1884), niepodobna nie uczuć pewnego przy czytaniu znużenia. Ból i cierpienie znajdują tu czasami tylko taki wyraz, że się podobne utwory z pomiędzy innych poezyj wyróżnia, np. *Smutna bajka*, Fragment: *Smutno mi Boże*, *Konające*. Oto jak się spowiada poeta ze swego życia i jakie ma pragnienia:

Życie me życiem jest już przedgrobowem,
Serce z letargu wciąż się do łez budzi,
Wszystko mnie dręczy i wszystko mnie nudzi,
Boże mój! Boże!
Ja wielce Tobie, Panie, zawiniłem,
Bo jak szaleniec młodość mą przeżyłem:
Mnie myśl o jutrze nie powstała w głowie,
A com nagrzeszył? — i któż to opowie!
Nie mam uśmiechów — ludzi nie przeklinam,
A jak żyć trzeba, ciągle zapominam...
W końcu cmentarza — gdzie dwa suche drzewa
Bez liści — ot tam, kędy słowik śpiewa,
Ot tam, gdzie ciągle klnie grabarz pijany,
Ot tam, około odrapanéj ściany,
Rzućcie mnie po tej doli krwawej, znojnéj,
Anioł stróż szepnie: już jesteś spokojny...

Smutna pieśń moja, wcale nie świąteczna,
Choć się tam wiosna już na niebie śmieje,
Lecz dzięki Bogu, pieśń z światem nie sprzeczna;
W jej tętnie słychać spokoju nadzieje...

Ale tego upragnionego spokoju poeta dotąd nie zaznał.

Równie krótko trwałym był rozgłos Władysława Ordona (Szansera), młodzieńca pełnego zapału i werwy, jednego u nas z pierwszych, a może najpierwszego, co cierpienia maluczkich opiewał w poezyi. Biło w nim żywo źródło natchnień szlachetnych, omroczonych tylko, ale nie zgnębionych zwątpieniem. Poezye jego, jak powiada w przedmowie do ich zbiorku z roku 1869 (Kraków) urosły z miłości i boleści, jeno że boleść rodziła się tylko z miłości i szła tylko z nią razem; „boleść ta była wstrętem zakochanego w jasności do cieniów“. Miłość poczytywał za ostatni szaniec ochronny przed wtargnięciem rozpaczy. „Dziwnie duszno i ciężko na tej ziemi — pisał. Życie straciło drogę, po której szło, i krawędź, o którą się opierało. Ściana, od której snuliśmy pajęczynę, runęła. Gdzie i kiedyż nowa stanie? W tem dziwnem zawieszeniu, w tem ciężkiem rozdarciu się człowieka, zostaje dla ludzi drganiem wewnętrznem targanych, dla ludzi, u których serce chwiejne, choćby szeptem, chłodnym rozumowaniom posłuszeństwo wypowiada, których sensualizm rozpaczy lub materya-

listyczne teorye nie zaspokoją — jedno tylko asilum — miłość". W książce poezyj głosi tęż samą zasadę:

Kochaj i miłość rozdziel na ludów atomy,
Poświęcaj się — a wieńców od świata nie żądaj —
Pracuj i wołaj: hańba temu, co upada! *(Tajemnica).*

Zadanie poety pojmował poważnie: w wierszu p. t. *Bratu* zaklinał, żeby śpiewu swego nie poświęcał pustej chwale możnych, lecz dawał pilne ucho „jękom ziemi":

Tyś poeta! To potęga!
Lecz i brzemię też Atlasa.
Kto z nim idzie, ten przysięga,
Że się duchem nie rozpasa,
I że pojmie, dokąd sięga
Nieśmiertelna pieśni krasa,
Po za którą, miecz z płomieni
W nóż mordercy się zamieni!

Pragnął, ażeby pieśń jego „gorącem tchnieniem rozrzutna, słonkiem nadziei się śmiała" i by się „wśród chóru maluczkich ziemi modliła". I rzeczywiście najładniejsze utwory z tego usposobienia i tych poglądów powstały (*Przy kowadle, Z piwnic, Niewesołe wesele, Z tematu ludowego).*

Nie najlepsze to zresztą poezye Ordona zawarte są w tym zbiorze: to były tylko pier-

wiosnki. Miały one nieraz woń świeżą, lecz brakło im wykończenia, brakło zharmonizowania szczegółów. W latach późniejszych napisał Ordon i umieścił w czasopismach („Tygodnik wielkopolski“, „Przegląd tygodniowy“, „Opiekun domowy“ i in.) o wiele dojrzalsze pod względem myśli, o wiele bardziej wyrobione pod względem formy poezye, które dotychczas nie są w tomik osobny zebrane. Ażeby treść ich scharakteryzować dość przypomnieć biedaka kuszonego świetną wystawą kosztowności *(Przed oknem bankiera* w „Opiekunie domowym“ 1873) i obraz uwiedzionej dziewczyny *(Bez ślubu,* tamże). Jak zaś władał wtedy wierszem, można widzieć z ustępu malującego ujemne strony miast wielkich:

Miasto! nędza z ciemnotą
Straszną groźbą dla ciebie!
To zakalec w twym chlebie,
Rdza, co zjada twe złoto,
Czerń, co toczy twe domy,
Grom — wśród twojej pogody,
Gość, co kiedyś kryjomy
Przyjdzie zmącić twe gody;
Noc, co czyha za drzwiami,
Miecz, co wisi nad głową,
Pod twojemi stopami
Wulkan z paszczą ogniową,
Głos, co w ciszy urąga
I odgraża się srogo,
Ręka, co się wyciąga
Baltazarom z przestrogą!

Ładnie też przełożył Ordon „Ahaswera w Rzymie“ Roberta Hammerlinga wierszem, „Dekameron“ Bokacyusza prozą, sam napisał humoreskę: „Ktoby się spodziewał!“ (1873), nowellę: „Fiołki“ (1874). Od r. 1878 mrok obłędu wszelką udaremnił twórczość.

Marya Bartusówna (1856—1885), nauczycielka szkół ludowych w Galicyi, zasłynęła jako poetka niemałego talentu. Ojciec jej, ubogi malarz portrecista nie zdołał jej dać wykształcenia tak dalece, że nawet na nauczycielkę ludową wyjść nie mogła; miała więc zamiar zostać aktorką, ale i pod tym względem siły jej nie sprostały chęci. Dostawszy zapomogę od hr. Róży Krasińskiej, ukończyła studya pedagogiczne w Krakowie i dostała posadę nauczycielki w Sokolnikach pod Lwowem; niebawem wszakże przeniesiona do wsi Nienadowej, zamieszkałej przez ubogi, ciemny lud rusiński, wśród najgorszych warunków materyalnych i umysłowych przemęczyła się; a gdy dostała suchot gardlanych i piersiowych, musiała opuścić posadę i przeniosła się do Lwowa, by szukać ratunku. „Koło literackie“ lwowskie pośpieszyło z pomocą materyalną; zainteresował się nieszczęśliwym jej losem wydział krajowy; ale było już za późno.

Pierwsze swoje pieśni wyśpiewała Bartusówna w 20 roku życia. Gdy zbiorek jej „Poezyj“ wyszedł we Lwowie 1876, znalazł u wielu oddźwięk

serdeczny, ale też spotkała go złośliwa krytyka. Nie było tu świeżej pomysłowości, ale autorka szczerze, po prostu opiewała swą sierocą dolę, skarżąc się smętnie na świat zimny i obłudny. Swój stosunek do ogółu i do tych objawów uznania, jakich doświadczyła zaraz w początkach swego wystąpienia na widowni piśmiennictwa, określiła w wierszu *Skarga*, gdzie, odrzucając ofiarowany sobie wieniec laurowy, co zawsze „cierniami w skronie ofiar wrasta“, powiada:

Ja prostem kochałam was, ludzie,
Sercem dziecięcia
I długo wierzyłam w ułudzie
W święte zaklęcia!
W zaklęcia piosenki, co echo
Uczuć poruszy,
I łzy, co oddźwięknie pociechą
Z pokrewnej duszy!
Lecz łza ta na waszych serc skrzepła
Zimnym marmurze:
Powiędły bez słońca i ciepła
Mych marzeń róże!

Z wielką prostotą i prawdą odtwarzała poetka stan *Zwątpienia* duszy nie rozporządzającej zdolnością do subtelnego rozbioru ani też bogactwem doświadczenia, ale wyższej z natury nad ten powszedni tłum ludzi, co ją otaczał. Z wdziękiem podjęła temat, przez Syrokomlę niegdyś wyśpiewany, i przedstawiając żale *Sło-*

wika w klatce, odmalowała cierpienia poety, kończącego na łożu śmierci „ostatnią piosnkę“ niedoli. I posępne dumania pięknie zostały przez nią odtworzone, jak widzimy z wiersza *W samotności:*

Niby piekielnych ognisk dym,
Chmur nad mą głową czarnych tłum
I cisza... tylko myślom mym
Wtóruje głuchy rzeki szum.
A myśli te — to już nie sen
Jasny, różowy młodych lat!
To już nie raj promienny ten,
Nie ów zaklęty marzeń świat,
Co pierzchły jak poranne mgły,
Jak topniejący z wiosną śnieg,
Co rozprysnęły się we łzy,
Albo je uniósł życia bieg!
A myśli te — to już nie szał,
To nie rozpaczny z losem bój,
Co niegdyś w biednem sercu wrzał,
Rwąc je w namiętny uścisk swój!
Nie marzą już, nie walczą już,
Skarg nie miotają w niebios sklep,
Jak szczątki statku, morskich burz
Siłą rzucone w skwarny step...
Nad niemi słońca palny żar,
Przed niemi fal zdąsanych szał,
W przestrzeni ciężki pustyń skwar,
A wkoło martwych piasków zwał!

Kilka ładnych obrazków przyrody, przeniknietych rzewnem, tęsknem uczuciem dopełnia

szeregu udatnych egotycznych utworów. Z nieegotycznych wyróżnić trzeba 12 sonetów objętych wspólnym napisem: *Myśli przedślubne*, niezbyt szczęśliwie pod względem psychologicznym przeprowadzone. Próbki satyry społecznej: *Aktorka, Do poety salonów, Gladyatorowie* nie należą do rzeczy udatnych. Najobszerniejszy utwór: *Opryszek* jest najsłabszym; brak mu prawdy i plastyki. Talent to był, który własne tylko uczucia trafnie oddawać umiał.

W r. 1880 wyszedł poprzedni zbiorek Poezyj Bartusównej z dodrukowanemi kilku tylko nowemi. Dopiero za pobytu w Sokolnikach napisała ona utwory większych rozmiarów: *Czarodziejska fujarka*, *Wanda* (obraz dramatyczny), oraz kilka nowel prozą, jako to: *Wiązanka konwalij*, *Duch ruin*, *Po śmierci.*

Również młodo zmarły w roku 1891 Michał Koroway-Metelicki, w przeczuciu zgonu przygotował do druku zbiorek utworów swoich, nie chcąc, jak powiada w serdecznie smutnej przedmowie, „aby poszło na marne to, na co, jakkolwiekbądź, złożyły się lepsze pierwiastki ducha“. Staraniem owdowiałej żony poety wyszedł ten zbiorek w r. 1893 (druk w Krakowie, skład w Petersburgu), przypominając tę duszę rzewnie poetyczną, spragnioną ideału, czczącą z uwielbieniem wszystko, co piękne i szlachetne, tę duszę smutną, ale nie zgorzkniałą, która czując,

że życie ucieka, nie sarkała na ludzi, nie złorzeczyła losom, ale krzepiła się uczuciami natury ogólniejszej i idealniejszej. W przejawach jej nigdzie niema egoizmu, choć dużo jest egotyczności, bo zmarły był szczerym lirykiem, czy mówił o własnych wzruszeniach, czy o spółbraciach, czy też o przyrodzie.

W zbiorku jego poezyj dwie grupy głównie wyróżnić można, przedzielone upływem lat kilku, w których zajęcia fachowe (był prawnikiem z zawodu) na twórczość nie dawały czasu.

Pierwsza grupa, ledwie przez 9 utworów reprezentowana, pochodzi głównie z czasu studyów uniwersyteckich w Warszawie. Znajdujemy tu i zwierzenia osobiste i trochę satyry („*Suum cuique*“ „Jeremiady spółczesne“) i rzeczy budzące rozwagę nad zjawiskami społecznemi („Noc burzliwa“ i in.). Raz jeden tylko odzywa się tu nuta bolesnego zwątpienia („Był czas“), lecz nie trwa długo i przemienia się rychło w dźwięczny akord wiary. Druga grupa utworów pochodzi z lat 1886 do 1891 i składa się z utworów oryginalnych, oraz tłómaczeń z rosyjskiego. Po zwiedzeniu Krymu napisał poeta w wiosce swej rodzinnej Jarowe na Ukrainie, poemacik opisowo-liryczny z 11 składający się ustępów p. t. „Freski krymskie“, w których nie myśląc bynajmniej rywalizować z „Sonetami krymskimi“, poprostu, a z zachwytem opowiada wrażenia swoje z po-

dróży po morzu i zwiedzania półwyspu. Najwięcej jest polotu poetyckiego w tym utworze; odczucie piękności natury szczere, wyrażenia — nie wymyślne, a jednak nieraz wywołujące silny efekt. Szczególniej piękny jest opis wrażeń na szczycie góry Aj-Petri doznanych:

Uczuwam serca pośpieszniejsze bicie,
Okrzyk mi z piersi rwie się mimowolny.
Stoję sam jeden nad przepaści głębią,
Pode mną chmury, jako puch się kłębią,
W chmur morzu pływa jeno orzeł wolny.
Nie widzę ziemi, ni grodu, ni wioski,
Nie słyszę westchnień, ni żalu, ni troski...
Tu wiatr dmie na mnie jednym silnym ciągiem!
Tu pył kosmiczny dotyka mi twarzy!
Na skończoności i wieczności straży
Tu pogranicznym wznoszą się posągiem!
I z wszechświatową łączą się krainą!...

Oprócz „Fresków krymskich“ zwarty szereg w tej grupie utworów tworzą „Sonety ukraińskie“ w liczbie 25. Autor kochał serdecznie, z pewnem upojeniem nawet swoje strony rodzinne, nietylko jako krajobrazy, ale także jako miejsca wspomnień swych dziecinnych i młodzieńczych, jako siedzibę ludu sympatycznego. Każdy szczegół, każdy drobiazg nawet znamienny ma dla niego szczególny urok, więc przedmiotów do opiewania nie brak mu wcale. Jarowe położone w miejscowości, „gdzie Taszłyk niesie wody

do Taśminy", otoczone jest szańcami „mogił zadumanych", więc przed okiem duszy poety wstają postacie dawnych bohaterów i „krwawe ludów wojowniczych tańce", ale autor nie tonie w falach przeszłości; obchodzi go równie żywo teraźniejszość. Pod wpływem przyrody wiejskiej w duszy zbolałej „łagodnieją znoje i milkną serca niepokoje i wstają marzeń cichych roje". Oko rozpatruje się z miłością w krajobrazach „nad Taszłykiem", przygląda się „polom po deszczu", „nocy księżycowej", rozważa pracę ludzką „w przededniu żniw" i podczas samej tej uroczystej roboty. Wszystkie pory roku mają dla niego swoje powaby, które poeta w słowach prostych, a szczerych maluje. Spółczucie dla ludu wiejskiego, dla jego radości i smutków; dla zabaw i pracy widnieje wszędzie. Wszystkie te sonety pisane były w ciągu roku 1889 i 1890, a więc w czasie kiedy zmiany i zjawiska natury i zajęć wiejskich wypełniły się całkowicie w swym cyklu, tak, że poeta nie potrzebował spostrzeżeń swoich sztukować fantazyą.

Z innych oryginalnych wierszy zasługują na wymienienie krótki a szczery hołd, złożony „Pamięci J. I. Kraszewskiego" smutne rozmyślanie na temat: „Chleba i igrzysk!", dwa sonety: „Wzloty", „Kędy duch podąży?"

Z przekładów dokonanych przez ś. p. Metelickiego, nabieramy przekonania, że ulubionym

jego poetą był Lermontow, najwięcej bowiem jego utworów tłómaczył, starając się zachować jambiczny rytm oryginału. Dał tedy przekład „Szatana“ (Demona), „Anioła śmierci“, „Modlitwy“, „Proroka“, „Melodyi hebrajskiej“, „Anioła“. Z paru tłómaczeń „Demona“, jakie literatura nasza posiada, najlepszem podobno będzie to, które znajdujemy w zbiorku zmarłego, gdyż odznacza się wiernością i płynnością. „Anioł śmierci“ zdaje się po raz pierwszy przyswojony przezeń został naszemu piśmiennictwu. Z drobnych liryków najpiękniej w przekładzie wypadła „Modlitwa“. Z poezyj Puszkina trzy tylko drobne utwory przetłomaczył, są to: „*Szatan*“, „*Anioł*“, „*Prorok*“.

Język Metelickiego jest czysty wogóle, pod względem gramatyki i frazeologii poprawny; tu i owdzie tylko ze względu na rym lub z przyzwyczajeń prowincyonalnych drobna jakaś napotyka się usterka.

XVI. Mniej szczęśliwi.

Nie jest rzeczą przyjemną zastanawiać się nad utworami poronionymi; nie myślę więc wydobywać na jaśnię całego szeregu rymopisów w rodzaju Józefa Orłowskiego lub Władysława Stankiewicza; ale niepodobna przemilczeć o takich, którzy albo w innej dziedzinie twórczości zaznaczyli się mniej więcej trwale, albo też posiadali w treści lub formie pewne zalety, tylko nie umieli harmonijnie połączyć ich z sobą.

Józef Kościelski np. znany był w literaturze naszej przed r. 1883 z dwu dramatów historycznych, ogłoszonych w roku 1874: *Władysław Biały* i *Arria*, potem dał się poznać z kilku sztuk, które w teatrze cieszyły się powodzeniem; to też łatwo zrozumieć przykrość, jaką czuć muszę, gdy mi o poezyach jego wydanych w Krakowie 1883 jako tom pierwszy, niepochlebne sformułować wypada zdanie.

Na karcie tytułowej tego tomu zaznaczył autor dwudziestoletni przeszło okres twórczej działalności swojej (rok 1861—1882), a zatem przedstawił się ogółowi nie jako początkujący, ale jako dojrzały już pisarz, z tą pewnością siebie, którą daje rozgłośne imię. Tymczasem w utworach tych roją się niedorzeczne pomysły, nielogiczne wyrażenia i niesłychanie liche rymy... Czytelnik musi tedy zadać sobie pytanie: czy autor obdarzony jest niepraktykowaną już dzisiaj naiwnością, czy też chciał zadrwić z łaskawych nabywców jego książki?...

Ażeby takie postawienie kwestyi nie wydało się impertynencyą zrobioną zdolnemu pisarzowi, proszę odczytać ustęp z *Dziejów serca* na str. 175 i następnych:

Na *tysiąc kwiatów*,
Na ludzi *sto* (!)
Czyż jest wśród światów
Szczęśliwszy kto?

Dzisiaj jej miłość wyznałem;
Ona odrzekła: wiem o tem;
A gdy jej serca pyłałem,
Odpowiedziało *stukotem!*

Albo proszę zauważyć nadzwyczajną skromność autorską w *Dedykacyi* oraz dobór wyrażeń:

Żądano, abym śpiewał. Powiodłem marzeniem
W kraje wieczystych złudzeń; myśl trysnęła z *czoła*...
Myśli biły jak źródło, a jak potok słowa...
Com mówił, już nie pomnę, bom *wduszył się* cały
W kraj, gdzie, *między młodzieńczej pieśni ideały*
Stałaś ty...
Zbudziły mię oklaski. Pierś jak morze wrzała,
Gdy tuli w swe objęcia słońce zachodzące...
Łzę twoją, *mojej pieśni świadczącą potęgę* (!),
Wymowniej niż oklasków odgłos bezechowy,
O, pozwól, że podejmę jak *klucz brylantowy*, (łza kluczem!)
By nim zawrzeć na wieki dziejów serca księgę.

Albo proszę posłuchać następnego oświadczenia się, które chyba w gronie dobrze podchmielonych wygłosić-by się dało:

Precz z formami! Tyś kobieta,
Ja mężczyzna — kocham cię!
Wulkanicznych law podnieta
We mnie *kłębi*, w tobie wre.
Precz z formami! *lawą* żyłem,
Na *wieczności* mierząc dnie;
Cóż, że jutro będę pyłem?
Dziś ja-m bogiem — kocham cię!

Albo wreszcie zajrzyjmy choć na chwilę do kart, mieszczących balladę p. n. *Czary*, i zapoznajmy się z drobnymi jej okruchami, pewni, że i całość w tym samym napisana stylu:

Rwała ziele
Przy kościele
Na nowiu

I w święconą
Wodę *słoną*
Je kładła.
Ani cała
Nie zadrżała,
Ni zbladła.
W ręku skrzypki
A głos *chrypki*
Z *ołowiu*:
„Jam twój miły
Tam z mogiły
W pustkowiu.
„Dziś w mogile
Leżą w pyle
Niegnuśnie...
„W świetle bladem
Szedłem śladem
Gałązek.
„Czary liści
Niech oczyści
Nasz związek".
I odchodzi,
Lecz zawodzi
Swym smyczkiem.

Nie będę już rozpowiadał czytelnikom ani o owem słowie, co to „gwoździem jest w trumnie marzenia", ani o rozrzewniającym romansie czajki z ropuchą; dosyć chyba będzie powyższej antologii. Podobne tym wiersze drukował niegdyś ks. Baka dla pokazania, że nie darmo był profesorem poetyki, a potem Soter Rozbicki,

spekulując na głupotę ludzką. Lecz jakim sposobem mogły one wyjść z druku w r. 1883?

Ażeby to sobie wytłómaczyć w sensie najprzychylniejszym dla autora, musimy przypuścić, że będąc chłopaczkiem pisywał wierszyki, które się rodzinie podobały; dorósłszy na młodzieńca wypalił raz i drugi zręczny toast, który współbiesiadnikom przypadł do gustu, bo był zastosowany do chwili, nie usposabiającej, jak wiadomo, krytycznie, a przez to zrobił sobie sławę w kółku najbliższem. Ponieważ zaś życie prowincyonalne wiele wydawać musi ludzi sławnych, więc i tę jeszcze jedną przyjęto chętnie do grona. Przyjaciele i znajomi wpływami swymi wyrobili obiecującemu młodzieńcowi przystęp do redakcyj i starali się przytłumiać głos krytyki; młodzieniec dojrzewał na męża w przekonaniu, że należy do poetów, uznawanych przez milczącą krytykę, zebrał drukowane i niedrukowane rymotwórcze ćwiczenia, napisał na tytule: „Poezye“ i puścił w świat, zapominając o gramatyce, logice i estetyce. Dla utalentowanego młodzieńca przepisy składni są zbyt ciężkie, więc je odrzucił i będzie używał stale przyimka *wśród*, *pośród, prócz* z czwartym przypadkiem (noc zgasiła odbłyski *pośród* wałów powoje, *prócz zimne światło* gwiazd i t. p.), imiesłowu *nasycony* użyje z 2 przypadkiem (nasycona czczej apoteozy), słów z przeczeniem z 4 przypadkiem i t. d.

Z rymami pozwoli on sobie poigrać, bo od czegoż reforma romantyczna, która rozpętała związanego orła i pozwoliła mu szybować, jak zechce; więc też rymować będzie: *ludzkość — módz kość; prawda — prawda, trąd-pień — zwątpień, błąd pić — zwątpić.* A ponieważ tęskni „do snów kołyski“ więc z logiką i estetyką nie wejdzie w ścisły sojusz; „pojąc się *szelestem* prawd“, wplecie „zgrzyt we wieniec cierniowy“ a „bólem w szaleństwo zogromnieje“, lubo „baszt (!) zazdrościć duch nie sięga“, ponieważ w piersi mu „czuwa anioł snów, jak święta od zwątpienia straż i uczy czytać ducha rdzeń“. Nauczony przez „anioła snów“ widzi „przed duszą wszystkich tajni głębie“ i swojej „wielkości przed sobą nie tai“, wie nawet, jak się zdaje, „co głaz w kamiennej śni zadumie“. Lecz „anioł snów“ ma widocznie mądrość dziwnego rodzaju, bo oto uczeń powiada, że „by serce mogło się wznieść, musisz je grześć, musisz je zgnieść...“ — niewiast „modlę“ zamyka w trzech słowach: brać, słać (?), dbać (?), gdy męskimi godłami mają być „dać, stać, trwać“.

Rozszerzyliśmy się nad ujemną stroną poezyj Kościelskiego z powodu rażących, niemal potwornych błędów pomysłu i formy; nie chcemy jednak bynajmniej twierdzić, żeby wszystkie utwory w zbiorku zawarte tak dalece lichymi były. Żaden wprawdzie wiersz nie wznosi się

nad mierność, ale jest kilka udatnych, a kilkanaście możliwych do czytania bez wstrętu. Dwie grupy wierszów zatytułowane: „Z gór“, „Z morza“ nie odbijają właściwych wrażeń; można nawet powiedzieć, że nie są z natury odczute, lecz z opowiadań i czytania obmyślone, lub wymarzone; ale zawierają parę utworów znośnych jako to: *Głosy dwóch epok*, *Anakreontyki w górach*, *Rozbitek*. W dziale „Dziejów serca“ bardzo zręcznie odtworzono złudę „oczarowanego“ kochanka, który w każdej pozie kochanki, w każdem jej słowie i w każdym ruchu widzi samą doskonałość. Wiersz „Do ptaszki“ odznacza się rzewną tęsknotą bez przesady sentymentalnej. Ironia dobrze użyta cechuje wiersz „Bez serca“, przypominający niektóre liryki Heinego. W końcu dodane są przekłady z Horacego, Goethego, Heinego, Grüna, Puszkina, Longfellowa, Musseta. Tylko kilka pieśni Heinego (VII, XIV, XVI), za dobre uważać można, z Horacego i Goethego są niezłe, inne całkiem liche, zarówno pod względem układu wierszy, jak i oddania myśli. Taka jest treść seryi pierwszej „Poezyi“ Kościelskiego; oceniając jej wartość, nie przesądzamy naturalnie znaczenia dalszych, jeżeli kiedy nastąpią.

Podobnym brakiem względności dla gramatyki, logiki i estetyki jak Kościelski, odznacza się od lat kilkunastu występujący w czasopismach

Józef Korwin Kuczyński, który starannie podznaczywszy datę miesiąca i roku wydał 1883 zbiorek „Poezyj“. Nie popełnia on wprawdzie tak grubych naiwności, jak wieszcz wielkopolski, ale nie ustępuje mu w niedorzeczności pomysłów i wyrażeń. Szkoda, wielka szkoda, że nie posłuchał własnej rady, którą daje „orłowi młodemu“ na wstępie do swej książki:

Ejże, lepiej zmierz swe siły, zanim wejdziesz w szranki,
Lub po cichu kwil dla siebie i dla swej kochanki...

Teraz, gdy wystąpił przed ogółem, musi uledz konsekwencyom swego kroku. Teoretycznie pojmuje Kuczyński zadanie poety dzisiejszego i słusznie powiada:

Kto wieszczyć chce, do słów melodyi lgnie,
Ten w pieśni swej zwierciedlić musi świat,
Lub gnuśnie trwać w omamień słodkim śnie
Lub strawić się żądz ogniem w kwiecie lat.

Wyrzuty, robione innym poetom, nie są wprawdzie oryginalnym pomysłem nowego brata po lutni, ale mają swoje uzasadnienie, a w sformułowaniu ich nie brak pewnej siły:

Nie dla nas dzisiaj ta nuta tęskniąca
Za przesądami, *co* postęp obala...
Nie! przepłynęła i nie wróci fala

Uniesień ludów dla was, wieszcze karły,
Co nie umiecie wykrzesać skry nowéj,
Wiecznie trącając w bardon obumarły
I nastrajając na ton dawny struny...
Dziś, gdy nad ziemią świt jutrzni różowy,
Nie zabrzmiał jeszcze żaden głos pioruny,
Aby powitać prawdy ludów nowe,
I świat nie wyszedł z zaklętego koła,
Gdy pieśń — to dumy smutne, to tęczowe
Lub dyademy na kobiece czoła...

Sam atoli wieszcz nowy, który widocznie ma pretensyą do reprezentowania „różowego świtu jutrzni“, ani słowem jednem nie powitał nowych prawd ludu i nie wskazał, jakie to prawdy, a natomiast po staremu wyśpiewuje pieśni na cześć własnych błahych smutków i rozczarowań, albo na cześć różnych hurysek i cyganek, dla których ma zanadto uwidocznioną słabostkę. Odzwierciadlania życia niema w jego poezyach nigdzie, myśl się nie wyrobiła, fantazya tylko, puszczona samopas, wyprawia pocieszne koziołki, lubo zdolną jest czasem stworzyć udatny mały obrazek. Reminiscencye z czytanych poetów nasuwają się ciągle pod pióro młodemu fantaście, który czując to, a pragnąc utrzymać swą niezależność torturuje wyobraźnię, ażeby wydała płód nowy, najczęściej poroniony. Taki początek ma prawdopodobnie cały niby „poemat liryczny“ p. t. „Upadły i Odrodzony“, w którym ładu i sensu szukać napróżno, zaró-

wno w całości, jak i w szczegółach, lubo według zamiaru poety ma on przedstawiać fazy jego duchowego rozwoju. Znajdujemy tu na szczupłej przestrzeni wszystkie pretensye, jakie romantycy rościli do ludzi i świata, wszystkie ich marzenia o własnej wielkości i ułudne przyznawanie się do nikczemności, wszystkie rojenia o sławie — we własnej fantazyi — i zapewnienia, że się o sławę nie dba. A wszystko to rzucone na chybił-trafił bez najmniejszego planu i myśli przewodniej. Już — już, zdaje się, że poeta umrze, bo wypowiedział posłuszeństwo „pani eteru, gwiazd, słońc i tej ziemi“, to jest poezyi, której robi wymówki za to, że go *wybrała* i chciała go dźwięki ukołysać swymi, i pragnie tylko posłyszeć requiem Pergolesa „silnie i namiętnie jęczące“, ażeby ujrzeć na chwilę „nadziei grób zmartwychpowstałej“. Co więcej, dowiadujemy się, że nasz poeta już „*postawił* biały owity w dzikiej latorośli wianki grób“ dla swych pieśni i dla swojej chwały, ażeby nie zabierać innym sposobności do walczenia o względy poezyi... Ale naraz oświadcza, że starga więzy, co go gniotą, że niczego więcej nie zapragnie i przeniesie się „nad jakieś kryształowe morze“, a choć niczego już pragnąć nie miał, zacznie jednak „wygrzebywać złoto, albo jak dziecko muszle znosić“, a nawet zamierza „za odpływem“ iść „na dno wilgotne, podwodnych roślin

rozplatać zwój gibki". Myślałby kto, że się już na dnie morza utopi, ale gdzie tam! takie lekkie stworzenia jak poeci tego rodzaju wypływają zaraz na wierzch... i zbereźniki! „w słońcu nad brzegiem, na piasku tulą do piersi południe huryski". Przerywamy, choć to zaledwie z jednej kartki ułożyliśmy tę wiązankę pomysłów; na wykazywanie szczegółowe takich bredni szkoda czasu; spisywane i wydrukowane wyniki swobodnego i swawolnego kojarzenia się wyobrażeń, jakkolwiek byłyby rymami powiązane, nie zasługują na nazwę poezyi. Przechodzimy do utworów czysto lirycznych, tem chętniej, że w nich obok równie niedorzecznych, jak poprzednie pomysłów, znaleźć też można takie, które odczytać nie zaszkodzi. Pomijamy fragmenty, które naprzekór zdrowym pojęciom i sztuce tak się u nas fatalnie zagęściły, a które u Kuczyńskiego naszpikowane są mnóstwem o! ach! och! oraz niepomierną liczbą kropek; a zwracamy się do pieśni z tematów ludowych. Zdaje się, że pieśni te nie powstały z bezpośredniego wsłuchiwania się w melodye ludowe i obserwowania doli jego, lecz dopiero pośrednio przez wpływ poezyj Konopnickiej. Mówi w nich Kuczyński o smutnych losach chłopków, o ich biedzie, o ich troskach, bólach i nieszczęściach; mówi zaś o tem słowami stosunkowo prostemi, lubo niezawsze licującemi ze stopniem rozwinięcia tych, do których

e stosuje. Kiedy powiada w „Chłopskiej doli“ o dziecku wiejskiem: „I przywykną oczy twoje poglądać na słońce i motylków poznasz roje na zielonej łące“, to takie wyrażenia są całkiem naturalne, ale mniej już właściwemi wydają się zaraz po nich następujące: „Wiele dźwięków, barw nieznanych wskaże ci natura, takich, jak ty zapomianych rodzicielka *wtóra* (?). W pisaniu podobnych utworów albo się należy zupełnie utrzymać na stanowisku piewcy ludowego, albo też całkiem przenieść na punkt widzenia warstw wykształconych; wszelkie sztukowanie i łatanie przynosi ujmę artyzmowi. Na wzór Konopnickiej i Kuczyński kreśli „obrazki“ z życia biednych i słabych i równie jak ona, tylko w wyższym jeszcze stopniu, okazuje nieumiejętność stworzenia artystycznej całości, nieumiejętność utrzymania miary w obrazach i wyrażeniach.

Z obrazów natury, przetworzonych w fantazyi, jeden tylko udatnym nam się wydaje. Wiersz ten p. n. „Deszcz“ świadczy, że Kuczyński, gdyby chciał nad wyobraźnią swoją panować a ująć ją w karby nie tylko estetyczne, ale i logiczne, mógłby stworzyć coś naprawdę pięknego. Czyż nie poetycznie przedstawione powstanie deszczu?

Chmur *przepaska* ciemno-biała
Oczy słońcu przewiązała
I palona jego wzrokiem
Łez rozlała się potokiem.

Gdyby nie ta *przepaska*, co łzy roni, przenośni nic-by zarzucić nie było można. Mniej szczęśliwą jest strofa następna, w której krople deszczu spadają na kwiaty i trawy:

Więc na barwne kwiatów sploty
Kładła kryształ szczerozłoty,
A więc trawce, więc zielonéj
Przewiązała upierzony
Dyadem u czoła.

Ostatnia strofa szwankuje pod względem obrobienia w tem, że niema w niej wzmianki o wietrze, choć jego działanie wskazane w dwu pierwszych wierszach:

Zanuciła liści szmerem
Rozbujała drzew szpalerem,
I zmęczona a wesoła
Zwisła tęczą nad eterem
Barwną dookoła...

Co do języka, to Kuczyński używa 4 przypadku po słowach z przeczeniem, dla rymu posługuje się formami niepoprawnemi (niejedne zamiast niejedno, namiejętny i t. p.), dla oryginalności wprowadza neologizmy: *rozesmucić*, *rozramienić;* nie wiadomo wreszcie dlaczego zbyt często, a w dodatku nieraz ze szkodą myśli kładzie epitety: *biały, blady* i *świetlany.*

Po kilku latach z nowym zbiorkiem „Poezyj“

(Warszawa 1890) stanął przed czytelnikami Kuczyński, wyznając, że przez ten czas dużo przeżył i doświadczył, pozbywając się wybujałości młodzieńczej, a zarazem i złudzeń wielu. Był on naówczas chłodniejszym i rozważniejszym, ale tak samo jak dawniej marzycielskim, w sobie i swoich uczuciach przeważnie żyjącym, myślą rozleglejszą rzadko natchnionym.

Trafnie ogólny charakter swych pieśni określił wtedy autor, mówiąc, że im „dość skrawka nieba i na tem niebie gwiazdki jedynej“, że im potrzeba tylko „słowiczego głosu dziewczyny i sielskiej przyzby, świętej niedzieli“, że one „tak się wiją pomiędzy sady i dworki małe, jak strumyk, który wokół lilie obsiadły ciche“ (str. 86). Inaczej mówiąc, są-to poezye malujące usposobienie, nastrój chwilowy poety, który lubi przedewszystkiem widoki wiejskie, tęskni za życiem rodzinnem, chociaż może gdyby pobył dłużej wśród najprostszych, patryarchalnych stosunków, toby się znudził i szukał roztargnienia w szałach wielkomiejskiego zepsucia, co się mianowicie w szeregu pieśni o „*Ruru*“ bardzo wyraźnie pokazuje.

Piękne są obrazki, nakreślone przez autora, jeżeli się je bierze oddzielnie, same dla siebie, lecz, że powtarzają się nieraz, że w nich rzadko kiedy błysk potężniejszy myśli widnieje, łatwo sprowadzają znużenie.

Na większą kompozycyę autor i w tym nowym zbiorku nie zdobył się jeszcze. Najdłuższy poemacik p. t. *Mój pierwszy kochanek* ma miejsca ładne, ale ani świeżej sytuacyi, ani świeżego obrobienia znanych tematów nie przedstawia, — dwoje młodych na wsi, w ogrodzie całuje się w upojeniu...

Są tu i „humorystyczne“, a raczej satyryczne obrazki, niektóre nawet zręczne *(Antysemita)*, lecz znać w nich wogóle trochę wymuszenia — naginanie się do rodzaju literackiego, który nie leży w naturze talentu autora.

Ze współczuciem odczytujemy wiersz *Cupio*, streszczający się w zwrotce:

Twórczości łaknie mój duch, jako chleba,
Czuje, że karm ta zolbrzymi go jeszcze:
Ale, niestety! — do tego potrzeba
Wyrwać z mych piersi *powszednich nędz kleszcze*...

Ach! tak, w kleszczach „nędz powszednich“ marnieje wiele pięknych natchnień; codzienność z rojem trosk swoich osiada mgłą na mózgach i nie pozwala swobodnie rozwinąć skrzydeł do lotu.

Z tego świata trosk powszednich, przechodzimy wraz z *Baśnią* Korczaka (Kraków, 1886) do konwencyonalnego świata romantyki. Autor prowadzi nas „tam, gdzie gwiazdy płoną, tam, gdzie niknie świata sprzeczność, gdzie w miłości

bóle toną, tam, gdzie niebo, bezmiar, wieczność“, ażeby stamtąd ukazać nam „ciemne światy ludzkości, znoje dusz i serc pragnienia“.

Podniosłe to stanowisko poety mogłoby rzeczywiście okazać się dla nas, czytelników, pożytecznem, gdyby się stało powodem do rozszerzenia widnokręgu w poglądzie na sprawy ludzkości, gdyby przyczyniło się do głębszego, wszechstronniejszego wejrzenia w owe znoje dusz i pragnienia serc. Ale niestety, u żadnego może z dzisiejszych poetów nie sprawdza się w takim stopniu jak u autora „Baśni“ trafne spostrzeżenie Gomulickiego:

> Rzadko dziś czysty kruszec spotykać się zdarza
> I najczęściej poety duch jest amalgamą.

I to amalgamą — dodajmy — nie w tem znaczeniu, jakie Gomulicki miał na myśli, przytaczając Balladynę, ale w gorszem stokrotnie. Sam Korczak powiada: „niechaj wieszcze przeszłości moją lutnię nastroją“, a i bez tego wyznania łatwo zauważyć nader, lub może aż nazbyt wyraźne naśladowanie Krasińskiego, Słowackiego i Dziadów Mickiewicza. Wzory są niewątpliwie bardzo dobre, ale i bardzo podniosłe, ażeby kopiowanie ich było łatwem.

Naśladowcy zazwyczaj biorą tylko zewnętrzność, powierzchowność, bo te skopiować nie tru-

dno, ale nie potrafią pochwycić istoty wzorów. Obrać formę dramatu fantastycznego, posługiwać się legionem szatanów dla przedstawienia pewnego szeregu myśli, wywołać z grobów dusze i kazać im przemawiać o swoich cierpieniach, używać prozy poetyckiej naprzemian z wierszami o niewyszukanych rymach: to rzecz stosunkowo dość łatwa; ale umieć to wszystko zastosować do odmalowania obrazów pełnych wzniosłości, grozy, nadzwyczajności, a równocześnie pełnych prawdy materyalnej i duchowej — to zadanie, któremu podołać potrafią tylko umysły genialne, zdolne do lotów wysokich i do swobodnego kierowania nimi. Umysły o średnim talencie, przyswajające sobie formy umysłów genialnych, a nie umiejące niemi się posługiwać, podobne są do tych, co chodzą na szczudłach, chcąc wmówić w widzów, że latają w powietrzu.

Genialności zapewne i sam Korczak sobie nie przyznaje, gdyż czuje zbyt wielką, jak na poetę oryginalnego, zależność swoją od wzorów. Pragnie on wzlecieć nad poziomy, ale nie ma po temu sił dostatecznych. Nęci go przykład autora Anhellego; powiada sobie: „niech nie milczą te serca, z których pieśni brzmieć mogą“ i roztacza przed nami dzieje poety Kinrila (t. j. Lirnika) i Ireny, jego kochanki, a to w towarzystwie i otoczeniu szatanów, aniołów i Eloe, owej strażniczki grobowców, którą fantazya Sło-

wackiego, za przykładem Alfreda de Vigny, ze łzy Chrystusa na Golgocie przelanej wywiodła. Szatan główny w pierwszym obrazie opowiada, że przysiągł kiedyś Stwócy, iż postawi stopę swoją z całą potęgą na jednej połowie ludzkości i będzie ją gniótł przez wieki. Tą połową gniecioną są kobiety, które szatan uczynił tylko narzędziami rozkoszy i rodzicielkami, odmawiając im człowieczeństwa.

Powiedzmy nawiasem, że ten szatan był ograniczonym, gdy nie umiał odróżnić narzędzi rozkoszy od rodzicielek i pomieścił je w jednej kategoryi, ale ponieważ z nim dzieją się rzeczy trudne do uwierzenia, można nie kłaść zbyt wielkego nacisku na jego zdolności logiczne i poczucie moralne. Ten sam bowiem szatan, który dopiero co się odgrażał na całą ludzkość, pragnąc przemienić jej życie w „targ i gwałt“, naraz w rozmowie z Eloe, widać sprzykrzywszy sobie rzemiosło swoje, wybiera się na wędrówkę, by policzyć łzy, co płyną na świecie, i przyrzeka, że jeżeli znajdzie jedną łzę czystą, to porzuci świat, bo i jego także ból gniecie, a drwiąc sam z siebie drwi, gardząc, gardzi sam sobą. Prawdopodobnie przypatruje się następnie romantycznemu *hocus-pocus*, jakie wyprawia Eloe dla Kinrila, wywołując rozmaite duchy z grobów, jako to: zwolennika dawnych dobrych czasów, kiedy była wiara korna i niewolnictwo,

demagoga pędzonego szaloną nienawiścią względem bogatszych i możniejszych, kobiety żyjącej jak kwiecie i umierającej jak kwiecie, syna nieprawego-matkobójcy, lalki salonowej, sierotyzłodzieja, skruszonego zbrodniarza, dziecka marzącego, kochanka własnych urojeń, zawiedzionego w nadziejach, błazna, poety, całego chóru wreszcie, który błaga Stwórcę, ażeby spojrzał na świat pełen łez i krwi. Stwórca na te błagalne zaklęcia nie odzywa się, ale ukazuje się natomiast szatan, który widocznie znalazł czystą łzę, bo się ulitował nad ludzkością i postanowił zasnąć i pożegnać świat. Podczas jego snu zlatuje anioł, który słysząc szlachetne marzenia szatana, wykrzykuje, że jest godnym nieba i że jeszcze tam powróci...

Następuje pauza, ażeby szatan mógł sobie dobrze wypocząć, ale czytelnicy przez to nic nie zyskują, bo autor prowadzi ich znowu na grób kochanki Kinrila i każe jej w długich, bardzo długich wierszach opowiadać, jak rodzice zubożali chcieli ją wydać za brzydkiego, ale bogatego starca, gdy ona kochała Kinrila, jak następnie przeniosła się dobrowolnie do mieszkanka poety, jak była przez chwilę szczęśliwą, jak oczekiwała ślubu, ale się go nie doczekała, jak następnie tęskniła po odjeździe poety, jak ucieszyła się jego powrotem, a potem popadła

w smutek bezbrzeżny, gdy znowu pojechał i nie wrócił, aż wreszcie zeszła do grobu.

Eloe w imię hasła romantycznego, że „miłość nie jest winą“, wyprosiła u nieba przyjęcie duszy Ireny i uniosła ją nad błękity, a dusza ta z górnych sfer przesłała przebaczenie Kinrilowi. Szatan przez cały ten czas przesypiał się, ale gdy Eloe widocznie zboczywszy z drogi do niebios złożyła „u stóp jego“ ducha Ireny, przebudził się, a lubo duchy piekielne starały się krzykami obudzić w nim dawną na ludzi zawziętość, rozczulony przemową Eloi, oddaje jej (— nie wiadomo jakiem prawem —) duszę Ireny, prosząc tylko, by Eloe nim nie gardziła. Eloe spogląda długo na szatana ze łzami w oczach; duch Ireny przemienia się w anioła i ulatuje wraz z Eloe; szatan zaś ze łzą w oku spogląda na niknące w oddali, następnie wypowiada monolog, w którym wyraża swą zazdrość względem ludzi, którzy cierpią wprawdzie, ale kochać też mogą; rzuca wyzwanie Bogu, przy strasznych grzmotach i nadzwyczajnych błyskawicach, a w końcu grozi Bogu, że rzuci nań straszniejszy nad wszystkie gromy, grom śmiechu pogardy...

Rozmowa djabełków kończy te sceny fantastyczne, będące, jak się zdaje, tylko snem Kinrila, który teraz dla orzeźwienia się idzie o świcie do lasu, gdzie burza szaleć zaczyna, ale to dla poety romantycznego najprzyjemniejsza za-

bawa, bo „potężniejsze są w szale wszystkie myśli“ jego. Głos odległy pobudza go, żeby szedł dalej: „do walk życia — do pieśni — w dźwiękach pieśni do Boga!...“ I na tem kończy się pierwsza część poematu, dotychczas ogłoszona.

Czyż ona nie przypomina kroczenia na szczudłach i to wielce jeszcze niewprawnego? Czy szatan cośkolwiek wypowiedział więcej niż Konrad w improwizacyi? Czy owe duchy budzone z grobów rzekły coś nowego lub rozumniejszego, czegobyśmy nie czytali w zwykłych obrazach życia przedstawianych w poezyi, powieściach, dramatach? Czem się wyróżnia Kinril przy swojem marzycielstwie i samolubstwie, a przy afektowanem popisywaniu się wielkimi frazesami od dziesiątka przynajmniej swoich współbraci w literaturze?... Potrzeba tylko dodać, że te wszystkie powtarzania ujęte są w formę ciężką, w styl nieraz niepoprawny. Zaplącze się tu i owdzie myśl trafna, obraz udatny; ale najpobłażliwszy nawet czytelnik nie może o nich długo pamiętać, gdy aż zanadto często musi się zżymać albo na dziwactwo formy, albo na niewłaściwość myśli, albo na słabość lub niezdarność wyrażenia. Gadanina poetycka nie zyskuje nic na tem, że jest ubrana w szaty fantastyczne, jeżeli treść nie dostraja się do formy.

I znowu wracamy do obrazków i zagadnień życia dzisiejszego. Bolesław Londyński, pisujący

dawniej pod pseudonimem Bruno Las, zebrał z wydawnictw „humorystycznych“ swoje wiersze okolicznościowe i ogłosił je jako zbiorek „Poezyj“ (Warszawa 1887). A choć takim tytułem zbiorek ten przyozdobił, wyznaje, że do rzędu prawdziwych poetów liczyć się nie śmie, przewiduje z żartobliwą przesadą, że krytyka nazwie go „nieprawym synem Muzy“, wie, że sława byłaby „za wielkim zbytkiem“ dla jego „wierszy“; ale równocześnie przytem roi o jednej ich wartości, że wyjdą „ojczyźnie na pożytek“.

Zapewne, każdy służyć może i powinien spółziomkom tem, na co go stać, i jeżeli tylko dokona tego, co umie, tak, jak to autor określił w wierszu „Obowiązek“, to jest wytrwale, nie zrażając się przeszkodami, wciąż naprzód postępując, to może się nazwać użytecznym kraju obywatelem. Nie każdemu dostała się w podziale zdolność szybowania pod niebiosa, nie każdy potrafi odkrywać nowe prawdy lub też nadawać znanym piękną pociągającą formę, ale każdą zdolność można doskonalić i doprowadzić ją do tworzenia rzeczy coraz lepszych.

Londyński posiada dwa przymioty: werwę młodzieńczą, zwracającą się przeważnie ku wytykaniu wad i ułomności ludzkich, oraz niepospolitą łatwość wierszowania. Nie można powiedzieć, ażeby używał pierwszego przymiotu na

złe cele; w wierszach jego znajdujemy wszędzie trafne poczucie tego, co dobre, piękne, szlachetne, a stąd też w wyszydzaniu przeciwnych im objawów wszędzie jest słuszność. Przeciwko wadom, które chłoszcze swem piórem, takim jak: blaga, chwiejność zdania i postępowania, zakładanie całej działalności na mówieniu ładnych frazesów, maskowanie się, pycha, zarozumiałość i nieczułość bogaczy, lichwa, pogoń za groszem, życie nad stan i zadłużanie się, patrzanie na złe przez szpary, branie kubanów, rozpusta, spodlenie i t. p., każdy uczciwy człowiek jest na równi z satyrykiem wrogo usposobiony i chłostę jego chwali.

Lecz to jest etyczna zaleta, bardzo ważna niewątpliwie, ale nie dostateczna do nadania wierszom znaczenia poezyi. Wszystkie te zdrożności, które pod rozbiór wziął Londyński, są rozpatrywane, że tak powiem, na poczekaniu jak to było właściwem charakterowi pism peryodycznych, w których poezye te pierwotnie się mieściły, bez głębszego wejrzenia w ich źródła, i istotę tych zdrożności, bez starania o prawdziwie artystyczne ich odtworzenie. A przecież w tak popularnym właśnie rodzaju satyry, jaki uprawia autor, dbałość o te zalety byłaby bardzo pożądaną, bo idzie tu o rzecz ważną, o dodatnie oddziaływanie na ogół czytający. Autor ma tę wadę, którą sam społeczeństwu wytyka,

że traktuje rzeczy „przez nogę“; i nie tylko żartobliwie, ale na seryo musi o sobie powiedzieć: „Idąc torem obyczaju, i ja, chociaż gderam, własną pracę rymotwórczą nieraz *poniewieram*“ (str. 175).

Często wpadnie mu na myśl temat, który mógłby stać się prawdziwie poetyckim obrazem zdrożności, ale autor śpiesząc, ażeby coprędzej kilka lub kilkanaście zwrotek utworzyć, dotyka go po wierzchu tylko, pobieżnie, bez pilniejszej rozwagi.

A do tego lekceważenia w traktowaniu tematów przyczynia się u niego w wysokim stopniu łatwość wierszowania. Mając pewien zapas wyrażeń, porównań, przenośni i rymów szafuje niemi bez staranniejszego wglądania w to, czy one ułożą się w piękną harmonię, czy wypowiedzą dobitnie myśl, którą miały wyrazić, czy chęć zrymowania wierszy nie skrzywi rozpoczętego obrazu. Stąd jego poczucia logicznego i estetycznego nie razi wcale, gdy powtórzy dwukrotnie w jednym utworze: „ja z krwią w żyłach, *z sercem w krzepkiej dłoni*“ (str. 17, 20), ani gdy napisze: „wy, co w *nędz* ducha pogrążeni *masie*“ (23), lub „czoło me zdobi werwa i otucha“ (33), ani gdy temiż samymi zwroty (i to niezbyt szczęśliwymi) nieraz się pieści (zmysły onieśmielać str. 5, 228; nędza grozi szyderczo kosturem, 18, 24; po wertepach życia, str. 22, 33 itp. itp.).

Stąd wyrażeń brukowych, żargonowych nie tylko nie unika, ale chętnie niemi się popisuje. Stąd o dobór rymów stara się niewiele. Jeśli autor chciał naprawdę poezye swoje puścić w świat „ojczyźnie na pożytek“, powinien był trochę więcej nad swoją zdolnością popracować i trochę więcej przyłożyć starania ku wydoskonaleniu swych natchnień satyrycznych...

„Poezye“ d-ra Józefa Długoborskiego (Kijów, 1886) co do treści swojej na równe uznanie zasłużyć mogą jak poezye Londyńskiego, lubo są w innym rodzaju, bo uczuciowym lub gnomicznym, ale co do wykonania są od nich znacznie gorsze, bo oprócz zaniedbania a niekiedy nawet nieudolności formy, grzeszą jeszcze niepoprawnością języka, a mianowicie rusycyzmami. W wyrażeniu uczuć znajdujemy tu konwencyonalną frazeologię, w malowaniu krajobrazów — barwy spłowiałe, w rozwinięciu myśli — brak głębszej analizy. Co do słabości wiersza, może dać pojęcie następny czterowiersz — oczywiście wybrany w tym celu umyślnie:

Życie jest krótkie — więc *nie męcz!* —
Oszczędź *ty* bólów bratu;
Uwij przymierze z jasnych tęcz
I okaż wzgardę światu (str. 34).

Są tu naturalnie i wiersze lepiej rymowane; do stosunkowo najudatniejszych należy „*Marzenie*“.

Oprócz pieśni lirycznych i gnomicznych w zbiorku mieszczą się jeszcze trzy obszerniejsze poemata: gawęda „*W piwiarni*“, fantazya „*Rusałki*“ i dyalogowany utwór fantastyczny „*W ciemności*“. Pierwszy przedstawia rozprawy przy kuflach piwa, grę i śmierć muzyka steranego i zmarnowanego; wykonany jest realistycznie, ale nie budzi spółczucia, tylko niesmak. Drugi opowiada o chłopcu, który nie zaproszony po zabawie u rodziców kochanej dziewczyny na nocleg, zbłądził w lesie u jeziora i pociągnięty śpiewem rusałek obiecujących stałe rozkosze — poszedł do nich; w drugą noc do jeziora wskoczyła też i dziewczyna; ponieważ motyw pierwotny o nieprzyjęciu chłopca na nocleg nie jest dostatecznie jasny dla czytelnika, więc też całość nie może sprawić głębszego wrażenia. Najobszerniejszy poemat „*W ciemności*“ jest naśladowaniem II-ej części „Dziadów“. Powoływane z grobów duchy opowiadają sceny ze swego życia; pojawiają się po kolei: morderca, chciwiec, sierota, która wyszła za bogacza, choć innego kochała. Ta ostatnia mara najdłużej opowiada o swoich cierpieniach, o strasznych w życiu przejściach. Chór wysłuchawszy tych sprawozdań grobowych przychodzi do wniosku, że gdy „noc ciemna roztoczyła swe kiry dokoła“, gdy „myśli się poplątały, nędzy niema końca“, oczekiwać należy dnia straszliwego, który „da

moc temu, co dobre, wydrze ludzkiej złości, lub zagładę też ześle i zażąda kary; wytępi w noc wylęgłe występki bez miary". Przedstawienie całości w formie fantastycznej, podobnie jak w „Baśni" Korczaka, tylko z mniejszym daleko talentem słowa, niema właściwie żadnego celu i niczem nie jest usprawiedliwione; a nader słabe wykonanie sprawia, że wrażenie z przeczytania wynosi się ujemne.

Tenże autor ogłosił także pierwszą część „Ech szalonej Ameryki" (Kijów, 1886). Nieudolność formy i niepoprawność języka jest tu takaż, jak i w „Poezyach"; tylko więcej gadatliwości. Autor w bardzo długiej gawędzie dowodzi rzeczy, która już dawno w publicystyce naszej spopularyzowaną została, że kobieta potrzebuje wyższego wykształcenia, ażeby mogła zostać prawdziwą towarzyszką męża, dobrą matką, umiejącą wychowywać swe dzieci, żeby nie była ślepą naśladowniczką mody, żeby umiała rozmawiać o rzeczach poważnych, interesujących wykształconego mężczyznę i tym sposobem podniosła poziom życia codziennego. Może te prawdy nie są jeszcze dość upowszechnione, może autor z własnych spostrzeżeń przekonał się, że potrzeba je wielu powtarzać ludziom; ale należy zrobić uwagę, że aby apostolstwo takich prawd było skuteczne, aby je przyjęto chętnie, potrzeba zręczniej się brać do niego niż Dr. Długoborski,

który rozwlekłą gawędą prędzej znudzi czytelnika, niż go przekona.

Konstanty Leon Kaszyński, który tom „Poezyj“ swoich ogłosił w Warszawie r. 1888, posiada wielką łatwość wierszowania bylejakich rymów i wyobraża sobie, być może, iż poezya równoznaczna jest z rymoróbstwem. Nie można mu bynajmniej zarzucić braku myśli; owszem widocznem jest u niego zamiłowanie do zastanawiania się nad zagadnieniami ważnemi pod względem społecznym, np. gdy w utworze na 6 części podzielonym. p. n. *Potwory* rozwija dzieje chłopca, który napojony przez ojca przewrotnemi zasadami, dotyczącemi cudzej własności, psuje się do gruntu w więzieniu, przedstawionem jako rozsadnik występków i zbrodni, — ale tych myśli swoich nie umie autor ubrać w odpowiednią formę, tak dalece, iż mimowolnie wywołuje efekt nie poważny, lecz żartobliwy, komiczny. Podobnież nie jest bezpodstawną np. myśl, iż wielu troszczy się, naturalnie dla własnej zabawy, więcej o zwierzęta niż o współbliźnich, ale gdy myśl ta przedstawiona jest w formie prośby chłopca, skierowanej do jakiegoś pana, żeby go zrobił małpą w ogrodzie zoologicznym, a zwłaszcza gdy forma sama jest rozwlekła i wodnista: to uśmiech czy śmiech nią wywołany zatrzeć może zupełnie trafność spostrzeżenia. Gdyby autor wyraził je był w formie zwięzłej bajki ze szczę-

śliwie dobranemi wyrażeniami, wcaleby się nie miało powodu do śmiechu.

Najwięcej pretensyi do jakiejś podniosłości, która zdaje się wcale nie leżeć w zakresie uzdolnienia Kaszyńskiego, ma „sen“ jego zatytułowany: *W niebiosach.* Że autorowi, zaczytanemu w astronomii, mogły różne przychodzić do głowy myśli, to rzecz bardzo naturalna, ale żeby one mogły zainteresować czytelników, na to potrzebaby i większej nauki i większej jasności w wyrażeniu mniemanej „syntezy“. W rozmowie z Bogiem autor posłyszał bardzo piękną naukę, że powinien starać się zostać „słońcem“ wśród ludzi „w ziemskiej sferze“, ale dziwna, że nawet we śnie uwierzył, iż jest już słońcem; dość byłoby chyba, żeby postanowił wzlatywać w słoneczne krainy prawdy i piękna. Refleksya ta przyszła autorowi do głowy, lecz trochę zapóźno, nie chciał on widocznie przemazywać, co raz napisał, i zadowolnił się tylko dołączeniem prośby do Boga, która może być także prośbą do cierpliwych czytelników:

Więc Cię błagam, drżąc w pokorze...
Mym polotom — przebacz, Boże!...

XVII. Próby epiczne.

W początkach rozpatrywanego tutaj trzydziestolecia poezyi naszej nie brakło bynajmniej licznych nawet prób poematów, rozwiniętych na szerszą skalę czy to w formie gawędy czy też powieści poetyckiej. Albo pod wpływem wielkich twórców romantyki naszej, albo też pod wpływem gawęd Syrokomli, wielu młodych puszczało się w krainy zmyśleń lub też obrazować pragnęło rzeczywistość za pośrednictwem mniej więcej lotnego słowa. Próby te wszakże nie znajdowały zazwyczaj silniejszego odgłosu wśród społeczeństwa.

Tak np. w „Poezyach studenta“, ogłoszonych r. 1863—65 w 3 tomach bezimiennie przez Władysława Tarnowskiego († 1878, Ernesta Buławę) mieszczą się następne powieści poetyckie: 1) *Pachołę zwierzynieckie,* 2) *Mnich,* 3) *Perła,* 4) *Anachoreta,* 5) *Pustelnik Urycza,* 6) *Safo,* 7) *Brutus,* 8) *Wspomnienia Samsona,* 9) *Marya Magdalena,*

10) *Dzikie kwiaty.* Prócz nielicznych zapewne czytelników, którzy w czasie ogłoszenia tych utworów drukiem, zapoznali się z nimi, któż obecnie wie o nich cośkolwiek? Prawdopodobnie bibliograf tylko i jaki szperacz literacki. I my tu o nich nic mówić nie będziemy, gdyż datą powstania swego sięgają one epoki poprzedzającej nasze trzydziestolecie; wszystkie są nakreślone w duchu ultra-romantycznym. Dla charakterystyki pisarza weźmiemy tylko powieść późniejszą, drukowaną r. 1872 w „Albumie Muzeum Rapperswylskiego“ p. t. *Kochankowie Ojczyzny.*

Rzecz dzieje się w Sandomierzu podczas napadu Tatarów r. 1287. Bohaterką jest Stasia, sierota, przygarnięta od wczesnego dzieciństwa przez ksienię. Szczęśliwe chwile jej młodości ładnie przedstawia poeta:

I była jeszcze bardzo dziecinna:
Czasem w zwierciadło wody patrzyła,
W kaliny warkocz czarny stroiła,
Śmiała się pusto klaszcząc w rączęta,
Nad wodą czasem się zamyśliła,
I kiedy słońcu w wieczór ptaszęta
Przyśpiewywały... ona rączęta
Sobie na pierś też białą złożyła,
Ot — i nuciła — nuciła — nuciła!
Gdy jej wieczorny wiatr rozwiał włoski,
Zrywała się i biegła do wioski...

Wracała nieraz mrokiem śród boru
Do ustronnego w ciszy klasztoru,
Po drodze błędne światła goniła
I czasem z cieniem swym się droczyła...
Lecz, choć szczebiotka i taka dziecinna,
W oczętach miała taką tęsknotę
Sokolą jakąś... przez rzęsy złote —
Nazwać ją trudno... bo za niewinna —
Takiej za szaty słowa nie stają.
Dziewice polskie takie miewają!
I dzisiaj dziecię — ptak — wiotka trzcina —
Jutro niewiasta z siłą olbrzyma,
Co duchem dźwignie, sercem przeczuje,
Więcej niż wiosna cicha rokuje...
Taką tęsknotą jak zapłakana
O wschodzie słońca konwalia biała...
Zdała się ni to przed grzechem Ewa,
Której świat rajem, każdy liść śpiewa;
Lecz miała siłę w blasku oblicza
I wielkie oczy, co w świat patrzały
Głębiej, niż wietrzne słowa zdradzały.
Choć się dziecinna niźli dziewicza
Raczej zdawała, choć pustelnicza —
Taką urosła w ciszy zakonnej,
W grozie i chłodzie celi ustronnej...

I tę powagę wewnętrzną, pomimo powierzchownych oznak dziecinnego usposobienia, czynem stwierdziła. Świeżo zaślubiona Wojciechowi Krempie, gdy przy odejściu od ołtarza dano znać o napadzie Tatarów, zaklęła go, ażeby gdy ona wprowadzi wrogów do znanego sobie wąwozu, przezwanego „piekłem“, wyjście z niego

kamieniami zawalił i tym sposobem zgniótł nieprzyjaciół wraz z nią samą. Treść tego podania dopełnił autor obrazkiem życia klasztornego, opowiadaniem ksieni o śmierci Krzywoustego (gdzie anachronicznie Galla czyni *jeszcze*, a Kadłubka *już* żyjącym) i o pierwszym napadzie Tatarów na Polskę. Sam napad z r. 1827 dość pobieżnie opisany, główną bowiem uwagę zwrócił poeta na poświęcenie Stasi i bohaterstwo Wojciecha, który po śmierci ukochanej został mnichem.

Wybitnej zdolności powieściowej, plastyki w przedstawieniu osób i scen nie znajdujemy w *Kochankach Ojczyzny;* przeważa tu liryzm, podający autorowi piękne nieraz wyrażenia, lubo nie zawsze myśl jasna w nich się wypowiada. Dla przykładu przytoczę wstęp, w którym wartość poetyczną podań gminnych odmalować się starał autor:

Jak błyskawica jest ta wieść dziejowa,
Co w piersi gminnej dziewiczo się chowa:
Raz błyśnie, całe odsłoni ci światy
I całą duszę wiosennymi kwiaty
Zasypie, wonią śpiewaka upoi,
Potem przepada w ciemnościach bez końca,
Kędy posągiem zczarowanym stoi
Po pierś kamienną, a jednak do słońca
Dziejów błagalne wypręża ramiona
I źródło życia sączy się z jej łona —

A zda się w piersi marmurowej płonie,
Miast serca — lampa w żywota zakonie!
To błyskawicą buchnie jak wulkanem,
To złotą żyłą przyczai się w ziemi,
Aż ją wygrzebiesz i loty orlemi
Wzniesiesz do słońca, z licem łzami zlanem
Z arfą, zroszoną tą łzą zronioną
Ponad przeszłości szumiącym kurhanem!
I perły z ócz jej cicho spadające,
Co stalaktytów rytmiczną rodzicą,
Kiedy na słońcu jasno ci zaświécą;
To poznasz własne łzy twoje gorące,
Coś o północnej wypłakał godzinie —
Gdy duszy twojej rano już przeminie!...
I kiedy piersią padniesz u kurhanu,
Jak z łona matki ssąc z ojczystej ziemi,
Kości zatrzęsą się!... przed oczy twemi,
Wstaną postacie znane dziejów ranu!
I w przyszłość wiejąc białym korowodem,
Odezwą ci się jako orły w chmurach,
Ponad zamczyska płynące w lazurach,
Że sam z tęsknoty za nimi zaginiesz —
Dokąd w lot własny ich kluczem nie spłyniesz;
Lecz to zostanie w głębiach twojej duszy,
Jak tony w arfie na pół pozostałe,
Które szum morza wichrami zagłuszy...
I ludziom będzie ledwie zrozumiałe,
Bo pieśń żałośna powie dla nich tyle,
Co szum samotnej sosny na mogile!...

Pojedyńczo wzięte, ładne to są wszystko przenośnie i porównania, często świeże i oryginalne, ale nie składają się na całość jasną i przejrzystą.

Jak w poematach Ernesta Buławy, tak i w innych owoczesnych utworach epiki liryzm i rozbujanie fantazyi przemagały nad wyraźnym, plastycznym rysunkiem. Takimi były rozwichrzone poemata Teodora Michała Sęczkowskiego: *Zwierzęta* (1868), *Bitwa* (1871), *Janina* (1887, fragmenty z wielkiej w 400 pieśniach epopei), takim również był *Opryszek* (1875) Maryi Bartusówny i kilka innych zakusów tego rodzaju.

Od r. 1875 przez lat prawie dziesięć milczą i takie nawet głosy, a przyczyną tego milczenia nie jest bynajmniej ani brak tematów, któreby się do poetycznego obrobienia nadawały, ani też brak uzdolnień rymotwórczych, gdyż i w jednym i w drugim względzie można było wskazać dość liczne a niepowszedniego znaczenia przykłady. Przyczyna wzmiankowanego faktu kryła się gdzieindziej. Poeci nasi czuli dobrze, iż dawne romantyczne formy zużyły się prawie zupełnie; nie było zaś między nimi żadnego, coby nowe ukształtował i do rozpowszechnienia podał. W liryce zmian wielkich pod względem formy dokonywać nie było potrzeba; więc też liryka zabrzmiała nanowo, wnosząc do twórczości naszej niejednokrotnie świeże, spółczesnością przeniknięte pierwiastki; w epice przeciwnie trudności przedstawiały się na każdym kroku; a może nawet niepodobne były do zwalczenia. Wzór Mickiewiczowski w Panu Tadeuszu okazywał się

za wielkim na siły spółczesnych; pogodzenie nastroju poetycznego z wymaganiami najnowszego realizmu — niesłychanie ciężkiem do przeprowadzenia. To też i w tym najnowszym okresie rozwoju epiki naszej, spotykamy zazwyczaj tylko mniej więcej szczęśliwe naśladowania dawnych kształtów poetyckich, a próby utworzenia nowych zaledwie zaznaczyć się dają — i to pospolicie na drobną jedynie skalę podejmowane.

Stanisław Kuczewski lichym poematem na tle krymskiem p. t. *Helena* (Lwów, 1881), ani Stefania Jurkowska mdłym obrazkiem z życia artysty p. n. *W kraju słońca* (1883, druk. w Toruniu) nie zdołali przełamać lodów obojętności względem epiki, dopiero Wysocki *Laszką* swoją w r. 1883 zainteresowawszy czytelników, pobudził innych poetów do wykazania uzdolnień swoich w zakresie tak mało i tak słabo uprawianym.

Pierwszy w jego ślady wstąpił Tadeusz Otawa, ogłaszając w r. 1885 powieść wierszem p. t. *Hulina*. Obrobił on swój temat w duchu romantycznym: efektowne, silnie wstrząsać mające zdarzenia są przedstawione bez należytego psychicznego umotywowania, bez trzymania się wskazówek rzeczywistości. Zadzierzgnięcie węzła powieściowego jest takież samo jak w „Kirgizie“ Zielińskiego, tylko jego rozwiązanie oraz

otoczenie, wśród którego rzecz cała się toczy, odmienne.

Jesteśmy w Tatrach, które autor bardzo ładnym wierszem wstępnym wynosi „ponad śnieżnych Alp złotawych blask i błękitne jezior fale“; obracamy się wśród górali. Ojciec Janosza, bohatera poematu, zabity został przez górala, zowiącego się Tatarem, co się na jego dobytek połakomił. Janosz w biedzie i sieroctwie wyrósł na dzielnego młodzieńca i pokochał córkę Tatara, Halinę. Widywali się pokryjomu. Raz wyśledził ich sędziwy ojciec. Scenę ich spotkania kreśli autor z początku zgodnie z usposobieniem i charakterem osób w niej występujących. Janosz, nie wiedząc, kto zakłócił mu rozmowę swem nadejściem, czy zwierz dziki, czy „duch, co wyszedł z swojej mogiły“, przejęty trwogą „już chwyta swoją watażkę, już chce rozpłatać zuchwalca czaszkę, brwi groźnie zmarszczył, oczyma błyska, zębami zgrzyta, watażkę ściska, zda się, że w dłoni kij pogruchocze“. Halka z krzykiem: ojciec mój! na ziemię padła, a Tatar patrzał na nich ponuro, powtarzając wyraz: ojciec.

I stali w trojgu, jakby ich siła
Jakaś tajemna w miejscu uśpiła!
Wiatr tylko szumiał. Księżyc to znika,
To znów wypływa z poza obłoku.
Słychać hukanie w borze puszczyka
I szelest liści i szum potoku.

Janosz pierwszy się ocucił z tego odrętwienia. Wziął Halkę na rękę, uklęknął przed starcem i prosił go, ażeby mógł zostać jego zięciem, dając zarazem poznać, że odmowę pomści srogo. Gdy powiedział swoje nazwisko, Tatar zadrżał —

jakby go zmora
Dusiła; chwycił ręką za gardło,
Chciał coś rzec, słowo w ustach mu zmarło,
Wargi się trzęsły, twarz trupio zbladła,
Kołpak się zsunął, ręka opadła,
A wiatr rozwiewał białe kędziory.

Dotąd sytuacya (pomimo niewłaściwości: *watażki* i *kołpaka)* oddana dobrze. Ale od tej chwili staje się nieprawdopodobną, sztucznie przez autora wykręconą, ażeby módz przeprowadzić tragiczne zakończenie. Gdy starzec szeptem nadmienia, że córka Tatara nigdy nie będzie żoną Janosza; Halina „ani nie płacze, ani się żali, ani się skarży wiatrom, co jęczą“, klęka tylko przy ojcu i składa przysięgę „w duszy“, że nie zobaczy nigdy Janosza, „choć może serce pęknie z rozpaczy“. A Janosz? Janosz topi wprawdzie groźne oko w starca obliczu, ale gdy Halina (nie wiadomo, dlaczego) prosi go, żeby odszedł, bo już ona nigdy nie może być jego, Janosz najspokojniej odchodzi tak, iż gdy niebawem Tatar się opamiętał, zezwalając na zamęście swej córki, już go dowołać się nie mogą...

Dalsze następstwa łatwo odgadnąć. Janosz został rozbójnikiem:

Zemszczę się, zemszczę! — ryknął tak wściekle,
Że chyba słychać go było w piekle...

Napadł na chatę Tatara, chciał zabrać z sobą Halinę, która się to tuliła do niego, to go odtrącała; wreszcie zginęła wraz nim w zażegniętych płomieniach.

Z powodu braku prawdopodobieństwa w chwili rozstrzygającej, z powodu słabego wykonania scen w pomyśle silnych, *Halina* jako powieść jest mdłą, nie robi wrażenia.

W rok po niej wydał Tadeusz Otawa drugą powieść wierszem p. n. *Pieśń lirnika*. W skromnych ramach zawarł tu znowuż dzieje miłości i zgonu dwojga kochanków. Z gór tatrzańskich przenosi nas tutaj autor na step ukraiński — i zdaje się, że to jest dziedzina, w której czuł się sam bardziej w swoim żywiole.

„*Pieśń lirnika*“ jest o wiele prostszą od treści „*Haliny*“ i rozwija się swobodnie bez żadnych wielkich zawikłań. Jest ona dla niewidomego starca, który płakać już nie może, łzawem przypomnieniem dziejów serca, dawno w zamierzchłą przeszłość cofniętych, ale ciągle obecnych pamięci. Ton liryczny przejmuje też całą opowieść i serdecznością swoją przemawia do naszego uczucia, lubo wyobraźni naszej nie daje karmi obfitej.

Kozak pokochał kozaczkę; miejscem, na którem żyło i kochało się tych dwoje był step okiem niezmierzony:

Tu pod namiotem z powietrza i słońca
My sami wiedli rozmowy bez końca;
I tu patrzałem na nią, gdy wesoła,
Pierścienie włosów odgarniała z czoła
I swoją rączką naszych stepów kwiaty
Kładła na główkę, ubarwiała szaty.
. . . . . .
Ach! z nią się równać nie mogłaby żadna,
Tak była świeża, urocza, tak ładna.
Gdy swoich splotów rozpuściła końce,
I szła po stepie z podniesioną głową,
To swej jasności wstydziło się słońce.
Ona się stepu zdawała królową!
Gdy szła ścieżyną i zrywała kwiatki,
Mając na głowie różnobarwny wieniec,
To się wdzięczyły do niej, jak do matki —
A na jej licu rozkwitał rumieniec.
Więc, zawstydzona, że jej twarz tak płonie,
Ukrywała ją w różyczek koronie.
Dla mnie — ach! ona była wszystkiem razem:
Słońcem, królową i lilijką białą,
Bo moje serce tak ją pokochało,
Żem jak przed świętym korzył się obrazem.

Ta prostota w malowaniu uczuć miłosnych barwami zwykłemi, trochę dziś już zblakłemi, jest bardzo właściwą w ustach lirnika kozackiego; możnaby tylko zauważyć, że ten kozak bardzo podobny do samego poety w wyrażeniach, że

jest-to kozak nieprawdziwy, ale konwencyonalny, jaki w poezyi szkoły ukraińskiej zwykle się pojawia. Bądźcobądź miłość ta spokojna, cicha, bez przeszkód rozwijała się na stepie do czasu, gdy „świsnęły w dali tatarskich hord strzały i krwią się Dniepru zrumieniły wody“. Wówczas kozaczka zaproponowała kochankowi, żeby dla obrony chaty rodzicielskiej i ziemi rodzinnej poszli razem, przebiegli szlaki:

Jak dwa mołojce — dwa orły kozaki —
I tam, gdzie strzały nieprzyjaciół świszczą,
I tam, gdzie spisy zaporoskie błyszczą,
I tam, gdzie jęki, gdzie rozpacz, gdzie wrzawa,
Gdzie się śmierć z ludzkiej pomocy najgrawa —
I tam, gdzie męska dzielność i gdzie trwoga,
Tam my staniemy piersią *przeciw wroga!*

Po tym trochę za retorycznym wybuchu uczuć, kozaczka spełniła swoją propozycyę, przebrała się za kozaka, dosiadła dzielnego konia i wraz z ukochanym dostali się do obozu mołojców. Trochę było podejrzenia wśród nich, że to krasawica a nie kozak zwiększył ich grono, ale dzielne odezwanie się jej przytłumiło wątpliwości — i odtąd pozostała w obozie. Niebawem przyszło do bitwy z Tatarami. Kozaczka dowiodła, że męstwo jej i odwaga to nie puste frazesy, ale dowód ten przypłaciła śmiercią.

Długo szukał napróżno kozak towarzyszki

swojej, aż wreszcie znalazł jej trupa. Na brzegu rzeki, przy Dnieprowej fali grób wykopał dla niej szablą, naniósł nań ziemi, usypał mogiłę rękami, zrosił łez strugą i obsadził kwiaty wonnymi. Odtąd codzień widywał ją o północy, jak z srebrzystej fali wypływała, lub jak bujała po chmurkach śród niebios błękitu, lub na ziemię schodziła po promieniach tęczy. Ludzie nie wierzyli tym widzeniom i śmiali się z szalonego lirnika-dziada, ale on twierdził, że przeczono dlatego, iż nikt nie kochał tak bardzo jak on; „ona jest zawsze ze mną — powiada słusznie lirnik — bo jest we mnie“.

Do tej pieśni lirnika dodaje autor od siebie zakończenie. Dziad widzi oczyma duszy ukochaną swą po raz ostatni; powstał, słucha. Cóż słyszy?

. . . . . Cisza — ach! cisza grobowa!
Czy ten jęk z mogił, kurhanów? jęk bratni?
To może bardów tajemna rozmowa?...
To może dziad ten, z lirników ostatni,
Jak gdyby dawno znajome mu dźwięki,
Chwyta uszyma zagrobowe jęki?...
A kto nie wieszczem stepów, nie zrozumie,
Nic nie dosłyszy w pustych dźwięków szumie;
Lecz bard, lecz pieśniarz, lecz ten lirnik stary...
Może z nim wtenczas rozmawiają duchy?...
Może mu w pieśni wtórują moczary?...

Przycisnął mocniej lirę do łona, coraz smutniej grał, coraz boleśniej, nagle dźwięk za-

brzmał ponuro, dziad urwał, spojrzał na niebo obłąkanym wzrokiem, jak gdyby szukał kogoś po za chmurami, padł na ziemię i skonał.

Bezimienność bohaterów tej powieści, brak szczegółów w roztoczeniu wypadków mogą tłómaczyć się albo lirycznym nastrojem całości, dla którego dosyć wyrazów: *on* i *ona*, albo chęcią uogólnienia, uosobienia pewnych stosunków dziejowych między Polską i Ukrainą, chęcią, której autor nie zamierzał zbytecznie akcentować. Piękności niezwykłych, pierwszorzędnych nie znajdziemy i w tym utworze, ale niema też zaniedbania lub nieudolności rymotwórczej; pod tym względem dałyby się wytknąć nieliczne tylko usterki (str. 30: rzekłem-wyrzekłem, str. 38: pomkły i t. p.).

W tym samym roku 1886 co Pieśń Lirnika, wyszła także *Gunilla*, poemat z czasów średniowiecznych, napisany przez Jadwigę Z. I ten utwór obraca się również w zaczarowanem kole romantyki, posługując się środkami poetycznymi dawno już niestety przebrzmiałymi. Niema tu nawet słabego tchnienia nowszych czasów.

Jadwiga Z. uwydatniła w *Gunilli* i myśli poszczególnych sporo i talent obrazowania i zapał, ale nie potrafiła stworzyć całości, którąby bodaj znośną nazwać było można. Pomysłem przypomina „Gunilla“ straszliwe opowieści rozszalałej romantyki, a wykonaniem — jej lekce-

ważenie dla jasnego i porządnego rozwijania tematu. W nieoznaczonym czasie a w bardzo skąpo określonej miejscowości umieszcza autorka akcyę swego utworu. Akcyę?... może zawiele wypowiada to słowo względnie do treści „Gunilli“. Wypadków bowiem jest w niej bardzo mało, więcej daleko refleksyj i apostrof.

Rycerz zdradził wierną kochankę; brat kochanki poślubił nową ukochaną zdrajcy; zdrajca zabił tego brata a niedoszłą żonę porwał. Wszystko to opowiedziane jest wkrótkości przez Gunillę, ową zdradzoną kochankę rycerza, która przebrawszy się w strój pielgrzyma zjawia się w zamku jego, kiedy się tam odbywa wesele i pieśnią swoją wywiera zemstę, gdyż rycerz, posłyszawszy opowiadanie, wstrząsnął się śmiertelnym dreszczem, na ustach pokazała mu się piana, bielmem zaszły oczy.

Gdyby autorka w rzeczywistości choć cząstkę posiadała tej potęgi słowa, jaką w zmyśleniu przypisuje swej bohaterce, możeby potrafiła zapanować nad umysłem czytelnika, zasłaniając mu oczy na nieprawdopodobieństwa swej opowieści; ale niestety, umie się ona skarżyć tylko na wiek pełen prozy, który za pieśń zapłaci jej może uśmiechem szyderstwa, potępieniem lub niezwróceniem uwagi. To ostatnie, najdotkliwsze chyba dla każdego twórcy, nie spotkało autorki; o jej poemaciku pisma pomieściły dość licznie

sprawozdania; szyderstwa nie brakło wprawdzie, lecz nikt, zdaje mi się, nie potępił próby, która nieświetnie wypadła. „Ptaszę zawsze nuci“ — powtarza Jadwiga Z. za wszystkimi poetami; nie przeczymy, ale rozróżniamy i rozróżniać musimy śpiew słowika od śpiewu kanarka lub gila.

Z tym poematem najstosowniej będzie chyba połączyć inny utwór kobiecego pióra, napisany, jak objaśnia karta tytułowa, we Włoszech przez Gabryelę Leszczyc Radolińską w r. 1883, lubo wydany dopiero w 1890 w Warszawie. Ma on napis: *Alma,* a przedstawia dzieje zawiedzionego serca.

Bohaterka pokochała poetę Alda, ale ten był żonaty, widocznie z jej przyjaciółką, Lili; musiała więc pożegnać ukochanego, udając się nad brzegi jeziora Como, by cudami natury ukoić duszę. Ukojenia nie znalazła; wszędzie i zawsze wracał do jej egzaltowanej (trochę na zimno, o ile z opowiadania wnioskować można) wyobraźni wieszcz w proroczo-męczeńskiej szacie:

Wiecie, co to być poetą? to umrzeć sto razy!
To widzieć srogich cierpień tysiączne obrazy,
To wciąż z grobu powstawać i grobu być blizko,
To żyć deptan nogami! — Na urągowisko
Ludzkie stać pod pręgierzem! Usychać pragnieniem
Nigdy nie nasyconem! To błędnym być cieniem
Wśród cielesnej ludzkości! To nieba być gońcem,
To w krainie cudownej być pokutującem

Pielgrzymem, co w pustyni za kroplą źródlaną
Goni wiecznie — wabiony wciąż fata-morganą;
Lecz jak ten pielgrzym skona, nim stanie u mety,
Tak usycha i serce spragnione poety!...

Jak w tem określeniu życia poety, tak i w myślach Almy przebiegały błyskawice połamane w zygzaki i nie dawały jej spokoju, nie pozwalały pięknością przyrody się poić lub zająć się czemkolwiek. Ostatecznie udręczona dusza poszukała ratunku w życiu klasztornem. Czuła wprawdzie, że poświęca się Bogu „nie z szczęściem, nie z chlubą“; ale z właściwą takim subtelnym umysłom kazuistyką, powiedziała sobie: „On widzi, że go kocham: jak kocham, nie spyta...“ i została zakonnicą, odtrąciwszy z bólem prośbę Alda, by ją mógł raz jeszcze widzieć przed złożeniem ślubów zakonnych.

Wszystko to opowiada sama Alma w listach do Janiny, naprzód z nad brzegów Como, potem z klasztoru San-Clemente pisanych. Wprawę wersyfikatorską okazała dość znaczną, co zresztą nie wyklucza bynajmniej błędów rytmicznych i gramatycznych; pod względem zaś świeżości, a zwłaszcza konsekwencyi porównań i przenośni, dykcya pozostawia, niestety, bardzo wiele do życzenia. Psychologicznie pogłębionym nie jest ten utwór, który przedstawia się raczej jako wierszowana relacya o wypadku w sferach zamożnych i arystokratycznych, aniżeli

jako poemat, któryby mógł wstrząsnąć duszą czytelnika, a przynajmniej silniej ją zająć.

Mieszaninę wpływów romantycznych z pewnymi realistycznymi zapędami przedstawia powieść podolska Józefa Stanisława Wierzbickiego p. t. *Hanka*, ogłoszona w Warszawie roku 1888. W 9 rozdziałach poeta odmalował żywo i barwnie byt wsi podolskiej, a w szczególności miłość Hanki, córki „ladaszczego Hrycia“, z Iwanem, synem wielce zamożnego i ambitnego gospodarza Makara, miłość, której na przeszkodzie staje z jednej strony uparta i zawzięta niechęć Makara, a z drugiej — zaloty „pana agronoma“ czyli poprostu ekonoma Śnieżki, usiłującego przy pomocy arendarza Szlomy i „czarownicy“ Horpyny przyciągnąć Hankę ku sobie.

W opowiadaniu o tej miłości i w przedstawieniu życia wiejskiego Wierzbicki dziwnie połączył swą skłonność do idealistycznego traktowania przedmiotu z wpływami realistycznymi, jakie z dzisiejszej atmosfery literackiej nań działały. Nie pomija np. trywialnych objawów pijatyki i bójek karczemnych, rozpowiada o urjadnikach, sockich, starszynach, o kozie gminnej, z właściwą tym osobom i przedmiotom charakterystyką; nie przemilcza pospolitych przekleństw i wyrażeń rubasznych; ale jednocześnie spotkanie kochanków urządza ile możności jak najpoetyczniej, w słowa ich wlewa wdzięk subtelny,

nieco jednak chorobliwy Słowackiego, a nawet nie rachuje się z czasem i gdy mu tego potrzeba, każe rosnąć trawie tam, gdzie przed tygodniem jeszcze stało ognisko chaty wieśniaczej (str. 178), — słowem, sielanka i rzeczywistość plączą się z sobą ciągle w tym poemacie.

W rozwinięciu dziejów miłości widoczny jest brak planu z góry dobrze obmyślonego; przez czas dość długi przysłuchujemy się i przypatrujemy jednostajnym objawom zalotów Iwana i Śnieżki oraz równie jednostajnemu zachowaniu się Hanki wobec spółzawodników. Rysunek postaci Hrycia nie ma pewnych, zdecydowanych linij, lecz jest spowity w jakieś migotliwe cienie, w postępowaniu jest to właściwie zwykły lichy pijaczyna, który nałogowi oprzeć się długo nie zdoła. Stanowcza chwila w stosunkach Iwana i Hanki następuje wówczas dopiero, gdy Iwan, oświadczywszy wobec ojca chęć zaślubienia ukochanej, znieważony przez rodzica, porywa się nań z pięścią i zostaje osadzony w areszcie; wtedy też wypadki szybko po sobie następują; umiera Hryć, Hanka przenosi się do swego krewnego w ustronnym futorze, jej chatę i grunta oddają, za sprawą Makara, gminie; Iwan z kozy ucieka, wmawiają weń, że Hanka usłuchała namów ekonoma i została jego kochanką, czemu Iwan uwierzywszy bez sprawdzenia, żeni się z Nastią; Hanka chce się topić, wyratowana

wpada na wesele Iwana i miota na nowożeńców przekleństwa, poczem idzie w świat, a autor pociesza czytelnika, że bohaterce poematu może lepsza zaświeci dola.

Gdyby poeta równomierniej był przedstawił wypadki; to powieść jego zyskałaby wielce; zajmowałaby silniej, gdyż byłaby bardziej urozmaiconą. W obecnym stanie zaletą jej nie są charaktery, ani konstrukcya, tylko sytuacyj kilka pięknie skreślonych i pełne prawdziwej poezyi krajobrazy, malowane z miłością i talentem; np. na samym początku część obrazka wioski podolskiej:

Tam obok każdej chaty krytej słomą
Szumi maleńki sadek owocowy,
Gdzie drzew gałęzie stanowią ruchomą
Osłonę w skwary dla dziatwy wioskowéj.
I owocami pod dach zieloności
Zdają się nowych wciąż przynęcać gości.

Tam rozłożyste grusze i jabłonie
Stoją w wspaniałej liściastej koronie,
Obok śliwkowych drzew małej urody
I wiśni, których czerwone jagody
Prześlicznie mienią się w słonecznym blasku;
A wyżej, wyżej, niby dąb wśród lasku,
Do góry strzela ponad sadu drzewa
Wzniosła czereśnia — i w słońcu dojrzewa...

Przy tej sposobności parę słów o innych poezyach Wierzbickiego. W roku 1894 wyszedł

w Krakowie pierwszy tom zbiorowego ich wydania. Opierając się na poznaniu tego tomu, powiedzieć można, że autor ma łatwość pisania gładkich wierszy i to z jakąś myślą; ale ponieważ myśl tę rozdrabnia i rozwadnia, utwory jego nie mogą wywrzeć potężnego wrażenia. Erotycznej nuty rzadko dotyka a zazwyczaj ze świeższej nieco strony. Poeci lubią np. piorunować na niewierne kochanki; Wierzbicki śle swojej „przebaczenie“ w wierszu pod tym napisem:

Niechaj uczucie, co z tobą podzielę,
W kilku tych słowach się streści:
O, daj ci, Boże, szczęścia tak wiele,
Ileś mi dała boleści.

W życiu mem wiecznie łabędzia piosenka
Nutą żałoby podzwania;
O, daj ci, Boże, nie znać co męka
I łzy bolesne rozstania.

A gdy nade mną roztoczy noc cienie,
Budząc żmij wspomnień, w snach piekło,
Daj, by nic tobie groźne sumienie
W taką noc ciemną nie rzekło.

Ładnie też maluje budzenie się idealniejszych poetycznych duszy porywów w wierszu: *Świętojańskie robaczki.* W dzień, śród gwaru spraw doczesnych, śród palącej troski powszedniej, duchy upadają i o ziemię się roztrącają —

Lecz gdy noc przyjdzie i zwieje z serc pyły,
Duchy czuwając, przypomną, czem były,
W piersi uczucia płomienne rozplemią,
I ponad pyłem życiowej zamieci,
Jak świętojańskie robaczki nad ziemią,
Każdy swą lampkę zaświeci.

Przejmuje się poeta cierpieniami społecznemi i, jeżeli jest smutny, to nie z samolubnych powodów; np. *Głosy w duszy:*

Słuchaj mnie, bracie, mniej kwiatów o wiośnie,
Więcej łez trzeba;
Wtedy twa dusza z łez owych urośnie
W górę do nieba.

Wtedy ci serce społeczny ból skruszy,
Wtedy usłyszysz śród nizin dokoła
Skargę ludzkości, co ciągle w twej duszy
— Ratuj mnie! — woła.

Wtedy ten spokój w twem sercu zagości,
Co aureolą ludzkiego jest czoła,
Wtedy do ciebie Bóg z piersi ludzkości
— Synu! — zawoła.

Podobneż uczucia i myśli mieści w sobie: *Biedak.*

Poeta nie chce nicości po zgonie (wiersz: *Po śmierci)*:

Ja chcę być światem osobnym wśród świata...
Pali mię żądza istnienia tak wściekle,
Że gdy mam zginąć, gdy w niebie nie dano
Istnieć i kochać, to chciałbym żyć w piekle....

Duch to siła, co „pamięcią swych czynów trwać będzie“.

Będzie obwijać tęczowem świat kołem,
Płynąć jak promień przez wszystkich sfer tonie
I wiać wśród światów bezbrzeżnej zamieci
Tam, gdzie Niepoznawalny jak słońce słońc świeci.

Duch poety, jak Janus, zawsze ma lice dwoiste:

Z wyrazem troski jedno, smutkiem omroczone
Z wkopanem w ziemię okiem patrzy w ludzi stronę;
A drugie, jak słoneczne pośród chmur oblicze
Oczyma mierzy świata głębie tajemnicze,
I duch mój, wziąwszy pełne cudnych blasków pióra,
Przelata, niby tęczą obwinięta chmura
I snuje jakieś wielkie czyny wśród przestworzy
I myślą czas ogarnia, czuciem światy tworzy...

Niepotrzebnie tylko, bo zbyt przesadnie, dodaje, że gdy wszystko w naturze znajduje odpoczynek, on jeden tylko czuwa i słyszy każdą skargę brata i w pieśń ją zamienia. Pięknie natomiast mówi o pieśni ogarniającej bliźnich spółczuciem:

Wyżej się wzbija, aż nutą natchnioną
Skona gdzieś w sercach jak akord wspaniały,
I te jej dźwięki, co w sercach utoną,
Będą z łez owych, co w duszę spływały...

* * *

Wojciech Dzieduszycki, który się na różnych polach działalności zaznaczył, zrobił także próbę

wysnucia z mitów i podań naszych opowieść czy epopeję na rozległą skalę, wydając w roku 1889 we Lwowie w dwu tomach wierszem: *Baśń nad baśniami.* Pod względem zamiaru i planu przypomina ona najwięcej Witoloraudę Kraszewskiego; szczęśliwą nazwać ją trudno.

Mitologia nasza nie zdołała się przyoblec w jakąś zaokrągloną całość, nie wypełniła się plastycznemi postaciami bóstw i bohaterów, dokonywających jakichś dzieł, zwalczających przeszkody i przynoszących dobrodziejstwa dla ludzi; chrześcijaństwo przytłumiło i przerwało rozwój pojęć o bóstwie, o świecie i istnieniu pozagrobowem, jaki na tle wyobrażeń aryo-europejskich prawdopodobnie byłby się dokonał, gdyby mu pozostawiona była zupełna swoboda.

Czyby na podstawie wyrobionych mitów zrodziła się także u nas epopeja, jak u Indusów, Greków, Germanów? Dzieduszycki sądzi, że tak, i przypuszcza nawet, że taka poezya „może już dojrzewała w chwili, kiedy zaprowadzenie chrześcijaństwa dalszy jej rozwój powstrzymało". Mniemanie to atoli nie jest poparte żadnym dowodem, żadnem usiłowaniem usunięcia wątpliwości, które już nieraz były u nas wypowiadane.

Gdyby wśród narodu naszego było naprawdę uzdolnienie epiczne, mogłyby pomimo chrześcijaństwa powstać, jeżeli nie epopeje w wielkim

stylu, to przynajmniej drobne rapsody, opiewające czyny bohaterskie w połączeniu czy pomieszaniu ze wspomnieniami mitycznemi. Wszak pomimo zaprowadzenia chrześcijaństwa, Serbia i Ruś rapsody takie posiada, a ich pochodzenie datuje z czasów utrwalania się nowej religii. Jeżeli u nas podobnego zjawiska nie spotykamy, to chyba przypuścić wypadnie, że i usposobienia, a zarazem uzdolnienia do epiki u nas nie było. Liryczny, dydaktyczny i satyryczny nastrój miał w fantazyi naszego ludu stanowczą przewagę nad spokojną obserwacyą zjawisk przyrody i czynności ludzi. Zdaje się więc, że żale od czasów Zoryana Dołęgi Chodakowskiego pojawiające się w piśmiennictwie naszem, nad zatratą poezyi „rodzimej“ pod wpływem chrześcijaństwa, nie mają realnej podstawy. Co posiadało grunt stały pod sobą, to się i wśród chrześcijaństwa utrzymało, a co nie istniało zgoła, albo istniało w formie rozwiewnej, to się naturalnie przechować nie mogło.

Wszelkie usiłowania literackie doby późniejszej, by chwyciwszy złomki podań utworzyć epopeję ze stosunków przedchrześcijańskich, były próbami bezowocnemi i tonęły w zapomnieniu. Dzieduszycki, poczytując zapewne owe usiłowania za twory sztuczne, sądził, że powiedzie mu się lepiej, gdy się wiernie będzie trzymał i treści i formy tych pozostałości, jakie tradycya

ludowa z czasów pogaństwa przechowała. Niewątpliwie, droga to lepsza w tym razie niż ufność we własną fantazyę i wzory epików starożytnych; daje przynajmniej niejaką pewność, że się znajdziemy w świecie wyobrażeń, wyrosłych, lub przyswojonych na gruncie ojczystym, wśród mas ludowych, a nie jednostek tylko, że sposób przedstawienia tego świata będzie nosił cechę fantazyi zbiorowej. Jeżeli zatem nie będziemy zważali na wartość takiej rekonstrukcyi mitów, rozpadłych w gruzy, to przyznać wypadnie pomysłowi ogólnemu autora trafność. Ale czy mógł go przeprowadzić w szczegółach?...

Oto zaraz na samym początku, gdy obrawszy bohatera w osobie Krakusa, przyszło Dzieduszyckiemu rzecz rozwinąć, musiał się zapożyczyć od pobratymców, biorąc od Małorusinów Czuryłłę, od Białorusinów Sapuchę, od Czechów Welindę i nadając Babie-Jędzy formę ruską Baby-Jagi. W dalszej opowieści jest naturalnie pożyczek coraz więcej. Tym sposobem baśń, która miała się osnuć na pierwiastkach rodzimych polskich, w której głównymi działaczami są: Krakus, Wanda, Leszek, Piast, Popiel, przemienia się na mieszaninę ogólno-słowiańską, gdzie części składowe nie zostały z sobą dostatecznie spojone, dla czytelnika wydając się dziwacznemi i obcemi.

Nie dosyć jednak na tem, że podania miej-

scowe uzupełnione zostały podaniami innych plemion słowiańskich; autor uważał jeszcze za potrzebne dodać własny swój domysł o znaczeniu tradycyi o Czechu i przedstawił go, jako władcę mórz, ponieważ zdaniem jego „Czech nadał swoje imię ludom, które poszły w kraje germańskie, uciekły, ciekły“, będąc uosobieniem tego, „co nie stałe, co upływa i ciecze“. Wywód ten, godny Dębołęckiego, autor bierze oczywiście za prawdę, a wynik jego przenosi do skarbca mitologii słowiańsko-polskiej. Czyż to nie dowolność, psująca z gruntu założenie główne, mające polegać na tem, ażeby się od podań gminnych nie oddalać? Wprowadzenie indywidualnego pomysłu mści się też zaraz na jednolitości utworu i wywołuje niesmaczny, niby humorystyczny obraz żony Czecha, Rosy, cieszącej kołki na głowie potulnego małżonka i wybierającej się na wycieczkę do Gdańska dla poprawienia zdrowia, jak jaka dzisiejsza gęś parafialna. Popuścił tu autor wodze usposobieniu satyrycznemu ze szkodą ogólnego tonu naiwnie dobrodusznego, jaki innym częściom poematu nadać się starał.

Podobnież całkiem indywidualnym, a w dodatku zgoła niezgodnym z umysłowością ludu naszego rysem jest sprowadzenie na turniej wobec Wandy wszystkich głośniejszych bohaterów starożytności i wieków średnich:

Przybył Odo z szampańskiej krainy i Bozo...
Przybył Amadis, dzielny król galskich rycerzy,
A Roland z Parsiwalem od jasnych puklerzy
W słońcu jaśnieli..
Lohengrina tu zaniosły tonie
Morskie z krajów najdalszych; z lutnią stał na łodzi
I śpiewał, a ciągnęły łódź czarną po wodzie
Szumnej białe łabędzie; gdzieś z greckiej krainy
Achilles przybył szybki, po rękę dziewczyny
Lackiej i t. d. i t. d.

Oba te pomysły, t. j. obraz pani Rosy wyjeżdżającej do wód i turniej „na Wandzinym dworze“ mieszczą się w pieśni V-tej i czynią ją w przeważnej części przykrym rozdźwiękiem wśród reszty.

Inny rozdźwięk stanowi wprowadzenie do *Baśni* znaczenia allegorycznego mitów opiewanych. Jako wychowaniec nauki spółczesnej, Dzieduszycki nie mógł się obronić chęci podstawienia pod tradycye o osobach — ich pierwotnego źródła, t. j. wyobrażeń o zjawiskach przyrody antropomorficznie pojętych i uosobianych. Poeta naiwny, powtarzający starożytne klechdy, wiedzie w duszy autora bój z badaczem naukowym, starającym się wyłuskać prawdę z obsłonki mitycznej. Ponieważ jednak nie we wszystkich szczegółach doszedł badacz do zadawalniających rezultatów, więc nie może wszędzie z jednakową jasnością i pewnością wykładów swoich zastosować do podania, opuszcza tedy ręce i pozwala

poecie bujać dowolnie. A ta dowolność jest istotnie bardzo szeroka i częstokroć niespodziewana. Czytelnik, zgodziwszy się na treść fantastyczną, mimowoli przecież pragnąłby widzieć i w tym świecie fantastycznym pewien ład logiczny. Zaufał poecie jako przewodnikowi po tej krainie i sądzi, że znajdzie zawsze wskazówki, dlaczego się coś tak, a nie inaczej w niej dzieje. Tymczasem poeta o takie wskazówki zazwyczaj wcale się nie troszczy, pozostawiając wyobraźni rozległe pole do harców. Raz więc zwierzęta, rośliny i głazy przemawiają do ludzi ludzkim głosem, a drugi raz jakiemiś tylko znakami, lub jakimś właściwym sobie jedynie językiem porozumiewają się z człowiekiem. Napróżnobyśmy się pytali, dlaczego; — potrzeba urozmaicenia opowiadania, chwilowe wymaganie sytuacyi, która się przez takie, lub inne zachowanie się owych stworzeń zmienić się może silnie, bywają tu jedynym powodem.

W rozwoju akcyi są skoki i przestanki, spowodowane już to chęcią nagromadzenia w utworze jak największej liczby klechd, już to podwójnym charakterem osób wprowadzonych, t. j. ich osobowością i znaczeniem allegorycznem. Krakus, reprezentant pierwastku jasnego, podejmujący walkę z Popielem, przedstawicielem pierwiastku ciemnego, po przemianie w olbrzymiego potwora i zdjęciu czaru przez Dodolę, już w pieśni IV

spoczął na laurach w Raju i odtąd osobiście w całym ciągu poematu nie występuje, czasami tylko pomagając pośrednio swemu potomstwu: Wandzie, Leszkowi, Kupale, Piastowi w walce z potęgami Nocy, Wichrów i Zimy. W pieśni V znika znów na bardzo długo Wanda, by się dopiero przy końcu utworu pojawić; a jej miejsce zajmuje kolejno: Leszek, Piast, Kupało. Popiel w całej: „Baśni“ jest postacią mglistą, niema cech indywidualnych; stanowi zatem najwybitniej allegoryczną tylko część utworu. Wskutek takiego niewyraźnego postawienia figury przeciwnika, i czyny bojowników jasności są z małym wyjątkiem, raczej przygodami, niż działaniem świadomem swych celów.

Pod koniec utworu większa panuje spójność w połączeniu tych przygód, aniżeli z początku i więcej też budzi zajęcia, jeżeli się ktoś zgodzi wogóle na taką lekturę.

Dzieduszycki ma niewątpliwie dużo talentu poetyckiego, dużo wyobraźni plastycznej, ale poczucia artyzmu — bardzo mało, a chęci opracowywania swych dzieł jeszcze mniej podobno. Dowodem tego jest porwanie się na pisanie wierszy, bez najmniejszego starania o ich harmonijność i rytmiczność, z rymami najczęściej kulawymi, z powykrzywianemi na różny sposób formami gramatycznemi, z rażącem zaniedbaniem nawet ortografii. Rozwlekłość i gadulstwo psują

najczęściej pomysły dobre i piękne same w sobie, i sprawiają, że w całym utworze niema ani jednej sceny, któraby siłą swoją porywała i wstrząsała. Jednostajny ton gawędziarski z nielicznymi wyskokami żartu i satyry panuje w „*Baśni nad baśniami*“ i czyni jej czytanie w ciągu nieprzerwanym prawie rzeczą niemożliwą; trzeba ją spożywać porcyami. Czytanie zaś głośne wykazać może odrazu, po kilkudziesięciu wierszach, że mamy do czynienia nie z wierszem prawdziwym, ale z prozą ciężką, wlekącą się jak wóz po obfitym piasku. Nieraz trafi się jakaś rzeczywiście piękna opowieść, jak np. rzecz o dawnych olbrzymach, nie mogących się pogodzić z nowym stanem rzeczy na ziemi, albo o Dodoli, która miłością niezwalczoną bramy raju otwiera i życie budzi w państwie Zmory; ale nie są one w takiej liczbie, ażeby całość mogła się nazwać piękną i żywotną.

Drugi utwór poetycki Dzieduszyckiego p. t. *Anioł* (Lwów, 1892) dotyka czasów najbliższych i wypadków rzeczywistych, ale w obsłonie fantastycznej. Postacie w tym utworze są nikłe, rozwiewne; autor posługuje się częściej refleksyami, rozumowaniem, przepowiedniami, aniżeli obrazami. Mętność wyrażeń nie pozwala częstokroć uchwycić należycie myśli poety. Wiersz słaby tak samo jak w *Baśni nad baśniami*, ciągnie się leniwie i ożywia się tylko kiedyniekiedy

zwłaszcza w ustępach zawierających rozumowania.

Autor wystawia siebie jako narzędzie, za pośrednictwem którego Juliusz Słowacki — pozbywszy się pychy za grobem, wyanielony — pragnął przemówić do narodu. Oto część słów Juliusza:

Że ów, który to pisze, co mu w piersi wkładam,
Słowami tak nie władnie, jak ja niemi władam —
I że myśl moja wyjdzie, chociaż niezmieniona,
Ale tak słabo gasnąc, jak dzień, kiedy kona,
I że duchowi memu ta ręka nie sprosta
Cudza, której używam, to już dla mnie chłosta
I to dla ducha mego i dla pychy matnia
I to kochanka dźwięków jest kara ostatnia,
Jaką zna malarz, jeśli obrazu kolory
Wilgoć zagasi swymi kapryśnymi wzory,
Jaką zna matka, jeźli dziecku jej kochania
Tysiącem skaz szkaradnych ospa twarz zasłania,
Jaką pozna bohater, kiedy czyn ofiarny
Na drobny pieniądz zmienia potem naród marny...

Uprzedziwszy w ten sposób o słabości oddania natchnień Juliusza, autor przedstawia historyę Zdzisława i Heleny wśród zawieruchy wojennej na Ukrainie. Z dziejami ziemskiemi łączą się sceny wśród duchów złych i dobrych. Przejścia Zdzisława są to przejścia bardzo wielu z pomiędzy młodzieży naszej, uwikłanej w sieć przewrotnych kłamstw i znęcania się nad bez-

bronnymi. W więzieniu słabł niekiedy, upijał się, ulegał czarowi powabów niewieścich, ale ostatecznie wytrwał w szlachetności i został skazany na rozstrzelanie. Gdy dusza Zdzisława ukazała się Helence, ta umarła, jak była kochankowi przyrzekła.

W „epilogu", odbywającym się w niebie, zawiera się jakby historyozofia naszego autora. Treść jej da się ująć w tych mniej więcej słowach: Skargi na Opatrzność ze strony znękanych są niesłuszne, gdyż drogi Jej są niezbadane; żądanie zemsty, zagłady wrogów jest niechrześcijańskie. Chrystus przykładem swoim wskazuje, jak się zwycięża świat — miłością. Chrystus mówi:

Zemsta spoczywa w mego ojca ręku.
Jeżeli tylko pracować będziecie
Bez zgrzytów gniewnych i bez mdłego jęku,
Rozłamie jarzmo, które wam kark gniecie.
Wy róbcie dobrze — On mocnych powali,
Co bluźniąc, nogi wam na karki kładą.
Dziejów nagrodę zdobędą wytrwali,
A pysznych — Ojciec ukarze zagładą.
I słońcem dziejów naród uczynicie —
Ono zapłonie na przeznaczeń szczycie,
Gdy się już na was spełni moja wola
Nieprzemijająca, która stać się musi.

Słysząc to hasło mesyaniczne ci, co poprzednio się skarżyli, uznają teraz w całości słu-

szność słów Chrystusa, a Słowacki ma je ziemi zakomunikować, czego też dopełnia, obierając za narzędzie — autora *Anioła*.

Rok 1889 oprócz *Baśni nad baśniami* przyniósł nam dzieło prawdziwego poety, dzieło ukochane i wypieszczone przez twórcę, powieść poetycką na tle XVI stulecia p. n. *Kniaziowie Rożyńscy*. Jego autorem jest Bronisław Komorowski, od lat blizko trzydziestu czynny na niwie literatury. Uzyskał on był chwilowy rozgłos swoimi dramatami osnuwanymi czy to na podaniowej czy na ściśle historycznej kanwie, więcej polotem wyobraźni i wdziękiem dyalogu podbijając umysły aniżeli plastyką i wyrazistością postaci lub umiejętnie obmyślanymi efektami scenicznymi. Potem zaniedbał tę dziedzinę twórczości i oddał się pracy dziennikarskiej. Ale w duszy pozostał poetą marzącym o wielkich sytuacyach dziejowych, o walkach olbrzymich, o charakterach niezłomnych. Chłód i wyrachowanie świata otaczającego raziły go boleśnie, więc zamykał się w sobie, uciekał w przeszłość, by tam marzyć i rozmawiać z bohaterami. Chwilę spółczesną określał temi słowy, którym względnej prawdy zaprzeczyć niepodobna:

. . . . . Nie duch, lecz znikomy
Sączy się tylko gwar w nikłych strumykach
Życia i dziejów. Walka? — młócka słomy!
Zachwyt? czar? — tylko w scenicznych słowikach!

Ofiara? — w giełdzie!...
Nic-że już cudów starych nam nie wskrzesi?

Ludzkości geniusz czy nie zaszeleści
Swojem potężnem i odwiecznem skrzydłem
Nad głową naszą, nad sercem bez treści?
Niech się ukaże, chociażby z obrzydłem
Obliczem: wojna — mór — głód — siedm boleści,
Trup — rany — husarz z trzysążniowem szydłem,
Które w stalową pierś pohańca wraża —
Niech się ukaże i zbudzi harfiarza!...

Nie piorunuje atoli poeta na spółczesnych sobie; z wyrozumiałością należytą ocenia ich umył i serce, wierząc, że gdy się do nich przemówi uczuciem szlachetnem, oni je zrozumieją — może nie wszyscy, ale znajdą się tacy, co zrozumieją. Duszę piewcy wypełniają dawne pamiątki, dawne olbrzymy:

Dziwna! od wieków niby drzemią w ciszy
Trumien, złożywszy na krzyż kornie ręce,
A ucho moje wciąż ich jeszcze słyszy...
Dziwna! spoczęli po trudach i męce
W kaplic cmentarnych głuchej, mrocznej niszy,
A ciągle jeszcze w żelaznej sukience
Chodzą przede mną; grzmi nam coraz cudniéj
Głos surm ich, ziemia jeszcze po nich dudni...

O, tak! śmiertelni są jak głuchoniemi,
Których zmysł wszędzie potrąca o głuszę;
Lecz jeśli serce przyłożą do ziemi,
Przynaglą myśli, czucia swoje, duszę:

To hasła dawne, co były świętemi,
W najodleglejszej wieków zawierusze
Mogą rozeznać, pojąć, umiłować
I nić natchnienia ich modłą wzorować...

Potęga i świetność przeszłości, wzniosłość duszy, wytrwałość w wielkich, świętych postanowieniach, wierność serc, stateczna a surowa pokuta nawet za cień grzechu, męstwo i dzielność — pociągają poetę nieprzeparcie, a serce jego straszny napełnia smutek, gdy sobie przypomni tak okropnie zmienioną teraźniejszość. W rozpamiętywaniu dzieł przodków znajdzie przecie pokrzepienie, samo się wyszlachetni. Z radością wielką poleci dusza poety na wiec bohaterów —

Poleci zawsze i na uroczyste
Baczyć tam będzie wasze rozhowory;
Jęki wydawać i łzy lać rzęsiste,
Ujrzawszy was tam, o święte upiory,
Wielkimi głosy zawodzące: „Chryste!
Gdzież nasze orły? chorągwie? tabory?
Które szły w dumnych grzywach ognia, dymu,
Wał łamać straszny, co w Krzyż bił od Krymu!“

O, tak, poety rzewna dusza zawsze
I zawsze do was nawracać się będzie,
Bo gdzież jest dla niej niebo czystsze, łzawsze,
Tych natchnień, z których się poemat przędzie?

Gdzież bohaterstwo skromniejsze, gdzież krwawsze
Kwiaty ofiary, jeśli nie na grzędzie,
Która pogaństwu nieprzepartym progiem
Legła? — O, duchy! z wami być — być z Bogiem!

W takim-to nastroju powstali *Kniaziowie Rożyńscy*, w których zawarł poeta obraz najważniejszych stron życia naszego na kresach za czasów Stefana Batorego. Dwaj młodzi kniaziowie, Eustachy i Michno, pokochali jednę z wojewodzianek, Wasylię, gdy druga, Marya, była już narzeczoną rycerza Ścibora. Podczas jednego z napadów tatarskich, Eustachy wraz z Ściborem przepadli; nie wiedziano, czy zginęli, czy dostali się do niewoli. Wasylia, z początku za nim tęskniąca, po upływie pewnego czasu oddała swą rękę, zwłaszcza, że ojciec nalegał, księciu Michnie, który biedził się wprawdzie ze swojem sumieniem, ale gwałtownej namiętności przemódz w sobie nie zdołał. Po ożenieniu się —

. . . . . szalał, robaka zagłuszał,
Spokoju nie miał, po nocach jak struty
Wił się, ze świtem do kniei wyruszał;
Niebezpieczeństwa wyzywał, na nuty
Wilcze w ostępie wył, bestje rozjuszał
Umyślnie, aby potem pojedynkiem
Z niedźwiedziem mierzyć się, albo odynkiem.

W jednym z napadów hordy, żona jego, która dopiero co powiła córeczkę, wzięta została

w jassyr. Dziewczynka ocalała. Michno dobrowolną na siebie nałożył pokutę, postanowił prowadzić twarde życie rycerza-zakonnika na kresach, walcząc z pogaństwem, a dziecka swego nie widzieć już nigdy — aż w niebie. Helusia wychowywała się na stepie u dwojga staruszków w ślicznych Narymuntowiczach, szczebiocząc, marząc, śpiewając, uprawiając swój ogródek, a czasami konne odbywając wycieczki. Gdy sobie wyprosiła u opiekuna, który ją ubóstwiał, choć niby gderał na nią, ognistego tabunka, ten uniósł ją w step daleko, daleko, aż tam, skąd był wzięty. Poznała wtedy dzielnego młodzieńca Romana, który, jak się dowiadujemy później, jest sierotą pozostałym po księciu Eustachym, a wychowanym w niewiadomości swego pochodzenia i zaprawionym w rycerskim rzemiośle przez Michnę. Zostaje on pod czujną opieką Elii, najwierniejszego, najserdeczniejszego i wtajemniczonego we wszystko sługi księcia Michny. Elia odprowadza Helusię do swego pana — a tym sposobem książę, uznając w tym zbiegu okoliczności sądy boże, widzi swą najdroższą jedynaczkę, lecz dotrzymując ślubu, ojcostwa swego przed nią nie wyjawia; a oddawszy ją nanowo opiece staruszków z Narymuntowicz, sam na nową wyrusza wyprawę, bo życie jego to trud ustawiczny, albo pokuta ostra, w której wszelka, choćby najczystsza radość była już uchybieniem.

Stał on na czele nowego rycerstwa, które się na Ukrainie wytworzyło:

Na wschodnich kresach rzeczypospolitej —
Tak tajemniczych jeszcze i zagadek
Pełnych naówczas — w krainie zakrytej
Nieledwie całkiem jeszcze oczom świata,
Rzeczy do wiary prawie niepodobne,
Kryjome, działy się już długie lata...
Potencja nowa jakaś i osobne
Jakieś rycerstwo nieznanego znaku
Urosły nagle na dnieprowym niżu;
One straż teraz dzierżyły na szlaku
Czarnym i innych; a tak wielka w Krzyżu
Była ich ufność i siła i męstwo,
Że Ruś nieszczęsna odetchnęła nieco,
Jakby odwieczne już teraz przekleństwo
Bóg zdjął z tej ziemi, kędy czaszki świecą
Wśród grzędy kwiatów—powstrzymał się z karą,
Przebłagan owych rycerzy ofiarą.

Książę Michno czujnością i męstwem od wielu klęsk kraj uchronił, wielu jeńcom wolność powrócił.

W czasie tych wypraw powrócił z niewoli Ścibor. Miłość Czerkieski Aminy, ukochanej przez baszę, stałość i godność, z jaką objawy miłości z jednej strony, a wybuch gniewu — z drugiej, wytrzymał Ścibor, wyjednały mu swobodę. Wrócił on do kraju z wieścią, że książę Eustachy żyje, lecz że dla jego wyswobodzenia potrzeba odnaleźć szablę, którą cisnął był w nurty Ja-

horliku, by się pohańcom nie dostała. W ubiorze pielgrzymim, jednej poświęciwszy się myśli, Ścibor szukał przez kilka tygodni owej szabli, ale napróżno — dowiedział się tylko, że ma ją Gdyk, kowal stepowy, pół-Tatar, pół-Rusin. Dążąc w te strony, zawadził o Kamieniec, gdzie się właśnie odbywał wspaniały pogrzeb wojewody. W kościele spotkał, po latach kilkunastu rozłąki, swoją Maryę, która mu wiary dochowała. Jej-to opowiedział w prostych a wzruszających słowach swe dzieje — i tyle tylko zabawiwszy, ile opowieść wymagała, wyruszył dalej na poszukiwanie owej szabli. U Gdyka już jej nie znalazł; właśnie co wzięli ją od kowala dwaj rycerze: Roman i Elia. Musiał znów pędzić za nimi; gołąb, z pomysłu Helusi, stał się posłem wieści, że są poszukiwani, i spełnił swoje zadanie. Nie szabla wszakże miała wyzwolić Eustachego; dokonały tego starania niezmordowanego, a zręcznego ormianina Dermosa, brzydkiego z kształtów, ale pięknego duszą.

Nie odrazu atoli wróciły stosunki do stanu normalnego. Banda opryszków, rozbita przez rycerzy, napadła i spaliła Narymuntowicze i byłaby porwała Helusię, gdyby się nie zjawił w porę Gdyk, ów kowal stepowy. Tymczasem raniony w walce Elia umiera i przy śmierci dla spokoju sumienia wyznaje księciu Eustachemu wątpliwość, czy Helusia jego jest córką; i żona bo-

wiem Elii miała córeczkę w tym czasie co księżna Wasylia, a po napadzie hordy jedna tylko ocalała dziewczynka. Wątpliwość ta wprawia księcia Michnę w szał straszny i dopiero powrót Wasylii z jassyru, za staraniem Dermosa, pokój do duszy jego wlewa.

Całość przygód kończy się szczęśliwie. Roman żeni się z Helusią, Ścibor z wierną swoją Maryą; Wasylia osiada w klasztorze, a książę Michno wraca na swój niebezpieczny posterunek:

Kiedy niebiosa — mawiał — się uśmiechną,
Bacz, człecze, z której grom znów godzi strony
W twą duszę biedną, a trudem statecznym,
W pokorze mocom zabiegaj przedwiecznym.
Wrócił — przed hordą na Szlak Czarny dotarł,
Niejedną jeszcze łzę sierocą otarł,
Niejednym jeszcze okrył się wawrzynem,
Nim złożył głowę — wiarą swą a czynem
Stwierdziwszy cnotę z cnót: *usque ad finem.*

Poważne a częścią groźne sceny przeplatają w tym poemacie od czasu do czasu zabawne przygody Imćpana Sieniuty, łgarza i facecyonisty, który przed żoną uciekł na Krym, gdzie go, jak opowiadał, królem obrano, ale mu się to królowanie sprzykrzyło, ponieważ musiał wciąż zrazy końskie jadać na surowo, a gwiazdom i słońcu czołem bić siedząc na ziemi „rozkrakiem“. Poplątało mu się w głowie, stracił ra-

chubę lat, sądził, że przybywa w czas na elekcyę — a nuż go wybiorą w Polsce tak jak w Krymie... Trafił na panowanie Stefana Batorego, a w dodatku, żona, która przez ten czas wyszła była za mąż i owdowiała, wzięła go w swoje obroty i już go pewnie nie popuści do śmierci. Pocieszna figura Sieniuty ze swemi łgarstwami i bujną fantazyą, ale z dobrem w gruncie sercem rzuca jaśniejsze promienie na obraz pełen surowej powagi i przyczynia się do urozmaicenia treści opowiadania.

Wątek *Kniaziów Rożyńskich*, jak ze streszczenia poznać można, bogaty jest w wypadki i motywa dramatyczne—i mógłby posłużyć za osnowę obszerniejszej niż obecnie powieści. Autor streszczał się widocznie, bo zdawało mu się, że i tak już za dużo na czasy dzisiejsze rymów napisał; stąd poszło, że osnowa nie jest jednolicie rozsnuta, że są w opowiadaniu pewne przerwy, które trzeba było zapełnić krótką relacyą zamiast malowidłem; stąd też poszło, że postacie jego dość rzadko działają wobec czytelnika, a tym sposobem niezbyt silnie w pamięci jego utkwić mogą. A że Komorowski nie posiada zdolności plastycznej w stopniu wyższym, więc też figury jego raczej uczuciowo do nas przemawiają, niż jako w pełni rozwinięte charaktery.

Mimo te braki atoli tak dużo jest poezyi i w całości utworu i w poszczególnych pomy-

słach, że powieść Komorowskiego bardzo miłe pozostawia wrażenie i musi być poczytaną za najudatniejszą, jaka się w ciągu trzydziestolecia ukazała. Autor jest artystą słowa; nie ma on zapewne wielkiej łatwości w tworzeniu wierszy, które płynnością nie celują, lecz mając smak wytworny, pisze pięknie i stara się o uwydatnienie indywidualności swej w stylu.

Uczucia społeczno-narodowe, ożywiając poetę, przejmują nas szczerą dla niego sympatyą, a ustęp na str. 187 („O, wy narody dwa bratnie, serdeczne“) wykazuje dobitnie, jaka szlachetna dążność piórem jego kierowała.

Komorowski w zakończeniu swego utworu (w „podźwięku“) usprawiedliwia się wobec czytelników, że im poemat i to tak duży ofiarował, a równocześnie wypowiada to zdanie, niewątpliwie prawdziwe, że poeta nawet przy największem sił wytężeniu nigdy nie wyda tego w zupełności, co ma w sobie. „Gdzie kłos jest — powiada on — musi być i kwiecie“. Szanując jak najbardziej kłosy, a nawet z obawą spoglądając na bławaty wśród zboża, zbiera je przecie, bo kwiaty umiłował, bo jest poetą. Ślicznie kreśli w końcu nasze położenie:

Nie u nas stroić się poecie w róże!
W pątniczej szacie przejść on ma manowiec.
Gdzieindziej — w białym rodzi się marmurze
Myśl, którą u nas spowija piaskowiec;

Gdzieindziej — puhar pieni się; tu — kruże
Łez, nie kochanek — poeta, lecz wdowiec
Spełnia, a miłość laur mu z cierni splata:
Królestwo nasze nie jest z tego świata...

Spółczucie serdeczne, uznanie choćby szczupłej garstki dla tak usposobionych dusz poetycznych jest dostateczną — w ich własnem mniemaniu — nagrodą; a jednak zasługują one na to; ażeby ich utwory więcej były czytane i powszechniej ocenione.

Najnowszą próbą z dziedziny epiki jest *Borys*, baśń a raczej powieść „starosłowiańska“, napisana przez J. T. z za Buga (Kraków, 1893). Autorka, przed ogłoszeniem tego utworu, znana była z kilku wierszy myślą szlachetną nacechowanych (w „Życiu“) oraz z powieści prozą. Talent to przeważnie uczuciowo refleksyjny, nie rozporządzający wielkim zasobem fantazyi plastycznej, i nie bardzo dbający o realistyczne uprawdopodobnienie sytuacyj i przemian wewnętrznych. Idzie mu głównie o obudzenie pewnego podniosłego nastroju, o przedstawienie szeregu uczuć szlachetnych, o uwydatnienie jakiejś wielkiej porywającej idei.

Właściwości te w całej pełni widnieją w *Borysie*. Borys jest to młodzieniec dacki, a jak autorka za dawniejszymi historykami sądzi: słowiański, wzięty do niewoli przez Rzymian w czasie wyprawy cesarza Trajana. Młodzieniec to

niepospolity; poznajemy go naprzód w tym orszaku, jaki szedł za rydwanem cezara:

Rydwan tryumfatora otacza dokoła
Zwycięska jego legia. Brzmi głośno wesoła,
Hulaszcza pieśń, do góry podnoszą żołnierze
Łupy: broń i rynsztunki, sprzęty i odzieże,
Dalej żywe trofea — daccy idą jeńce.
Chociaż ciężkie łańcuchy krępują ich ręce,
Lecz na twarze im spokój taki spadł złowrogi,
Jakby wzgardą cierpienia wyzywali bogi.
Przy nich dackie niewiasty, brzękając w okowy,
Idą cicho, bez płaczu, lecz schyliwszy głowy,
Aby, ukrywszy lica w obfity włos złoty,
Mogły zuchwałych spojrzeń uniknąć sromoty.
A wśród tłumu tych jeńców kroczy taka postać,
Co samemu zwycięscy, zda się, może sprostać:
Syn królewski—wzniósł głowę ruchem takiej dumy,
Jakby to jego tryumf obchodziły tłumy,
A ma zamiast korony na wyniosłem czole
Straszną kresę czerwoną — mężnych aureolę,
I jemu twarz kamienym spokojem zmartwiała,
Tylko w oczach się skupia siła życia cała;
Znać z nich, że gdyby można wzrokiem ciskać gromy,
Nie byłoby cezara — i legii — i Romy.

Borys dostał się jako niewolnik do domu bogatej patrycyuszki Flawii, wdowy po Domicyanie, o rękę której ubiegał się Trajan. Flawia szlachetną była, lecz dumną; zwątpienie i o dawnych bogach i o możliwości szczęścia zatruwało jej duszę. Trajana prosiła o zwłokę co do swego postanowienia; a Borysa, który z właściwą

naturom pierwotnym obcesowością miłość jej swoją wyznał, zgromiła wzrokiem i słowem, lecz dumnych jego wyrazów wysłuchała z podziwem. W duszy jej walczyły dawne przywyknienia z nowo budzącem się uczuciem, którego sama przed sobą określić nie umiała czy nie chciała. Tymczasem przez sługę swoją, chrześcijankę, zaznajomiła się z katakumbami i z wyznawcami wiary nowej. Przemówiła ta wiara do jej zwątpiałego serca; Flawia została chrześcijanką. Wówczas dumy jej nie raziła już miłość Borysa, lecz ręki mu swej oddać nie chciała, bo nowa wiara nie pozwalała jej łączyć się z człowiekiem dyszącym chęcią zemsty. Wyzwoliła Borysa, który z bólem głębokim powiedzieć sobie musiał w rezygnacyi:

Kapłan wielkiej idei samotnym być musi
I rąk sobie nie pętać warkoczy łańcuchem
I tak być sercem wolny, jak jest wolny duchem.

Flawia odrzuciła rękę Trajana — a jako chrześcijanka, poniosła śmierć męczeńską. Borys z niewygasłem w duszy wspomnieniem o niej wrócił do swojej ojczyzny, by myśleć o zemście nad Rzymem. By zadość uczynić życzeniu swej matki, zaślubia oddawna sobie przeznaczoną Rzepkę, dziewczynę zdrową, śmiałą i pełną poświęcenia, która wiedząc, że pamięć Flawii w duszy Borysa zostanie na zawsze, zgodziła się zajmować

w jego sercu drugie miejsce, byle tylko mogła troszczyć się o jego zdrowie i całość.

W Dacyi różne były stronnictwa; znajdowali się już wychłodli, którzy radzili pogodzić się z losem i poddać Rzymowi; byli też młodzi, gotowi walczyć do ostatniej krwi kropli. Na ich czele Borys odnosi świetne zwycięstwo nad legionem rzymskim, ale przewidując, że długo w Dacyi utrzymać się niepodobna, bo coraz to nowe wojska rzymskie napływać będą, ostatecznie dał się nakłonić do przewodniczenia wychodztwu, by za Karpatami nowej poszukać ojczyzny. Gdy ostatni z tłumu przebył rzekę graniczną, Borys pożegnał swój lud i pozostał sam z gęślarzem i żoną, która niczem zachwiać się nie dała w postanowieniu towarzyszenia mężowi wszędzie, gdzie on się zwróci. Bohater kazał obojgu stanąć na wzgórzu, a sam poszedł w stronę wąwozu, którym kroczył legion rzymski — dla stoczenia z nim boju! Poległ, w ostatniej jeszcze chwili mówiąc o Flawii. Ciało jego według obrządku złożył gęślarz z wdową na stosie, a gdy miano go podpalić, Rzepka przypomniała obyczaj stary, że wdowy bezdzietne płonęły na stosie mężowskim i rzekła:

Ja także dziatek nie mam—więc niech duch mój wzleci
Tam—do niego—gdzie w jakiejś gwieździstej przestrzeni
Stoi jasna i piękna jego nowa chata.
Któż mu ją wybieli? kto ją pozamiata?

Kto roznieci ognisko w zimowe wieczory?
Ona [tj. Flawia] będzie z nim wiodła piękne rozhowory,
Z założonemi siadłszy za stołem rękami —
I oboje nie dadzą sobie rady sami,
Boć oni nie do takiej sposobni roboty,
Więc ja im będę w czaszę nalewać miód złoty...
A on mię czasem za to pogładzi po twarzy —
I rad będzie, żem przyszła... Więc idę, więc śpieszę!...
Jakbym go już witała.

I ta prosta, ofiarna Rzepka weszła na stos, który podpalił gęślarz, wiedzący, „że nie wszystko przepada, co znika, że śmierć porodzić może nieśmiertelne dzieło“...

Gęślarz wrócił do swego ludu, by go pokrzepić, by go natchnąć czcią dla bohatera, i wyjaśnić znaczenie ofiary przezeń złożonej, a zarazem by dać wskazówkę na przyszłość. Więc śpiewał:

Ci, co drzémiąc zasklepieni skorupą ślimaczą,
Wspólnym bólem nie boleją, wspólną łzą nie płaczą,
Których myśl tak nizko lata, pełza tak pomału,
Że uniesień nie zrozumie, nie pojmie zapału,
Nie powtórzy żadnem echem w zimnej piersi trupiéj
Dni ubiegłych szczęku, jęku — ci są głupi! głupi!

Ci, co schodzą z miarą-wagą do świeżej mogiły,
Badać, czy rozpaczy czyny rozważnymi były,
I czy głowa bohaterska, idąc pod miecz kata,
Obliczała, jaki z tego będzie zysk lub strata;
Ci, co cnocie uwłaczając — pochlebiają zbrodni,
Ci, co głupstwem zwą męczeństwo — wyrodni! wyrodni!

Oto świta! to dzień wnijścia w progi nowej ery;
Komu zdobyć praw do życia nie dano żelazem,
Ten je weźmie siłą pracy rąk splecionych razem:
Smok ma siedem łbów potężnych, ale niema ducha;
Musi zgnić bezduszne ciało — nasza w tem otucha,
Zginął gnuśny Med, Pers dziki — zginą i Rzymianie!...

Nie wszystko uwydatniłem, coby w *Borysie* zaakcentować należało pod względem społecznym; w każdym razie myśl zasadnicza, czcząca ideę poświęcenia, lecz wskazująca jednocześnie potrzebę pracy, wynika ze streszczenia powyższego sama przez się.

Pod względem artystycznym nie plastyka postaci i scen, lecz uczucie przeniknięte myślą stanowi stronę silną tego utworu tak samo jak wszystkich prawie prób epicznych, znanych nam z ostatnich trzydziestu lat rozwoju poezyi naszej. Plastycy zwrócili się do prozy; w wierszach panuje liryzm.

XVIII. Najmłodsi.

Wśród najmłodszego pokolenia poetów, które przyszło na świat mniej więcej około r. 1860 i wychowywało się już wobec haseł pracy organicznej i poddawania uczuć narodowych kontroli rozsądku, powstała niechęć do tych haseł, które, jak się zdawało, nie przyniosły żadnego naprawdę dodatniego wyniku. Wskutek naturalnego oddziaływania przeciwko bezpośrednio poprzedzającemu prądowi powstał zwrot do haseł wielkiej epoki romantycznej, uwielbienie dla potężnego uczucia, dla niekiełznanej poszeptami chłodnego zastanowienia fantazyi, walka z poglądami oportunistycznymi, pogarda dla wszelkiego rodzaju służalstwa.

Konopnicka, niezmiernie wrażliwa na wszystkie świeże objawy życia, w 3-ej seryi Poezyj swoich przedstawiła je po swojemu; a młodzi poeci zwrócili się z wymówką do przewodników społeczeństwa, że oni zatamowali przypływ za-

pału, wystudzili serca, w dobrobycie materyalnym kazali szukać zadowolenia. W tym duchu przemówił bezimienny autor *Do starszego pokolenia;* w tym duchu również, z większym tylko talentem słowa, pisał Franciszek H. Nowicki („Poezye“ 1891, Lwów) swoje „pieśni czasu“, a mianowicie: *My, Apoteoza, Na przednowku, Spartakus, Co nam wolno, Żebrak.* Śpiewał tu między innymi:

Cóż nam zostało?... ruiny, zwaliska,
Niewiara w wszystko, a nawet w niewiarę,
Życia bez celu puste, błędne koła,
I to szyderstwo, co lodem przyciska
Dwudziestoletnie nasze serca stare,
Dwudziestoletnie zmęczone już czoła.

Dziś młodość ziewa u bramy żywota,
Taka rozumna, zgrzybiała, znudzona —
Zgaszono przed nią blask wszystkich gwiazd dawnych,
Każąc jej wierzyć tylko w gwiazdę — złota
I przyduszono wszystkie żary łona
Popiołem naszych mogilników sławnych.

I szukał świtu poeta „na niebie marzenia“, wołając za Mickiewiczem: „Młodości! podaj nam skrzydła!“

Nie wszyscy poeci młodszego pokolenia w ten tylko ton uderzają, ale u wszystkich widzimy pragnienie, żeby poezya, zapał, uniesienie nanowo zawładnęły sercami; u wszystkich wyra-

chowanie, krótkowidzący „rozsądek“, wyziębienie serc znajdują potępiające słowa.

W poniższych szkicach chciałbym uwydatnić najważniejsze cechy twórczości poetów najnowszej doby.

1.

Zenon Przesmycki (Miriam), prawnik ze studyów fachowych, zapalony wielbiciel „sztuki czystej“, z początku dał się poznać głównie jako najzdolniejszy z tłómaczów znakomitego poety Czech Vrchlickiego, który imponował mu i rozległością obejmowanych przez siebie widnokręgów duchowych i wykończeniem formy. To też i w orygiualnych utworach Miriama, których zbiór wyszedł dopiero w r. 1893 w Krakowie p. n. „Z czary młodości, liryczny pamiętnik duszy 1881—1891“ — obok wpływu wielkich wieszczów narodowych znać także silny wpływ poety czeskiego. Od niego mianowicie przejął Przesmycki zamiłowanie do zatapiania się w zagadnieniach filoficznych, nurtujących duszę spółczesnego pokolenia we wszystkich ucywilizowanych społeczeństwach.

Zdaje się nawet, że pomimo uwielbienia dla hasła „sztuki czystej“, pomimo solidaryzowania się z symbolistami belgijskimi, którzy pragną zniesienia „supremacyi myśli nad słowem“, Mi-

riam oddawał pierwszeństwo rozwadze i refleksyi nad bezpośredniem uczuciem.

„Liryczny pamiętnik duszy“ jego prócz prologu i epilogu składa się z trzech części, których napisy zostają w ścisłym związku z tytułem ogólnym zbioru jego wierszy. W „czarze młodości“ znajdował najprzód młody poeta same „upojenia“, potem doszukał się w niej „mętów“, aż wreszcie pod wpływem rozmyślań nad sobą i światem doszedł do „pojednania“.

Na czemże polegały upojenia poety? Po innych sądząc, możnaby mniemać, że na miłości. Nie brak jej co prawda w utworach Miriama, ale nie ona wywołała najpiękniejsze jego natchnienia, nie ona zajęła najwięcej miejsca w zbiorze jego poezyj, nie ona na pierwszy plan przez autora wysuniętą została. Najliczniejsze poezye w dziale „upojeń“ poświęcone są wrażeniom, jakich doznawał poeta od widoków i zjawisk natury, odczuwanych subtelnie i szczerze. Wschody i zachody słońca, ranki i wieczory, księżyc i gwiazdy; góry i doliny, stepy i morze, parowy i szczyty przesuwają się przed nami przepuszczone przez pryzmat entuzyastycznego usposobienia poety. Jest w tych obrazkach bardzo dużo poezyi kształtów, barw i uczucia. Obrazek jednego wieczoru w górach da poznać czytelnikom zalety tej strony twórczości Miriama:

Noc letnia zwolna spuszcza swój perłowy
Zawój na góry.
W dolinach mrok
Dawno panuje — tylko szczytów głowy
W wieńcach z purpury,
Jak sięgnie wzrok.

Z połonin wiater niesie zapach siana.
Słychać z oddali
Dzwoneczki stad
I głos ligawki. Ziemia mgłą zalana.
Pod szmery fali
Zasypia świat.

I ścicha wszystko. Śpią w cieniach podgórza,
Śpią mchy, paprocie,
Śpi ciemny bór.
Ziemia w spokoju bez granic się nurza.
Czasem w przelocie
Lśni gwiazda z chmur.

Ciemność, milczenie. Wśród tej wielkiej ciszy
Wytężam ucho
W przestwór, w dal,
I pierś ma dziwnym niepokojem dyszy...
Lecz martwo, głucho —
I w sercu żal...

Miłość i mniej miejsca zajmuje i nie tak ładnie jak widoki natury została przez Miriama przedstawiona. Takich pieśni, w którychby poeta wprost od siebie, swoje własne wyśpiewywał zachwyty, rozkosze i smutki jest nadzwyczaj mało *(Gwia-*

zdy, Elegia jesienna), częściej daleko lubi on przedmiotowo traktować temat miłości, czy to malując stan duszy wygnanych z raju Adama i Ewy, gdy im „pierwsze dziecię“ się urodziło, czy w ładnych tercynach rozsnuwając podanie o Francesce i Paolu, czy wogóle mówiąc o wszechpotędze miłości. Rozszerza też zakres, miłością dwojga osób objęty, i przechodzi do malowania znaczenia miłości w życiu społecznem *(Zdało mi się, Prometeusz, Szumy drzew, Pieśń wiosenna, Zaklęci rycerze)*. Najbardziej znamienną w tej kategoryi pieśnią jest ta, która nosi napis Galileuszowski: *eppur si muove*, powołująca do życia i działania, tchnąca nadzieją i wlewająca otuchę w serca:

Nie żebrać łaski łzami
Nie łkać u obcych nóg;
Wystarczym sobie sami
Praca — nasz pierwszy Bóg!

Przeklęci, którzy jęczą
I płakać uczą gmin,
I siecią snów pajęczą
Zastąpić myślą czyn.

Przeklęci, co w przeszłości
Jedynie toną łzą,
Co zapał klną młodości,
I postęp wstrzymać chcą!

Nic w miejscu stać nie może,
Wciąż naprzód biegnie świat;
Dziś inne świecą zorze,
I inny znak nam padł.

Cierpliwej pracy wielkiej
Dziś na nas przyszedł dział,
Musim być jak kropelki,
Co żłobią głazy skał.

Pod tym sztandarem wszyscy
Złączmy się w jeden lud,
Wielcy i mali, nizcy,
A ujrzym jutrzni wschód.

Te pełne zapału okrzyki, jakie w „upojeniu“ wygłasza poeta, cichną, a następnie przechodzą w „ton posępny, tchnący łez goryczą“, gdy „męty w puharze“ zostały. Wyziębienie uczuć, zobojętnienie, mara zwątpień i pessymizmu opanowuje duszę, gdy poeta rozważa życie spółczesne, które mu się przedstawia jako olbrzymie święto rzezi i mordów, gdy się przygląda drodze ludzkości, okrytej mrokiem czarnej, wiecznej nocy, gdy plemię swoje widzi przeklętem. Takie uczucia pełne bólu dźwięczą w wierszach: *Na progu życia, W co wierzyć, Quo?, Ród Tantala, We mgłach, Stimmung, Księżyc, Bez jutra.* W wierszu p. t. *Współczesnym* wyraża Miriam swoje głębokie spółczucie dla tego tłumu zwątpiałego, który nie wie co począć, w jaką iść

drogę — i szuka chwili zapomnienia w powszednim szumie rozrywek lub w wybrykach i orgiach. Złudzenia dawne pierzchły, pogoń za prawdą wyczerpała siły, jak glina krucha pękają kształty wymarzone, sceptycyzm woła cynicznie, że dobro, poświęcenie, miłość „formą jeno słów jest starą“, a ludzkość — „plemieniem maryonetek“, że wszystko przemija jak kwiecie polne, a czy się odżyje lepszą swą połową, niewiadomo. Więc mówi do tego tłumu:

Ja się nie dziwię, że spoglądasz smutnie,
Bratni mi tłumie, w przyszłość tajemniczą;
Ja się nie dziwię, że jęczą pokutnie
Twe usta, albo bluźnierstwy w dal krzyczą...

Spółczując atoli „posępnemu tłumowi“, nie pozostaje Miriam na stanowisku biernem żalu i cierpienia, lecz w „Pojednaniu“ dąży do zharmonizowania rozdźwięków wewnętrznych i do pogodniejszego poglądu na życie. Nie dokonywa tego pojednania jak Asnyk przez wyciągnięcie z samych prawd naukowych pewnej wskazówki postępowania na przyszłość, lecz jak Konopnicka w uczuciu i nakazującej potrzebie działania znajduje pobudkę do wypowiedzenia słów otuchy. „Czyń i miej nadzieję!“ — oto jego dewiza. Dusza z natury swojej dąży do świata i nie powstrzyma jej trwoga strat żadnych. Złudzenia dawne pierzchły — ale nowych mimo to nie

wyrzeknie się ona; jak mara szczęścia drogą była, tak drogim jest również „ból świadomości". *(Rozmowa z duszą).* Tęsknotom bez końca potrzeba obszarów bez kresu:

Choć wiecznie głodna dusz żądza paląca,
Choć śród zwątpienia wciąż błądzim oparów,
Świat coraz nowych ogląda Ikarów.
Duch rwie się w bezmiar, choć los w proch go strąca.
(Metafizyka).

W odrodzeniu zwątpiałych i znużonych dusz Miriam słusznie przypisuje wielką rolę poezyi, która do nowych lotów podniecić potrafi:

O, pieśni, karz i sądź, grzmij w serca strupieszałe,
Mojżesza laską bądź i twardą rozbij skałę;
Niech feniks natchnień znów z popiołów zimnych wzleci
I gwiazdą wielkich snów lśni długi ciąg stuleci!

To też wielbiąc geniusz Mickiewicza w świetnej *Kanconie* na przeniesienie jego prochów, wyraża gorące pragnienie, ażeby z tymi popiołami wieszcza wrócił nam „ducha płomienisty wschód", w *Świętym ogniu*, dedykowanym Orzeszkowej, składa cześć tym, co żar w duszach podtrzymują, nawet ofiarą życia własnego, a *Braciom poetom* w 3 prześlicznych sonetach każe nabrać ufności w siebie, zawierzyć sercu, siać miłość, światło, bo serce jedynie się ostało „w tym strasznym wierzeń i marzeń rozgromie".

A choćby wiecznie było niezbadanem
I niepojętem cichych przeczuć dzieckiem —
Wszakże byt cały tajni oceanem —
Więc ze zwątpieniem bojując zdradzieckiem,
Uderzmy w serca, kędy ono panem,
Rozpogodzeniem ludy pójmy greckiem!

Niesłusznie tylko i niewłaściwie, Miriam, idąc za krzykami wstecznikow, przypisuje wiedzy oziębienie serc i wygnanie natchnień w wierszu p. t. *Wrogom poezyi*. Wiedza prawdziwa nigdy nie lekceważyła ani uczucia, ani twórczości poetyckiej; wrogami poezyi byli tylko fanatycy nauki powierzchownej i bezmyślne tłumy „ogładzone“, zmieniające pojęcia według mody, zarówno skłonne do uznania prawdy pozytywizmu jak spirytyzmu. To też, to co mówi Miriam w trzecim ustępie tego wiersza o czcicielach złotego cielca, w zupełności podpisać można, zastrzegając się przeciwko myślowemu połączeniu tych czcicieli ze zwolennikami wiedzy i nauki. Wiedza uznawała i uznaje potrzebę rozwijania wszystkich potęg ducha, nie może zatem wykluczać tych, które do najbardziej wpływowych należą: fantazyi i uczucia. Poeci też nie powinni wrogo występować przeciwko nauce, chociaż bardzo słusznie zrobią, gdy płytkość i powierzchowność w posługiwanin się jej hasłami smagać będą, jak to zrobił Asnyk.

Miriam nadzwyczaj wysoko stawia formę

w poezyi. Wytworność wyrażenia, dźwięczność wiersza, rym doskonały, budowę zwrotek subtelną, mniej często używaną — jako naczynie piękne, w którem myśl i uczucie mają się ukazać czytelnikowi, za rzecz nieodbicie potrzebną z całą świadomością poczytuje. Ładnie to wypowiada, mówiąc o formie sonetu:

W ten puhar drogocenny, a drobny rozmiary,
By pospolitym płynem nie pokalać czary,
A pijącego drobną upoić kropelką
Przystoi win wystałych duszę lać już samą
Treść najgłębszą serc, mózgów, wnętrznie jak [świat wielką,
By djament-duch za formy złotą świecił bramą.

O tę „złotą bramę formy“ dba wielce Miriam i prócz wielu kształtów wierszowych, jakie poprzedni poeci do naszej literatury wprowadzili, mianowicie zaś wielki wirtuoz Faleński, dodał jeszcze jeden, u nas, o ile wiem, dotychczas nieużywany, mianowicie *rondeau*. Kształtu tego nie znajdujemy w zbiorze „Z czary młodości“, lecz go widzimy w *Rondach smętnych* drukowanych r. 1894 w Ateneum (t. II.). Jest to zwrotka, składająca się z trzynastu wierszy, rozdzielonych na dwie, trzy lub cztery mniejsze cząstki, z których każda dwa tylko ma rymy; w 9-tym i 13-ym wraca cały pierwszy, lub przynajmniej jego część początkowa, jako refrain.

Dla przykładu przytaczam jedno rondo, charakteryzujące zarazem sposób, w jaki Miriam formę tę pojmuje:

Rondo, jak brylant pod słońcem, błyska.
Jak święta Gralu z opali miska,
Tęcz, barw i świateł mieni się zorzą,
A nie jest piewcy ciężką obrożą,
Lecz płodem tajnych mocy igrzyska,

Rzucam rym nakształt greckiego dyska;
Sam wraca, w myśli gwałtem się wciska,
Składa się w strofy, a strofy tworzą
Rondo.

Eolska gędźba! dla dum kołyska!
Cóż mi symplistów urągowiska?...
W krągłe kielichy kwiaty się mnożą,
Kolisto usta w całus się złożą,
Kolistym rytmem samo wytryska
Rondo.

Jak z tego maleńkiego utworu widzieć już można, Miriam, lubo włada po mistrzowsku rymami, czuje potrzebę niezwykłych, wyszukanych wyrażeń, które objaśnień dla pospolitych czytelników wymagają. Niewątpliwie wypracowuje on swoje utwory jak cacka rzeźbiarz, mało dbając o urągowiska „symplistów“ t. j. zwolenników prostoty wyrażenia...

2.

Temperament namiętny, uczuciowość silna, fantazya lotna, język i wiersz podatny do wyrażania najróżnorodniejszych wzruszeń i ich odcieni — oto główne cechy poezyi Kazimierza Tetmajera.

Naturalnie z początku nie występowały one wyraziście, ponieważ umysł poety zostawał pod wpływem wzorów romantycznych i otoczenia. Najdawniejszy znany mi jego utwór, fantazya *Illa*, wydana pod pseudonimem Kazimierza Przerwy w Krakowie r. 1886, było to dość udatne naśladowanie Anhellego pod względem stylu i tonu. W fantazyjnych dziejach Gryfa, Sokoła i Illi (gwiazdy przewodniej kraju) dawał młodziutki autor, w słowach pełnych prostoty i melancholii, rady narodowi, żeby kochał, ufał, miał wytrwanie i unikał stronnictw. Uczucia tu wyrażone są szlachetne i piękne; myśli, lubo nie nowe, należą do dziedziny tych, które ciągle przypominać warto. Wadą tej „fantazyi“ była ogólnikowość co do treści, a dobrze zapóźniony romantyzm co do formy. Chcąc przemówić do dzisiejszego ogółu, potrzeba i wyraźniej i realniej zarówno zastanawiać się nad rzeczami, jak nie mniej przedstawiać je czytelnikom. Że autor pragnął krzepić siły ufnością i nadzieją, to pochwalić tylko można; że chciałby widzieć wszy-

stkie klasy zjednoczone w dążeniu i pracy wspólnej, to również w zasadzie dobrą jest rzeczą; ale że marzycielskim tonem przemawiał, to mu mniejszą liczbę słuchaczów pozyskać mogło.

Temperament namiętny przejawił się dopiero w następnym utworze młodego poety, w *Allegoryi*, wydanej w Krakowie r. 1887 nakładem grona młodzieży akademickiej. Wartkim a gorącym strumieniem wiersza płynie tu allegoryczne opowiadanie o miłości chłopa i pięknej jak wolność dziewczyny, których rozłączyła brutalna i urągająca się ze skrępowanej woli nieszczęśliwych potęga jakiegoś władcy, ogarniętego szałem żądzy zmysłowej na widok uroczego ciała. Chłop przedarł się wprawdzie do komnat księcia i słowa wzgardy mu wypowiedział, lecz związany musiał patrzeć, jak w oczach jego ukochana przezeń odarta z szat musiała być narzędziem rozkoszy tyrana. Kiedy ją książę następnie przyprowadził pod wieżę, w której znajdował się jej ukochany, ona chcąc pokazać, że duchem zawsze była przy nim, a gwałciciela nienawidziła, wydarła temuż sztylet i zabiła go na śmierć a później siebie, gdyż nie miała nadziei skruszenia więzów kochanka. Ten właśnie kochanek w ostatnich chwilach młodego życia opowiada te posępne dzieje:

Chciałem się zabić — nie miałem pod ręką
Nic, nic! Więc kraty zimne gryzłem szczęką
I darłem dłońmi, by dostać puginał,
Co tkwił w jej piersi, lecz się nie rozginał
Pręt kuty z stali — więc rozpaczą zdjęty
Rozpędziłem się, com jeszcze miał mocy,
I uderzyłem głową w mur przeklęty
I potem nie wiem już, co do tej nocy
Ze mną się działo...

Umarł niebawem i pochowany został w górach obok ukochanej. Całą tę fantastyczną opowieść, wzorowaną widocznie na Byronie, a nie pozbawioną epizodów wysoce dramatycznych i drastycznych, znamionuje nastrój gorączkowy, połączony z hamowanymi wybuchami przeciwko oportunizmowi i serwilizmowi. Szczęśliwie przeprowadzoną nazwać allegoryi tej niepodobna, a pod względem formalnym, lubo dużo jest tu siły, znajduje się także dosyć nierytmicznych i niepoprawnych połączeń.

Nuta główna, myśl zasadnicza, jaką poznaliśmy w *Illi*, a zwłaszcza w *Allegoryi*, zadźwięczała jeszcze następnie w wierszach odznaczonych na konkursie: *Ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza*, *Ku uczczeniu pamięci J. I. Kraszewskiego*, *Z okoliczności sprowadzenia zwłok A. Mickiewicza* i kilku innych jako to: *Nie, — nie hańba to jeszcze*, *Cienie*, *Pocci idealiści* i t. p. Tu spotykamy silną wiarę w przyszłość, zagrzewanie do czynu w najszerszem znaczeniu

tego wyrazu; gdyż „wątpić — to kłaść czynom kres“.

Ale ta otucha, ta pewność jaśniejszych dni w przyszłości, jaką poeta chciał wlać w innych, nie była najgłębszym i istotnym nastrojem własnego jego ducha. Przeważna część utworów zawartych w dwu dotychczasowych zbiorach „Poezyj“ Tetmajera (Kraków 1891 i 1894) jest wyrazem chwiejności, zwątpienia, sceptycyzmu — albo szału upojenia zmysłowego. Owo tedy nawoływanie do działania musi nam się przedstawić jako mowa uroczystością chwili i przedmiotu spowodowana, nie zaś jako głębokie, na codzień wystarczyć i rozciągać się mające przekonanie. Poeta, co drwiąc z wszelkich idei (I, 69), ma jedno tylko *wierne* pragnienie:

Nirwany, której nic już nie zaboli,
Nic nie ucieszy, w której się powoli
Przechodzi ze snów cichych w nieistnienie —

albo nie może na seryo i szczerze budzić innych do działania, albo też źle, nietrafnie wyraża swoje chwilowe przygnębienie „wiecznem“ je mianując. W jednym wierszu (II, 105) tak określa poeta treść swej duszy:

Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie
Są treścią mojej duszy... Z skrzydły złamanemi
Myśl ma, zamiast powietrzne przerzynać bezdenie,
Włóczy się, jak *zbarczone* żórawie, po ziemi.

Cóż, że zrywa się czasem i wzlatuje w górę
Z smutnym krzykiem tęsknoty do sfer, kędy słońce
Nie ćmione wyziewami ziemi, jasno gore
I gdzie szumią obłoki z wiatrami lecące?...

Złamane skrzydła lecieć nie zdołają długo,
Myśl spada i pierś rani o głazów krawędzie,
I znów wlecze, znacząc krwi czerwoną strugą
Ślady swej ziemskiej drogi — — i tak zawsze będzie.

Może to przedwczesna wróżba, gdyż poeta, choć pisze *Hymn do Nirwany* (II, 45), to umieszcza zaraz obok wspaniały *Hymn do miłości* (II, 47), a w bardzo wielu innych wierszach znajduje bodaj chwilowe ukojenie czy to w kochaniu, czy w widokach przyrody, czy w sztuce.

Rozumiemy poetę i spółczujemy z nim, gdy w wierszu p. t. *Dziś* maluje przyczyny ogólnego znużenia dusz młodych:

Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
Dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.
Dzieci krytyki, wiedzy i rozwagi,
Cudzych doświadczeń mając pełną głowę,
Choćby nam dano skrzydła Ikarowe,
Nie mielibyśmy do lotu odwagi.
My nie tracimy nic, bośmy odrazu
Nic nie przynieśli — i tylko nam bywa
Tak źle, że na złe takie brak wyrazu,
A serce pęka w nas i we krwi pływa.

Nie mamy mu również za grzech przeciwspołeczny, gdy pragnąc ideału, rozpatruje hasła popłatne wśród cywilizowanej tłuszczy i nie znajduje żadnego, któreby się ostać mogło wobec rzeczywistego stanu rzeczy, widzianego przez pryzmat wielkich pragnień i wielkich dążeń. (*Koniec wieku* II, 16); taki bowiem krzyk namiętny wyższego umysłu świadczy o szlachetnym gruncie duszy. Nie oburza też nas poeta, gdy mówi (II, 146):

Nadmiar wstrętu *do życia codziennej podłości*
Jest mi chlebem i wodą, co trują i duszą;
Nie mam już w sercu żadnej łaski i miłości,
Gardzę i nienawidzę całą moją duszą.

Gardzę i nienawidzę — — gdybym dziś z tej ziemi
Odchodził, w świat posępny patrząc zagrobowy;
Odchodziłbym z oczyma jako stal zimnemi,
Nie odwracając nawet raz ostatni głowy...

Ale nie możemy mu wtórować, gdy pragnienie rozkoszy poczytuje za jedyne, jakie mu pozostało, bo rozkosz taka, o jakiej mówi, ćmiąca myśli, gnąca energię, nie podnosi i nie uszlachetnia, lecz zbydlęca. Duch poety wart jest czegoś lepszego, niż sam mówi o sobie. Niewątpliwie, mieć świadomość „bezmocy“ swej woli jest jedną z najokropniejszych katuszy życia, lecz zatonięcie w bagnie rozkoszy nie jest przecież zwycięstwem ducha, tylko jego upodleniem.

Poeta pojmuje dążenia szlachetniejsze i ku nim rwałby się całą siłą, gdyby mógł być pewnym, że one urzeczywistnić dadzą się odrazu i wielkie osiągną rezultaty. Zdaje się, że go rażą głównie drobne wyniki pracy powolnej, nie zaś sama praca. Powiada on:

Życie — to zwykłe życie ciche, szare, —
Kiedy mnie w swoje chwyciło ramiona,
Jak wampir, z duszy mej wyssało wiarę,
Tę krew, bez której dusza schnie i kona.

Nie ową wiarę dziecka, co się z trwogi
Przed mściwem bóstwem w modłach w prochu ściele,
Lecz tę, co każe wierzyć w dobre bogi,
W olbrzymim życia władnące kościele.

Można jednak mieć nadzieję, że targanie się wewnętrzne poety, wywołane ciasnotą szranków, wśród których żyć i tworzyć mu przyszło, stracą swój ostry charakter, dozwalając się przedostać na jaw spokojniejszemu i pogodniejszemu usposobieniu.

Jak dotąd, Tetmajer najpiękniejsze stworzył rzeczy w tonie ponurym, pessymistycznym, umiejąc nadać jednostajnemu na pozór nastrojowi tyle różnorodnych odcieni, że czytając jego „Zamyślenia“, lub „Preludya“, lub „wiersze różne“, nie czujemy jeszcze znużenia, a w stanie własnej duszy odnajdujemy chwile, których jego poezye są świetnem, pełnem jędrności odtworzeniem.

Z „wierszy różnych“ warto odznaczyć szereg tych, które poeta poświęcił odmalowaniu piękności „rodzinnych“ Tatr swoich, do których wciąż czuje tęsknotę. W pierwszej seryi pomieścił: *Morskie Oko*, *Schnąca limba*, *Limba*, *Burza, mgły nocne*, *Rozczarowanie*, *Pozdrowienie;* w drugim: *Widok ze Świnicy do doliny Wierchcichej*, *W Białem*, *W lesie*, *O zmroku*, *Przy Morskiem Oku*, *W turniach*, *Melodya mgieł nocnych*, *Na „żelaznej drodze“ pod reglami*. Poeta silnie odczuwa różnorodne piękności widoków górskich i po Asnyku jest niewątpliwie najlepszym ich malarzem; ale smutek nie opuszcza go i tutaj. On wyszukuje nie zwykłe i najczęstsze, lecz wstrząsające albo dziwem przejmujące obrazy, ażeby je dostroić do swego usposobienia. Tonie przepaściste, burze, limby samotne — oto umiłowane przezeń temata. Znajdują się jednakże i tutaj urocze, eteryczne obrazy, świadczące, że poeta z subtelnem poczuciem artystycznem, z duszą niezmiernie wrażliwą umie patrzeć na zjawiska przyrody dla nich samych, a najpiękniejszym w tym kierunku utworem jest

Melodya mgieł nocnych.

(Nad czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...

Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przeźrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne w toń wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona.
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się, jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

Kto takie melodye tworzyć potrafi, ten jest prawdziwym poetą, który wyrobił sobie narzędzie do wypowiedzenia swych wrażeń i uczuć w sposób najdoskonalszy.

Większe utwory, na tle życia góralskiego przez Tetmajera osnute, nie posiadają takich zalet jak jego liryczne obrazki. Zarówno *Pieśń o Jaśku rozbójniku*, jak *List Hanusi*, który, jak objaśnia poeta, jest wyjątkiem z epicznego poematu na tle podhalańskiem, o tyle tylko właściwie są interesujące, że utrzymane zostały w swym charakterze góralskim zarówno w rodzaju myśli i uczuć, jak i ich wyrażenia za pomocą słowa.

Nie zdaje mi się jednak, ażeby poemat epiczny w tym stylu cały napisany mógł naprawdę robić wrażenie estetyczne. Mimowoli pewien odcień komiczny z powodu form językowych, do których ucho ukształconego ogółu nie przywykło, będzie psuł najrzewniejsze miejsca. Weźmy np. z *Listu Hanusi* jeden ustęp:

Głowa mię boli, serdecka nie cuję
Łzy ino syćko z ocu mi się lejom,
Nik tego nie wi, za kim ja banuję,
Ale się ludzie nascy se mnie śmiejom.
Zal mie za tobom wciągle w serce kłuje,
I nie wiem, ka sie me ocy podziejom
Od tych łez. Widzi sie, co mnie powiezom
Wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

Zdaje mi się, że ten serdeczny żal Hanusi żywsze i bezpośredniejsze wywarłby wrażenie, gdyby wypowiedziany był mową prostą, — lecz z zachowaniem form ogólno-polskich. Jakiś wyraz pojedyńczy, jakieś szczęśliwe porównanie z ust ludu podhalańskiego wzięte mogłyby dodać kolorytu utworowi, ale w tem narzeczu cały chybiłby celu. Jest to igraszka raczej świetnie przez poetę wykonana, lecz nie może chyba poważniejszego w sztuce nabrać znaczenia.

O fragmencie dramatycznym: *Mąż poeta*, i o fantazyi dramatycznej: *Sfinks* tyle tylko zauważę, iż one znaczenia Tetmajera jako poety

nie zwiększają. Tak wytworny stylista jak on musiał się przymuszać, ażeby na wzór Maeterlincka przemawiać w *Sfinksie* jak najzwyklejszą prozą. Podobno *Sfinks* robi na scenie silny efekt; w czytaniu odczuć go niepodobna.

Tetmajer jest lirykiem na wskroś uczuciowym a więc najistotniejszym i to jest jedną z głównych cech wyróżniających go od przeważnej części poetów naszych spółczesnych, u których refleksya tak wielką, tak nieraz stanowczą odgrywa rolę, że częstokroć jeno forma liryczna każe ich do tej kategoryi twórców zaliczać. I Tetmajerowi nie brak wprawdzie refleksyi, lecz ona poddaje się całkiem przewodnictwu uczucia.

3.

Jan Kasprowicz już przy pojawieniu się pierwszego zbiorku swych „Poezyj“ (r. 1889, Lwów) miał sobie przez T. T. Jeża przyznaną „fizyognomię odrębną“ wśród poetów spółczesnych, odrębną mianowicie pod względem treści, gdyż w niej odczuł twórca „Wasyla Hołuba“ oddźwięk tych tęsknot, bólów i skarg, „jakie stanowią istotę życia ludów w niewoli“.

Spostrzeżenie Jeża było trafne; musi być tylko bliżej określonem. Tęsknot, bólów i skarg w poezyi naszej wieku XIX nie brakło; owszem

jak z konieczności położenia narodowego wynikało, było ich w niej pełno. Co więcej, nawet ta specyalna sfera cierpień, jaka się w losie ludu uwydatniła, miała także w poezyi przedstawicieli swoich, choćby jeno Goszczyńskiego i Berwińskiego przypomnieć.

Ale ci poeci dla przedstawienia niedoli ludowej albo brali wyjątkowe postaci i wypadki, albo też dla propagandy idei demokratycznej, wystawiali lud jedynie jako niewinną ofiarę gwałtów, nadużyć, czy wogóle bezprawia. Inni zaś, jak Bohdan Zaleski i Lenartowicz, wybierali same sympatyczne rysy charakterystyki ludu, chcąc za ich pomocą zjednać serca inteligencyi, przejąć je spółczuciem dla smutków i nieszczęść, a uwielbieniem dla dobroci i poświęcenia, odwagi i bohaterstwa wśród mas ludowych.

Jednem słowem dawniejsi poeci, z wyjątkiem Goszczyńskiego, malowali lud idealistycznie, a ci, co w naszych już czasach ten sam temat wzięli do obrobienia (Asnyk, Konopnicka i inni) poszli w ich ślady. Kasprowicz dopiero odrzucił wszelką sentymentalną czy humorystyczną idealizacyę i zaczął traktować lud realistycznie w swych poezyach, jak Jeż, Sienkiewicz, Sewer, Prus, Dygasiński w swych powieściach i nowelkach. Kocha on lud całem sercem, „świętym“ go nawet nazywa, ale znając wybornie zarówno zewnętrzną stronę jego bytu jak i jego duszę, nie

myśli go bynajmniej wyodrębniać pod względem moralnym od reszty ludności, lecz owszem, uwydatnia, że w nim takie same są uczucia, i takie same obłędy, takie same pożądania i namiętności, takie same rysy usposobienia i charakteru, jak w innych klasach narodu, tylko się w odmiennych przejawiają formach z powodu odmiennego stopnia kultury.

Cienie gęściej są nawet rzucone w jego utworach, aniżeli jasne smugi. Czy weźmiemy pierwszy zbiorek poezyj pod uwagę, czy ostatni: „Anima Lachrymans“ (1894 Lwów), czy też dramat *„Świat się kończy“*, wszędzie spotykamy się ze złośliwością, z chciwością, rozpustą, a nawet zbrodnią, czasami w kilku naraz przedstawicielach, gdy postaci i uczucia dodatnie w drobnych zaledwie występują rolach. Przypomnijmy sobie tylko najogólniejszą treść opowiadań, zawartych w „Anima Lachrymans“.

„Król Lear z Biedaczewa“ — to obraz twardego serca i zupełnego wyzucia się z uczuć rodzinnych. *„Maciej Kosarczyk“* — to przykład bezlitośnego postępowania ojca względem córki, która zbłądziła (co przypomina jeden z motywów dramatu „Świat się kończy“); *„Marcin Szafran“* — to znów przykry okaz pijaka, który z powodu swej brzydoty stał się przedmiotem szyderstw ze strony dziewcząt wiejskich; W *„Hance Olpińskiej“* obok matki, poświęcającej się dla

lepszej przyszłości syna, mamy wizerunek pijaka ojca, i idącego za nim z biedy potomka.

Nie myślę bynajmniej pochwalać wyboru takich tylko tematów, nie jestem zwolennikiem pessymistycznego przekonania, że więcej na świecie wątrób, niż serc; nie uważam też owych opowiadań za rzeczy piękne; zastanowiłem się nad niemi dlatego głównie, ażeby charakterystykę sposobu patrzenia na życie ludu u Kasprowicza wydobyć i zarazem zaznaczyć, że jest to niewątpliwym dowodem wzmożenia się idei demokratycznej u nas, gdy jeden z przedstawicieli kierunku ludowego, człowiek lud prawdziwie kochający, nie wahał się uwydatniać stron ciemnych w charakterze tego ludu; znaczy to bowiem, że lud ten kochamy wraz z jego wadami, tak samo, jak kochamy wogóle naród, chociaż różnym jego klasom wiele mamy do zarzucenia.

I to jeszcze przytem zauważyć warto, że o istnienie tych ciemnych stron w życiu ludu poeta nie obwinia innych warstw społeczeństwa, jak to było we zwyczaju bardzo długo. Nie pochlebia on tym warstwom, wytyka im zdrożności, ale za każdą wadę, za każdą zbrodnię chłopa nie stawia pod pręgierzem jakiegoś surdutowca, owszem, wspominając o czasach nawet dawniejszych, o czasach pańszczyźnianych, nie bał się nakreślić sylwetki „*Jana Rudawskiego*“,

który, choć szlachcic, był rzeczywistym bratem wieśniaka i miłość sobie jego pozyskał.

Jest więc Kasprowicz śpiewakiem głównie niedoli ludu, wyczekującym świtu nowej doby w losach ludzkości i narodu, ale nie wnoszącym fermentu nienawiści względem warstw innych, gdyż pewnym jest, że przyszłość bądźcobądź do ludu należeć będzie. Najpiękniejszymi utworami, w którym niedola wzruszyć musi każdego, mającego uczucie ludzkie, są: „*Rumianek*“ (śmierć chłopskiego dziecka) i „*Na rozdrożu*“ (sponiewierana dziewczyna wiejska). I forma tych lirycznych obrazków jest pełna świeżości i oryginalności.

Wskazawszy to, co w poezych Kasprowicza uważam za część najbardziej znamienną i oryginalną, przejdę już krótko te utwory, w których poeta podąża wraz z innymi współczesnymi po szlakach już utartych. I tu również najwydatniej dźwięczy wyraz bólu i cierpienia, usymbolizowany w samym tytule najnowszego zbiorku poezyi Kasprowicza: „Dusza płacząca“. Boleje piewca nad marnością wysiłków, nad słabością woli, nad ciężkimi warunkami bytu. Czasami pojawi się odbłysk Baudelairowskiej ironii gorzkiej i piekącej, jak np. gdy mówi o losie literata na bruku lwowskim (*„Batjar“*), albo o palącej, jak zgaga, miłości ulicznej (*„Venus vulgivaga“*). Nie popada jednakże poeta ani w sceptycyzm, ani w krańcowy pessymizm. Wy-

znaje on bowiem tę krzepiącą zasadę, że „jak ruda w ogniu znajduje oczyszczającą potęgę, tak człowiek w boleści“, każe nawet tej boleści błogosławić i nie otwierać wnętrza dla rozpaczy, osłabiającej ducha. Nadzieja lepszych dni podtrzymuje w nim siłę wytrwania, a zapał wieku młodzieńczego, nie tłumiony widokiem bezprawia i nikczemności ludzkiej, nie ostudzony wyziębieniem serca, każe mu wierzyć, że „promień życiodajnej wiosny lśni się dokoła“, a „śmierci zuchwała potęga“, co „niszczy bytu szlachetne zarody“, złamaną została, albo też złamaną być może, jeśli tylko męstwo i dzielność dawna wrócą do dusz, które chciano do służalstwa nagiąć. Cały cykl poezyj, objętych ogólnym napisem: „Z areny publicznej“ tętni otuchą „majowego świtu“; i budzi ospałych, rozleniwionych do życia w duchu narodowym.

Wobec tak silnego przejawu pełni zdrowia wewnętrznego, muszą być uważane za przemijające tylko zboczenia z wytkniętej drogi, za chwilowy nastrój jedynie, te pessymistyczno-panteistyczne westchnienia do „słodkiej zwiastunki“ spokoju i ciszy — do śmierci, jakie najwymowniej znajdujemy wypowiedziane w symbolicznym utworze p. t. „*Maryan Olchowicz*“. Być może, ból jakiś doraźny, rozjątrzony rozmyślnem weń wpatrywaniem się i zasilany lekturą dawniejszych i spółczesnych pessymistów, wylał

się w tym utworze pełnym uniesienia i fantazyi; lecz niewątpliwie nastąpiło potem ukojenie, z którego wypłynęły poezye, tchnące otuchą i zachęcające do życia, nie do śmierci. A chociaż „*Maryan Olchowicz*“ kończy najnowszy zbiorek poezyj, nie jest przecież ostatnią ich pieczęcią; dostał się on na to miejsce albo przypadkowo, albo też dla zharmonizowania wspólnego tytułu („Dusza płacząca“), odnoszącego się właściwie do jednego tylko działu, — z całością książki.

Tak sobie wyjaśniamy ten okrzyk cierpienia i to pragnienie bezwzględnej ciszy; a że to nie jest dowolnością z naszej strony, o tem świadczą utwory „Z areny publicznej“, jak nie mniej piękny poemacik, z biblii zaczerpnięty, a do naszego położenia narodowego przystosowany „*Ezechiel*“. I dlatego widzimy w Kasprowiczu jednego z tych poetów młodszego pokolenia, którzy otrząsając się z wpływów Byrona, Musseta, Heinego, Baudelaire'a (zestawiam te nazwiska obok siebie dla zwięzłości tylko) zdrowie uczucia i zdrowie myśli przenoszą nad patologiczne objawy wyczerpanego organizmu, którzy swoje cierpienia jednostkowe podporządkowując cierpieniom mas, szukają dla nich ulgi nie w negacyi życia i przyszłości, lecz w stwierdzeniu nadziei, że, mimo wszystko, lepiej być może. Sam on napisał dawniej w wierszu programowym: *Oni i my*

następne słowa określające jego pogląd na zadanie poezyi w chwili obecnej:

Pragniemy w sztuce hartu, siły, woli,
Pragniem postaci energicznych, bitnych,
A nie ginących w smutnej melancholii;
Nawet i wtenczas, gdy leżą w spokoju,
Chcemy w nich widzieć chęć czynu i boju!
O, tak! my cenim piękno, lecz ze życiem
W nierozerwalnej będące harmonji,
Za romantycznem nie gonimy kwieciem
I egzotycznej nie pragniemy woni.
Nasza poezya — echem cierpień ludów,
Pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni.
Nasza poezya bez wizyj i cudów
Dzisiaj pobudką do czynów i męstwa,
A jutro — jutro oddźwiękiem zwycięstwa!

Z większych poematów, w których Kasprowicz, programowi wierny, cierpienia ludów odmalował, wymieniam *Chrystusa* (Lwów, 1890). Pracuje też on nad wykończeniem obszerniejszej opowieści wierszem z życia chłopskiego p. n. *Wojtek Skiba*, z której wyjątki pomieściło Ateneum. Częściowo też w czasopismach ukazały się fragmenty z poematu p. t. *Miłość*.

Strona zewnętrzna poezyj Kasprowicza była z początku zaniedbana nieco, szorstka, twarda; lecz autor, walcząc z trudnościami w przekładach z obcych poetów wyrobił sobie następnie dużo swobody i łatwości, nie pozbywając się siły

i energii wyrażenia. Gdyby nie konieczność pracy dziennikarskiej na chleb, byłby Kasprowicz najpłodniejszym z naszych spółczesnych poetów.

4.

Stanisław Rossowski w pierwszym tomiku „Poezyj“ swoich (Lwów, 1886) był przedstawicielem natchnienia, miarkowanego ciągle i w każdym temacie przepisami życia salonowego, strzegł się wybuchów namiętnych, któreby widziane były źle jako nieprzyzwoite lub śmieszne, mówił głosem przyciszonym, starannie modulowanym, któremu nie brak tu i owdzie pewnego wdzięku, ale który lęka się zbytecznego natężenia i ubliżenia konwenansom. Wprawdzie powiadał poeta, że hasłem jego jest dążyć ciągle wyżej i wyżej, choć sam nie wie dokąd (*„Fragment“*), byle tylko opuścić poziome szranki żywota i wydobyć się z jakiejś „krainy chmur“ i „z toni mgły ciemnej“; wprawdzie utrzymuje nawet, — wbrew temu, co mówił o nieświadomości celu swej wędrówki w sfery wyższe, — że dopóki widzi jasnych bóstw swych twarze, to nie da się odwieść niczem od wzniosłego polotu i druzgocze w proch czarnego anioła, wołającego nań: „Wstrzymaj się, Ikarze“, — ale okazało się niebawem, że to tak sobie frazes

tylko rymowany, dla zwrócenia uwagi wygłoszony.

Bo oto dowiadujemy się z wiersza „*Zapóźno*“, że jasne bóstw twarze nie przyświecają poecie na jakichś przyszłości wyżynach, ale że „gwiazdy marzeń“ jego „śpią dawno w mogile wieków głębokiej“; że zdaniem jego przyszedł na świat zapóźno, że trzeba mu było urodzić się „pod dachem sklepień gotyckich“ i tam urość w truwera, albo w giermka, coby nosił „ogon królowej i z łąki rwał dla niej kwiaty“.

Ale w tem westchnieniu poety za czasami rycerskimi brzmi także frazes tylko. Truwerem chciałby zostać i zachwycać „różnemi baśniami bitną drużynę“, ale dodaje, że w te baśnie sam nie wierzy. A co do marzenia o zostaniu giermkiem, toć i wśród dzisiejszych okoliczności o rolę podobną nie trudno; sam poeta kreśli następny obrazek (str. 31):

Chociaż cię miłość na złotych
Skrzydłach swych niosła,
Byłaś zmęczona podróżą,
Siadłaś na osła.
Za cugle wiodłem go nakształt
Wiernego sługi...
Szedł jeden osioł pod tobą
Przy tobie — drugi...

Pozowanie na Ikara lub na wielbiciela wieków średnich nie może trwać długo, bo ani

bajronizm ani romantyzm nie w modzie; łatwo też autorowi zastosować się do wymagań salonu, mieć dowcip żartobliwy i kostyczny w miarę, prawić komplementy, czasem tkliwą strunę zlekka poruszyć, o pięknościach natury słówko rzec — jeżeli się nadarzy sposobność, zrobienia zręcznej alluzyi do zwyczajów świata, w którym poeta przebywa.

Tak np. gdy chce odmalować poranek w górach (str. 45) przychodzi mu na myśl, że góra otulona w mgłę wygląda „jak w koszulce panna“: bo „wiotkie jodły na jej szczycie falują jak włosy, wiatr *fryzuje* je i *zwilża* kropelkami rosy“. A gdy przedstawia miłość narcyza do lilii, to zaraz dodaje, mając na widoku plotki i poetę salonowego: „Więc szemrzą zielska: to miłość zdrożna, strzeżmy zasady! Słowik zaś duma, czyby nie można mieć stąd ballady...“ (str. 51).

Takie połączenia myśli zrozumiałemi się stają, gdy zważymy, że poecie życie przedstawia się w formie *kajetu* (str. 74), z którego przeszłość (?) wydziera ręką *potężną* (! kajet może cały podrzeć i dziecko — niemowlę... po co tu potęga!) karta po karcie, — albo też w formie *rebusu* (str. 96, 97), którego nikt nie rozwiązał, choć każdy bada, lubo jeżeliby tak było, dodam od siebie, nie warto czasu tracić na odgadywanie takiej jak rebus błahostki.

Właściwy poecie nastrój wyraża najlepiej może następująca faramuszka (str. 92):

Byłaś piękna — to za mało!
Byłaś dobra — to za wiele!
Ja wzdychałem — to za trwożnie!
Całowałem — to za śmiele!

Odważyłem się bezbożnie
Rzec ci: „bóstwo me, aniele!“
I wzdychałem — to za trwożnie!
Całowałem — to za śmiele!

Karcąc mowę mą zuchwałą,
Ty szeptałaś jak w kościele...
Byłaś piękna — to za mało!
Byłaś dobra — to za wiele!

Ta udana prostota i naiwność, to przekomarzanie się dziecinne, te igraszki słów i uczuć, ta gładkość wierszy a ubóstwo motywów odnaleźć się dadzą w wielu, bardzo wielu „poezyach“ Rossowskiego.

Najlepiej mu się udają obrazki z życia powszedniego, traktowane częścią poważnie, częścią żartobliwie, takie np. jak „*Wigilia*“, „*Urodziny święconego*“, „*Balowa sukienka*“, „*Profesor z miłości*“, „*Recepta na zięciów*“. Ładną jest także naśladowana w tonie i rytmie z Bohdana Zaleskiego „*Piosnka z ogródka*“. Satyrycznym nastrojem, ale łagodnie przeprowadzonym odznacza się „*Legenda miłości*“, w której miłość kołace po

kolei do drzwi króla, magnata, tajnego radcy, wieszcza, uczonego — i wszędzie napróżno; każdy umiał znaleść odpowiedź stosowną, to że niema czasu na rozkosze, to że miłość zameldowała się bez karty wizytowej, to że przyzwoitość nie pozwala przyjąć damy o niewłaściwej porze, to że nie jest dość piękną, to że takiej osoby wcale nie zna...

„Cały świat — powiada w końcu poeta — jak rozpieszczone dziecię:

Z poza blasków, dźwięków wzdychał do niéj...
Szkoda tylko, że na całym świecie
Nikt jej nie chciał podać swojej dłoni...

Satyryczno-rzewna jest pieśń p. n. „*Łzy*“, gdzie autor widzi we śnie płynące łzami koryta z odpowiednimi napisami; były tam do sprzedania łzy kochanki, łzy spadkobierców milionów, łzy udanej nędzy; tylko łzy matki nie miały ceny oznaczonej, bo nie były na sprzedaż.

Trafnością przeciwstawienia z punktu zapatrywania się przeciętnego ogółu, oraz doborem przenośni celuje wiersz gnomiczny p. n. „*Skromność*“. Skromność — mówi p. Rossowski — jest dzieckiem ospałem, które chwiejną swą ręką nie uszczknie kwiatów błyszczących na życia niwie i chociaż ciosom nadstawi łono, nie zdoła dosiądz celów; gdy tymczasem zuchwalstwo przemocą złamie twarde zapory gniewu, niechęci,

a skruszone w boju ramię upadkiem swym uświęca tryumf jego; „i kiedy łaski losów bogate oplotą skronie zuchwalstwa harde, skromność otrzyma jako zapłatę: politowanie, szyderstwo, wzgardę“.

Ostatni dział I-ego tomu „Poezyj“ Rossowskiego p. n. „*Dziś i jutro*“ ma trochę odmienną od poprzednich fizyognomię. I tu nie znajdujemy objawów siły, ani wrzących namiętności, ale poeta porusza kwestye wychodzące poza obręb przekomarzań miłosnych, słodkawych wynurzeń uczuciowych, konwencyonalnych obrazków życia... Przeczuwa tu i przepowiada „przewroty nowej ery“ i pragnie, ażeby grom potężny strzaskał przepróchniałe świata stery, żeby rozwiał „tę drzemiącą w cieniu wiatrów senną ciszę i potężnem uderzeniem rozkołysał huragany“. Jest to negatywne tylko określenie, że to, co dotychczas było, nie zadawalnia już ludzkości, a pozytywne przyszłe nabytki ogólnikowo tylko zaznaczone są jako wyniki poznania „prawdy nagiej“; ale jak na poetę, który dotąd krążył wśród poziomych szranek, i to dosyć, że czuje już potrzebę zmiany. Zastrzega się Rossowski, żeby go nie brać za radykalnego burzyciela, nie każe śmiać się z mar jasnych, „co tam śpią w mogile głuchej“, powiada, że „nam idei ich nie wolno czczą piętnować tylko brednią; przeszłość matką jest przyszłości, więc uchylmy czoła przed nią“. Żaden też zapewne z czytel-

ników nie posądzi autora, który chciałby być truwerem i giermkiem, o zamach na „jasne mary“ przeszłości; co więcej z pewnem zdziwieniem odczyta dalej, iż „szara chwila, mgliste świty fałszem są w dziedzinie ducha“, iż „próżne wszystkie wysilenia, które wsteczny prąd poczyna“, bo gdy w ludzkości żądza (t. j. nowa idea) powstanie, „depce bezlitośnie własny plon na świata łanie“. A to zdziwienie wzrośnie jeszcze, gdy pod adresem wstecznikow ujrzy słowa:

„Niechaj serca ani duszy samolubstwo wam nie zrani,
Gdy padniecie pod jej stopą niby kłosy — podeptani;
Może nawet sprawiedliwość w głos natenczas się roz-
[kwili;
Ale dzieje was pochwalą, żeście *w czas zejść potrafili*“
(str. 128).

Te końcowe odezwy zdają się wskazywać, że Rossowski sam znudziwszy się atmosferą codzienności, w której przebywać lubił, zastanowić się gotów nad ważniejszymi przejawami życia społecznego i może następnie być poetą prądu nowego, wstrząsającego umysłami i gotującego dla ludzkości nową fazę bytu.

Zanim się w tym kierunku zwrócił, próbował Rossowski i to dość szczęśliwie ozłocić promieniami poezyi uczucia i wypadki życia codziennego. Zrobił to w zbiorku wierszy p. t. „Tempi passati“ i w zbiorku wrażeń i obserwacyj prozą

p. t. „Ze ścieżek życia“. Przedstawione tu są na wzór Franciszka Coppée, ale z większą lekkością drobne zadowolenia ludzi miernego stanu, zazwyczaj urzędników zmuszonych utrzymywać rodzinę ze szczupłej swej pensyi, znoszących swój los nie tylko ze spokojną rezygnacyą, ale nawet z uśmiechem szczęścia. Nie wybujały w nich bowiem ani wielkie marzenia, których niepodobna urzeczywistnić, ani silne namiętności, któreby burzyły spokój duszy i rozrywały węzły rodzinne. Lada błahostka wywołuje wśród nich objawy radości lub zaspokojonego pożądania. Można się uśmiechać z niewybrednych wymagań, jakie ci ludzie mają względem życia, ale czasami chce się im zazdrościć niezamąconego nastroju ducha, z jakim przyjmują złe i dobre strony życia. Autor nie patrzy z góry na tych swoich lilipucich bohaterów; czasami tylko z pogodnie uśmiechniętą żartobliwością opowiada ich dzieje. Obok takich pogodnych obrazków są w tych zbiorkach mniej szczęśliwe allegorye, satyry, lub też trafne spostrzeżenia dotyczące dzisiejszego neurastenicznego usposobienia umysłów, nadwrażliwości i nadczułości.

W drugiej seryi „Poezyj“ (1892, Lwów) poruszył Rossowski kilka wyższych, tętniących zagadnieniami życia motywów. A mówiąc to nie mam bynajmniej na myśli cyklu wierszy filozoficznych zatytułowanych: „U źródlisk bytu“,

gdzie znajdujemy dość sucho i szematycznie przedstawione znaczenie ruchu, ciepła i światła w przyrodzie martwej i w życiu człowieka, lecz raczej te mniej pretensyonalne, a w szczerą poezyę uczucia i myśli więcej obfitujące utwory, które pod rozmaitymi napisami w książce czytamy; zarówno w *Majestacie człowieka* jak w *Ziarnach i plewach*, zarówno w *Sceptycyzmie* jak w *Walce*, a nawet tu i owdzie w *Różach jesieni* i w *Erotyzmie*.

Nie żądajmy naturalnie tego od poety, co nie jest odpowiedniem jego usposobieniu i talentowi; nie żądajmy orlich wzlotów myśli lub wybuchów silnej namiętności; pozwólmy mu być sobą t. j. człowiekiem umiarkowanym, który w poglądach i nastrojach swoich nie daje się unosić na krańce, który ma słowo krytyki dla potocznych i przyjętych zapatrywań, ale zasadniczej z niemi walki staczać nie myśli.

Jest on smętny, boli go jako poetę, że poezya wygląda dzisiaj jak róża jesienna, w której liść każdy mieni się jeszcze złudną krasą, lecz już nie posiada woni w całej swej sile; boli go jako człowieka, że liczmany cnoty brane są za drogi metal, albo nawet więcej od niego cenione. Refleksye te jednak nie budzą w nim pessymizmu; wierzy bowiem w postęp ludzkości i nie widzi szczęścia w zastoju.

Z doktryn, które dla powierzchownych po-

strzegaczy wydawały się grobem idealnych, wzniosłych dążeń, wysnuwa poeta wnioski wcale odmienne, wskazując, jak dzięki tym doktrynom człowiek nie tylko nic nie utracił ze swej godności, lecz ją owszem silniej ugruntował i oparł na niewzruszonej podstawie, nie zaś na mrzonkach i przechwałkach:

On z własnej pracy, z własnych sił
Zyskał to, że przewodzi światom...
Naturze skarbów wziął tysiące
Na szczytach wiedzy tron swój wzbił
I patrzy w bytów tło drzemiące
Jak król, choć jest wśród nich jak atom. (str. 23)

Nie wzbija jednak poety w pychę ten „majestat człowieka“, gdyż się on przejawia tylko w całości, w skupieniu wszystkich sił ludzkich we wszystkich czasach; indywidua zaś stają się tylko „namułem“ dla idących po sobie plonów ducha, a cierpienia tych indywiduów przejmują bólem i spółczuciem. Szczególniej pięknie wyraził Rossowski spółczucie to dla braci po piórze, przedewszystkiem dla dziennikarzy, w wierszu p. t. *Pismo*, gdzie między innemi powiada:

Tak, ta marna bibuła, co z dnia na dzień ginie,
A jednak wiekopomnych dzieł zasiewa ziarno,
Z mózgów, nerwów, serc—nieraz w posępnej godzinie
Wśród bólu — przyobleka swą sukienkę czarną.

I niejedna myśl wielka legła rozdrobnioną
I z niejednego serca po kropelce małéj
Krew spłynęła do szczętu na to zimne łono
Szpalt—spłynęła po cichu, bez nagród, bez chwały.

Obok liryki i poezyj gnomicznych, znajdujemy w tej drugiej seryi obszerniejszy obrazek z życia ludu miejskiego p. t. *Stancya*. Przedstawił tu autor opłakane życie stróża mieszkającego z żoną i dzieckiem w wilgotnej, ciemnej suterenie. Kilkoro dzieci już mu tu zmarło; zostało się jedyne, które pielęgnuje ze wzmożoną troskliwością. Z litości daje przytułek silnemu traczowi, który wyręcza go w robocie, a pokochawszy służącą, pragnie dla siebie zdobyć całą stancyę. Podczas choroby dziecka stróż nie pokazywał się gospodarzowi, a Walek robił wszystko, był na widoku; on też dostał miejsce stróża, a dawny z rozpaczy powiesił się.

Szara przędza życia, z której egoizm i miłość bliźniego wytwarzają rozmaite kombinacye, wypełnia ten obrazek traktowany co do treści— całkiem realistycznie, bodaj po raz pierwszy w naszej poezyi — co do stylu w sposób mieszany, już to rubasznie, już to wytwornie, a ta mieszanina sprawia niemiłe trochę wrażenie pod względem estetycznym; opowiadaniu brak pięknej prostoty i należytego zharmonizowania szczegółów. W każdym razie próba ta innego niż dawniej traktowania szczegółów życia co-

dziennego musi zwrócić na siebie baczniejszą uwagę, przedstawiając poetę jako szukającego dróg nowych.

5.

Dwie dotychczas książeczki dał nam Artur Oppman (Or-ot), jednę p. t. „Poezye“ (Warszawa, 1889), drugą p. n. „Pieśni“ (tamże 1894). Skromna to wiązanka natchnień, nie odznaczających się ani podniosłością i bogactwem myśli, ani głębią uczucia, lecz śpiewnych wielce, łzawych często, wzruszających nieraz.

Gdy występował na widownię publiczną, wyśpiewał Or-ot na wzór poprzedników swoich, wielkich i małych, hymn uwielbienia ku czci pani swych natchnień — poezyi... Szkoda, że w zapale pochwały nie utrzymał ściślejszego związku myśli... Inaczej wypadało hymn ten ułożyć, jeżeli chodziło nie tylko o zestawienie ze sobą pięknie brzmiących wierszy, ale i o myśl jasną.

Autor, jak wszyscy poeci młodszego pokolenię stara się obronić poezyę od ciosów, jakie w nią wymierzyła nie tyle „pozytywna“ mądrość wieku, ile materyalizm praktyczny, życiowy; ale niestety, tak samo jak wielu innych w spra-

wie tej obrony postępuje tak, jak kochanek skarżący się na obojętność kochanki: a przecież wyrzekania nie pomogą tam, gdzie trzeba serca pozyskać. Niech poeci porwą za sobą czytający ogół, jak umieli go porwać romantycy, a potrzeba obrony poezyi zniknie odrazu. Chcieć zaś nawrócić z drogi dzisiejsze społeczeństwo tęsknemi westchnieniami za dobą wieków średnich, którą sobie poeci dzisiejsi na wzór romantyków całkiem ułudnie, idealnie wystawiają, jest usiłowaniem próżnem, gdyż w dziejach nic się nie powtarza w tych samych kształtach. Trzeba iść z wiekiem, chcąc mieć w nim posłuch i wpływ nań jakikolwiek wywierać. Trzeba się wyrzec poetom zachcianek wszechwładztwa nad umysłami i stanąć w rzędzie innych pracowników ducha. Trzeba wiedzieć napewno, czego się chce i do czego się dąży, jeżeli pragniemy mieć nadzieję osiągnięcia pożądanego skutku.

Nikt nie przeczy, że „pieśń, co ducha budzi“, wzmacnia serce, ale nie można budzeniem ducha nazwać kwilenia za przebrzmiałymi i niepowrotnymi ideałami. Or-ot wie i sam o tem, ale nie może zwalczyć chętki, powstałej przeważnie pod wpływem zwyczaju kwilących od lat 30 wieszczów, i daje folgę uczuciom i myślom, które potępia w innych. W wierszu: *Poetom* bardzo ładnie powiada:

Ciekąca łzami wasza pieśń, lutniści,
Truje goryczą chmurne ludu serca,
I konające marzenia uśmierca,
Myśląc, że dusze zbłąkane oczyści.

W dalszym zaś ciągu słusznie wskazuje jako jedno z ważnych zadań poezyi, by zażegnywała „zwątpień burze“, pocieszając strapionych widokiem słońca, które z chmur zabłysnąć może. Podobnąż myślą ożywione są wiersze: *Wierzę*, *Uwiedź*, *Nie trwóż się*, *Fragment* (na str. 124), *Wśród walki*. One zdawały się zapowiadać, że młody poeta kończy okres nieujętych marzeń, roztęsknień, rozczarowań, zwątpień, sarkazmów, jakie się tak często w innych poezyach tego zbiorku, zgrupowanych pod tytułami: „Mozajka“ i „Z dziejów miłości“ nieraz bardzo ładnie ukazywały — i przejdzie w fazę określonych celów i zadań.

Przypuszczenie to w słabym tylko stopniu się sprawdziło w drugim tomiku. I tu znajdujemy ponowną obronę poezyi p. t. *Potwarcom pieśni*. Żądanie, żeby poezya żyła życiem dzisiejszem utożsamił tu z zepchnięciem jej w błoto i pokalaniem archanielskich jej skrzydeł, mówiąc:

. . . . . Więc chcecie
W strofach pieśniarzy słyszeć nerwów granie,
Najbrutalniejsze zmysłowe zamiecie,
Najszlachetniejszych porywów konanie...

Odpowiemy na to: bynajmniej! chociaż i te przejawy życia jako istniejące muszą znaleźć uwzględnienie w poezyi; wszak Baudelaire przeważnie tych chorobliwych nastrojów stał się wieszczem. Atoli obok tłumu „zlepionego z nerwów i z kału“, obok przesytu i rozbestwienia żądz, obok chaosu pełnego jęku i zgrzytu, są i w życiu dzisiejszem przykłady poświęcenia i ofiarności, męstwa i odwagi, jasnej myśli i serdecznego uczucia — trzeba tylko patrzeć w życie bez uprzedzenia, nie powtarzając wciąż za innymi pacierza o nikczemnościach schyłku wieku. Wówczas znajdzie się dla poezyi materyał dość obfity, ażeby nie tykać błota i przedrażnionych nerwów, jeżeli poeta tego sobie nie życzy; wówczas pieśń może być „czystą i jasną“, a chociaż nie zostanie „mistrzynią“ ludów, to przecież spełni swoje zadanie, podnosząc serce ku górze:

Gdy serca stygną, gdy zmrok niebo kryje,
Niech ona śpiewa o majowych różach,
Niech ona wianki z wonnych kwiatów wije,
Niech wiosennemi barwy świat obleka,
Choć zima blizka... choć wiosna daleka...

Dzisiaj, gdy wszyscy prawie zapomnieli
O krajach marzeń, uniesień i złudzeń,
Niechaj pieśń spłynie w swej dziewiczej bieli,
Niech tłok oczyści z duchowych obrudzeń
Niech serca wskrzesi i myśl wyanieli!

Zgoda! lecz niema zgody na to, iżby nam poezya dawała sny tylko same „choćby bez przebudzeń“, gdyż żyć a nie śnić pragniemy; niema zgody na to, by poezya „kłamała“, choćby „szlachetnie“ kłamała, gdyż prawda a nie kłamstwo, choćby w najszlachetniejszym zamiarze, powinna być naszą przewodniczką. Autor sam niewątpliwie napisał słowa powyższe w uniesieniu jedynie chwilowem, gdyż gdzieindziej *(Nimfa)* potępia „czar marzenia“, potępia senne otrętwienie, wie bowiem, że potrzeba „żyć jak człowiek, nie jak cień“. Szkoda tylko, że nie przetrawiwszy należycie swych myśli, naraża się na zarzut sprzeczności z samym sobą, tak jakby o stronę wewnętrzną natchnień swoich nie dbał, upajając się piękną, potoczystą formą wiersza. Czy sam poeta spełnia program przez siebie wyrażony, czy serca wskrzesza i myśl wyaniela? czy oczyszcza tłumy z duchowych obrudzeń? Podobno więcej zapowiedział, niż dotrzymał. Jak w dawniejszym zbiorku tak i w nowszym najwięcej jest ładnych piosenek o nikłej treści miłosnej, najwięcej smutków, rozrzewnień, tęsknot, wypowiedzianych gładko, ale bez wybitnej cechy indywidualnej.

Najlepsze są tu niewątpliwie „szkice z zaułków“, malujące nam fizyognomie i sceny z życia Starego miasta *(Dziewczę z facyatki, Stary aktor, Rynek staromiejski, Trzy boginie, Jaskółki, Pod sy-*

reną, Na facyatce), chociaż dodać wypada, że i w wyborze tego tematu nie jest autor pierwszym u nas; poprzedził go już bowiem w tym względzie Gomulicki. Ton swobodny i lekki, ironia łagodna i pełna wyrozumiałości znamionuje te ładne obrazki.

Tam, gdzie Or-ot chciał odmalować uczucie namiętne, zdobywał się zaledwie na powtórzenie gwałtownej frazeologii, nie mogąc wstrząsnąć duszy lub zmysłów *(Demon* str. 143). Powiódł mu się w tej mierze jeden tylko obraz symboliczny trzech *Demonów*: nędzy, orgii, alkoholu, duszących życie utalentowanego człowieka. Nędza upadla go głodem, szalona namiętność splugawia go błotem życia, a pijaństwo zamienia w zwierzę. Alkohol mówi:

Gdy wpierw zgryzot odbiorę go hydrze,
Widm czarownych gdy zwabię obliczem,
Nic go z wściekłych mych szponów nie wydrze,
Mojej grozie nie oprze się niczem.
Myśl, że ginie, w nerw każdy mu wpiję,
Rzucę w czaszkę szaleństwa katusze —
I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało i serce i duszę!...

Pod względem języka i stylu uposażony jest Or-ot nie olśniewająco, ale dość zasobnie, tylko że dotychczas pozostaje pod wpływem obcym, najczęściej pod wpływem Asnyka i Konopnickiej i nie wyrobił sobie własnej formy. Zwrócić też

powinien uwagę na to, że zbyt częste używanie jednakowych wyrażeń jak: *dyadem* i *bladem*, *brylantowy*, *cicha* i *święta* nie stanowi wcale zalety stylistycznej. W języku, szczęściem, nie znajdujemy u niego niepoprawności, ani błędów, owszem czystość prawie nieposzlakowaną.

6.

Andrzej Niemojewski w pierwszej seryi „Poezyj“ swoich (1891 Kraków) przedstawił się czytelnikom jako młodzieniec pełen życia, nienawidzący wszelkiej obłudy, powołujący do czynu słowem jędrnem, nie pieszczonem, zupełnie uwolnionym od tej frazeologii, którą bardzo wielu jego towarzyszy za Asnykiem lub Konopnicką powtarzają. Co myślał i czuł, wypowiadał wprost, częstokroć bez żadnego obrazu i porównań subtelnych. Nie lubił jęków i skarg, więc wołał do braci młodych:

Precz z pessymizmem, ptaki junacze!
Precz z tą miłością, co tylko płacze!
Świat do snu leże znalazł w kraterze,
Którego głębie już dymią!

A kiedy pierś mu wzbierała bólem na widok bezczelnej obłudy i nikczemności, to się nie pieścił rozmyślaniem tylko o nirwanie, ale bez ogródki zachęcał:

Oszukujący i oszukiwani,
Ha! pójdźmy lepiej w przestwory nicości,
Gdzie łzy nie cieką głupim bólom w dani,
Gdzie zimny spokój pod całunem gości.

Na co nam życia i rozkoszy pustéj
Na co nam gorzko berłem bólu władać
I konwulsyjnie skrzywionemi usty
Za prawdą, szczęściem—wieki próżno biadać?!

„Robaka“ wyrachowanej trzeźwości nie cierpi i w myśl Ody Mickiewicza „szalonymi“ młodym być radzi, i poświęcenia nie nazywać awanturą, jak to robią tak zwani ludzie rozsądni, a właściwie wyziębli na wszystko, co bezpośrednio ich interesów nie dotyka.

Zimny rachunek więcej dziś znaczy
Niźli ofiarność dawnych działaczy,
Bo dziś najwyżej człowiek się trudzi
Powiększyć zastęp uczciwych ludzi,
Małomieszczańskie zamknąć kłopoty
Jak jaskiniowiec śród swojej groty
I w niej bezpiecznie zdala od tłumu
Cieszyć się lampką swego rozumu...

Precz z wyrachowaniem, obłudą i dyplomacyą, gwałt gwałtem odpierać należy *(Kiedy kłamią)*.

Nie brakowało mu bynajmniej fantazyi, ale umiał ją trzymać na wodzy. Okazał to szczegól-

niej w swoich „Poezyach prozą“ (1891 Kraków), gdzie widzimy go jako pisarza zbolałego cierpieniami nie swojemi, lecz ogółu, zwłaszcza tego biednego, ciemnego ogółu, który się ludem nazywa, a który bywa przedmiotem wyzysku z powodu swej ciemnoty i bezbronności; jako stylistę, który umie do różnych scen i sytuacyj nastrajać sposób wyrażenia i nie daje się porwać najulubieńszemu, fantazyą nawskroś przenikniętemu, dosadnemu i rozbujałemu wichrowi słowa. Sztuka dla sztuki nie jest jego hasłem; on pragnąłby płomiennymi wyrazy podziałać na ludzi, by się w skorupie samolubstwa nie zamykali, by zrozumieli, a co ważniejsza, odczuli nędzę mas i starali się jej zaradzić. Satyra, ironia, fantazya służą mu do obudzenia wrażeń i wzruszeń, któreby w tym kierunku na ludzi oddziaływały.

W drugiej seryi „Poezyj“ (1893 Kraków) ton jest łagodniejszy, mniej szorstki, nastrój smętniejszy, ale grunt usposobienia pozostał ten sam, co poprzednio. Nie swoje smutki, nie swoje cierpienia roztacza autor przed czytelnikiem, lecz bóle, zawody, nieszczęścia ogólne.

Ja nie znam słońca, słońca szczęśliwych
Noc wieczna moim krajem cienistym,
Noc chłodna moim domem ojczystym
W krainie żywych!

Ja nie znam kwiatów, kwiatów miłości,
Nienawiść siadła przed moim progiem,
Była mi sędzią, była mi Bogiem
W świecie ludzkości!

Przepaścisty smutek, ujęty w słowa jak najprostsze, bije z rozmyślań poety o jutrze.

Co jutro da?.. Te same mgły
A w mgłach te same sny.
A kiedy ranek powieje świeży,
Tylko pustynię ducha rozszerzy
I tylko nowe popłyną łzy!

Co jutro da?... Te wieczne sny,
Te wieczne mgły, te wieczne łzy...
I tylko nowe myśli u czoła
Będą tam krążyć, krążyć dokoła
Jak czarne ćmy!

Wogóle cały cykl pieśni zawarty p. n. „Ty za ciemną skryte chmurą“ taką smutną dźwięczy nutą. Ale nawet upodobniwszy się z innymi poetami co do nastroju, umie Niemojewski zachować swoją indywidualność — nie szafuje wykrzyknikami, nie wpada w ton patetyczny, nie zgrzyta, snać mając silną wiarę, że są jednak siły do zniesienia olbrzymiego ciężaru cierpień. A choć nawet w tym hymnie, który na wzór

Wasilewskiego napisał *(Wesoło żeglujmy)* kończy bolesną skargą, że szczęście napotka nas dopiero w grobie, to przecież zachętę do wytrwania z wielką wypowiedział siłą:

Wesoło my lećmy, jak ptaki swobody,
Nad lądy i morza z kolei!
Wesoło my lećmy! Uskrzydla wiek młody
I spuszcza z burzami stulecia w zawody
Jak ptaństwo skrzydlate idei!
. . . . . .
Nad skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie
My dumne podnieśmy dziś czoło!
Ulecim jak ptaki zwiastując świtanie,
Zwiastując ludzkości dziejowe zaranie,
Wesoło my lećmy, wesoło!

Niech sobie autor częściej przypomina te jędrne wezwania do czynu, do budzenia otuchy, jakie wyśpiewał w I-ej seryi poezyj, a smutek jego, chociaż uzasadniony, postrada może przejmującą swą gorycz.

* *
*

Oprócz powyżej naszkicowanych osobistości, których fizyognomia duchowa uwydatniła się lepiej w najnowszej dobie poezyi naszej, jest jeszcze cały szereg poetów, nieraz z niemałym zasobem talentu, mało jednak udzielających się

ogółowi, lub też zbyt ulegających jeszcze wpływom obcych (głównie francuskich twórców), ażeby można już teraz mówić o ich charakterze indywidualnym w tworzeniu. Co najwyżej można zaznaczyć ich działalność, pozostawiając przyszłości dokładniejsze określenie rodzaju ich talentu.

Z pomiędzy kobiet delikatnem uczuciem, serdecznością, myślą jasną wyróżniła się Szczęsna Cybulska, pisująca wierszem i prozą („Poezye“ 1894 Lwów, „Przelotne chmury“ tamże r. 1893).

Z pomiędzy mężczyzn w Galicyi mieszka, lecz mało produkuje Franciszek H. Nowicki, który przed kilku laty „Poezyami“ swemi obudził bardzo żywe zajęcie. Pod wpływem francuskim i belgijskim zostają tamże: Konstanty Górski i Lucyan Rydel, który Maeterlinckiem zbytecznie się przejął („Dies irae“, „Matka“, „Na otwarcie teatru“).

W Królestwie wielbicielem Baudelaire'a, Lecomte de Lisle'a i Shelleya jest Antoni Lange próbujący dotychczas form i nastrojów najrozmaitszych, ażeby się stać wirtuozem formy. Panteizm spokojny, namiętność burzliwa, sielanka wiejska jednakowo go ku sobie pociągają, chociaż, jak dotychczas, tylko w sielance doszedł do zharmonizowania swych wrażeń i wzruszeń.

Na stronę metryczną wiersza zwraca on pilną uwagę.

Wacław Wolski, Wacław Raczyński zaledwie z drobnych lirycznych wierszy, strojnych pod względem formy, a przenikniętych tęsknem uczuciem, dali się poznać.

Zakończenie.

Lucyan Siemieński nazwał raz dziesięciolecie poprzedzające rok 1831 wiosną poezyi naszej, kiedy-to jak na wiosnę każdego roku „rozlegało się powietrze koncertami śpiewaków leśnych, polnych, wodnych, śpiewających hymn na powitanie słońca i życia“.

Po tej wiośnie nastąpiło wspaniałe lato i wcale nie brzydka jesień, pozostawiając po sobie wzniosłe, piękne lub miłe wspomnienia. Że owa jesień poetycka dawno minęła, to nie ulega wątpliwości najmniejszej, że potem chwilowo zapanowała „gnuśna zima“, to także za fakt stwierdzony poczytać wypada. Czy chwila obecna jest budzącą się „nową wiosną“ poezyi naszej?

Nie można powiedzieć, żeby doba dzisiejsza była tą porą, w której tylko szare wróble ćwirkają lub mityczne „zimorodki“ (halcyony) zawodzą; i owszem, imiona śpiewaków, jak widzieliśmy, są liczne, talenta ich różnorodne, tylko —

w metodzie ich śpiewu nie tyle znać słowików lub choćby skowronków, ile pięknymi głosami obdarzonych kanarków, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę. Wprawdzie kanarków nie brakowało w poezyi nigdy; chwila jednak obecna tem się odznacza, że przeważnie takich tylko ma pieśniarzy.

W dziedzinie twórczości coraz to trudniej o prawdziwą oryginalność. W tylowiekowym rozwoju poezyi tak dużo było pomysłów i taka ich rozmaitość, tak dużo i tak różnorodnych użyto form, że dzisiejszy artysta słowa może zaledwie pokłosie zbierać po wielkiem żniwie. Jemu już niepodobna śpiewać, jak ptak śpiewa — wedle wyrażenia Goethego — t. j. z natchnienia tylko i bez specyalnej nauki, gdyż wchłonąć on musi wszystko, co było wielkiem i pięknem przed nim, ażeby nie powtarzać mniej dobrze tego, co już poprzednio o wiele doskonalej wypowiedziano.

Stąd-to wypływa owo wielkie staranie o kunsztowną formę, jakie spostrzegamy w całej nowszej poezyi europejskiej; stąd gonitwa za nadzwyczajnymi i mało używanymi dotychczas kształtami; stąd wreszcie owo hasło, ładnie jako frazes brzmiące, ale beztreściowe, iż dążyć należy w poezyi do zrzucenia supremacyi myśli nad słowem, hasło, które i u nas odgłos znalazło.

Prawdziwy atoli poeta za hasłem takiem nie

pójdzie. On wie, że układ dźwięków, choćby najharmoniniejszy, nie wytworzy poezyi, jeżeli w tych dźwiękach nie będzie zaklęta rozumna myśl, wzniosłe czy rzewne uczucie, szlachetne pragnienia i ideały.

Niewątpliwie trudno dziś o treść nową, bo już sam wiek XIX u różnych narodów europejskich z tak rozmaitych stanowisk rozpatrywał stosunki, uczucia, dążenia człowieka jako jednostki i jako ogółu, że w odcieniach jedynie drobnych można jeszcze znaleźć temata niewyzyskane.

W poezyi naszej najnowszej wszelkie niemal usposobienia, nastroje, zamiłowania i przekonania znaleźć mogą karm dla siebie i to jak najróżnorodniej przyrządzoną. Czy kto tęskni za urokami wybujałych marzeń romantycznych i całą wartość życia we wspomnieniu tylko widzi; czy kto wzdycha do czynu i pragnie zmiany istniejących stosunków; czy kto szuka zadowolenia w prostych, choćby najzwyczajniejszych scenach życia powszedniego; czy kto lubi szerokie przestrzenie pól i lasów i chętnieby się napawał wonią kwiatów i szumem drzew; czy też przywykł przebywać bez obrażenia swego węchu i smaku w zaułkach miejskich i piwiarniach; czy kto rozkoszuje się w takich jedynie przetworach, co w gwarze zabiegów ekonomicznych i walk społecznych powstają, czy też ukochał atmo-

sferę piękna bezinteresownego; czy kto życzyłby sobie znajdować się w otoczeniu poważnem lub lekkomyślnem, wytwornem czy prostaczem, wesołem lub smutnem, dowcipnem lub refleksyjnem, pessymistycznem lub pogodnem, czy też wolałby pozostać jedynie we własnem i Muzy towarzystwie: — w uczcie owej, którą nam zastawili poeci, znajdzie wszystkiego podostatkiem, w lepszym lub gorszym gatunku, w zręcznie lub mniej zręcznie wykonanych formach — przeważnie drobnych... „Poezya lubi dziś miniatury i kameje“ — zauważył trafnie i ładnie p. Adam Bełcikowski [1]) — a „jak ten rodzaj plastycznej sztuki, aby nabył artystycznej wartości; tak i ona w tych drobniejszych swoich formach, starannem, misternem, do drobiazgowości nieraz posuniętem wykończeniem odznaczać się musi. Wistocie technika poetyczna doprowadzona dzisiaj do wysokiego bardzo stopnia, a poeci są prawdziwymi w niej wirtuozami. Bogactwo i niezwyczajność rymów stały się już dzisiaj obowiązującem prawem; i żaden z piszących dzisiaj nie chciałby i nie odważyłby się takimi prostymi rymami wiązać z sobą wiersze, jak Mic-

[1]) „Dzisiejsza nasza poezya“, artykuł w „Przeglądzie literackim“, dodatku do „Kraju“ rok 1889. Nr. 4—17. Zajmuje się tu autor trzema tylko poetami: Asnykiem, Konopnicką i Gomulickim.

kiewicz albo Krasiński. Rozmaitość strof jest również nieporównanie u nich większą. Dziś zdaje się, że dla każdego uczucia i nastroju swej duszy poeci szukają innego składu wierszy, aby i dla oka je uzmysłowić i dla ucha samą melodyą słów je zaakcentować".

Tak więc mamy w poezyi dzisiejszej i rozmaitość nastrojów wewnętrznych i wielkie bogactwo form lirycznych, najkunsztowniej rzeźbionych. Brak jej atoli rozległych pomysłów, brak wielkich kompozycyj, brak orlich lotów.

A przyczyna?

Najprzód życie gorączkowe, pełne niepokojów i wahań, a potem... ta okoliczność, że nam wszystkim nie dostaje możności szerszego oddechu...

SPIS RZECZY.

		Strona
	Przedmowa	1
I.	Leonard Sowiński	15
II.	Felicyan Faleński	48
III.	Bogumił Aspis	69
IV.	Adam Asnyk	83
V.	Marya Konopnicka	139
VI.	Wiktor Gomulicki	188
VII.	Czesław Jankowski	216
VIII.	Stanisław Grudziński	244
IX.	Włodzimierz Zagórski (Chochlik)	263
X.	Mikołaj Biernacki (M. Rodoć)	278
XI.	Autor „Strof“	286
XII.	Włodzimierz Wysocki	296
XIII.	Kazimierz Gliński	315
XIV.	Adam M-ski	331
XV.	Przedwcześnie zmarli lub zmarnowani	344
XVI.	Mniej szczęśliwi	358
XVII.	Próby epiczne	387
XVIII.	Najmłodsi	436
	Zakończenie	490

Omyłki druku.

Str. 2 w. 7 od dołu czytaj: *Jakób* Zakrzewski († 1871).

1312

BINDING SEST. APR 2 0 1961

PG
7070
C56

Chmielowski, Piotr
Współcześni poeci polscy

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY